



Magdalena
Samozwaniec

**ZALOTNICA
NIEBIESKA**

Świat Książki



MAGDALENA

SAMOZWANIEC

ZALOTNICA

NIEBIESKA

WSTĘP

W jakiejś zapomnianej szufladce na Kossakówce odnalazłam po śmierci Marii Jasnorzewskiej pukiel włosów mojej siostry—poetki przypięty do pustej kartki.

Dla kogo był przeznaczony? Nie wiadomo. Przycisnęłam go do twarzy i wdychiwałam zapach, który się z włosów ulatniał. Serce poetki spoczywa na małym cmentarzyku koło szpitala onkologicznego w Manchesterze. Pukiel jej złotopłowych włosów przepadł. Może go skradły zazdrosne demony?...

Wielcy malarze renesansu leżeli krzyżem w kościołach przed rozpoczęciem zamówionego dzieła o treści religijnej, aby Bóg sprzyjał ich twórczości. Ja, rozpoczynając tę tak trudną i odpowiedzialną pracę, modłę się... do bogów greckich, do Zeusa, do Hery, a przede wszystkim do mądrej Ateny, dlatego że moja siostra była grecka i posiadała tak jak greckie boginie i bogowie wszelkie cechy ludzkie i boskie.

Może była Afrodytą, która według słów wspaniałego Parandowskiego „po prostu” wyłoniła się z morskiej piany. Najpiękniejsze wiersze Lilki (bo tak ją będziemy nazywali, po domowemu) mówią o morzu, jego głębinach i tajemnicach. „Fale świecą się jak szkiełka czeskie i szepczą, by się morza nie bać, choć jest jak połowa nieba: równie pełne śmierci i niebieskie”. I też nie bała się morza, nawet podczas najdzikszych sztormów. Nie zapomnę, jak podczas naszej wspólnej wycieczki morskiej po basenie Morza Śródziemnego małym statkiem „Kościuszko”, gdy „burza szalała wkoło nas”, a wszyscy pasażerowie leżeli chorzy i przerażeni, ona z rozwianymi na wicherze włosami, w rozpiętym płaszczu, którym wiatr szarpał

jak żaglami, biegała po pokładzie w jakiejś dzikiej euforii.

„Lilusiu! — wołałam przerażona — wracaj do kajuty, fale mogą cię zmieść z pokładu!”

Odpowiedź na moje wołania miałam gotową w jej czterowierszu Bezpieczeństwo: Boicie się o mnie? Dlatego?

Ach życie jest burzliwe i złe nieskończenie,

lecz czyż potrzeba syrenie

pasa ratunkowego?

Skoro już zaczęliśmy od porównywania poetki do bogów greckich, to Lilka miała również dużo cech bogini Ateny, która, jak wiadomo, wyskoczyła z czoła Zeusa i stąd jej wielka mądrość. Ale boska Atena była, jak wszystkie kobiety, zazdrosna (Lilka też) i gdy piękna dziewczica ziemiska Arachne stanęła z nią do zawodów, chełpiąc się, że potrafi piękniej tkać od bogini, i gdy ona sama się o tym naocznie przekonała, wpadła w taką furję, że pięknie przez Arachne utkane płótno podarła na kawałki. Dziewczę z rozpaczy popełniło samobójstwo i wówczas bogini, wiedzona „litością”, wskrzesiła ją w postaci... pająka. Ponieważ jesteśmy w świecie bajek i legend, które stworzył nie

byle kto, bo wielki poeta Homer, więc wszelkie najśmielsze nawet analogie są w tym miejscu dopuszczalne. Lilka gdzieś w zakamarkach swojej podświadomości miała uraz na tle pająka, ponieważ tkwiła w niej pamięć zbrodni, jaka w zamierzonych legendarnych czasach dokonała się na biednej Arachne, i bała się zemsty na niej wszystkich pajaków. Oto jeden z jej znakomitych wierszy właśnie pod tytułem Pająk: I jakże tu kochać ziemię, na której są pająki, i Stwórcę, w którego głowie sen o pająku się błąka?

A nuż gdzie w niebie lub piekle spotkam Ideę Pająka ogromną, z kłami na brzuchu, zgiętą w pałąki–kabłąki?*

Przypomni, że jest oliwkowa, że ma szczecinę na nodze i odwłok jak tłuste serce i gniazdo oczu mnogich —

i nagle skoczy porywczo, rozrzuci długie nogi i tak mnie strasznie przestraszy, że więcej się nie urodzę —

W jej przepięknej i tak mądrej prozie poetyckiej znów zjawia się kompleks Pająka:

Nie wszystko [pisze poetka] co przed nami zostało stworzone na tym świecie, nosi cechę męskiej ręki. Jakaś bogini, współ —twórcza, wtrącała się też najwidoczniej do niejednego dzieła przyrody.

Zamiłowanie do błyskotek, niespożyty zmysł zdobniczy „des ewig weiblichen”, objawia się gdzie okiem sięgnąć — na wszystkich szczeblach stworzenia.

On, inżynier i wynalazca, zajęty udoskonalaniem swoich żywych maszyn, cierpieć musiał nieustannie mieszanie się żeńskiego pierwiastka do jego męskich zamysłów...

Porobił szczypawki, pająki. Zbrojne maszyny, wojownicze aparaty, najdokładniej pozbawione uroku, ale za to groźne i wytrwałe...

Bogini... zmartwiona widokiem gnilnego chrząszcza, rozpyliła na niego tyle metalo–

lazuru, że zamieniła go niechcący w żywy klejnot, z czego śmiał się On, aż mu z rąk wypadł suchy pająk–kosiarz, tracąc w tym wypadku połowę jednej z długich swoich nóg.

Zamiłowanie Lilki do legend greckich i znajomość Olimpu były zdumiewające u zaledwie dziesięcioletniej dziewczynki. Jej zabawy w bogów greckich, do których nakłaniała dzieci Jacka Malczewskiego i swoją młodszą siostrę, były odgrywane przez nią z całą powagą i pietyzmem. Wzgórze w Lasku Wolskim było Olimpem, z którego bogowie spływali na ziemię na skrzydłach zrobionych z japońskich parawanów. Lilka była żoną Zeusa, Herą, Rafał Malczewski bogiem najwyższym —

Zeusem. Z braku mężczyzn młodszą siostrzyczkę przeznaczyła na pana królestwa umarłych, Hadesa, mimo jej jęków i popłakiwań. Bogowie pili nektar i ambrosję, czując jej boski smak, mimo iż to była biała kawa, którą w butelkach zabierano ze sobą na tę „majówkę”, jak to się wówczas mawiało. Lilka kładła na swoje długie jasne włosy wieniec z konwalii i leśnych ziół i takie same nakładała na głowy tamtych „bogów”. A w pobliżu Olimpu siedziały na trawce ich matki, pani Malczewska i

mama Kossakowa, plotkowały o swoich pokojówkach, o modzie i wcale się nie dziwiły, skąd u tej dziesięcioletniej dziewczynki tak niezwykle pomysły i taka znajomość mitologii. Od czasu do czasu któraś z niechętnym zaniepokojeniem spoglądała na spływające ze wzgórza dzieci i wołała: „Tylko uważajcie, aby któreś z was nie złamało nogi!” Z bielańskiego klasztoru kamedułów odzywał się w wieczornej porze głęboki dźwięk dzwonu. Ze starych dębów leciały żołędzie, leśne danie podawane w miseczkach. Przebiegały chyłkiem wiewiórki... Niezmierzony urok tego lasu, polany otoczonej dębami i bukami, tajemniczy dźwięk klasztornego dzwonu, wszystko to od najmłodszych lat fascynowało poetkę i było źródłem jej najpiękniejszych młodzieńczych wierszy.

Oto wiersz, napisany gdy miała niecałych piętnaście lat: Smutek jest duszą oparów na sosnach,

wzrosłych pod dębem późnych anemonów

(tajemnic lasów w jesieniach i wiosnach)

podzwięku źródła i dalekich dzwonów

i światów ptaszyc w których woła moje

nagłe olśnienie i jęki niemocy,

Że jest świadomość ogromna jak morze

gdy ich jest nikła

i zamknięta w nocy.

i bolesnego zapachu storczyków

wśród mchów poddanych pod deszczowe strzały,

walczących z wonią wody i trzęsawisk

przez jakiś ślepy wonny upór biały

obłądnych, siebie nie znających krzyków — —

o potworności przenajśłodszych zjawisk.

I ja mam miejsce w płaczącej biesiadzie,

bo choć nikt o tym nie wie smutna jestem,

jak córka króla w niemieckiej balladzie,

Bo wiem, że to co wołam z ukrycia

jak storczyk woła ludzi wśród trzęsawisk —

co przyjdzie z kroków szelestem

gdy na modłę starą i biedną

róże wszystkie wybuchną wonią, gwiazdy zbledną nie będzie inne od życia — — —

będzie w nim jedno

Pójdę w potworność zjawisk.

Zacytowałam ów wiersz, ponieważ w tym młodocianym utworze możemy już odnaleźć wiele z tych elementów, które później objawią się w jej dojrzałych poezjach.

Jest w nim ów lęk przed życiem i jednocześnie zachwyt, i jej ukochane poetyckie rekwizyty, jak bielańskie dzwony, storczyki, „tajemnice lasów w jesieniach i wiosnach”, anemony, ptaszęce głosy, trzęsawiska, a przede wszystkim róże i gwiazdy, które tak często spotykamy w jej wierszach. „Smutna jestem jak córka króla w niemieckiej balladzie” — to jedyny zwrot w tym wierszu, który się już nigdzie później nie pojawia, trochę młodopolski i zarazem rozczulająco dziecinny. To reminiscencja z lektury niemieckiego tygodnika satyrycznego

„Fliegende Blätter”, który nam ojciec zaabonował. W owym piśmie — poza płaskimi dowcipami ozdobionymi odpowiednimi rysunkami, jak na przykład „Sonntagsjäger” do lisa: „Poczka lis — pójdziem po flintę” — znajdowały się w każdym numerze ballady o dzielnych rycerzach i pięknych księżniczkach zamkniętych w wieżach przez srogiego króla i strzeżonych przez smoki. Obrazki do tych ballad fascynowały nasze dziecięce umysły. Ich autor, znakomity na ówczesne czasy grafik, potrafił włożyć w nie wszystkie baśniowe elementy, a poza tym czar starych drzew, tajemniczej kniei, starych ruin. A że był typowym Niemcem (połączenie dobroduszości i naiwności z okrucieństwem), więc obok kata ścinającego głowę kochankowi niewiernej królowej znajdowały się i krasnoludki z długimi brodami, i koniecznie — muchomory. Nigdy w późniejszych czasach żaden ilustrator nie zrobił już na nas takiego wrażenia jak ów nieznany grafik z

„Fliegende Blätter”.

Każdego musi zadziwić w tym młodocianym wierszu poetki ów tragiczny zwrot końcowy: „pójdę w potworność zjawisk”. Skąd ta dziewczynka, wychowana pod ciepłą pierzynką rodzicielskich uczuć, pieszczona, karmiona kurczątkami i czekoladkami, mogła coś wiedzieć o potwornościach życia? A jednak wiedziała, o czym dowiemy się w późniejszych rozdziałach.

CIEŹKIE DZIECIŃSTWO

Nie wiem czemu, gdy piszę o mojej siostrze-poetce, wciąż nasuwają mi się jakieś bajki i legendy, to greckie — to... „świeckie”. Czyżby była postacią nierealną, bajkową? Wcale nie, była istotą z krwi gorącej i cienkich kości, i kobiecego ciała, które tylko pragnęło kochać. A jednak... była przy tym i nimfą grecką, i najadą, i sylfidą, i piękną czarownicą, którą wciąż spotykały niezwykle przygody.

Weźmy chociażby tę w Zakopanem, podczas pierwszej wojny światowej. Była wtedy moda

„puszczania duchów”, czyli seansów spirytystycznych. Siadało się przy trójnożnym stoliku i splatało się palce z palcami sąsiada, co stanowiło tak zwany „łańcuch magiczny”. Kto nagle rozerwał ów łańcuch (na przykład, aby się podrapać lub wytrzeć nos), narażony bywał na różne nieprzewidziane katastrofy.

Towarzystwo siedziało więc nieruchomo, w ciszy i skupieniu, przy słabym światełku bocznej lampki i czekało na zjawienie się „ducha”, który wpierw lekko pukał w blat stołu, na znak, że jest, a później unosił jedną nogę stolika i pukał nią w podłogę przy danej literze, które to litery wygłaszał mistrz ceremonii, poczynając od „a” poprzez cały alfabet. Litery notowała pilnie osoba wtajemniczona, siedząca obok seansowiczów. Każda epoka ma swoje zamiłowania i atrakcje. Wtedy była, jakeśmy to dowcipnie nazywały, „pozagrobówka”, dzisiaj —

„prywatki” i big-beat. Seanse spirytystyczne miały jednak posmak o wiele bardziej erotyczny od prywatek, a młodzi spirytyści przyciskając kolana do kolan sąsiadki, odczuwali zmysłowe dreszczyki chyba większe niż dzisiejsi tancerze, froterujący podłogę solo, nie obejmując nawet partnerki.

„Duchy” czasem plotły jak Piekarski na mękach, ale czasem mówiły rzeczy dziwne i prorocze.

Oto jedna z takich zjaw na zapytanie Lilki, co jej przyniesie szczęście —

wymieniła bez wahania nazwę półszlachetnego kamienia, który nazywał się jakoś podobnie jak „coramina”, „corontina” — w każdym razie coś od serca i był

krwistoczerwony. Lilka zapisała sobie nazwę kamienia i dziwnym trafem znalazła go u zakopiańskiego jubilera. Kupiła go za ostatnie swoje oszczędności i kazała wprawić do dużej szczerozłotej agrafki. Wpinała ją do sukni czy kostiumu i nigdy nie zdejmowała. Broszka była, ale pieniędzy nie było, i owo szczęście, które kamień miał przynieść, też się nie zjawiało.

A teraz zaczyna się przygoda jak z baśni Andersena: Idzie sobie Lilusia przez Krupówki, biedniutko ubrana, bo to wojna, a tu zaczepia ją starsza siwa kobieta i błaga ze łzami w oczach, aby jej dała jakąś, wymienioną przez nią sumę, żeby mogła wykupić z zastawu maszynę do szycia, jedyne źródło jej zarobków. Lilka nie ma pieniędzy, ale ma nieludzko dobre serce; chwilę się waha, po czym odpina agrafkę z tajemniczym kamieniem i wręcza babinie — oddaje jej swoje szczęście.

Wraca do domu smutna i zgnębiona.

— Ach, Madziusiu — mówi do siostry — co mnie spotkało! Wyobraź sobie, że musiałam dać moją piękną złotą agrafkę takiej biednej kobiecie, która chciała ode mnie pożyczyć pieniędzy na wykup swojej maszyny do szycia, a jest krawcową i umrze z głodu, jak nie będzie zarabiać.

— Po cóż to zrobiłaś! Przecież w tej agrafce tkwił kamień, który ci miał

przynieść szczęście. Nigdy bym na twoim miejscu tego nie zrobiła.

Lilka smutnie kiwa głową.

— Tak, oddałam jej moje szczęście. Ale może mnie los za to wynagrodzi... A wszystko dlatego, że

jestem taka dobra idiotka.

Mijają dwa tygodnie. Do pensjonatu, gdzie mieszka Lilka z rodzicami i siostrą, zgłasza się jakaś kobieta. Prosi, że chciałaby się w ważnej sprawie zobaczyć z tą piękną młodą panią, która jej kiedyś dała broszkę. Lilka rozpoznaje kobiecinę, a ta rozpromieniona wręcza Lilce złotą agrafkę.

— Paniusieczko, dobrodziejko moja, uratowała mi pani życie! Zastawiłam pani broszkę, wykupiłam moją maszynę i zaczęłam zarabiać. Teraz mogłam wykupić tę broszkę i zwracam ją z podziękowaniem. Niech Bóg panienkę błogosławi.

Lilka zdumiona obraca w ręce swój skarb. Tak, to jej agrafka z czerwonym oczkiem szczęścia.

— Ale skąd pani wiedziała, kim jestem i gdzie mieszkam?

— Dowiadywałam się po pensjonatach. Opisywałam, jak pani wygląda, no i w końcu znalazłam moją dobrodziejkę.

Czy to koniec bajki? Wcale nie. Niedługo potem Lilka poznaje pięknego jak marzenie o miłości Jasia Pawlikowskiego, i zakochują się w sobie nieprzytomnie.

Lilka jest jeszcze wówczas żoną porucznika Bzowskiego. Unieważnienie ich małżeństwa trwa długo, ale w tym okresie Lilka jest najszczęśliwszą kobietą pod słońcem i pod wpływem owej wielkiej miłości pisze już dojrzałe wiersze, które ukażą się w tomiku Niebieskie migdały.

Duch nie skłamał. Talizman przyniósł jej szczęście, jakiego się nie spodziewała.

A czy to nie czary? I czy kogoś innego niż ją mogło coś takiego spotkać? Po kilku latach, gdy jej szczęście z Jasiem zbladło i zmizerniało, czarodziejski kamień wypadł kiedyś ze złotej agrafki i nigdy się nie znalazł.

I znów powrócimy do greckich legend. W Krakowie, w zacisznym podmiejskim dworku obramowanym starymi drzewami, mieszkał znakomity malarz wraz z uroczą małżonką i pierworodnym synkiem. Urodziła im się córeczka o wielkich niebieskich oczach.

Rodzice postanowili zaprosić na jej chrzciny wszystkie muzy. Zjawiła się więc piękniczka Kaliope z rylcem i tabliczką do pisania. Pocałowała małą w czółko i przepowiedziała jej, że będzie kiedyś słynną poetką, a przy tym tak piękną jak ona, Kaliope. Euterpe, patronka liryki, dodała, że jej wiersze będą wzruszały jak najpiękniejsze melodie grane na flecie. Talia z maską na twarzy przepowiedziała jej, że będzie pisywać wesole komedie na scenę. Melpomena dodała, że również i dramatyczne utwory. Terpsychora dorzuciła, że będzie nade wszystko kochała taniec. Polihymnia przepowiedziała dziewczynce duże zamiłowanie do muzyki i że będzie grywała na cytrze i flecie (muza nie znała fortepianu).

Gwiazdzista Urania orzekła, że gdy dorośnie, będzie się bardzo interesowała gwiazdozbiorami, astrologią i nawet sama zdoła układać horoskopy.

Rodzice ze wzruszeniem słuchali tych przepowiedni. Nagle błysnęło, zagrzmiało, wichur z trzaskiem

otworzył drzwi i do pokoju wpadła zła bogini Hekate.

— Nie zaprosiliście mnie na chrzciny — zasyczała. — Srogo się to zemści na waszym dziecku — i... magiczną pałeczką dotknęła kręgosłupa dziewczynki, zaśmiała się złowieszczo i znikła.

I tak się zaczęła tragedia całego życia poetki, tak szczerze poza tym obdarowanej przez wszystkie muzy. Ich życzenia i przepowiednie spełniły się zdumiewająco. Lilka od małego dziecka komponowała wiersze liryczne. Gdy dorosła, poczęła pisywać znakomite komedie, grane na wszystkich scenach polskich. Miała duże zdolności muzyczne i jako kilkunastoletnia panienska, będąc uczennicą słynnego w Krakowie prof. Lalewicza, zbierała oklaski na fortepianowych popisach jego uczniów.

Kochała taniec (patrz zbiorek wierszy Dansing) i na krakowskich balach karnawałowych uchodziła za niezrównaną tancerkę. Na gwiazdzbiorach знаła się znakomicie i w jej poezjach często powtarzają się takie słowa, jak „galaktyka”,

„Wielka Niedźwiedzica”, „planeta Wenus”, „Droga Mleczna”, „Orion” oraz inne planety i gwiazdy. W późniejszych latach interesowała się bardzo astrologią i układała horoskopy.

W mitologii greckiej nie ma muzy malarstwa, więc przyjść na chrzciny poetki nie mogła. Mimo to owa niezwykła istota okazywała już od najmłodszych lat duże zdolności malarskie i rodzice byli przekonani, że stanie się kiedyś sławną malarką, dziedzicząc talent po ojcu i dziadku. Rodzice dali jej na chrzcie imię Maria, nie myśląc oczywiście o tym, że szereg słynnych kobiet polskich nosiło to miano: Maria Skłodowska-Curie, Maria Konopnicka, Maria Dąbrowska, Maria Kuncewicz i wielkie uwodzicielki — muzy poetów, jak Maria Calergis i Maryla Wereszczakówna. Z „Marylki” sama siebie nazwała „Lilką”, „Lilą”, co niesłychanie do niej pasowało, ponieważ ulubionym jej kolorem był kolor lila, a gdy dorosła, zawsze sprawiała sobie liliowe suknie i szale. Poza tym uznawała jeszcze wszystkie odcienie błękitu i zieleni. Chyba nie nosiła nigdy nic czerwonego oprócz czerwonej parasolki nad głową (marzenie wszystkich podrastających panienek).

Wśród greckich muz nie było muzy od mody i strojów, ale wróżka-strojnisia też stanęła gdzieś z boku na jej chrzcinach. Lilka sama projektowała dla siebie nieraz dziwaczne stroje, rysowała modele i dawała krawcowym. Na brulionach swych wierszy kreśliła wymarzone toalety z dokładnym opisem kroju i fasonu. Muza Kaliope wywróżyła jej wybitną urodę, co się już w dzieciństwie ziściło. Gdy szłyśmy z naszą Fräulein przez Planty, obce panie chwyciły starszą z dziewczynek w ramiona, wołając: „Czyjeż to prześliczne dziecko?” Obie miałyśmy wielkie niebieskie oczy, tak duże, że gdyśmy dorosły, młodzieńcy na balach nazywali nas

„sówkami”.

— O, przysły Sówki! — mawiali radośnie.

Lilka miała ślipia tak wielkie, że nasz Tatko przezywał ją z góralską „ocata”.

Gdy byłyśmy małe, lubiła mnie nimi straszyć w ciemnym salonie. Nie wiem, jak się to działo, ale jej oczy robiły się czarne, a białka jak gdyby fosforyzowały niebieskim blaskiem. Jak tylko nie spełniłam

jakiegoś życzenia starszej siostry, zaraz mi groziła, że zrobi „duże oczy”.

— Madzia, przynieś mi z maminego pokoju tę dużą książkę z obrazkami.

— Nie pójdę, bo tam jest ciemno.

— Jak nie pójdziesz, to zrobię „duże oczy”.

— Ach, jakaś ty niegodziwa, już idę, tylko nie patrz tak na mnie...

Dzieci bały się wówczas wielu rzeczy, a przede wszystkim ciemnego pokoju. Nie było jeszcze światła elektrycznego, świeciło się lampami naftowymi, które służąca wносиła zapalone do pokoju, gdy już było całkiem ciemno. Tak poszukiwane dzisiaj lampy naftowe o secesyjnych wzorach często kopały i starsi biegli na wyścigi, aby knot przykręcić. Niesłusznie „knotem” nazywano wówczas nie znaczącego osobnika, knot w dosłownym znaczeniu był bardzo ważnym elementem i bez niego lampa nie spełniałaby swojego zadania. Dużo również używało się świec; wyposażone były one w doskonały wynalazek, dziś zupełnie zapomniany, a mianowicie szklaną podstawkę, „profitkę”, na której zbierała się kapiąca stearyna.

Lilka, ta mała „Baba-Dziwo”, posiadała, można rzec, swoją „puszkę Pandory”. Była nią mała kryształowa buteleczka po francuskich perfumach, do której kiedyś Lilka

„złapała pecha”. Chodziła skupiona po naszym dzieciennym pokoju i jakimiś dziwnymi ‘ruchami’ ściągała owe złe prądy do buteleczki, po czym zakorkowała szczelnie.

— Teraz — rzekła triumfująco — pech się skończy. Wszystko będzie nam się dobrze układać, będziemy wszyscy zdrowi i szczęśliwi! Zobaczysz!

I rzeczywiście nastąpiły jasne, pogodne dni. Tatko przysłał córkom z Paryża przepiękne kapelusze ze złotej słomki ozdobione wieńcami z czerwonych maków i oprawione roczniki francuskiego tygodnika młodzieżowego, za którym szalały, „Le Jeudi de la Jeunesse”. Mamidło nie wspominało jakoś o picciu tranu i o wielkanocnej spowiedzi. Ale już szczytem szczęścia było, że mewka japońska

„powiła” małe różowe jajeczko, takie jak lukrowane jajka na dzieciennych święconkach.

Radość obu dziewczynek, których pokój wyglądał jak wielka klatka pełna fruujących egzotycznych ptaszków, była nie do opisania, wzięły się za ręce i zaczęły tańczyć jakiś zwyczajny taniec.

— Mewka będzie miała pisklątko — wołała Lilka — nie mogło mnie większe szczęście spotkać.

— Mnie też! — wtórowała jej młodsza siostra. — To jest nieludzkie szczęście!

Będziemy mieć w domu hodowlę japońskich mewek. Gdyby pech nie był zamknięty w butelce, to nigdy by się to nie stało!

„Puszka Pandory” stała godnie na etażerze, gdzie znajdowały się ulubione Lilki przedmioty: wielka zasuszona kolczasta ryba zwana „diabłem morskim”, składająca się z samej koszarnej głowy,

płaskie suche koniki morskie, skamieniała gałązka koralu, wiedeńskie porcelanowe baletniczki w koronkowych spódniczkach i bryłka prawdziwego ametystu.

Te wszystkie skarby przywiozła sobie Lilka ze Świnoujścia, dokąd z Mamą jeździły na lato. Tak bardzo kochała morze i tak była z nim od małego związana, że zbierała przede wszystkim dziwy i cuda morskich głębin. Stała na etażerce również wielka różowa muszla, której „szumiało w uchu”. Lilka przytykała ją do twarzy siostry:

— Słyszysz, to morze w niej tak szumi...

Któregoś dnia jednak stało się nieszczęście, służąca zamiatając energicznie pokój zawadziła szczotką o etażerkę i strąciła kryształowy flakonik, w którym zamknięty siedział PECH. Flakonik rozbił się w drobne kawałki, a wyzwolone złe moce zaczęły buszować po pokoju. Rozpacz obu sióstr była wielka.

— Już drugi raz nie uda mi się pecha przyłapać i uwięzić — żaliła się Lilka. —

No i skąd wziąć taki flakonik?

Niedługo znów zaczęły się złe czasy. Mama zapowiedziała, że będą musiały obie chodzić na przedwielkanocne rekolekcje i że teraz na wiosnę wszystkie dzieci piją tran, a przed obiadem gorzkie ziółka, więc i one też. Ale największe zmartwienie było z jajeczkiem mewy, któregoś ranka ujrzały je rozbite, leżące na dnie klatki. Spłakały się wówczas obie. Tyle nadziei pokładały w tym mewim jajku. Pech — istny pech!

A zła bogini Hekate nie spała i tylko czekała na odpowiednią chwilę, aby dopełnić swojego przekleństwa, rzuconego wówczas, gdy dotknęła kręgosłupa dziewczynki zaczarowaną pałeczką. Ze złośliwą satysfakcją spoglądała, jak jej przyszła ofiara pięknie się rozwija, jaką ma zgrabną figurkę, rączki i nóżki jak toczony. Rodzice co pewien czas odwiedzali wraz z córeczkami siostrę Wojciecha, Zofię Romańską, w Układówce na Wołyniu, gdzie jej mąż był plenipotentem dóbr Potockich. Zasobnie i bogato było w owym małym dworku, a wujek tak kochał

wszystkie dzieci, że wciąż im przywoził z Kijowa olbrzymie pudła czekoladek i bajecznych suszonych owoców, „bałabuchów”, i z nadmiaru serdeczności częstował

je szampanem. Przyjeżdżała tam również ciotka Jadwiga Unrug, matka przyszłej żony Witkacego, oraz stryjenka Ewa z córką i synem. Lilka była wodzirejem wszystkich zabaw. Co jakiś czas urządzała „różowy balet”, jak by się to dzisiaj nazywało, w którym brały udział jej siostra i kuzyneczki; z pomocą panny służącej poszyła im baletowe spódniczki z różowej bibułki, wujek przywiózł z Kijowa prawdziwe czarne baletki wiązane w kostce na tasiemki; jedna z ciotek zasiadała do fortepianu i przy dźwiękach walca Straussa lub skocznej póleczki dziewczynki wykonywały ewolucje taneczne.

Lilka była urodzoną baletniczką (nie darmo wy wróżył a jej zamiłowanie do tańca muza Terpsychora). Stawała „sur les pointes”, wykonywała piruety, zbierając oklaski audytorium. Ja, małe, niezgrabne tłuste dziecko, wywracałam się czysto i raz nawet stłukłam się tak porządnie, że

miałam potem wodę w kolanie. Któregoś wieczora, gdy wesołego, pogodnego nastroju rodzinnego nie mąciło żadne złe przeczucie, Lilka przy jakimś tanecznym skoku upadła tak nieszczęśliwie, że złamała w łokciu prawą rękę. Krzyknęła i zbladła. Przerażone ciotki, gdacząc jak kwoki, otoczyły ją kołem. Aby nie martwić ukochanej Mamy, dziewczynka mimo ostrego bólu starała się uśmiechnąć. Nie rozplakała się, uczyniła to już za nią młodsza siostra. Ręka spuchła niepokojąco i Lilka nie mogła nią poruszyć.

Nazajutrz Mama zawiozła ją do Kijowa do chirurga, gdzie jej rączkę złożono i ujawszy w gips zawieszono na temblaku. Wróciła dumna jak paw — czyż nie była teraz podobna do tych napoleońskich wiarusów, którzy z wyprawy na Moskwę powrócili kalekami: jedni o kulach, drudzy z obandażowanymi głowami, inni z ręką na temblaku. Znała ich dobrze ze wspaniałych obrazów swojego ojca, który właśnie malował pyszną panoramę Berezyna. Ponieważ Lilka złamała prawą rękę, szybko nauczyła się pisać i rysować lewą, siedząc przy tym w skrzywionej pozycji. Po dłuższym czasie rączka zrosła się w łokciu i można ją było uwolnić z gipsu, ale mięśnie były zwiotczałe i prawa ręka jakby nieco krótsza od lewej. „Mądry” znajomy lekarz kazał jej więc prawą ręką dźwigać ciężary, jakieś worki z piaskiem, konwie z wodą... Po jakimś czasie Mama z niepokojem skonstatowała, że dziewczynce krzywi się kręgosłup i że zaczyna jej trochę wystawać lewa łopatka.

Dużo dzieci cierpiało wówczas na rachitis i w Krakowie wciąż widywało się biedactwa w ortopedycznych gorsetach lub z mentonierą założoną na głowę, która podnosiła podbródek i tym samym miała prostować kręgosłup. Lilka także przez jakiś czas nosiła to narzędzie tortur, podkładając pod brodę kawałek waty, żeby zanadto nie uwierało. W krakowskich kałużach taplały się dzieci wykrzywione

„angielską chorobą”, z nogami jak Brama Floriańska i brzuskami jak Barbakan.

Powodowała to wilgoć suterren, w których zamieszkiwały ubogie rodziny, o czym się już dzisiaj całkiem zapomniało. Ilustracją do tego, jak wyglądały owe nory, była suterena, którą córkom wymalował w kartonowym pudle kochający Tatko. Tak zwany Dom Lalek składał się z dwóch pięter, poddasza i sutereny. Na wyższych piętrach były pokoje pięknie urządzone secesyjnymi mebelkami, na których siedziały laleczki w długich jedwabnych sukniach i miniaturowi dżentelmeni w tużurkach i pasiastych spodniach. Wszystkie te lalki nazywałyśmy „mińcie”. Czyżby Lilka znała już słowo „mini”? Suterena wymalowana przez ojca wyglądała desperacko: odrapane szare ściany, z których kapą wilgoć, na nich pajęczyny, na kilku barłogach leżały lalki z połamanymi rączkami lub nóżkami, a na brudnej podłodze siedziały celuloidowe bebusie w łachmanach, z usmarowanymi sadzą czarnymi buziami. Tak zresztą wyglądały prawdziwe sutereny, i nikt się nie dziwił, że ludzie mogą mieszkać w takich warunkach. Po co są tacy biedni? To pewnie ich wind! Takie było przeważnie nastawienie ówczesnego społeczeństwa do nędzy i biedoty. Dziewczynki też nie myślały inaczej i cieszyły się, że Tatko tak wiernie to odmalował, bo nieraz zaglądały przez ciekawość do suterren, idąc z Fräulein ulicą. Ponieważ małe okienko sutereny domu lalek nie miało parapetu, nie mogły stać na nim czerwone laki w doniczkach i paprotki, które stanowiły zwykle jedyną kolorową plamę i ozdobę tamtych nędznych pomieszczeń.

Mama nieraz jeździła z córkami do Kośmina pod Łomżą do stryja Tadeusza, brata—

bliźniaka ojca, który był tak uderzająco podobny do Wojciecha, że ludzie mylili ich ze sobą. Raz nawet zdarzyła się zabawna historia, jak Wojciech wziął siebie za Tadeusza. Po jakiejś sutej libacji schodził na dół w Hotelu Europejskim w Warszawie, gdzie w hallu, naprzeciwko schodów, stało olbrzymie lustro. Wojciech rzucił się z otwartymi ramionami na swoje odbicie w lustrze krzycząc: „Tadeusz, skądś się tu wziął!” — i... rymsnął nosem w lustrzaną taflę.

Tadeusz był ojcem Zofii i dwóch synów, z których jeden w wieku lat dwunastu utonął w rzece Wieprz ratując swojego brata stryjecznego Jerzego, a drugi, starszy, był niezbyt udanym typem i rodzina niechętnie o nim wspominała. Zosia (przyszła znakomita powieściopisarka) była tak niepodobna do swoich stryjecznych sióstr, jak bulwa niepodobna jest do różowych i białych kwiatusków kartofla.

Silna, krzepka, tryskająca zdrowiem, z kolorami rzodkiewki na sympatycznej twarzy, w której błyszczały, jak duże czarne dzęty, jej ciemne oczy, była prawdziwym ziemio płodem, związanym ściśle z polską ziemią; i później, gdy była już dorosłą kobietą, zawsze dążyła, aby móc pracować na kawałku ziemi. W

przeciwieństwie do kuzynek, wypieszczonych laleczek, którym ojciec przywoził z zagranicy białe koronkowe kapelusze z kolorowymi wstążkami, a mama sprowadzała z Wiednia kosztowne sukienki, Zofia nie dbała zupełnie o zewnętrzny wygląd i ze swoim tłustym warkoczem, w jakimś burym kaftaniku i nędznej spódnicy mogła śmiało uchodzić za dziewczynę ze wsi zatrudnioną we dworze u państwa. Lubiła biegać po pokojach boso, co niesłychanie drażniło jej dystygowaną matkę, ciocię Andzię (siostrę stryjeczną naszej Mamy).

— Zosiu, mogłabyś przynajmniej do obiadu nakładać buciki.

— Kiedy, mamusi, mnie jest tak wygodnie.

Stryj Tadeusz zawsze trzymał stronę córki, którą ubóstwiał.

— Daj jej spokój, moja droga, skoro ona tak lubi...

I Zośka, ta sienkiewiczowska Jagienka, dalej dudniła czerwonymi piętami po posadzkach kościelnego dworku, białymi, zdrowymi zębami gryzła laskowe orzechy (ku szalonej zazdrości krakowskich sióstr), jeździła konno na oklep, o świcie chodziła do udoju i na czczo piła jeszcze ciepłe mleko prosto od krowy. Bardzo tym wszystkim imponowała młodszymi kuzynkom, zazdrościły jej tej swobody i współżycia z przyrodą. One biedne nigdy nie wychodziły na słońce bez kapelusza, a gdy jechały w niedzielę bryczką do kościoła lub z wizytą do sąsiadów, nakładały białe niciane rękawiczki, które były tak nieprzyjemne w dotknięciu i skrzypiące.

Zosia miała silne, grube, czerwone ręce z krótko obcięzonymi paznokciami i nigdy nie nosiła rękawiczek. Jej ojciec posiadał wówczas tak zwane wzorowe gospodarstwo i za ciężkie pieniądze sprowadzał sobie do majątku holenderskie krowy, a „najdroższej małżonce” kury „plymouthy” i bażanty na hodowlę. Zosia interesowała się bardzo żywym inwentarzem i głośno opowiadała przy obiedzie o tym, że łaciata krowa lada moment się ocieli, a do tej czarnej jałówki już czas podprowadzić byka. Mama Kossakowa płonęła wówczas zażenowanym rumieńcem i strofowała

bratanicę, aby takich rzeczy nie opowiadała przy „panienkach”, których zresztą te sprawy jeszcze nie interesowały — nie wiedziały, o co chodzi.

Kiedys Lilka, chcąc dorównać krzepkiej kuzynce, wypila garnek surowego mleka prosto od krowy i biedactwo dostała wkrótce... przyszycy. Krowa była chora, o czym nikt nie wiedział, i niedługo potem dosłownie wywieziono ją na „księżą oborę”. Lilka miała silną gorączkę i nie mogła nic łykać, całe gardziółko było obsypane białymi plamami. Przyjeżdżał do niej doktor Szczucki (ojciec przyszłego męża Zofii), a ponieważ był bardzo dobrym lekarzem, więc wyleczył biedne udręczone dziecko z tej ciężkiej choroby. Odbiło się to jednak na jej zdrowiu i wyglądzie. Od tego czasu datował się straszliwy uraz Lilki na punkcie krowy i lęk przed nią, chociaż miał i inne przyczyny...

Naszą niańką, która później awansowała na pokojówkę, była garbata Marysia.

Kiedys, gdy była jeszcze dzieckiem, krowa wzięła ją na rogi i ciężko poturbowała; miała złamany kręgosłup i wyrósł jej duży garb. Lilka przejęła się bardzo tą tragiczną historią i przez całe swoje dzieciństwo i młodość wyobrażała sobie siebie gonioną przez rozjuszoną krowę i wziętą na rogi. Marysia, która do śmierci służyła na Kossakówce, była jak wszyscy ludzie ułomni istotą złośliwą, mimo wielkiej pobożności. Gdy w następnych latach Lilce zaczęła się wyraźnie powiększać lewa łopatka, mówiła spoglądając na nią złośliwie:

— A panienka to taka sama jak ja...

Lilka chwilami nienawidziła garbuski, i gdy dorosła, zwierzyła się siostrze z ponurego pomysłu sztuki, której nigdy nie napisała. W owym utworze dramatycznym miał występować jak gdyby nasz Ojciec, słodka Mama i... młoda, przystojna służąca—

garbuska, z którą pan domu uciął sobie przelotny romansik podczas nieobecności młodej małżonki. Garbusce w określonym czasie urodziło się dziecko, dziewczynka, śliczna i podobna do ojca. Żona— anioł zaadoptowała dziewczynkę, która wychowywała się wraz z jej drugą córką i synem, rozkazując garbusce złożyć przysięgę, że dziecko nigdy się o tym nie dowie. Garbata służąca pozostała u tych państwa na służbie, i tylko spoglądając, jak ślicznej dziewczynce krzywią się plecy, mawiała tajemniczo: — A panienka to taka sama jak ja...

— Przecież cech nabytych się nie dziedziczy — odpowiedziałam rozsądnie.

— Czy my wiemy... A może tak było naprawdę... Może ja jestem córką Marysi?

— Czyś ty zwariowała, Lilusiu!

Lilka siedziała zamyślona, ze ściągniętymi brwiami.

— Bo i dlaczego — upierała się — ja jestem taka inna od was. Mam taką rasową twarz jak ona. Cienkie rysy... Nie mam perkatego nosa Kisielnickich, tak jak Jurek. No i ta... łopatka.

Obróciłam całą tę jej ponurą bajkę w śmiech.

— Ale dlaczego Tatko — rzekłam — miałby romansować z garbatą Marysią, kiedy tyle pięknych

dam ofiarowywało mu wciąż swoje atencje. Też pomysł spod ciemnej gwiazdy! I myślisz, że Mama, taka cnotliwa i surowa, wzięłaby nieślubne dziecko na wychowanie?

— Zrobiłaby to dla Tatki...

— Ale służącą wylałaby z domu na zbitą mordę.

— Masz rację — uspokoiła się. — Oczywiście, to jest tylko taki mój zwariowany pomysł. Ale sztuka byłaby świetna...

Po przebytej „krowiej chorobie” Lilka wciąż nie mogła przyjść do siebie, była słaba i mizerna. Krakowski lekarz polecił Mamie zawieźć nas obie do Ciechocinka.

Lekarz zdrojowy, stary dziwak z bródką, w okularach, opukał ciało Lilki, przepisał jej solanki i picie wód mineralnych i nagle zapytał znienacka:

— A czy ona lubi kwaszone ogórki?

— Bardzo lubię — odparła dziewczynka.

— Ha-ha-ha! — zaśmiał się diabelsko lekarz — tacy to zawsze lubią ogórki.

Nic więcej nie chciał powiedzieć i biedne dziecko dostało urazu na punkcie określenia „tacy”.

— Mamo, jacy lubią ogórki, niech mi mama powie!

— Nie wiem, moje dziecko...

— Mama na pewno wie, tylko nie chce mi powiedzieć... A może... może ułomni?

— Co ty pleciesz, Lilusiu, przecież lekarz nie mógł mieć na myśli nic podobnego!

Trzymaj się tylko prosto, aniołku, a wszystko będzie dobrze.

„Trzymanie się prosto” uważane było za radykalny sposób na wyprostowanie kręgosłupa i obu dziewczynkom Mama przykazywała spacerować po ogrodzie z deseczką założoną między ramionami. Młodszej bardzo to dobrze robiło, ale ze starszą była poważniejsza sprawa. Kochający ojciec sprowadził z Wiednia bardzo mądry pulpit dla swoich córek, który miał oparcie do regulowania, tak aby ucząc się i pisząc miały plecy zawsze wyprostowane. Poza tym zamówił dla Lilki u krakowskiego jubilera złoty pierścionek złożony z dużych liter tworzących słowo PROSTO. Cóż to był za genialny pomysł! Dziś, gdy tak często się garbię, chciałabym sobie sprawić pierścionek z takim napisem. Ale cóż, wówczas złoto nie było jak teraz „na wagę złota”, złote guldeny dostawały dziewczynki na każdą gwiazdkę.

Mimo jednak tych mądrych pomysłów Lilka krzywiła się dalej, co ogromnie trapiło jej matkę. Higiena, jeśli chodzi o dzieci, bardzo wówczas szwankowała, i tylko one same, wiedzione zdrowym instynktem, na przykład brak witamin potrzebnych do rozwoju młodocianych organizmów zaspokajały

zrywając w ogródku surową marchew, zielony groszek, rzodkiewkę i chrupiąc je na poczekaniu. Mama przeciwna była zjadaniu marchewki prosto z grządki, „bo w ziemi mogą być różne miazmaty”.

Surowy groszek miał być niestrawny, a rzodkiewkę, dopiero opłukaną, powinno się było jeść przy stole, zostawiając pierwszeństwo starszym. Brak ruchu, spowodowany przemęczeniem dzieci nauką, zaspokajały w ten sposób, że biegały obie pędem naokoło klombu.

— Dostyc już, dostyc — wołała przez okno Mama — zgrzejecie się i potem zaziębicie!

Dziewczynki wieszały się też na gałęziach starej lipy, którą jako młoda mężatka zasadziła w ogrodzie na Kossakówce Babcia, i fruwały, trzymając się jedną ręką gałęzi, wokół drzewa. Lilka zmajstrowała z grubych patyków konie, na których jeździły na oklep po ogrodzie. Lilki koń nazywał się „Bucefał”, jak koń Aleksandra Wielkiego, i obwieszony był uzdą ze złotego sznurka oraz paciorkami.

Mama była bardzo przeciwna tej jeździe na patykach, które trzymało się między nogami, zadzierając kiecki wysoko do góry. Twierdziła, że to „niezdrowo” i że

„panienkom nie wypada...”

W ogrodzie na Kossakówce była wisząca na zawiasach huśtawka–drabina. Zginając kolana wprawiało się huśtawkę w ruch, coraz silniej, coraz wyżej, aż stawała w pozycji horyzontalnej. Była to cudowna zabawa „podniebna”, z którą nie mogły się równać żadne późniejsze sporty. Dziewczynki chodziły też po drzewach jak koty, włąziły na najwyższe konary jabłonek i grusz, ku przerażeniu rodzicielki. Na jednej rozłożystej jabłoni, która wiosną wystrojona była jak družka panny młodej w różowe kwiaty, Lilka założyła sobie swoje „gniazdo”. Miała tam pled, Jasiek, ukochaną książkę, cukierki i czekoladki. Lubiła tam siedzieć sama, rozmyślać i komponować pierwsze dziewczęce wiersze. Ja stałam pod drzewem jak piesek i skamlałam, aby mnie dopuściła do gniazda.

— Nie wpuszczę cię, to jest moje gniazdo i nikt nie ma prawa z niego korzystać.

Załóż sobie własne.

Czasem jednak miękła i pozwalała mi korzystać z tego zacisznego miejsca, schowanego wśród liści i kwiatów. Było to wówczas, kiedy przychodziła na lekcję nauczycielka francuskiego czy niemieckiego.

— Włóż! Siedź cicho i ani mru–mru. Może nas nie wypatrzą!

— Dziewczynki!!! — wołała spacerując po ogrodzie Mama. — Gdzie jesteście? Macie natychmiast przyjść na lekcję.

A figlarki przycupnięte w zacisznej kryjówce nie dawały znaku życia. W końcu zwykle znajdowano je, Mama kazała ogrodnikowi przystawić do drzewa drabinę i grożąc: „poproszę Tatę, jak zaraz nie zejdziecie”, zmuszała je do opuszczenia gniazda.

Od siódmego roku życia Lilka układała wierszyki, które — bezbłędnie przez nią przepisane —

pozostały w moim posiadaniu. Są oczywiście bardzo dziecinne i nie zdradzają jeszcze lwiego pazura przyszej lwicy poezji, ale wydaje mi się, że i tak są chyba lepsze od tych, które dzisiaj dorośli piszą dla dzieci. Oto jeden z nich, pod tytułem Bal:

Był bal wśród kwiatów

szukano królowej

Lecz trudny był wybór

wśród kwiatów tysięcy

Ten jest podobny do secesyi nowej

a tamten (ma) znowu uśmiech za dziecięcy

Tu przepyszna azalia rozwija

się z wdziękiem

Fiołek kryje się w liście

z pewnym lękiem

Róża jest ordynarna choć

piękna i świeża

Georginia wysoka, gdyby jaka

wieża

Powoje ku wieczorowi w nitki

się skręcają

Piwonie ani trochę zapachu nie mają.

Lilia zanadto biała i niedoświadczona

Konwalia za młoda i niewykształcona

Bratek jest dosyć ładny ale

pospolity

Gwoździk stoi za prosto jakby

w ziemię wbity

Kwiat jabłoni jest piękny

lecz bardzo nietrwały

Gdzież by kwiaty królowę

na jeden dzień brały.

Wtem drzwi się otworzyły

weszły polne

kwiatki

Jak kąkole, słoneczniki, maki

i bławatki

Lecz przecie polne kwiaty to

chłopskie rodziny

Gdzież wybierać królowę

z pośród wiejskiej

gminy

Wtem się wszystkie kwiaty

wynosić zaczęły

Obrażone że tak źle osądzone były.

Choć wszystkie były piękne

lecz nic nie wybrano

Żadnemu kwiatu korony nie

dano!...

W tym dziecinnym wierszyku, pisanym gdy poetka miała dziewięć czy dziesięć lat, kilka rzeczy musi nas zastanowić: brak przede wszystkim błędów ortograficznych, charakter pisma wyuczony, klasztorny (tak wtedy pisały wszystkie dziewczynki), pozbawiony jakichkolwiek cech indywidualnych. Ale pisownia wręcz dzisiejsza.

Lilka pisze: „fiołek” zamiast, jak się wówczas pisało, „fijołek”, „georgia” —

a nie „jeorginja”, i bardzo mało znaków pisarskich, tak jak w dzisiejszej nowoczesnej poezji. Drugi wierszyk z tego samego dziecinnego zbiorku, noszący tytuł Piłka, zawiera w sobie już jakąś myśl:

Piłka leci do góry

wysoko aż pod chmury.

— Moja piłko — mówi jaskółka

z uśmiechem

Po co tak spadasz na ziemię

z pośpiechem?

Czy nie ładniej tu w powietrzu wysoko

Gdzie nie dojrzy nas ludzkie oko?

Piłka nic nie odpowiedziała

Tylko prędko na ziemię zleciała

I w trawce spoczywając

Myślała bez wytchnienia

Wtem nagle przebiegł zając

I przerwał jej marzenia.

W owym dziecinnym zbiorku oprócz wierszyków, które prawie wszystkie nadawałyby się na bajeczki dla małych dzieci (najlepsze nasze pisarki dla najmłodszych czytelników się nie wysilają), znajduje się również kawałek prozy, pełnej impresji, pod tytułem Noc:

Już noc zapadła. Wszędzie cicho i spokojnie. Tylko czasami ciszę przerywa turkot powozu. Z daleka słychać jakieś skłócone odgłosy, jakiś śpiew, jakby cichą muzykę... w końcu i to ustaje. Tylko zegar z kościelnej wieży wolno i poważnie wygłasza godzinę lub przez pokój przeleci szara mysz i po chwili zachroboce w ścianie. Lecz powoli zaczyna się rozszarzać. Półmrok obejmuje świat. W pokoju majaczą się sprzęty niewyraźnie; Wielki kot angorski spoczywa przy kominie zwinięty w kłębek. Naraz za oknem rozlega się cudny śpiew słowika... to przechodzi w tęskne jakieś melodye to w srebrzyste trele. Cienie powoli ustępują światłu, śpiew słowika milknie, kot angorski zbudzony, ziewa głośno, Żłociste światło oblewa pokój. Naraz dźwięk ostry przebił powietrze. Co to jest? To kogut budzi ludzi i każe im wstawać.

W tej zaskakującej jak na dziesięcioletnie dziecko prozie ukazują się od czasu do czasu znaki pisarskie, za to niektóre słowa, jak „melodye”, pisane są staroświecką pisownią. Może nauczycielka polskiego kazała dziewczynce napisać je tak, jak się wówczas pisywało.

„Miejsce akcji” — to nasz dziecinny pokój. Lilka oblepiona plastrami, a później zakuta w pancierz gipsowy, nie śpi. Myśli i komponuje. Przez pokój przelatuje mysz. Ach, ileż myszy bywało wówczas w domach! Chrobotanie za ścianą, w której miały swoje norki, odzywało się od razu, gdy tylko światło zgasło. Mama stawiała na nie pułapki ze zdradziecko zatkniętą słoninką. Lecz Lilka lubiła myszki i ich zaciszne chrobotanie, pułapki wyrzucała z pokoju, a przy wygryzionych szparach w ścianie kładła na noc plasterki słoniny i kawałeczki bułki. W poświacie księżycy wszystko straszło, meble przybierały kształty jakichś złowieszczych czworonogów, chwilowo uśpionych. Granatowa peleryna wisząca na parawanie przemieniała się w czarownicę. Dziewczynki budziły się nagle przerażone i krzyczały:

— Co to? Co to?

— Aber es ist gar nichts — uspokajała je Fräulein śpiąca z nimi w pokoju. —

Bitte ruhig schlafen und Leute nicht wecken*.

Istnieli wówczas lunatycy. Ileż to obie dziewczynki nasłuchiwały się o ciotkach (zwykle starych pannach), które nocą, w długich białych koszulach, spacerowały po dachach, przechodziły przez gzymsy, z oczami w słup i ramionami wyciągniętymi przed siebie. Lunatyka nie wolno było obudzić lub na niego krzyknąć, bo wtedy tracił równowagę i tę jakąś swoją nieważkość, mógł zlecieć na ziemię i zabić się. Widocznie Luna zawsze przyciągała do siebie: w tamtych czasach —

zhisteryzowane stare panny lub chorowitych młodzieńców. Dziś — dzielnych, odważnych, wspaniałych mężczyzn, LUNONAUTÓW.

Obie siostry nieraz przez sen wstawały z łóżek, siadały na podłodze i prowadziły ze sobą niedorzeczne dialogi, o czym po przebudzeniu nie miały pojęcia. Lilka nieraz zamiast spać układała w myślach swoje dziewczęce wiersze. Może właśnie pełen wyrazu wiersz Las w deszczu został skomponowany podczas takiej bezsennej nocy?

Lesie zielony, wieczny: lesie w deszczu —

tyś jakby z bajki niemieckiej, tajemnej

słuchanej kiedyś na kanapie ciemnej

gdy trzaska ogień w skier czerwonym dreszczu.

I gdy mysz w kącie coś chrupie i kruszy

pod pstrym okwiatem przykrytym kobiercem,

z bajki — słuchanej z piernikowym sercem

w ręku i ufną zgrozą w dziecka duszy. —

O lesie biały... dymiący zapachem

mgły — o tajemnic nieustanne gody

o życie w szumie wielkiej czystej wody

wciąż nurkujące z gorączką i strachem.

Gdy deszcz długimi szklanymi strzałami

bije ku ziemi pozwijane wstęgi

głów paprocianych — bębni w żółte kręgi

grzybów i dziwnie w szumie liści gra mi

a mgła przeciąga wierzchołkami w górze

i dołem włóczy białe podścielisko

jak unizony duch — i we mchu nisko

schną zmiażdżonych poziomek kałuże...

Wije się trawą zzieleniała struga

koło gniazd fiołków posianych w parowie

— coś jest — i chce się uświadomić w słowie

jak zapomnianych słów rzucona smuga...

Poetka nieraz wprawia nas w zdumienie: niektóre jej panięńskie wiersze są na wskroś młodzieńcze i ckliwe, inne zaś z tej samej epoki — zadziwiająco dojrzałe, zdradzające duży talent poetycki, pełne filozoficznych rozmyślań. Oto wyjątkowo dojrzały wiersz pt. Natura:

Świat przydrożny traw, kwiatów rozhuśtane łany to jakby dziwny jakiś, cichy, jasny człowiek, który kroczy swą drogą nie podnosząc powiek

zanadto święty, prosty — obcy choć kochany,

Który nas nie dostrzega, nie czuje, nie słyszy i bierze krople naszych łez za mroczne rosy,

dążąc przez rozhuśtane kwiaty, kłosy,

wsluchany w pieśń radosną swej zielonej ciszy.

W tym miejscu bardzo by mi odpowiadał jej wiersz pisany w wiele lat później, w którym jak gdyby odsłaniała skarby zawarte w swojej poetyckiej spiżarni, wiersz pt. To nie było wszystko:

Nie, to nie było wszystko moi drodzy — —

Jeszcze wam więcej pokażę,

To były tylko fiołki, stokrotki przy drodze...

Nie widzicie po mojej twarzy?

Jeszcze mi z serca wyrośnie kwiat dziki

nie nazwany w żadnym języku — —

o płatkach ze słońca, o słupkach z muzyki — —

z zapachem podobnym do krzyku!

Tak, to nie było wszystko, moi drodzy.

Patrzałam właśnie do lustra.

To były tylko fiołki, stokrotki przy drodze —

Nie widzicie po moich ustach? —

Od najwcześniejszych lat Lilka marzyła o Miłości — przez wielkie, niebotyczne M.

W tych marzeniach przeszkadzała jej dręcząca myśl o swej figurce. Jakżeż to będzie? Ukochany zamknie ją w ramionach i nagle wyczuje sterczącą łopatkę.

Jakież to niehumanitarne i podłe!

Oprócz miłości, na którą czekała, obchodził ją cały świat, a przede wszystkim przyroda. Zacztywała się w naukowych książkach przyrodniczych i знаła na pamięć mnóstwo łacińskich nazw kwiatów i ziół. Uwielbiała wszystkie zwierzęta. Jak jakaś czarownica była w najlepszej komitywie z nietoperzami i dziwiła się, że gdy któryś z nich wpadł nocą do pokoju na wsi u ciotek, robiła się ogólna panika i służąca szczotką starała się go wygonić przez okno.

— Jeszcze się zapłacze we włosy! — wołały ciotki.

Uwielbiała sarny i jelenie, które nieraz pojawiają się w jej poezjach, ale najczęściej zawsze wzruszały ją wiewiórki, na co mamy dowód w jednym z jej najpiękniejszych wierszy pt. Wiewiórka.

Ale powróćmy do jej życiowej tragedii. Jak Chrystus dźwigał krzyż na Golgotę, tak ona dźwigała przez całe życie swój krzyż skrzywiony...

Mama widząc, że starsza córka mimo gier na świeżym powietrzu i zabaw krzywi się dalej na jedną stronę, postanowiła zaprowadzić ją do renomowanego zakładu gimnastyczno–leczniczego niejakiej panny Maj. Był to największy błąd, jaki w swoim życiu ; popełniła ta kochająca i troskliwa matka. Panna Maj — szczupła, wysoka, z rzadkimi blond włosami ściągniętymi z czoła i zwiniętymi na czubku głowy w kukielkę — była „starą panną”, ponieważ ukończyła trzydzieści lat. Gdy Lilka stanęła przed nią rozebrana, stara panna wykrzyknęła:

— Ależ to istna Wenus!

Czyli że stan jej pleców nie był wówczas groźny i lekkie skrzywienie nie mąciło zbytnio harmonii pięknej poza tym budowy dziewczynki. Lilka na zawsze zapamiętała sobie ów wykrzyknik panny Maj i z goryczą wspominała, że była zbudowana jak Wenus, tylko ją głupi lekarze zmajstrowali. Odczuwała też zapewne głęboki żal do ukochanego „Mamidła”, którego zbytnia troskliwość o wygląd córki przyczyniła się do zeszpecenia jej sylwetki. Bo gdyby Mama sprawę pozostawiła naturze, a tylko pilnowała pracowitej córeczki, aby wciąż nie pisała i nie rysowała siedząc w skrzywionej pozycji — może nie byłoby do tego doszło... Kąpiele morskie, pływanie, leżakowanie na świeżym powietrzu, słońce byłyby chyba skuteczniejszym lekarstwem od tych wszystkich tortur, którym zaczęto poddawać Lilkę. Panna Maj — działająca może z podszeptów złej bogini Hekate, ale raczej chytrego bożka Hermesa, znającego się na interesach — orzekła, zbadawszy dziewczynkę dokładnie, że doradza ćwiczenia gimnastyczne i masaże. Młodsza córka, u której Mama również odkryła drobną nierówność łopatek, nie zainteresowała szarlatanki. Lilka zaczęła więc co dzień uczęszczać do jej zakładu. Ćwiczenia gimnastyczne na przyrządach, trapezach i drążkach byłyby przydatne raczej dla zawodników jako sportowa zaprawa, niż dla wątłych, rachitycznych dzieci. Silne masaże, które panna Maj wykonywała swoimi twardymi jak pałki gumowe palcami, wywoływały jęki bólu. Lilka, miewając fantastyczne pomysły, kilkakrotnie mi powtarzała, że stara panna umyślnie tymi zabiegami osłabiła jej kręgosłup, z zazdrości o jej wybitną urodę.

Tu chciałabym zaznaczyć, że zawsze roilo się w jej główce od najdziwniejszych pomysłów, które wypowiadała najzupełniej poważnie. Wierzyła na przykład, że miała już kilka wcieleń i nie pierwszy raz jest na tym świecie.

Ze średniowiecza czy wczesnego renesansu przyniosła widocznie swoją silną wiarę w czary, złe uroki — „mal occhio”. Gdyśmy jako młode panienki przebywały z Mamą w Wenecji, spotykałyśmy często na ulicy, przy wyjściu z hotelu, małego Włocha—

garbuska, który pałającym wzrokiem obrzucał strojne blondyneczki. Ile razy garbusek spojrział na Lilkę, zaraz potykała się albo coś gubiła a raz nawet na jakimś schodku przewróciła się.

— On mi rzuca mal occhio — mówiła zaniepokojona — musimy wypatrywać go z daleka

i schodzić mu z drogi.

Ale gdy garbusek, który chciał widocznie zawrzeć z nami znajomość, wciąż stawał

nam na drodze, Lilka przypominała sobie magiczne działanie „ręki Fatmy”. Był to znany w dawnych czasach talizman przeciwko złym urokom, przedstawiający małą rączkę z wyciągniętymi dwoma

palcami, serdecznym i wskazującym. Takie rączki wyrabiano z koralu, złota lub srebra. W późniejszych czasach Lilka znalazła w jakiejś antykwarni taki bibelocik i nosiła go zawsze przy sobie. W wypadku Włocha–garbuska, nie mając jeszcze owego talizmanu, wyciągała w jego stronę dwa palce, serdeczny i wskazujący, i złe uroki momentalnie przestawały działać.

Będąc już dorosłą kobietą wymyśliła, że pewna osoba z rodziny, jakoby szalenie o nią zazdrosna, prawdopodobnie — jak w czasach wczesnego renesansu — sporządziła sobie laleczkę, którą nakłuwa się szpilką w określonych miejscach i stąd powstają różne dolegliwości na żywym ciele osoby, którą lalka przedstawia,!

— Można również nakłuwać fotografię znieawidzonej osoby — pouczała siostrę.

— No, to ty również możesz wziąć jakieś jej zdjęcie i przebijać je szpilką.

— To bardzo niebezpieczne — odparła — może wówczas nastąpić tak zwany w magii

„choć en retour” i jeśli tamta osoba jest niewinna, mogłoby się to na mnie odbić, na zasadzie bumeranga.

Gdybym była wówczas powiedziała: „Pleciesz, moja Lilusiu” — byłaby wpadła w złość nieopanowaną i ciężkie przedmioty zaczęłyby lecieć na moją głowę.

Ale powróćmy do panny Maj i jej zabiegów. Otóż forsowna gimnastyka na drążkach i trapezach oraz zbyt silny, nieumiejętnie stosowany masaż osłabiły jeszcze bardziej kręgosłup i spotęgowały u dziewczynki rozwój krzywicy. Wówczas zaniepokojona „specjalistka” zaaplikowała jej środek jakby wzięty z molierowskich czasów: przyklepiła jej na plecach plastry, które miały wyrównać łopatki. Było to już lato i skóra pod plastrami jadziła się i swędziała w sposób niezmiernie przykry i bolesny. Lilka znosiła to bohatercko, byłaby zniosła najbardziej wyszukane tortury, aby tylko być tak prosta jak jej siostra i wszystkie kuzynki. Krzywica była wówczas schorzeniem bardzo rozpowszechnionym, tak jak choroby płucne, i Lilka nie była przypadkiem odosobnionym. Widziało się w Krakowie dużo garbatych chłopców i dziewcząt — wiele z nich było ofiarami owych renomowanych zakładów gimnastyczno–ortopedycznych.

Gdy plastry nie pomogły, a tylko zaszkoziły dziewczynce, „specjalistka” oddała Lilkę pod opiekę słynnego ortopedy, niejakiego dr. Chlumskiego, Czecha z pochodzenia, który miał w Krakowie znany zakład gimnastyki ortopedycznej. Kiedy już jako dorosła kobieta zwiedzałam londyński Tower i znalazłam się w izbie tortur, od razu stanęła mi przed oczyma sala z przerażającymi przyrządami ortopedycznymi dr. Chlumskiego. Była tam na przykład skórzana maska na głowę, na której wieszano się delikwenta, żeby mu prostować kręgosłup. Spod skórzanych masek wydobywały się jęki, a doktor Chlumsky zacierał ręce i bawił się lękiem swoich pacjentów. W tej sali tortur stały żelazne maszyny, które wprawione w ruch — zginały aż do ziemi winowajców bez winy, w lewo i w prawo, w przód i w tył. Był żelazny koń, na którym się siadało i który podrzucał w górę i trząsł

niemiłosiernie. Mięśnie poruszane nie własnym wysiłkiem, tylko siłą mechaniczną, wiotczały i słabły. Z matczynego zalecenia raz tylko spróbowałam owych tortur i zapowiedziałam z płaczem, że chyba końmi Tatki mnie tam drugi raz zaciągną, bo sama nie pójdę! I dano mi spokój, z czego dr

Chlumsky był bardzo niezadowolony, bowiem z owego leczenia płynęła dla niego grubsza forsa.

Gdy wszystkie te zabiegi nie dawały żadnych pozytywnych rezultatów, krakowskie konowały postanowiły włożyć Lilkę na jakiś czas do gipsu!! Wszystko, co dotychczas przeżyła, było niczym wobec tej nowej, najokropniejszej tortury. Gips założony do pasa tamował oddech i ugniatał boleśnie. I może właśnie wtedy, gdy tak leżała na wznak i oddawała się rozmyślaniom, zaczął się w niej rozwijać talent poetycki.

Z oczyma wbitymi w sufit, może widziała zamiast niego wieczorne niebo usiane gwiazdami, z których najjaśniej błyszcząca planeta Wenus? Może spacerowała po ogrodzie Hesperyd uwieszona u ramienia jakiegoś pięknego Adonisa? Lub, przemieniona w długowłosą Syrenę, siedziała wraz z towarzyszkami na rafie koralowej, wabiąc śpiewem przepływających młodych marynarzy? A może, zamknawszy

oczy, przenosiła się w marzeniach na swoje ukochane Bielany, gdzie o zmierzchu tańczyła jako nimfa przy dźwięku dzwonów klasztornych i szeleście dzwonków leśnych poruszanych wiatrem... Lilka wiedziała z mitologu, która była jej ulubioną lekturą, że nimfy, choć były śmiertelne, żyły długo i nigdy się nie starzały.

— Wiesz, Madzia, ja nigdy nie będę stara.

— Nie mów tak — przestraszyła się siostra — przecież nie chcesz umrzeć młodo.

— Nie — odparła — ale nimfy się nie starzeją... Nie bała się śmierci — bała się tylko starości.

Ileż wspaniałych wierszy napisała o starości i jej nieuniknionych objawach! Na przykład wiersz dancing ze zbioru Dansing z którego zacytuję tylko fragment: ta pani wciąż jeszcze tańczy

wesoła jak młoda dziewczyna

lecz jest już w piękności swojej

nietrwała jak lichy jedwab

może barwy utracić na słońcu

może skurczyć się jak etamina

a wówczas powiesz ją w szafie

pośród rzeczy o które nikt nie dba

jest ona już tylko na oko

kto ją szarpnie ten ją rozedrze NA ZAWSZE

ostrożnie z nią młodzi tancerze

bo pęknie w tysiące ZMARSZCZEK

Był to wiersz o pięknej pani Bal, długoletniej flaminie Jack Malczewskiego, która mając pięćdziesiąt kilka lat była najniebezpieczniejszą uwodzicielką w Krakowie.

Nam, wówczas młodziutki kim kobietom, wydawała się, gdy chodzi o lata, bardzo stara, i Lilka, która się z nią przyjaźniła, odkrywała ze zgrozą na jej szyi (zresztą zwykle osłoniętej na ulicy szalikiem) pierwsze oznaki starzenia się.

Albo ten wiersz, chyba najbardziej przejmujący, pod tytułem Starość: Leszczyna się stroi w fioletową morę,

a lipa w atlas zielony najgładszy...

Ja się już nie przebiorę,

na mnie nikt nie popatrzy.

Bywają dziwacy,

którzy z pokrzyw i mleczków składają bukiety,

lecz gdzież są tacy,

którzy by całowali włosy starej kobiety?

Jestem sama,

Babcia mi na imię —

czuję się jako czarna plama

na tęczowym świecie kilimie...

Gdy poetka pisała ten wiersz, miała niespełna trzydziestkę... Kompleks starości nie dawał jej spokoju, w latach trzydziestych napisała wspaniałą sztukę fantastyczną Kochanek Sybilli Thompson, która — wystawiona w Krakowie za dyrekcji Z. Nowakowskiego — zyskała bardzo pochlebne recenzje, a mimo to nie była grana nigdzie poza Krakowem. W tej dziwnej sztuce, chwilami proroczej, autorka opisuje świat za lat pięćdziesiąt (od roku trzydziestego drugiego).

Rzecz dzieje się w jakimś fikcyjnym kraju zachodnim, który jest okupowany przez żółtą rasę. Młodzież, wypisz-wymaluj młodzież dzisiejsza, zblazowana i znudzona, zapomniła o prawdziwej miłości i oddaje się tylko beznamiętnie erotycznym igraszkom. Sentymentalną i tęskniącą do miłości jest tylko stara, sześćdziesięciokilkuletnia, bardzo bogata dama, która poddaje się nader ryzykownemu zabiegowi kompletnego odmłodzenia.

Lilka, która niejednokrotnie przeczuwała to, co kiedyś, w przyszłości nastąpi (jak na przykład

dzisiejszą gerioterapię), odmładza babcię w ten sposób, że z młodych girlasków baletowych jakimś magicznym sposobem przesącza się siła witalna i młodość w stary organizm. Zabieg odbywa się za sceną i po chwili wpada na scenę pani Sybilla jako młodzietki kociaczek w różowej baletowej sukience.

Wnuki przyjmują ją do swojego grona bez żadnego zdziwienia, co również poetka przeczuła — współcześni młodzi są obojętni na wszystko i wszystko przyjmują jako rzecz naturalną. Babcia jednak ze swoją starą duszą i staroświeckim sercem źle się wśród nich czuje. Nie rozumieją się — i ona znów pozostaje w tym nowym świecie sama i opuszczona.

Sądzę, że dzisiejsza starsza pani, choć odmłodzona po udanej operacji kosmetycznej, również czułaby się samotna wśród młodych. Sybilla poznaje na jakimś balu egzystencjalistów (których też przeczuła poetka) czarującego młodzieńca, zupełnie do tamtych niepodobnego. Zakochują się w sobie nieprzytomnie. On umie mówić o miłości tak, jak się dawniej mówiło, w czasach jej młodości. Okazuje się jednak, że ten ideał jest, tak jak ona, sztucznie odmłodzonym starcem. Nie znajdując na tej ziemi dla siebie miejsca, kochankowie postanawiają polecieć z pierwszą ekspedycją na... KSIĘŻYC! I to napisała Lilka w czasach, kiedy o lotach w kosmos nikomu się nie śniło, a o księżycu wiedziało się na ogół tyle, co w powieści Żuławskiego Na srebrnym globie.

Obraz starzejącej się pomału Mamy nie dawał Lilce spokoju. Stroiła ją w kolorowe jedwabie, pilnowała, aby się nie garbiłaś wysyłała ją gwałtem do fryzjera i dawała jej do picia czosnek w kropelkach, wiedząc już o tym, że działa antysklerotycznie. Mama nie znosiła woni czosnku i krzywiąc się połykała czosnkową nalewkę na spirytusie, rozcieńczoną wodą. W kredensie w jadalni stała cała butelka tego „nektaru”. Raz nasz brat Jerzy, wróciwszy zziębnięty z polowania, zażądał kieliszka wódki. Lilka podstępnie poczęstowała go ową nalewką. Połknął zawartość kieliszka jednym haustem i czerwony z wściekłości rzucił się na siostrę z pięściami:

— Coś ty mi dała za paskudztwo!

Uciekła, śmiejąc się do rozpuku. Była zawsze wielką higienistką i okresowo jaroszką. Co dzień po kolacji cała rodzina za jej namową piła ziółka. Mama zawsze piła rumianek, a my: dziurawiec, miętę, skrzyp. Był to bardzo mądry obyczaj, który przyszedł z Francji; w najdroższej paryskiej kawiarni, u Rumpellmeyera, eleganckie damy zamiast herbaty lub kawy piły różne ziółka.

Alkoholu używała Lilka bardzo mało, czasem kieliszek czerwonego wina. Chociaż raz przyłapałam niezwykłą siostrę na... alkoholowym uczynku.

Idąc kiedyś przez krakowski Rynek, wstąpiłam na „maczanek” do słynnego handelku Hawełki (maczanka to była przekrojona kajzerka nadziewana gorącą wieprzowiną, obłana smakowitym sosem). Jedząc rozglądałam się wokoło i ku mojemu zdumieniu ujrzałam Lilkę, siedzącą samotnie przy stoliku i popijającą w zamyśleniu kieliszek anyżówki. Była tak zatopiona w myślach, że mnie nie dostrzegła. Szybko zapłaciłam i wyszłam, pełna radości i triumfu, że eteryczna siostra–poetka też lubi sobie czasem po kryjomu golnąć.

Ale powróćmy do jej młodocianych lat. Dziewczynka mimo defektu w figurze rośnie i rozwija się normalnie. Co roku jeździ z Mamą do Berlina, gdzie słynny ortopeda doktor Hoff każe jej

skonstruować w swoim zakładzie straszliwy gorset–pancerz, zrobiony z celuloиду, z żelaznymi uchwytami pod pachami, który wyciąga cały korpus w górę i najzupełniej maskuje krzywiznę. Gdy wieczorem Lilka ściąga z siebie to narzędzie tortur, ma pod ramionami sine odciski, a na biodrach i plecach odparzenia. Szczęśliwa jest wówczas, kiedy nie czuje się zdrowa i leży w łóżku. Błogo uśmiechnięta, z rozpuszczonymi włosami, które falami koloru sierści sarny spływają wzdłuż poduszki, chrupie cukierki, je owoce i pisze wiersze, jakżeż nieraz dramatyczne w swej wymowie. Poetka jest od małego za duża, aby się skarżyć ludziom. Skarży się więc Bogu:

Wdeptałeś mnie Panie

w proch i zwiędłe liście

Uściskiem swej stopy zadałeś ból w ranie

palącej ogniście —

Wdeptałeś mnie Panie

w proch i zżółkły trawnik —

Pod stopą twą było mej duszy konanie

i ran jej krwawnik — — —

Milczałam dumnie

nie śniąc, że nade mną

ujrzę twoją mądrą i patrzącą ku mnie

źrenicę ciemną,

i dłoń wazącą

jedyny Cud światów

Tysięczną odpłatę za tę ranę rwącą

Sen białych kwiatów — — —

Ile mogła mieć lat pisząc ten wiersz? Piętnaście? Szesnaście? Nie pamiętam dokładnie.

Ambicją Lilki było stać się wielką uwodzicielką. Powiedziała kiedyś do mnie, że jest podobna do owej syreny ze słynnej baśni Andersena, która, płynąc kiedyś za okrętem, ujrzała na nim pięknego królewicza i pragnąc zdobyć jego serce, uprosiła czarownicę, by przecięła jej syreni ogon i uczyniła z niego ludzkie nogi. Chciała być podobna do normalnych dziewcząt, które widywała roześmiane i szczęśliwe nad brzegiem morza. Ale każdy krok sprawiał jej okrutny ból, i krew lała się z syrenich

nóżek nie przywykłych do chodzenia. A wszystko, by zdobyć serce królewicza.

— A może on byłby wolał rybę — zauważyłam głupio.— Tylko co to ma za związek z tobą, Lilusiu?

— Nie widzisz podobieństwa? Ja też męczę się okropnie w tym przeklętym gorsecie, który mi krwawi ciało, ale pragnę być podobna do innych dziewczynek i zdobyć serce jakiegoś królewicza. To oczywiście nie musi być królewicz — dodała już weselej — może być jakiś piękny młody bubek, który by mnie pokochał i ja jego.

Rozumiesz?

Młodsza siostra patrzy na tamtą i wzdycha. Lilka w swoim pancerzu jest zupełnie prosta i wysmukła, ale co będzie, gdy go zdejmie?

Miłość w pojęciu ówczesnych panien to — małżeństwo, a przecież w noc poślubną idzie się razem do łóżka... trzeba się rozebrać (aż gorąco robi się pannom od takich nieprzyzwoitych myśli). Ale chyba można pozostać w pięknej nocnej koszuli z koronkami, zresztą defekt figury Lilka zawsze może zakryć włosami, a włosy ma jak Matka Boska na posąжку w pokoju mamy, zakrywają jak gdyby płaszczem pół jej postaci. Poza tym jest tak piękna, twarzyczkę ma jak duże wielkanocne jajko z cukru wystawione w cukierniach. Bładoróżowe jajo, na którym namalowane byłyby olbrzymie błękitne oczy i malutkie usteczka; tylko nosek, zgrabniutki, prosty nosek, musiałby być doklejony do owego jaja z cukru.

„Królewicz” zjawia się, ale nie ten wymarzony. Młody Rumun, wojskowy, nazywa się pięknie Guido Delia Scala i jest przystojnym chłopcem o oczach równie czarnych jak jego przyszyżone wąsiki.

Lilka jest jednak za młoda, aby mógł oficjalnie starać się o jej rękę, ale ma wobec niej zdecydowane zamiary i rozpowiada po Krakowie, że „wychowuje sobie żonę”. Lilce właściwie podoba się tylko jego imię Guido, takie niespotykane i powieściowe, więc daje się łaskawie adorować. Zakochany młodzieniec ofiaruje jej prezenty nie byle jakie, na przykład arabskiego ogiera ze stadniny swej ciotki w Bessarabii. Ognisty „Mahomet”, bo takie nosi imię, ukazuje się żywcem któregoś dnia oczom zachwyconych pańienek. A w stajni w ogrodzie (którą później przerobiono na garaż), nasze poczciwe dwa bułanki, można rzec „spacerowe”, bo wożą rodzinę w powoziku na spacery poza miasto, na widok araba trącają się łbami w porozumieniu pełnym podziwu. Ognisty Mahomet nie nadaje się jednak pod wierzch dla młodej amazonki panny Lili, która zresztą świetnie jeździ konno — dosiada go wprawny jeździec, nasz starszy brat Jerzy. Jest to jednak bezsporna własność starszej Kossakównej, i ta postanawia go sprzedać. Otrzymuje za wierzchowca 500

koron austriackich, co jest sumą niebagatelną.

Latem jedziemy jak zwykle do Świnoujścia, które wówczas zwie się Swinemunde.

Wszystkie trzy chodzimy się kąpać do „damenbadu”, ale przez siatkę odgradzającą ów haremik od „herrenbadu” jakiś przystojny młody Niemiec w obcisłym kostiumie w paski i słomianym kanotierze na głowie zauważył piękną Polkę, w płaszczu z rozpuszczonych włosów okrywającym do połowy jej postać, i zaczyna do niej robić tak zwane oko. Jej nieodparty wdzięk i uroda tak na niego działają, że

któregoś dnia nakłada na głowę damski gumowy czepek i wpływa do „damenbadu”. W morzu poznają się i zaczyna się między nimi dość oryginalny flirt. Ktoś jednak, jakaś „badebaba”, wykrywa mistyfikację i śmiałek musi jak niepyszny uciekać do

„herrenbadu”, a ponieważ Niemcy nigdy nie posiadali poczucia humoru, więc prawdopodobnie za złamanie przepisów musiał zapłacić „sztrafe”.

Każdy inny podłotek mający do wydania sumę kilkuset koron ze sprzedaży konia byłby sobie kupił coś z biżuterii, perełki, złoty zegarek — tak, ale nie ona. Co dzień po południu jeździmy z naszą Fräulein, czyli „Frojłusią”, do eleganckiego Herringsdorfu, gdzie wybiega daleko w morze pomost nad pomosty, a na nim, jeden przy drugim — kramy nie z tej ziemi, ale... z dna morskiego. Na ladach leżą muszle wielkości ucha jakiegoś olbrzyma, inne nakrapiane czarno-biało, jak pióra perliczki, inne znowu w kształcie rożków, i te czarodziejskie, tęczowe, z otworami po perłach. Są tu rozgwiazdy, gąbki wydobyte z dna oceanu, kępki białych koralu. Lilka szaleje, bez wahania kupuje za drogie pieniądze zasuszoną przerażającą rybę — syrenę z małą główką dziecka i wypukłymi oczami, kawał

bursztynu, naszyjniki bursztynowe dla siebie i siostrzyczki oraz gałązki koralu.

Kompletuje z zapalem swoją dziecinną kolekcję.

Wydaje w ten sposób wszystkie swoje pieniądze i jest szczęśliwa. Mamidło tylko wzdycha, ale się nie sprzeciwia. Lilce wszystko wolno, jest niezwykłą kreacją boską, a przy tym taka biedna L tą swoją figurką. Niech robi to, co jej sprawia przyjemność, jest na innych prawach niż jej młodsza siostra, dziewczynka normalna, zdrowa i nie zdradzająca żadnych specjalnych zdolności. Lilka emanuje jakiś fluid, który został nazwany później sex appeal, wciąż zaczepiają ją młodzi chłopcy, a raz nawet zgraja „podrywaczy” zaatakowała nasz plażowy kosz. Co wówczas czyni przyszła poetka? Wyskakuje z kosza, do którego wciąż zaglądają młodzieńcy, i zaczyna ich okładać parasolką. „So schön — und so stolz!”* —

śmieją się podrywacze i uciekają przed rozwścieczoną Egerią z płonącym mieczem czerwonej parasolki.

A królewiczka wciąż nie ma. Jest, za to profesor Strassburger, młody, ale już elegancko szpakowaty, o bardzo sympatycznej powierzchowności. Cała jego rodzina zaprzyjaźniona jest z Wojciechem. Należy ona do bogatej finansjery warszawskiej.

Strassburger poznaje na jakimś wieczorku pannę Lili i postanawia oświadczyć się o jej rączkę, z czym zwierza się jej ojcu. Tatko jest zachwycony, zawsze biedny marzył o tym, aby swoje córki bogato wydać za męża. „Bo i z czego wy będziecie żyły, gdy ja zamknę oczy” — mawiał często.

— Ja będę pisywała wiersze i wydawała je w tomikach — oświadcza Lilka.

— O, moje biedne dziecko, i ty myślisz, że z tego wyżyjesz? Voyons, ne soit pas b?te.* I gdzież ty, panna bez posagu, znajdziesz drugiego takiego konkurenta. „Lilka powiada, że się jeszcze zastanowi. Obie z siostrą bardzo nie lubią dzieci i postanawiają ich nie mieć, gdy wyjdą za męża. Pierwsze ich

pytanie, kiedy się im jakiś młodzieniec podoba, brzmiał: „Czy pan lubi dzieci?” Gdy odpowie, że tak —

przepadł w ich opinii. Gdy zaś, przeciwnie, odpowie, że nie znosi bachorów, zaczynają na niego spoglądać przychylnie.

— Panie Edwardzie, czy pan lubi dzieci?

— Przepadam — odpowiada Strassburger, nie przypuszczając, że ta odpowiedź zadecyduje o jego przyszłości.

— I gdy pan się ożeni, to chce pan ich mieć dużo?

— Jak najwięcej — mówiąc to patrzy na Lilkę oblesnie.

To wystarcza. Wieczorem przy kolacji Lilka oświadcza Ojcu, że za nic w świecie nie wyjdzie za mąż za Strassburgera.

— Ale dlaczego, ma chere, taki miły, uczony dżentelmen, no i taki majątny.

— Nic mnie jego majątek nie obchodzi! Nie Kocham go i już!

Tatko wzdycha, podkreca w zdenerwowaniu pięknego czarnego węża, chce ją jeszcze przekonać, ale Mama, która uznaje tylko małżeństwo z miłości — sama zresztą wyszła za mąż z wielkiego afektu za ubogiego artystę — trzyma stronę córki.

— Daj jej spokój, mój Wojteczku, zresztą jest taka młoda, ma czas.

Za następną wizytą konkurenta Lilka wcale do niego nie wychodzi, zamyka się w swoim pokoju. Biedaczysko rozumie, że nie ma u panny Lili żadnych szans i wycofuje się. W wiele lat później żeni się z naszą kuzynką i obrasta w kilkoro dzieci. Sięgał po gwiazdkę z nieba, a otrzymał taką gwiazdkę, jaką się wieszka na wierzchołku drzewka wigilijnego.

TO TA PIERWSZA MIŁOŚĆ, ALE NIE JEDYNA...

Lilka wciąż wyczekuje wielkiej miłości. Czyta wiersze Staffa, Miriama, Micińskiego, zaczytuje się Przy by szewskim, uwielbia Zapolską. Muzy jednak dbają, aby ich pupilka miała od młodości silne przeżycia i stawiają na jej drodze młodzieńca, Jego, na którego właśnie czekała. Młody człowiek jest bratem rozwódki, pani Fibichowej, w której kocha się nasz brat Jerzy. Pani Fibichowa jest wysoka, cienka w pasie, nosi nad czołem potrójny wałek z ciemnych włosów, a silny zapach perfum „Ideal” Houbiganta i cała jej uwodzicielska osobowość przyprawia młodych ludzi o zawrót głowy i zmysłów. Jest przez matrony krakowskie bardzo źle widziana, bo i rozwódka, i przyjmuje u siebie panów. Spotka—wszy ją na Plantach panienki z dobrych domów winny przeżegnać się jak na widok szatana i szybko odwrócić głowę. Brat jej Egon to, można powiedzieć, taki ówczesny playboy. Kilka już lat zdaje maturę, ale za to uprawia wszystkie sporty, prowadzi samochód papy (jakiegoś „benza”) i wyciąga od rodziców pieniądze.

Wypisz—wymaluj jeden z dzisiejszej „bananowej młodzieży”, z tą tylko różnicą, że potrafi kochać, wzdychać do swojej lubej i pisywać miłosne listy. Miłość jest jeszcze w modzie. Piszą o niej ówcześni poeci, powieściopisarze na ogół nie poruszają innych tematów: Przybyszewski, Srokowski w swoim Kulcie ciała, Tetmajer, Zapolska. Cała literatura z początków naszego wieku przesiąknięta jest miłością i tym, wówczas nie nazwanym, co dzisiaj nosi miano SEXU. Ciało kobiece staje się ulubionym motywem malarskim, widzimy je nawet w secesyjnej sztuce dekoracyjnej, tyle że lekko przysłonięte przezroczystymi gazami.

Lilka maluje secesyjne obrazki i pisze wiersze, operując takimi rekwizytami poetyckimi, jak: „tęsknica”, „wirydaże”, „kruże”, „księżniczki”, „złotopióre Rozkoszy Anioły”, „rycerz” itp. Widać, że młodociana poetka wczytywała się w młodopolską poezję.

Modne były wówczas ballady. Oto jej Ballada pisana w roku 1912: Lilie o żółte Lilie w krwawnikowe cienie

mówi młoda księżniczka o włosach w pierścieniu wraca ten co mą duszę skuł niegdyś w cierpienie i
pytam się was Lilie w krwawnikowe cienie

co się stanie gdy wejdzie pod zamku sklepienie czy kwitnących lip jasność ściami welon tęsknicy a
piękny rycerz Nemrod o zielonym piórze

wypatrzy prawdę smętną w mej trwożnej źrenicy i cisnąwszy mi do stóp dostane dziś róże

odejdzie precz za lasy w spuszczonej przyłbicy?

Odrzekły: co zgasło już się nie rozżarzy

i smutek nie zawiśnie w lip szumiącym kole

nie rozstąpię się w wietrze na kształt wirydarzy przed rumakiem rycerza puszczonego na wolę —

bo się nigdy sen jeden raz wtóry nie marzy

W tym naiwnym i dość napsuszonym wierszu uderza nas jednak tak właściwa jej w późniejszych dojrzałych wierszach kunsztowność rymów, jak: „cienie —

pierścienie”. Mnie ten wiersz wzrusza, bo widzę ją, jak spaceruje latem po ogrodzie na Kossakówce, w którym rosną właśnie takie żółte lilie „w krwawnikowe cienie”, byliny odradzające się każdego lata, pyszne w swojej nieśmiertelności, i jak pochyliwszy ku nim swoją śliczną główkę wdycha ich słodki, kościelny zapach. Potem podnosi oczy ku starym szumiącym lipom — wśród ich listowia brzęczą pszczoły, a wieczorem chmura komarów urządza sobie w cieniu lipy dansing, do którego lepiej się zbliżyć.

Egon nie nosi zarostu, ma piękną, opaloną cerę i jasne falujące włosy. Ubiera się modnie, nosi przesadnie szerokie spodnie, marynarkę w kratkę i melonik zsunięty na tył głowy. Lilka poznaje go w ogrodzie na Kossakówce i... zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Nastaje zima i cała ówczesna młodzież chodzi codziennie na ślizgawkę. Urządza też tak zwane szlichtady: Do sań zaprzęzonych w konie wynajęte z remizy przytwierdzone są na sznurach saneczki na dwie lub trzy osoby, siedzą na nich chłopcy i panienki (nie mówiło się tak jak teraz „dziewczyny”, „moja dziewczyna” znaczyło — „moja służąca”). Panienki siedzą za panami i aby nie spaść, trzymają ich mocno w pasie. Włosy panien muskają czerwone od mrozu uszy młodych ludzi, piersi panienek opierają się o ich plecy. Niewypowiedziane zmysłowe dreszcze, o których pojęcia nie ma dzisiejsza młodzież, przebiegają po ich ciałach jak iskry elektryczne. Konie pędzą przez krakowskie Błonia, dzwonki dzwonią, śnieg skrzypi. Na dwuosobowych saneczkach siedzi Lilka przytulona mocno do Egona, ma na sobie biały wełniany golf, na głowie biały kaptur, na rękach wełniane rękawice z jednym palcem. Młodzieniec od czasu do czasu odwraca ku niej rumianą od mrozu twarz. Całują się... ale tylko... oczami. Gdyby się pocałowali w usta, skandal byłby niewypowiedziany. Panienska byłaby skompromitowana, a młodzieniec wykluczony z „dobrego towarzystwa”. Wiedzą o tym rodzice i nie bronią dzieciom tych na pozór niewinnych zimowych zabaw.

Coś sobie szepczą do ucha. Co — nikt nie wie. Może wyznania miłosne, a może tylko banały w rodzaju: „Nie zimno pani?” „A może kocem przykryć nóżki?” „A czy panu wygodnie?” „Czy pana nie zanadto przygniatam?” Jadę za nimi w drugich saneczkach z jakimś nieinteresującym studentem i obserwuję tę zakochaną parę, która jak gdyby swoimi uczuciowymi kaloriami roztopiała śnieg wokoło. Czy inni też to widzą? Chyba nie. Wszystkie pary zajęte są wyłącznie sobą. Po powrocie do domu, gdy już światło lamp naftowych rozjaśnia Kossakówkę, Lilka siada do swojego biurka i pisze panięskie wiersze.

Miłość do przystojnego młodzieńca sprzyja rozwojowi jej talentu poetyckiego.

Mamy szereg młodocianych poezji Lilki, które bez wątpienia pisane są do niego, jak na przykład wiersz Twoje imię:

Twe imię nie wiem czemu jest jak wróbel młody i słodko jest go pieścić wzięwszy w obie dłonie i jest jak próżnowanie nad błękitem wody,

jak Kot śpiący w podwórku, płotek i jabłonie

i jak bielony domek w słoneczną sobotę

i jak zabawa w Indyan „Rugh!” mówi „Pantera”

... twoje imię to kłamstwo serdeczne i złote

jak ostatnia pociecha dziecka co umiera —

to biel jabłka — dziecinne w twarz pocałowanie

... a tyś straszną muzyką, w której dusza tonie a tyś co? — śmierć i wieczność szczęście, obłąkanie tyś skrzydła me wichrowe ku niewiadomemu...

lecz twe imię to taki wróbel nie wiem czemu

i słodko jest go pieścić wzięwszy w obie dłonie.

O ile w innych jej wierszach z tej epoki czuje się wyraźny wpływ poezji młodopolskiej, o tyle ten wydaje się mi bardzo oryginalny, a prawie zupełny brak znaków przestankowych i zaczynanie wiersza od małej litery przypomina dzisiejszy sposób pisania. Utwór ten, przy bezsprzecznych walorach poetyckich, jest rozczulająco dziecinny. Ta zabawa w „Indyan” — to przecież reminiscencje z nie tak dawnych czasów, kiedy to z bratem Jerzym i jego kolegami bawiliśmy się w ten sposób; Lilka była „Sarenką Modrooką”, Jerzy — „Orlim Piórem”, a ja, biała i nalana — „Bładą Twarzą”.

Zaczytywaliśmy się, jak wszystkie dzieci, powieściami opisującymi walki czerwonoskórych z białymi, a słowa wodza Siuksów Piankishawa do białego jeńca, którego prowadził przy koniu, stały się naszym ulubionym powiedzeniem. „Może Błada Twarz łyknie sobie trochę wody ognistej z mojej manierki” — proponuje wódz Siuksów. Błada Twarz z dumą odmawia owego poczęstunku, a wówczas rzecze wódz:

„Piankishaw kocha Bładą Twarz, bo mu nie robi uszczerbku w wodzie ognistej”.

Ileż razy, gdy Lilka częstowała mnie czekoladkami, a ja przez delikatność nie korzystałam z tego, ona mówiła:

— Piankishaw kocha Bładą Twarz, bo mu nie robi uszczerbku w wodzie ognistej.

Flirt z przystojnym Egonem trwa, ale nasi surowi rodzice (surowi, gdy chodzi o cnotę córek) zaczynają się czegoś domyślać i zabraniają Lilce widywać się z nim.

W tym czasie nasz brat Jerzy żeni się i tak zwany domek Babci z dachem gontowym przerabia (o zgrozo!) na banalną nowoczesną willę. Do tej willi przychodzi często Egon; przez pokojówkę zawiadamia ukochaną, że w kanapie w jednym z pokoi młodego małżeństwa będzie chował listy do niej. Zaczyna się romantyczna zabawa, czyli: poste restante w kanapie. Ponieważ Lilce nie wolno bywać w domu brata, aby się nie spotykała z ukochanym, obiera więc mnie na swego „postillon d’amour”. Uszczęśliwiona i dumna z tej roli, co dzień odbieram listy do ukochanej siostry i jednocześnie wciskam w czeluście kanapy listy Lilki do Egona. Niestety, żaden z tych listów się nie zachował. Ta pasjonująca gra trwa dość długo. Jednakże ktoś zdradził całą trójkę konspiratorów i któregoś dnia Tatko woła mnie do pracowni. Jest szary z gniewu, tylko oczy mu płoną jak czerwone świece. Głosem, od którego serce we mnie zamiera ze strachu, mówi mi, jakiego dopuszczam się przestępstwa ułatwiając tej parze miłosną korespondencję...

via kanapa. I wówczas pierwszy i jedyny raz w życiu zamachnął się, aby mnie uderzyć w twarz! Ręka mu jednak opadła, ręka dżentelmena, który nigdy nie uderzył kobiety... Wybiegłam zapłakana, szlochając histerycznie.

Poste restante w poduszkach kanapy skończyło się ku rozpaczycy zakochanych. Nie myślmy jednak, że ta młodzieńcza miłość taki miała koniec. Wzburzony do głębi amant postanawia, wbrew woli swoich rodziców i rodziców ukochanej, porwać ją.

Któregoś wieczora zajedzie przed Kossakówkę samochodem i dokona porwania.

Dochodzi jednak do wniosku, że bez pieniędzy ani rusz, nawet samochodem. Wpada zatem do pokoju swojej matki, zacnej pani Starzeńskiej, i kategorycznie żąda odpowiedniej sumy. Mama, znając dobrze swojego synalka — nygusa i lumpa, odmawia kategorycznie. Co czyni wówczas ten zwariowany młodzieniec? Wyciąga z kieszeni rewolwer i przestrzeliwuje sobie dłoń na wylot. Przerażona matka wznosi ręce do nieba, a potem opuszcza je do sekretarzyka, z którego wyjmuje żadaną przez synka sumę. Z szaleńcami żartów nie ma! Następnie jadą oboje do lekarza, aby zatamował

krew i opatrzył ranę, która na szczęście nie jest zbyt groźna.

Bohater wcale nie rezygnuje z porwania dziewicy — wsiada do samochodu i rusza w stronę Kossakówki. Jest godzina dziesiąta wieczór, Egon wie, że Wojciech Kossak jest o tej porze w kasynie przy ulicy Wolskiej. Po drodze jednak oblatuje go strach, więc postanawia najuczciwiej w świecie prosić Kossaka o rękę jego córki.

Zajeżdża zatem do kasyna, w którym bywa również i jego ojciec, i prosi portiera, aby na chwilę wywołał mistrza. Nie wiemy, jaki był przebieg ich rozmowy — czy srogi papa wziął nieodpowiedniego konkurenta za kołnierz i wyrzucił za drzwi, czy też przemówił mu do rozsądku :— dość że niefortunny amant powrócił jak niepyszny do domu, liżąc (dosłownie) swoje rany...

Czy to finał tej romantycznej przygody? Wcale nie. Nie zapominajmy, że jest rok 1912, rok, w którym jeszcze żyje secesja i już objawia się bunt młodych...

Jednakże rodzice są dziewiętnastowieczni — bojąc się o cnotę ukochanej, ale romansowej córki, nie oddają jej wprawdzie do klasztoru, za to w obawie, aby planowany raptus puellae się nie powtórzył, zamykają ją w pokoju na przeciąg dziesięciu dni. „Księżniczka siedzi zamknięta w wieży” i wolno ją odwiedzać tylko służebnej przynoszącej posiłki oraz kochającej siostrze.

Dzisiaj to wygląda na zmyśloną bajkę, a jednak jest prawdą, chociaż tak nieprawdopodobną. „Rycerza Nemroda” rodzice wysyłają gdzieś na studia za granicę, zaś biedna uwięziona roni łzy i pisze wiersze: Słucham co mówią usta twe na wargach

moich w milczeniu pustego kościoła — — —

Mówią o trwodze i przesmutnych skargach

złotopiórego Rozkoszy Anioła...

Mówią o błędnym, urywanym jęku

lwa mierzącego krokiem klatkę ciasną —

I że z twych rzeczy jam najbardziej własną

i że kobietą słodko być w twem ręku.

I mówią dalej dziwną swoją mową

że jest gdzieś dzika, upragniona głusza

wysoko w chmurach — Mówią wielkie słowo

że myśmy jedna krew i jedna Dusza...

A oto wiersz z roku 1912, który też mógł być pisany w owym „hausareszcie”: Polecieć mi ku tobie jak leci z klatki ptak

Gdy mu gra w oknie błękit i dzwoni światła szlak W dwóch skrzydeł rzutach wydać tęsknicy długiej moc I spieszyć w krzyk zieleni wybuchły w mokrą noc I spieszyć w rozspiewany zagajnik skwitłych grusz Po światło w pszczoł pogwarze po rosę z kwiatnych kruz —

Polecieć mi ku tobie jak leci z klatki ptak

Gdy mu gra w oknie błękit i dzwoni światła szlak Gdy mu się dach znajomy rozjaśni w biały śmiech A z wichrem leśnym spłynie wiosennych granie ech W męce się cisnąć naprzód, w szafirów ciepły lan I spłaszczyc sobie czaszkę o mur lodowych ścian.

Polecieć bezpamiętnie, gnany przez miłość — głód I krwią stęsknioną zbryzgać szybę tysiąca złud Polecieć mi jak leci z otwartej klatki ptak

Gdy mu gra w oknie błękit i dzwoni światła szlak.

Lilka nie może zapomnieć Egona i wciąż w swoich zeszytach, dosłownie „między wierszami”, rysuje jego podobiznę — przystojnego młodzika bez zarostu, w meloniku zsuniętym z czoła, w szerokich spodniach i tak zwanych amerykańskich butach, takich, jakie się teraz nosi — o szerokich, grubych nosach. Smutek i tęsknota, w przeciwieństwie do sytego szczęścia, sprzyjają poezji. Lilka pisze coraz dojrzalsze wiersze, które czyta swoim rówieśnikom i siostrze, a one uczą się ich na pamięć. Spaceruje po ogrodzie Kossakówki z piękną dorosłą kuzynką Zofią Lasocką, poetką rodzinną, która szalenie jej imponuje — chciałyby pisać tak piękne liryki, jak ona. Z poezji tamtej nie pozostał nawet brulion — Lilka zaś rozwija się coraz wspanialej, pragnąc jej dorównać. Oto dwa uroczyste wiersze z tego okresu:

Ostatnia chwila

Jeszcze czas nań zawołać po imieniu

Zanim odejdzie, odejdzie nie wiedząc nic —

W dobrotliwym, spokojnym zwątpieniu —

on — mej duszy krótkowzroczny widz. —

Kryłam mu się w słów próżnię i ciemnię

aż mnie wreszcie przestał szukać już —

i tak dzisiaj odchodzi ode mnie

jak się idzie od róż do róż. —

I drugi, który nadawałby się na piosenkę, tylko że piosenek wówczas nikt specjalnie nie komponował; katarynki i pamiętna z naszych lat dzieciennych karuzela na placu Latarnia wygrywały arie z Traviaty i z Rosenkavalier Straussa.

Ustom ich jeno te czereśnie...

Ustom ich jeno te czereśnie...

Złamana gałąź szepcze weź mnie...

a słodki kwiat usypia wolno

jak jeden z onych którym wolno

znać życie jeno we śnie.

Ustom ich jeno te czereśnie

drżące nad drogą długą, wolną...

zawartą dla tych, którym wolno

znać miłość jeno we śnie.

Tam nad spragnionych studnią polną

szczęście mi wiadro wciąga: weź!...

nie bom ja jest z onych którym wolno

znać napój jeno we śnie...

Patrz: błędny motyl biały wczynie mrze goniąc miłość swą swawolną. My nie. Bo łyzy nam jeno wolno znać we śnie i nie we śnie...

Wiadomo, że jedynym skutecznym plastrem na zranione serce jest jakaś nowa miłość. Na Kossakówce bywa przystojny Adam Kapliński, szwagier brata Jerzego.

Jest już żonaty, więc nie ma mowy, by mógł konkurować o rękę panny Lili. Ale Lilka zaczyna płonąć zakazanym afektem do niego. On jest o wiele starszy od romantycznej panny, więc z tkliwą pobłażliwością odnosi się do jej uczucia, niemniej sex appeal, który z niej emanuje, działa również na niego.

Letnią porą chodzą razem do „tamtego ogrodu” na Kossakówce. Zwano tak ogród warzywny i sad pełen tajemniczego uroku, któremu warto poświęcić kilka słów. W

gęstych krzakach malin można się było ukryć i całować do utraty tchu. Jesienią, niby w ogrodzie Hesperyd, złościły się w słońcu jabłka i z łagodnym stukiem opadały na ziemię. Gruszki: klapsy, „dobre Ludwiki” i bergamotki, te jadalne cacka, obiecywały rajskie rozkosze podniebienia. Grządki truskawek — wielkich, opastych niby czerwone ropuchy, radowały wzrok. Była tam również duża szparagarnia, a koło niej, nie wiadomo po co, i „pour quel cel?” — jak mawiała pewna ciocia — małe, zarośnięte rzęsą bajorko, gdzie w letnie wieczory żaby dawały swoje koncerty. Z tego bajorka czerpano wodę do podlewania jarzyn, truskawek i poziomek. Ponieważ działa się to wszystko jak gdyby na innej planecie, więc nie pamiętam dokładnie, do czego służyła owa wylęgarnia komarów i żabi raj. Wokół rosły czereśniowe i wiśniowe drzewka. Gdy tylko zjawił się w domu Kossaków jakiś atrakcyjny młodzian, panienki zaraz go prowadziły do

„tamtego ogrodu”. Młodzian zrywał dla panien poziomki i truskawki, a gdy je wspólnie zjadali, usta ich czasem spotykały się w gorącym pocałunku. Mamę trochę niepokoiły te spacerunki — nagle rozlegał się jej doniosły głos, wołający młodzież na podwieczorek, który w ciepłe dni podawano na dworze.

Możliwe, że do Adasia Kaplińskiego pisany był wiersz Lilki, z roku 1912, pod tytułem Wiosna:

Wiosna

Pójdę w Park rozszumiały w przedwiosennej trwodze z piórkami traw wschodzących w podścielisku chórem z myślą, że spotkam kogo na klonowej drodze

i że nie będę smutna powracać wieczorem...

Że miłościwa Wszechmoc co martwe ożywia

i dla mnie cud uczyni za mglistą oddalą —

dziś gdy pachną wpółsenne zbudzone igliwia

i te kwiatki na które patrząc łzy nas palą...

Pójdę w poszumie ciepłym z drzew łamanym krzykiem, z obracanymi wicherem strąkami z rdzy martwej

siąść na ławce w litery ciętej scyzorykiem ręką, co miała może prostotę i żar twej.

Lecz nie doczekam ciebie mój szary przechodniu bo ty nie możesz widzieć że łzy z ocz mych cieką...

boś zajęty po prostu czym innym, daleko,

bo próżno zwykle czeka, kto czeka dzień po dniu...

Tatko wraca z Francji, skąd przywozi sobie pięknego ciemnozielonego „austina”; jest to wobec starego „benza” bardzo nowoczesna maszyna. Postanawia zabrać całą rodzinę, to znaczy małżonkę z córkami, do Wenecji. Jadą trzy dni, przez Wiedeń i Tyrol, w Trieście zostawiają samochód pod dobrą opieką szofera Janka Mazanka i stąd pociągiem do Wenecji. Na obu pannach robi ona niezapomniane wrażenie.

Ojciec wynajmuje dwa pokoje w Hotelu Bauer, jednym ze starych pałaców dożów stojących tuż przy Canale Grandę. Panienki śpią z mamą w antycznej komnacie, w łóżkach z zasłonami przeciwko moskitom, trapione nie tylko przez moskity, lecz również przez erotyczne sny, którym sprzyjają serenady całą noc śpiewane przez gondolierów. „Mamidło” drażnią te włoskie piosenki, jak „Napoli bel soi d’amore”, „Santa Lucia”, „O sole mio”, bo jej spać nie dają, ale panny leżą z otwartymi oczami i można by rzec — chłoną te piosenki o miłości pełną piersią, z bijącym sercem, w oczekiwaniu na ów cud, który się kiedyś ziści. Jeździmy z Mamą na plażę na Lido. Panie kąpią się w czarnych kostiumach z falbankami, z grubego klotu, niektóre nawet w czarnych pończochach. Lilka leży na piasku w kostiumie granatowym z białymi wypustkami, w pelerynce z rozpuszczonych płowo—złotych włosów i pisze w zeszyciku jedne z piękniejszych swoich wierszy. Pisze je do oceanu, chociaż to tylko Adriatyk — ciepły, łagodny i na ogół przyjazny dla kąpiących się. Owe poezje są już o wiele dojrzałe od poprzednich.

Oceanie

Oceanie ja pragnę ahoj! — twej przestrzeni

oślepiającej bieli twoich nagich piasków,

pragnę twojej ruchomej poważnej zieleni

i twoich starych pieśni i twoich mew wrzasków —

i świetnego widoku młodych marynarzy,

biegnących tłumnie z portu z gwizdaniem i wyciem chcę ich młodych, wesołych, sakramenckich twarzy śmierć wyzywających i rozśmianych życiem.

Mój tyś jest oceanie gdy ściemnią cię chmury

gdy wiatr na odlew wali w maszty oszalałe

i pcha przed sobą ciężkie i zielone góry

by staczać je w przepaści płynne, pianą białe i gdy w twoich pól mokrych bezbrzeżnym błękanie żagiel czerwony łodzi starego rybaka

wlewa się w swoje wierne, drgające odbicie

tworząc dwa krwawe skrzydła motyla czy ptaka.

W tym miejscu przypomniało mi się, że już wówczas zamiłowanie do parodii świtało w mojej szesnastoletniej głowie — napisałam satyryczny poemat o morzu, którego każda strofka kończyła się słowami: „Majtek nie spodeń — nie boi się burz!”, oraz nowelkę morską, w której kapitan podczas groźnego sztormu ryczy przez tubę:

„Dzieci do pomp! Wszyscy musimy utonąć — kobiety mają pierwszeństwo!” Jak widzimy, daleko padło jedno jabłko od drugiego, choć oba z tej samej jabłoni.

Lilka zresztą miała też szalenie dużo wrodzonego dowcipu, co da się zauważyć w jej późniejszych utworach teatralnych, jak i w jej listach do matki — nie śmieje się jednak nigdy głośno i tubalnie jak jej młodsza siostra. Nie płacze również.

Jest na pozór chłodna i powściągliwa w okazywaniu swych uczuć.

A oto inne jej wiersze marynistyczne, pisane po naszym pobycie w Wenecji, w r. 1912: O błękitnie wód w okienku kajuty...

Oceanie! o zapłacz nad twym dawnym synem

rozumiem cię, związana z tobą w duszy świcie, Wodo z mewą i błyskiem, perłą i rekinem

o śnie ty mój błękitny o szerokim bycie...

który w oczy twych dzieci modrą lejesz wodę

tęsknicy szukającej przez błyski radosne...

O morze! jak zbłąkane lodowce na wiosnę

pęka ma niemoc ciemna, płynę w oswobodę

i widzę prawdę swoją — zdradzam cię ma ziemio wieńcu lasów ojcowskich, gór śniegowe czuby

kościółku modrzewiowy w którym prochy drzemią rzucam was widma w wodę w jej węże przeguby...

Oceanie! tyś tajnią mej wiecznej tęsknoty

dzwoniłeś dzwonie, który wichr puszcza i zrywa w wesele me i pogrzeb, gdy mi mama siwa

w krzyż paliła na brzegu w lampkach drżące knoty...

Tyś mnie chował jak innych świetnych marynarzy

— w miedzianej sępiej twarzy miałem oczy wodne słodkie jak lądy we mgłach — boleśnie uwodne

gdy na pięknej dziewczęcej oparły się twarzy.

Ohe! wiecznie otwarte objęcia sinieją!

ohe! tan wichru z morzem ohe! pieśń tułaczów

gdy maszt skrzypi, błyska w mgle, grzmi, grog idzie koleją gdzieś tam, oczy jedyne płowieją od płaczów

czekających cierpliwie ramion przyszła chwila; szerokim skrzydłem wiatru żagiel obalony,

wścieka się wody rozmach, wał gór się wychyla

— przez wzgórza, rowy, jary, ohe! — w grób zielony Przyjdiesz na brzeg dziewczyno i jęk swój rozpętasz krzyk twój wprze się jak inne w poszumy roztoczy która tęsknicę jasną kładzie w modre oczy

tych którzy ukochali radośnie swój cmentarz.

— — — — —

Tak... czasem dusza krzyknie i powietrza mało

i w innych dziś ramionach drgnie wspomnienie siły to by się z fali w fale znów w dal, w słońcu gnało, warczy mur płótna w wietrze — sznur — sprężone żyły.

W tym wierszu poetka jak gdyby utożsamia się z młodym marynarzem, stara się oddać jego odczucia. Znajdujemy tu reminiscencje z książki Pierre Lotiego *Pêcheur d'Islande*, gdzie podczas groźnego sztormu matka i żona czekają z nadzieją i trwogą na powrót mężów i synów z połowu, a ponury dźwięk dzwonu alarmowego łączy się z hukami oceanu („dzwoniłeś dzwonie, który wichr puszcza i zrywa w wesele me i pogrzeb, gdy mi mama siwa w krzyż paliła na brzegu w lampkach drżące knoty...”).

Nasz ojciec, będąc we Francji, poznał owego znakomitego pisarza, autora wielu egzotycznych powieści. Rozczarowanie Wojciecha było ogromne — Loti był niezbyt interesującym człowieczkiem, z czarną bródką. Miał „przyjaciela” w osobie pięknego młodego rybaka z Islandii, o którym napisał całą książkę pod tytułem *Mon frère Ives*. Była to nierozłączna para, i Wojciech, człowiek o nader zdrowych instynktach, nie mógł na to patrzeć. Ale myśmy o tym nie wiedziały, pannom się wówczas nawet nie śniło, że takie związki mogą istnieć, i obie uwielbiałyśmy Lotiego.

Szczyście nad lagunami kończy się po dwóch tygodniach, gdy zgłasza swój przyjazd do Wenecji pani Lusia Bielska, flama Tatki. Flama i „najdroższa małżonka” to razem się nie zgadza, więc ten wielki uwodziciel oświadcza rodzinie, że muszą wracać do Krakowa samochodem z Jankiem Mazankiem („bo to za wiele kosztuje, moje najdroższe”) — a sam postanawia pozostać jeszcze jakiś czas w Wenecji. W

ostatniej kąpieli Lilka miesza z solą morską gorzkie i słone łzy. Kraków po Wenecji wydaje jej się ciemnym i błotnistym koszmarem. Ja też jestem w rozpacz, bo się zakochałam, na razie tylko z widzenia, w pięknym Włochu, który mnie ściga swoim czarnym włoskim okiem. Ale cóż, pan każe —

rodzina musi. Ze ściśniętym z żalu sercem opuszczamy czarodziejską Wenecję. Włochy, południowe słońce i morze, winnice, magnolie, pomarańcze i piękni młodzi chłopcy żyją dalej w główce poetki — pod ich wpływem pisze gorący, namiętny wiersz Modlitwa. I drugi, Niewolnica, gdzie wypowiada swoją tęsknotę za gorącym pięknem Italii, którą musiała opuścić.

Modlitwa

W mrok starczy i śmiertelny, w kolumn zimny parów wchodzę trupia świątńco w młodości bezcennie —

wsunął się za mną cicho bóg winnic i żarów

który ma w oczach morze i snów umęczenie...

i głośniej dzwoni jego pieśń sercu wśród ciszy...

Z ciemnych progów zstąpiłam przez słoneczne dreszcze jak zbłąkana tuberoz woń wśród celi mniszej modlić się jak się tutaj nikt nie modlił jeszcze.

Za to, że za okiennic p[...] tęczą

bucha słońce a w słońcu tłum kocha i żyje

że tam mrok nie panuje, świece trun nie wieńczą że mi jutro nie całun, ale szczęście kryje.

Za uliczkę słoneczną, za śmiech marynarzy

za ramiona szerokie obcego przede mną

za to że rozkosz mądrą jest a mądrość ciemną, gdy nie schodzi do winnic, gdzie się szmaragd żarzy.

Że mam oczy ócz pełne, że jak winogrona

ciemne, śniące w południe dojrzy sny moje,

za to że w pocałunku dusza w męce kona

że to dwa oceany czucia nie ust dwoje.

i za to że w owocnym targu w złote rano

nad granaty rozdarte, nad smukłe banany

pożądańsze są usta me mocne wezbraną

krwią — podziękę składam ci Panie nad Pany

I za to że prócz winnic, owoców i lata

kwiatów słodkich jak chwile, majestatu wody

prócz tęsknoty i śpiewu, prócz snu i swobody

jest Miłość — pochwalony bądź o Duchu Świata.

Niewolnica

Woń róż i zapomnienia. Śpiew przy mandolinach uwodne błyski źrenic spod rudych warkoczy

promienie zębów w śmiechu czerwonych szczelinach i oczy krzywdy — ciężkie niewolnicy oczy

w których się przez krąg łzawy bezimiennej męki snu zbłąkana wczorajsza słodycz prawdzie broni
rąk śniadych rozpaczliwy splot rozdziera miękki kwiat śmiertelnie rozkoszny pytającej woni. —

Może tam żniwo wina na ciemnym błękiecie

i szczęście piękne szczęście właśnie dojrzewało Wparły się oczy w oczy w męce i zachwycie

pod cieniami magnolii kwitnącej tak białe...

— i może umrze sennie, jak ptak wzięty z lasu jak Admirał rozpięty na skrzydłach jedwabnych lub
przyjmie się jak inne. Ból słabszy od czasu i spróbuje źrenicy i uśmiechów wabnych...

Ale i Kraków ma swoje czary, a przede wszystkim tak ukochany przez nią od najmłodszych lat las
bielański. Tutaj znów jej duch poetycki odkrywa w trawie i mchu cuda i dziwy, których oko
zwykłego zjadacza chleba i kielbasy nie dostrzega. Weneckie reminiscencje idą na stryszek jej
genialnej główki. Leży w trawie kuperkiem do góry i w zeszyciku notuje poetyckie wrażenia z życia
lasu.

Oto owe wiersze pisane w roku 1912, przepojone tęsknotą za miłością: Bielany (maj)

Białe krople konwalii — gwizd wilgi — syk dzwońca mchy i skrzypy, gęstwa ziela borówek dębina

w suchych zwitków szeleście tęskniąca

i wieczysta skupiona absorbcja mrówek

Ukryte pulsowanie tajemniczych światków

tam śmiga rudy pajak w znanych sobie celach

tu żuk dąży w alkowę storczykowych płatków

i nikną dwa kowale w kampanuli celach

Drgnięcie pierwotnych wspomnień — pomnę dzikie wzloty tężne parcie się w górę w zielonej kurzawie

bujne wiosenne krzyki, pęd młodej tęsknoty

gody życia — i wielkie wspaniałe bezprawie

Cisza zbladłych powoi i pijanej trawy

w dali dzwonek klasztorny przez liście klekocze Zapada wieczór mokry, namiętny i mgławcy

i gra duszy — co — nie wiem bo samotna krocę...

„Samotna krocę...” Czyli że w owej epoce Lilka nikogo nie ma, żadnego „królewicza Nemroda”, o którym by marzyła w bezsenne noce księżycowe. Piękny Egon nie daje znaku życia, Kapliński — dostrzegłszy, że urocza Lili zanadto do niego łąnie — z ostrożności właściwej ówczesnym dżentelmenom przestaje przychodzić na Kossakówkę.

W wyżej zacytowanym wierszu jest zwrot: „i nikań dwa kowale w kampanuli celach”.

Nie wtajemniczonym w nomenklaturę owadów należy wytłumaczyć, że „kowale” to żuki o czarno-czerwonych skrzydełkach. Wzmiankuję o tym, ponieważ w jej późniejszym wierszu, wchodzącym w skład tomiku Niebieskie migdały, jest zwrotka brzmiąca:

„Jechał Kowal na Kowalu niby koral na koralu”, która mocno oburzyła pewne krakowskie mieszczki. „Jak może jechać, moja pani, kowal na kowalu? Rozum straciła ta starsza Kossakówna — a może... może... wie pani, bywają takie zboczenia...”

Jeździmy też od czasu do czasu z Tatką samochodem do Tyńca. Wokół ruin starego zamku są pola i łąki. Lilka pisze o nich: „łąk rzucone szale” i w wierszu Tynieć używa już tych swoich kunsztownych rymów, które w późniejszych wierszach stanowią jej specjalność, a więc „szale” i „w szale”, „kszyków” (ptaki) i

„krzyków” (odgłosy), „uboga” i „od Boga”.

Tynieć (maj)

Rozstajna droga w polu — łąk rzucone szale

seledynowy owies. Plamy maków w życie

i dzwoniące, tętniące mnożące się w szale

serdecznie uśmiechnięte młode bujne życie...

Błogosławieństwa boże w powietrzu zawisły

cicha msza praw odwiecznych dokoła się spełnia biały miesiąc w oparach wypływa zza Wisły
i marzeń krwi mej młodej wstaje jasna pełnia

Zachód — w trzcinie łom skrzydeł kulonów i kszyków w gruszy sercu kapliczka czernieje uboga
skądś płynie słodycz — duszy ucieszenie krzyków jak gdy stanie tuż przy nas ktoś droższy od Boga...

Te ukochane Bielany i ich okolice staną się dla poetki później, podczas wojennej emigracji w Anglii,
jakaś obsesją, i może najpiękniejsze z jej ówczesnych wierszy są te, w których powraca do
ukochanych stron. Do bielańskich buków, do storczyków w Lasku Wolskim, do anemonów, jeżyn i
tarniny. Przecież wśród nich przeżyła swoje najlepsze okresy życia. One były niemymi świadkami jej
pierwszych uczuć, miłosnych wzruszeń, zawodów panińskiego serca i to one natchnęły ją do pisania
owych wierszy, w których umiłowanie Przyrody łączy się z tęsknotą do miłości. A oto wiersze pisane
w latach wojny, pełne tęsknoty, nadziei i... beznadziei: Fatamorgany

Tęskny Tyńcu, srebrna skała Kmity,

Druidyczne moje Bielany,

Tatry w błękitach, bystrym dostrzegalne okiem, I ty, groźny klasztorze o murach bez okien

Na brzegu Wisły!

Krakowskie fatamorgany,

Coście trwały — pobladły — i przysły...

Biały Kwiat

O tarniny bielańskie, głogi i ożyny,

Storczyki w Lasku Wolskim, cenne i nieliczne, i wy, piękniejsze od kwiatów,

Kieliszki telegraficzne,

Gdybyście znów dla mnie ożyły!

Na Księżycu

Czeremchy, ukwiecone szarym jak pył kwiatem

Kłaniały się ręką do ziemi —

Tuż przy nich, w cieniu topoli,

Pod jej rozmownym liściem,

Siadywali rowerzyści zakurzeni,

Poeci, najmłodszy wieszcz...

Rower, w rowie złożony, wirował wciąż jeszcze, Coraz wolniej, coraz ciszej, srebrzyście...

Wioślarze płynęli wzdłuż rzeki —

— Tak bywało na moim Księżycu dalekim.

Konwalia...

Wyciąg z konwalii wzmacnia osłabione serce,

Kiedy nierówno bije, waha się, ustaje.

(O, sam widok konwalii mógłby dziś uzdrowić,

— Tej, co w kępach rozkwita pod Bielańskim gajem...) **ORLICA I KOGUT**

Lilka kończy osiemnaście lat i postanawia pierwsza ze swoich rówieśniczek wyjść za mąż. Na złość losowi, na przekór defektowi kręgosłupa, który zresztą wspaniale maskuje morderczy gorset-pancerz. Wybuch pierwszej wojny światowej nie robi na niej, tak samo jak na innych pannach w jej wieku, silniejszego wrażenia.

Są dotknięte tylko tym, że z Krakowa wymiotło młodych mężczyzn. Więc jak to będzie z tym zamążpójściem? Lilka obawia się, że może zostać „starą panną”. W

każdym prawie znajomym domu jest jedna taka. Wcale nie stara, nie skończyła jeszcze trzydziestu lat, ale cała rodzina przyklepiła jej etykietkę „starej panny”. Wszystkie wydatki idą na młodsze siostry, które mogą być jeszcze ulokowane, czyli wydane za mąż za... dopłatą, ponieważ posag jest głównym atutem młodej dziewczyny. „Stara panna” nie ma prawa się stroić, winna czesać się gładko i poświęcić się działalności charytatywnej. Traktowana przez rodzinę z wyraźnym lekceważeniem, jako „towar niechodliwy”, oddaje się dewocji i często z rozpaczy wstępuje do klasztoru. Lepiej jest więc wyjść za mąż za pierwszego, który się trafi, niż narazić się na tak haniebną los. Dotyczy to przede wszystkim tych panien, które nie mają posagu. Wprawdzie zapobiegliwa i mądra Mama złożyła w banku przed wojną, gdy obrazy Tatki tak dobrze szły, po sto tysięcy reńskich na ich posagi, ale te pieniądze poszły na życie, jako że Tatko nic wówczas nie zarabiał („inter arma silent musae”) i zgrywał wielkiego wojaka przy sztabie generała Kirchbacha. A w tych właściwie bardzo niemoralnych czasach nikt nie żenił się z panną „gołą”, jak to się ironicznie mawiało. Dzisiaj wprost przeciwnie, chłopiec żeni się z panną „gołą” (jeśli jest dobrze zbudowana), która w posagu wnosi kilka sukienek, długie włosy i maturę, a w najlepszym razie jest po studiach i zarabia tysiąc dwieście złotych miesięcznie. Owo czekanie na męża przypominało sytuację na balu, kiedy to panienka nie mająca powodzenia czekała z paniką w oczach, aż ją ktoś poprosi do mazura czy kotyliona. Gdy nikt odpowiedni nie stawał przed nią z ukłonem, szła tańczyć z byle kim, żeby tylko nie „gryźć pietruszki”.

Nasza młodziutka poetka nie miała pod tym względem innego nastawienia niż jej rówieśnice i chociaż nie grała na fortepianie melodii z czasów młodości jej matki: „Boże, daj męża, daj męża, daj męża!” — była zdecydowana wyjść za tego, który się trafi, chociaż dobrze wiedziała, że nie będzie to spełnieniem jej marzeń i tęsknot. Mało to razy cytowała słowa z ballady o królownie swojego ukochanego poety Leopolda Staffa! „Obcy ją pocałował — musiała umrzeć królowna...”

Obstalunek na męża złożony losowi został przyjęty i oto pewnego przedpołudnia jedna z naszych przyjaciółek przyprowadziła na Kossakówkę młodego, przystojnego porucznika Bzowskiego, który — niegroźnie kontuzjowany przy wybuchu szrapnela —

potrzebował opieki i odpoczynku. Każda z krakowskich panien czuła się wówczas w obowiązku „coś uczynić dla dzielnych wojaków”. Jedne więc skubały szarpie, inne chodziły zabawiać lżej rannych w szpitalach wojskowych (ja stawiałam im kabałę), a wszystkie napychały gilzy tytoniem i setki papierosów ofiarowywały na dworcu kolejowym tym, co odjeżdżali na front.

Lilka też postanowiła „coś zrobić dla wojny” i pielęgnuje przystojnego oficera.

Spoczywa więc tak zwany Bzunio na leżaku w ogrodzie na Kossakówce, a Lilka znosi

„ofierze wojny” zebrane przez siebie truskawki i poziomki na dużym liściu, napoje chłodzące w kryształowej karafce. Tatko, wojak z krwi i kości, uważa Bzunia za typowego „symulanta”, który się dekuje przed ponownym wysianiem na front, lecz Lilka traktuje go jak bohatera i pełna jest dla niego czułości i względów.

Nastrój, któremu ulega w zacisznym zakątku ogrodu, ukrytym od ludzkich oczu, kiedyś ona sama przekaże najlepiej:

Na ławce oplecionej powojem, o zmierzchu,

siedzi dwoje nad wodą

jak nad miską lilii.

A bez kłębi się wkoło, spłowiwały już z wierzchu, deszczem krzyżyków radząc,

by chwil nie trwonili.

Wprawdzie nie siedzą nad wodą, ale nastrój jest z pewnością ten sam. Nie mają sobie wiele do powiedzenia — ale za to dużo do całowania. Przecież już są jak gdyby zaręczeni, a całować się z narzeczoną to nie grzech, każdy spowiednik to przyzna (o ile partner ma uczciwe zamiary). A partnerowi w to graj, panienska jest śliczna, i ogród taki piękny, i rodzice panny Lili tacy sympatyczni i dobrzy dla niego. Niepotrzebnie tylko ta urocza panna pisze jakieś wierszyki, z których on nic a nic nie rozumie, już woli, żeby malowała. Owszem, podobają mu się jej akwarelki o fantastycznej tematyce — ale czy nie lepiej, żeby malowała koniki, tak jak jej dziadek, ojciec i brat Jerzy. To są obrazki, a nie tam jakieś kwiaty o kobiecych twarzyczkach. Uśmiecha się pobłaźliwie — jak już będą małżeństwem, oduczy ją tych wszystkich „filozofii”. Przyjdą na świat dzieci, jasnowłose, o niebieskich oczach, jak oni oboje, i będzie po „filozofiach”.

Lilka udaje sama przed sobą, że jest zakochana we Władziu; jest wysoki, o ramionach kwadratowych jak wieszak, ma jasne włosy, miły szeroki uśmiech, orli nos, tylko jedno oko wciąż mruży, może na skutek owej kontuzji. Rodzice nie sprzeciwiają się temu małżeństwu, jakkolwiek czują, że Bzunio, typowy austriacko—polski oficer, nie jest dla ich córki odpowiednim partnerem. Ale cóż, wojna — może jej się nikt inny nie trafić... Bzunio jest z dobrej szlacheckiej rodziny („de Bzowo—Bzowski”), co dla Mamy ma swoje znaczenie, chociaż wciąż myli jego nazwisko i mówi o nim „Bzowicz”, lecz to tylko z wrodzonej przekory. Lilka uważa, że to nazwisko jest jakby stworzone dla poetki, pachnie bzami i wiosną...

Nigdy już jednak nie cytowała słów z ballady Staffa: „Obcy ją pocałował — musiała umrzeć królowa”. Wcale nie umarła i wraz z Mamidłem szykowała sobie

„wyprawę”, bez której żadna przyzwoita panienka z „dobrego domu” nie mogła zostać mężatką. Anielska Mama sprzedała na ten cel jakąś biżuterię, a kochający Tato zrobił kilka portretów kupcom krakowskim.

Bielizna była wówczas z cienkiego płótna lub batystu, obszyta koronkami i koniecznie ozdobiona blad różowymi i niebieskimi wstążkami. Majtasy sięgały poza kolana i do nich wpychało się całe zwoje szerokiej dziennej koszuli, tak że derier nawet szczupłej damy bywał wypchany kopiasto. Obfite, szerokie halki nie uszczuplały figury. O krótkiej, kolorowej bieliźnie nawet się nie śniło, a gdyby się śniło, to byłby to sen zgoła nieprzyzwoity. Koszule nocne, długie do kostek, też były z białego płótna i niektóre miały małe dekolciki ozdobione klockową koronką. Do wyprawy panny młodej należała również pościel i pięknie haftowane lniane obrusy. Sukien w owych wyprawach bywało mniej niż bielizny, były bardzo kosztowne, z drogich materiałów, i ze swoimi haftami, gipiurami, siutaszami i setkami haftek przedstawiały raczej rodzaj robótek ręcznych niż to, co dzisiaj rozumiemy pod słowem sukienka. Na szczęście istniały już bluzki wpuszczane do spódnic i te mogły być wykonane z przewiewnych materiałów i nawet wolno im było mieć małe dekolty. Wojna przerwała modę spódnic pętających nogi w kostkach i modę „jupe—culotte”, czyli szerokich spódnic—szarawarów, w których piękne damy wyglądały jak „perły haremu”.

W ciasnym świątku tak zwanego dobrego towarzystwa nie było prawie małżeństw z miłości, a niejeden ślub w krakowskim „mondzie” przypominał smutną uroczystość obłóczyn młodej zakonnicy. Roniąc łzy, panienki dobrowolnie szły na ową niedolę i niewolę, aby tylko nie osiąść na lodzie, z wyżej już wspomnianym groźnym epitetem „starej panny”. Zrażone do igraszek miłosnych pierwszą nocą poślubną z nie kochanym facetem, często pozostawały mu wierne do końca życia. Powiedział

ktoś niegłupi, że „największe mezalianse popelnia się z rozsądku”. Nieraz widać sunące przez kościół na ślubny kobierzec najdziwniejsze pary, nie do pomyślenia w świecie zwierzęcym: idzie miłe kociątko z myśliwskim psem, borsuk z gazelą, smukły jelen z tęgą krową, zając z sarną, biała króliczyca z burym kotem, stary dzik z piękną charcicą...

W wypadku Lilki i Bzowskiego można by powiedzieć, idąc po linii owej metafory, że sunie do ołtarza zwykły domowy kogut i... orlica. Dla zakamuflowania owej różnicy oboje są ubrani na niebiesko. On ma swój galowy niebieski mundur austriacki, ona — szafirowobłękitną suknię i duży

kapelusz z tej samej tafty, ozdobiony bławatkami. Gdy wychodzą z kościoła SS. Norbertanek na Salwatorze, to od tej niebieskości aż się w oczach ćmi, bo i u dołu płynie Wisła niebiesciejsza tego poranka niż zwykle. Wszyscy szepczą: „Co za piękna i dobrana para”, tylko dewotki dziwią się, że panna młoda nie jest w białej ślubnej szacie, z welonem i wianuszkiem kwiatu pomarańczowego, jak tradycja nakazuje, ale w błękitnej sukience. Krakowskie plotkary mają temat do komentarzy: „A może, moja pani, ona już nie jest dziewicą, kiedy nie śmiała stanąć u ołtarza w niepokalanej bieli?”

„Nie przypuszczam — odszeptuje któraś. — Ta Kossakowa to święta kobieta, gdzież by dopuściła, aby jej córka... Ot, fantazja zepsutej dzisiejszej pannicy, co to pozuje na oryginalność. Ale czy takie małżeństwo, kiedy panna młoda idzie do ślubu w kolorowej sukni, a nie, jak Pan Bóg przykazał, w białej szacie z welonem

— będzie szczęśliwe?”

Plotkary miały rację — nie było od początku szczęśliwe, a pomysł Lilki, aby w tych tradycyjnych czasach iść do ślubu w szafirowej sukni, jak by się dzisiaj rzekło „koktajlowej”, mógłby dać psychologom dużo do myślenia. Lilka jak gdyby nie brała tego małżeństwa na serio, traktując je jako tymczasowe, póki nie zjawi się ten Jedyny, wymarzony w dziewczęcych snach. Plotkary krakowskie nie miały tylko racji w swoich złośliwych przypuszczeniach co do cnoty panny młodej.

Poetka nie była pod tym względem śmielsza od innych panien z tej epoki.

Po miodowych tygodniach w Zakopanem młodzi wyjechali do Mödling pod Wiedniem, gdzie stacjonował pułk Bzowski. W listach do ukochanego Mamidła widzimy od początku do końca cały przebieg tego nieudanego związku, w którym obie strony starały się dostosować do siebie, co jednak w rezultacie spotęgowało jeszcze niechęć Lilki do męża.

Pamiętajmy, że wyrosła ona w artystycznej atmosferze rodzicielskiego domu, gdzie nic nie było z mieszczaństwa i gdzie panowała jakaś stylizacja życia i słownictwa (nic nie określano normalnie, ale szyfrem, który znała tylko rodzina i grono przyjaciół). Weźmy na przykład nazwanie Lilki: SZCZUREM, co tak do niej pasowało, jak do mnie, powiedzmy: słowik. Nieraz zastanawiałam się, skąd to określenie poszło, i doszłam do wniosku, że chyba od początkowego nazywania jej LILCZUREM, Lilczur — w skrócie „Szczur”. W prawie każdym liście do Mamy poetka podpisuje się nazwą tego nieciekawego i odrażającego zwierzęcia. Mama była

„Mamidłem” albo „Momern”, brat Jerzy zwany był w rodzinie „Koko”, nasza siostra cioteczna Ninka, późniejsza Witkacowa, była „Nińtuchem”, Babcia Juliuszowa:

„Babelą” itd., itd. Poza tym wszyscy w tej rodzinie musieli być dowcipni, czyli

— jak to się wówczas mawiało — musieli „mieć wica”*.

Ulegając tej rodzinnej manii, Lilka w każdym liście do MOMA stara się pisać „z wicem”, przekręca więc różne słowa, pisze umyślnie niegramatycznie, żeby tylko było zabawniej. Ale nie dajmy się zwieść tym wszystkim śmiesznościami i żarcikom

— z owych listów, szczególnie późniejszych, przebija dramat wielkiej życiowej pomyłki.

Na razie nie wygląda na to, aby to małżeństwo miało się rozlecieć. Jak w każdym innym, są wyżej i niżej. Lilka nie jest łatwą i uległą żoną. Władek ma też swoje humory. Oto list pisany z Mödling, bez daty*, wiemy jednali, że to jest rok 1915.

Moje ty najukochańsze Momo!

Muszę zaraz odpisać na ten kochany taki dobry list który właśnie przyszedł. Otóż złote Momo wszystko dobrze. Cieszę się że Madzi się upiekło, bo jej się należało już coś od losu — zdaje mi się że wszystkie jej aspiracje wyższe zagadać chcą prostą potrzebę towarzystwa — co zresztą bardzo jest naturalne. Co do mnie to te dni w domu zrobiły mi tak dobrze że mi się życie wydaje wcale sobie. Upały i śliczne gorąca mamy ciągle — Władek desperuje że nie mam letnich rzeczy i chce

mnie w Wiedniu ekwipować ale ja już mam dosyć tych osłów i wolę Raka*. Gdyby Momo mogło ją przysiąc trochę by mi porządnie i szeroko zrobiła kostium. Główna rzecz by spódnica była po chłopsku zrobiona. Pike mogą już tylko w Krakowie u Preuss dostać, tu już mowy o tym nie ma. Władek ma influencę. Zdenerwowany, ciągle się o coś wścieka. Ale ja jestem anielskiej pogody bo mogę uciec do siebie kiedy mi się podoba. Mam wymarzony pokój położony tam gdzie się już wieś i skały zaczynają*.

Hausfrau tego domu jest dobre i miłe babsko. Okropnie się cieszę z tego nabytku.

Musi Mama przyjechać i zamieszkać w tych domkach, które są własnością Kunstvereinu w Wiedniu i bardzo są artystyczne i śmieszne 25 koron to nic —

prawda — Poza tym czytam sobie, a okolica jest tu teraz bajeczna i mam gdzie chodzić. Niesia* chodzi co niedzielę do kościoła, co do spowiedzi to mi głupio jej o tym mówić — co? Ale mogę to zrobić ostatecznie*. Spódniczki nie potrzebuję bo i tak za ciasna, dziękuję Momowi. Niech Momo zaraz odpisze, jak się ma, czy stoliki nie przyszły. — Jutro wysyłam bieliznę — właściwie nic mi nie trzeba.

Dziś zrobiliśmy zapas mydła na rok za 12 kr. Samych „Yesów” które się już kończą. Niesia coraz możliwsza; mamy co dzień szparagi. Jutro Jedziemy do Wiednia, spytam się czy te ciastka są u Dehmle. Ściskam słodkie Momo tak jak na to zasługuje po milion razy. Jeszcze kilka słów do Moma.

Bardzo proszę Mamo przysłać nam przez żołnierza z kasy 200 kr. ... i polecam Maminemu sercu koszyk z jakąś starą niecką do przykrycia dla psa którego żołnierz ma odebrać od Musiołka. Żeby Mama widziała jaki ten Władziuś jest prześliczny teraz i łagodny, wszystkie baby wczoraj pękały z zazdrości.

Strasznie świnusia lubię. Po milion razy ściskam ukochaną Mamę i niech nie zapomina o mnie”.

Lilka, jak czytamy w jej listach, raz nazywa męża „prześlicznym” i „Świnusiem” (co było u nas w domu najczulszym przezwiskiem), a raz „trapistą” (od wiecznego trapienia się). Czy Władek potrafi tak się zmieniać, czy też Lilka ulega różnym w stosunku do męża nastrojom? A może w nocy jest „prześlicznym” i „Świnusiem” —

a w dzień kwaśnym nudziarzem? Nie wiadomo. W tych listach bawi nas również to, że poetka jest taką gospodarną, zapobiegliwą panią domu, myśli o zapasie mydła, o wysłaniu brudnej bielizny do domu. Służąca Niesia bardzo absorbuje jej myśli, raz na nią strasznie narzeka, to znowu chwali — zupełnie jak męża. Toaletowe sprawy też wiele miejsca zajmują w jej główce, podobnie jak zdrowie małżonka.

Władzio, jak prawie wszyscy mężowie, trzęsie się nad swoim zdrowiem i jest typowym „chorym z urojenia”. Píše więc ta na pozór kochająca żona w ten sposób do Moma:

Władek nie wiedzieć [znów styl murzyński] czy jeszcze zażywać, czy od razu przestać pigułki które mu się kończą — on pisać do Radeckiego ale mu R. nie odpisać — więc on bać się chorować i on błagać by Mama napisała kartkę do Radeckiego czy może bezpiecznie przerwać od razu tę kurację,

bez głębszych powodów do obaw. Nudny interes, niech się Momo nie zmartwi. Zresztą chłop zdrów jak inflancka kobyła...

Raz przynajmniej list bez wica. Bluzki bedom? prosim pięknie. Jedna z moich nocnych koszul pokrajana jak te ręczniki — skąd i dlaczego, nie wiem, musiała Brońcia wziąć maszynę z tamtego domu albo w jakimś maglu przeciąć.

Albo inny list:

Ukochane Stworzenie!

W sobotę czyli poniedziałek wyjeżdżamy do dom — Władzio i inne nieruchomości mają zamiar zostać ale jeszcze się namyśla, bo ten zamiar powstał po nie wyciśniętej gąbce i wygadanej gębie z przeproszeniem małżonki. Hę, hę, hę. Madzi gorączka znacznie spadła, może już jeść o własnych siłach, wprawdzie jeszcze wygląda jak ćwik, ale jej to na naszej zdrowej, lekkiej kuchni prędko minie.

Teraz siedzi i czyta Głód by jej obiad więcej smakował. Władzio ciągle jeszcze przypomina ce monsieur qui a avalé sa canne et ne paraît nullement disposé ? la rendre*. Wszystko to dlatego że musi egzaminować z literatury polskiej o której nie śnił nigdy. Byłam z nim wczoraj u Majora, który jest zachwycający.

Dowiedziałam się tam że Klein* jest człowiek genialny. O Tatce natomiast ani nie wspomniał, takie to są kultury. Wszystko to jest symetrycznie nudne. Mamo kochane? Świnuś przemiły, swojskie tłuste jestestwo znajome do gruntu. Masę uścisków ode mnie i Władzia, który jest kochany piłat, pomimo wszystko, bardzo miły sobie. Ciągle wojujemy o wizytę u Hess do której nie pójdę, bo nie chcę. Co mi do tego? Trąbię w babę. Cieszę się że jeszcze nie całkiem wiosna w domu —

odrobię to czego tu nie mogłam. Tymczasowo ściskam stokrotnie.

Lilczur

„Ciągle wojujemy o wizytę u Hess — pisze Lilka — do której nie pójdę, bo nie chcę. Trąbię w babę”. Któż to jest ta pani Hess? Dawna przyjaciółka i protektorka Bzowskiego, wiedeńska arystokratka mająca wpływy „u Dworu”. Gdy poznała kiedyś w kawiarni młodą panią Bzowską, spojrzała na nią „wydrą”; dama była już trochę leciwa, i piękna młoda żona Bzunia musiała wzbudzić w niej zazdrość. Zapewne dzięki takim koneksjom młody polski szlachcic bez majątku i tytułu, przynajmniej „barona”, otrzymał zaszczytną godność cesarskiego szambelana, zwykle przeznaczoną dla austriackich arystokratów. Nie wiem, jak wyglądała ta służba Bzunia przy osobie Cesarza, ponieważ nas to nic nie obchodziło — może odprowadzał go tam, „gdzie nawet cesarz chodzi piechotą”? W

każdym bądź razie nigdy nie wspominał o tym, aby musiał jeździć do Wiednia pełnić jakieś lokajskie funkcje koło osoby „Najjaśniejszego”.

Bzowski przy pewnym ograniczeniu umysłowym, umiał dbać o swoje interesy i własną karierę. Na

tym również polegała jego przyjaźń ze znanym w arystokratycznych kołach lwowskich baronem Brunickim, zdeklarowanym pederastą, który był szalenie przeciwny małżeństwu przyjaciela z panną Kossakówną i starał się go od tego zamiaru odwieść. Znając Bzowskiego, trudno przypuszczać, aby i on miał tego rodzaju perwersyjne zamiłowania — lubił być adorowany i przyjmował od barona różne świadczenia. Zresztą, co my wiemy? Może jednego porywała wybitna uroda młodego ułana, drugiego — brzydota małego, przysadzystego Brunickiego. Pamiętam go na ślubie Lilki w roli świadka ze strony pana młodego. Państwo młodzi wyglądali jak para aniołów, która zeszła na ziemię, aby zaznać rozkoszy matrymonialnych, a on — jak czarny Asmodeusz, ślący im złowrogim ciemnym spojrzeniem jak najgorsze życzenia.

Do obrzędów weselnych należało składanie młodej parze kosztownych prezentów.

Lilka, mimo iż wychodziła za mąż z własnej, nie przymuszonej woli, otrzymała wiele biżuterii i sreber; wśród nich królował wspaniały dar Brunickiego (oczywiście dla pana młodego), a mianowicie podróżny neseser z krokodylowej skóry ze srebrnymi przyborami toaletowymi. Brunicki potem przyjeżdżał nieraz odwiedzać młodą parę; mało mówił i do końca ich małżeństwa zionął niemaskowaną antypatią do Lilki. Zresztą — z wzajemnością.

Gdy spoglądam na to wszystko wstecz, to dochodzę do przekonania, że nasi mężowie wcale nie byli tacy źli, i biedny Bzunio, i mój Starzewski, tylko nasi rodzice byli zanadto udani i za bardzo nas kochali, a my obie — ich. Bo i któreż córki mogły się popisać takim ojcem jak Wojciech Kossak, zawsze piękny, zawsze, do końca życia, elegancki, pachnący najlepszą wodą kolońską, pełen humoru, a przy tym erudyta, wręcz... siedząca przy malarskich sztalugach encyklopedia.

A ta dżentelmeneria wobec żony i córek: „Magdusia, czy ci nie przeszkadza dym z mojej fajki?” Przeszkadzał mi bardzo i głowa mnie bolała od fajkowego dymu, ale oczywiście zaprzeczałam gorąco. Po obiedzie zapalał papierosa, wpierw zapytawszy małżonki, czy wolno mu już zapalić. Gdy słyszał odpowiedź: „Nie, mój Wojteczku, dopiero po deserze...” — pokornie gasił papierosa. Był przy tym świetnym pedagogiem, wychowawcą, który nie znosił tak zwanych złych manier. „Magdusia —

łokcie ze stołu!” — zauważał, niby to pilnie czytając gazetę. „Lilek — widelec trzyma się na samym końcu, i nóż także, a nie w połowie”.

Taki był Tatko. A Mamidło? Baranek boży, który gładził grzechy rodziny i który co dzień o szóstej rano biegał do kościoła na poranną mszę, modlić się za tego wspaniałego męża—uwodziciela, co często grzeszył przeciwko szóstemu przykazaniu, i za te dwie zwariowane córki. Należy zaznaczyć, że to nie była taka zwyczajna polska matrona — szalenie dużo czytała w języku polskim i francuskim i pisywała co dzień listy do rodziny literackim stylem pełnym „esprit”. Cóż więc dziwnego, że Lilka wciąż z nudnego Mödling i od przeciętnego męża uciekała do iskrzącego się humorem i radością życia rodzinnego domu.

My obie, jak gdyby rozcięte „siostry syjamskie”, nie mogłyśmy bez siebie długo wytrzymać. Już w pierwszych miesiącach po ślubie Lilka pisze tak: Władeczek to taki dobry świnius, taki miły, tylko go całować; ciągle myśli o mnie, co ja lubię, czego nie lubię, o sobie nigdy — Pomimo to bardzo mi Mama potrzebna i tak się cieszę na te święta że coś okropnego. Tatę też będzie bardzo przyjemnie

zobaczyć, a o Madzi marzę nieraz gdy się chce pogadać o rzeczach przemijających a marnych ale po ludzku — ... Byliśmy też w Olkuszu gdzie Władzio nabyło krakowską kielbasę i zaraz się nią otruło.

... Co by to było za szczęście jakby tak Austin* po nas przyjechał, dla wszystkich by się tu miejsce znalazło, a drogi są znakomite.

Kartka pocztowa:

Najdroższa Momo — Jestem pogrążona w speszeniu że Momo ma jakąś chorobę — Całe szczęście że Władek ma znów teraz stawać przed komisją w Krakowie, więc zobaczę i wyśpekuluję osobiście wszystko co się właściwie w domu dzieje, bo z Madzi wodewilu wiem tyle co nic. Robię sobie ciągle wyrzuty z powodu strycha wtedy gdy się to Momo zaziębiło przeze mnie — Ułan zameldował mi że za chwilę jedzie i nie mogę myśli złapać by napisać coś lepszego — jak się teraz Momo ma i Madzia — Czy Tato jest w Krakowie? To jest ważne dla nas z powodu komisji. Za cukierki dziękuję strasznie, i z całej siły ściskam Momo przenajświętsze, i Tata byczego, Magasikowi wkrótce sam powiem co myślę o jego wicu który przechodzi wszelkie granice — Miliony uścisków. Będziemy stali w hotelu by nie robić garusu w chorym domu. Szczur

Władek od czasu do czasu staje przed komisją wojskową, udaje wciąż chorego, aby tylko nie iść na front. Jak wielu austriackich oficerów, ma w wielkiej pogardzie Legiony i pragnie tylko siedzieć sobie spokojnie na własnej d.... Lilka pisze:

„Czy Tato jest w Krakowie? To jest ważne dla nas z powodu komisji”. Czyli że ten kochający ojciec wplątywał swoimi stosunkami i... obrazkami na orzeczenie komisji.

Wyobrażam sobie, iż Wojciech, ten zagorzały zwolennik szabli, batalista z zamiłowania i powstańczych tradycji, w jakich się wychował, musiał cierpieć, że jego zięć jest tak zwanym markierantem, który się dekuje przed pójściem na front, i swoich wpływów, gdy chodzi o orzeczenie komisji, używał wbrew własnemu przekonaniu, a jedynie z miłości dla córki.

„Magasikowi* wkrótce sam powiem, co myślę o jego wicu, który przechodzi wszelkie granice”. — Czyli że musiałam już wtedy być bardzo dowcipna i zabawna, jako że w naszej rodzinie to było jedną z najważniejszych zalet.

Lilka — z lirycznej poetki „bujającej w obłokach” wraz z jakimś „rycerzem Nemrodem o zielonym piórze” — stała się teraz (tylko chwilowo, na szczęście) niby to przeciętną panią domu, zajętą sprawami kuchni i służby domowej.

Nie mogę sobie rady dać z tą idiotką Niesią [pisze do „Moma”]. Nie chce się nauczyć ani słowa po niemiecku wstydzi się powiedzieć „Butter” (to jest nieprzyzwoite, ale nie do tego stopnia znów) i ja muszę z koszem iść do miasta jak nie przymierzając Adamowa*, targować się z rzeźnikami i innymi złodziejami, i już mam tego od ucha do ucha, tym bardziej, że to cielę choruje, ja się muszę nią opiekować... I ja i Władek jesteśmy głodni, wściekli i jak z krzyża zdjęci.

Jest niemożliwie. Wyprawiłabym ją w tej chwili gdyby mi Mama przysłała Brońcie —

byłoby jej tu dobrze i nam. A Momo może by tę geś na ten czas wzięło do prania i prasowania. Albo może jak na Wielkanoc przyjadę, może by się znalazła inna, sprytna, zdrowa dziewczucha, umiejąca prasować i czesać, choćby brzydka jak smok, trochę gotować... Niech Momo napisze i poradzi koniecznie bo upadam na cztery nogi z desperacji... — Po milion razy ściskam Momo kochane, Mamidełko złote — żyję tu jak jaki znachor — ani opery, ani nic, ani znajomych — wszystko drogie choć w pysk daj, piła i „Albeck”* — Napisz? i jak przyjdą pieniędzy przyślij, Mamidełko pieronem.

Odwiedzam ukochaną moją w Mödling. Chodzimy razem po lasach i ruinach starego zamku Lichtensteinów. Lilka ma się nareszcie przed kim wygadać. Mówimy przecież tym samym domowym językiem, zrozumiałym tylko dla nas. Jest jednak skryta i mało mi się zwierza. Tylko raz opowiedziała mi, jak kiedyś poszła z Władkiem do lasu.

On był w polowym mundurze z rozpiętym kołnierzem, spocony z gorąca. „Wiesz, co mi powiedział?” — „Ej, wziąłbym cię, babo!” „No i co?” — spytałam zaszokowana.

„Nic — odparła — spojrzałam na niego tak, że mu w pięty poszło i bez słowa sama wróciłam do domu.

Na razie trwa w naszej trójce przyjaźń i harmonia, która, jak się później okaże, nie będzie trwała długo.

Lilka pisze do „Moma” list pełen radości z mego towarzystwa, pod którym ja się dopisuję dziecinnie i głupkowato, bo taki panował u nas styl.

Momo jak się ma?

Bardzo za Magdzie dziękuję bo z nią mogę tu jeszcze wytrzymać. Bardzo przemiła —

Za to Władek ciężko nieznośny. Muszę się zdobyć na cierpliwość której nie mam w naturze bynajmniej—, aż do czasu tego frontu. Pogodność cudowna chodzimy masę, jeździmy na rowerze Władek Madzie zaczyna adorować Magdzia sobie chwali, jednym słowem wszystko sobie. Tylko martwiące jest że Mamideło marnie w Krakowsku dni spędza, wdycha kurz i błoto. Magdzia wygląda na psa urok jak dynia.

Całuję Momo z całego znudzonego małżeństwem serca, i b. kocham pomimo wszystko Na święta przyjadę, bardzo się szczurze na to Na tym samym papierze mój dopisek:

Najdroższe Mamidło!

Tu proszę Mamy dobrze i tłusto i takóŜ lubieżnie. Jeżeli Momo jest naprawdę takie dobre, to prosim pięknie mi przysłać dringend z mojej pensji albo maminej jakie 30 R. na pourboiry i inne niezbędne naddatki życiowe, dobrze? Szkoda, że Momo nie może odetchnąć, zamiast domem, „Wenecją”* i Karolkiem — czystym powiewem świeżego powietrza.

Do widzenia, całuję się z Momą z dubeltówki, a w łapeczkę także Magaś I dalej :— pismem Lilki:

Madzia dyktuje mi list bo już nie może pisać i jeść jednocześnie.

Najdroższe Mamićło i Tato!

To też to! Salami olejkum ricinum (arabskie bązur). La vie est beau — człowiek w niedzielę lożę będzie miał na pupenfe, z pewnym trudem bo Bzowicz, mąż naszej uroczej Lili jest domokrażcą i gdzie siadł tam zjadł byle strawił. Nasze urocza Lili kwitnąc jak maj na wiosnę straciła wszakoż okrągłość swoją dziewiczą i kanciastą — z powodu niedawnego hojnego niedosytu i braku zgryzoty czegoś o co można i zębem zahaczyć. Dziś już inaczej, odkąd Madzia, (ja) obiady dysponuję despotycznie. Ale ja tu gadu gadu (jak jaki gad), a tu czas czyli pieniądz ucieka. Byłoby jeszcze wiele do napisania gdyby nie brak Wołowej skóry

gorszej cenzury

pióra złotego

i czegoś nowego

Czyli nowości lokalnych de nôtre ton

Spotkaliśmy Akcenta*

Będziemy na Wystawie

Daliśmy babie centa

A co Mama w tej sprawie

Że szapo od Habiga

Ku Mamie okiem strzyga

(A Władzio stary wyga

Znów po kiełbasie rz... (kicha)?

(wic szczura)

Madzia ciągle mknie w pole

i wygląda niebożę

jak malajskie pacholę

że już gorzej nie może.

Jest zdrów jak gdyby rydz

Piłuje tyle co nic.

Widać po tym krotochwilnym liście, że obie „panny” (jak je zawsze ojciec nazywał) są w doskonałym humorze, może nawet trinknęły po kieliszeczku likieru (innych alkoholi wówczas damy nie używały). Kpią sobie ze wszystkiego i silą się na dowcipasy, z których same pękają ze śmiechu. „Szapo od Habiga” to kapelusz ze słynnej firmy Habig we Wiedniu, na którego kupno naciągnęłam kochającą Mamę po jej przyjeździe. Pamiętam go świetnie, był z gazy, w dwóch kondygnacjach —

fiółkowej i czerwonej, i miał wiszące z tyłu długie aksamitki. Czy Władzio śmiał

się z tych naszych wygłupów? Chyba nie, był zanadto serio, jak wszyscy ludzie o ograniczonej inteligencji. Obie piszemy o sobie w rodzaju męskim. U mnie to jest tylko dla żartu; żeby było zabawniej, ale u Lilki ma to głębsze podłoże. W ten sposób pisze o sobie również w listach do drugiego męża, Pawlikowskiego, i co dziwniejsze, zaraża go tą manierą. I on pisze do niej: „Szczureczku, uważaj, żebyś się nie zaziębił”, „czy nie nudziłeś się beze mnie?” „Jaki ty jesteś kochany...” etc.

W okresach miedzymałżeńskich Lilka ma stałego wielbiciela w osobie Konopki —

pięknoducha, estety, mistyka i znakomitego tłumacza Fredry na język francuski.

Adorowany i zapraszany przez krakowskie damy, uwielbiał tylko Lilkę i nawet pragnął ją poślubić. Nazywał ją LILITH. Ten oblatany w sprawach wszelkich wierzeń i legend dżentelmen wiedział chyba, dlaczego ją tak przezwał. Otóż Lilith to był demon babiloński o straszliwej, fascynującej urodzie — ni to mężczyzna, ni kobieta, a jednocześnie oboje naraz. Legenda twierdzi, że wysysał(a?) nocą krew z młodzianków i ze śpiących dziewczyn. Oczywiście to ostatnie nie mogło się stosować do poetki, ale że była duchową androginią, to nie ulega wątpliwości. Ten jej męski, filozoficzny umysł! Talent poetycki nie spotykany dotychczas u kobiet. Wybitne zdolności do nauk ścisłych i przyrodniczych, łatwość uczenia się obcych języków, łącznie z łaciną i greką, i ta jakaś męska zaborczość w zdobywaniu upatrzonych obiektów do kochania. A przy tym wszystkim — tkliwa, żalonna kobiecość, czasem jak gdyby bezbronna, czułość pra-matki i kokieteria pra-kobieca. Otulała się w tę kobiecość jak bogini Lilith w swoje przejrzyste gazy... Tu przypomnę drukowany w „Wiadomościach Literackich”, w r. 1936, jej piękny i wiele mówiący wiersz Kobieta i Androgina:

„Nie chcesz władzy nade mną,

Prawa żadnego nie rościsz

Do mojej ofiarnej piękności!

Cel istnienia zaginął

I gorzko mi i ciemno

Przez ciebie Androgino!”

Androgina, anioł urody

Oczy ramieniem zasłania:

„Więcej niż ptakom skrzydeł

Niż bujnym wichrom swobody

Zazdrościłam kobiecie Oddania...”

A oto jeszcze jeden list:

(bez daty, dop. ołów. 1916)

A Mamidło najdroższe, cóż za piękny tłusty list stworzyło, dziękuję za taką radość dla biednego Lilczura, który pisał już trzy razy (jak Momo kocham) listy możliwie ciekawe w tak niewdzięcznych warunkach, czy naprawdę nie przyszły?

Cóżby to znaczyć mogło? Od Mamy wszystkie są, gaża z podziękowaniem wdzięcznie otrzymana, gazeta owszem także, ale radzę pisać co dzień, bo nie wytrzymam i przyjadę na ten poniedziałek tłusty: tylko że Trapista nie może, a ja mam paszport nie przedłużony — to okropne Co za szczęście, że Tata dał Nince te 100

kor., Momo jest nadzwyczajne że przypomniało o tym Tacie, muszę się z Tatą co do tego obrachować, kochana ojca! Moje też ta Mamidło, ja nie wytrzymam do ósmego tu tak przecież nudno, dni długie i podobne do siebie jak glizdy, dobrze że mam fortepian, i psa który jest genialny syn; pocziwy komendant ciągle mi pożycza nuty i różne księgi sztuki i reprodukcje majstrów rozmaitych, więc przynajmniej się czegoś nauczę... Był tu wielki wieczór z muzyką wojskową, dałam się uprosić i święciłam wielkie powodzenie w brązowej sukni, jeden Węgier bardzo miły opowiadał mi jak w Działoszycach poznał mego powiada brata, einen schönen Mann, Rittmeister, nie chciał wierzyć że to ociec, niech Momo to Tacie opowie przy okazji. Opowiadałam wszystkim z pychą jak Tatę i jego buty fetowali w Warszawie.

Mamy cudowny śnieg, robimy łażenie do lasu... swoją drogą jest tu prześlicznie i klimat że tak się rozsądnie wyrażę zdrowy bo chodzi się bez zmachania długo, dla Madzi jak znalazł, dziękuję najmilszemu i całuję bardzo że tak się o mnie...

troszczy. Tapicynder elegancko zrobił parawan a kredens będzie lada tydzień.

Wranie* dziś wysłaliśmy 200.

Maluję sobie ale brak mi modeli nie tyle konceptu, na pejzaże jeszcze nie chodziłam bo mi łapy marzną, może jednak coś skończę do świąt. Jak te dwa Pronasz odeśle to może je Mama tu ze sobą przywiezie bo mnie tu nudzą żeby im coś pokazać. Mnie też żal Sienkiewicza bo tak jakoś z mody wyszedł niesłusznie, i za mało się go kochało; i że teraz właśnie umarł jakie to smutne — a może właśnie dobrze że w takiej chwili, nie wiem.

Chciałabym naprawdę wydać moje wiersze bo jeszcze ciągle piszę brednie i zebrało się tego (naturalnie tylko na złość wspólnym znajomym mego serca a zadedykuję Luni*. To by była kumendyjo!) Bardzo ładne będzie wydanie z Lubańskiej golcem, na niebieskim płótnie duże książki. Każdy się złapie hę, hę, hę. Umówimy się co do tego osobiście z Momem jak przyjedzie. Gaz mi

wcale na oczy nie szkodzi, zresztą mało czytam. Co to za poczciwości babina której się podobały moje głębokie myśli źle narysowane? Czemuż ich nie pożąda do głębi kieszeni i do głębi portmonetki nie rozumie?

Niech Mama każe przegotowywać w domu wodę do picia, bo panuje tyfus plamisty w okolicach Krakowa. Dziś dostaliśmy ze wsi 40 jaj — więc niech już Momo nie przysyła, chwilowo.

Władzio jest dobry i kochany chłopiec kaszle trochę zresztą zdrów, ściska i całuje. Moje Momo ściskam i całuję i ściskam, do nikogo jeszcze takiego długiego listu nie napisałam. Głupi jest trochę ale treściwy. Widocznie wice na poczcie zatrzymują (wic).

Poetka wspomina w tym liście o śmierci Sienkiewicza i o tym, że go się za mało kochało i że „z mody wyszedł niesłusznie”. To prawda. Ówczesna młodzież o wiele wyżej ceniła wschodzącą gwiazdę Żeromskiego, a u nas w rodzinie troszkę się podśmiechi—wano z Sienkiewicza i z jego snobizmu. Znakomity pisarz duże znaczenie przywiązywał do pochodzenia szlacheckiego i z zamiłowaniem wgłębiał

się w herbarze. To on kiedyś z triumfem wybadał, że ród Kossaków jest stary, pieczętuje się herbem KOS i że już w siedemnastym wieku jedna Kisielnicka (nazwisko panięskie naszej matki) wyszła za mąż za imć pana Kossaka. Tatko, który też przykładał dość dużą wagę do tych spraw, bardzo był dumny z tego odkrycia, ale Lilka skrzywiła malutkie usteczka. Szkoda — zauważyła — a ja myślałam, że pochodzimy od „kozaków” i stąd ta krzepa i zawadiackość w rodzie Kossaków...

„Chciałabym naprawdę wydać moje wiersze — pisze w tymże liście — bo jeszcze ciągle piszę brednie”. Czy nie zadziwia nas ta niekłamana skromność poetki?

Zacytuję w tym miejscu powiedzenie pewnego francuskiego pisarza: „Można być skromnym, ale trzeba mieć Z CZEGO być skromnym”.

A Lilka „ma z czego być skromna”. Muzy obdarzyły ją wybitnym talentem malarskim i poetyckim, a jej wiersze z tej epoki już odznaczają się wyszukаныmi rymami, zresztą niektóre wchodzą w skład jej pierwszego, uroczego tomiku Niebieskie migdały, do którego sama skomponowała okładkę. Była za to bardziej zarozumiała na punkcie swojej urody, wybitnie pięknych „liliowych” dłoni i długich rasowych nóg, które pokazywała przy każdej okazji. W owych czasach figura, szczelnie zasłonięta szerokimi strojami, pelerynkami i kaftanami, grała w całości najmniejszą rolę, najważniejsza była twarz, będąca jak gdyby kolorową reklamą kobiety. Dziś, kiedy dziewczęta pokazują, co posiadają, cały kramik owoców swojego ciała wystawiają na ulicy, uroda Lilki — drobnej, kruchej, przypominająca trochę owe dziwne figurki z Murano, ze szkła tęczowego wydmuchiwane, nie zostałaby w ogóle zauważona. Lilka pyszniła się również swoimi bujnymi popielatopłowymi włosami, które wówczas posiadały dla mężczyzn powab zmysłowy. Jakżeż zapłonęła się skromna Marynia Połaniecka, gdy w jakimś momencie szpilki jej wypadły i w obecności Połanieckiego włosy rozsypały się po plecach.

Piękne zmysłowe czasy, pełne nieprzyzwoitych dreszczy, minęły bezpowrotnie, ich miejsce zajął wulgarny SEX, tak odległy od erotyzmu, jak tango od nowoczesnych tańców.

List bez daty:

Najukochańsze moje Mamo. Już chciałam przyjechać ale nie mogę sama, a z Jabłonowskim który jedzie i chciał mnie wziąć w opiekę, też mi jeszcze nie wypada, zatem znów muszę pisać zamiast uściskać Momo dokumentnie, a taką mam ochotę na dom, Tatę, samowar, pracownię, Magasia smętnego, że strach. ... Ani to mądre, ani ciekawe, ale od kiedy służę przy wojsku czuję i na sobie zgubny wpływ, niech więc Momo najdroższe mojego listu przy stole nie czyta, bo mnie to okropnie peszy, a wica za grosz nie mam dziś. Jakie Momo dobre, jakie złote że zawsze coś przyjemnego przyśle, kąfitury były rajskie, goście ich ani nie widzieli, za to wszystko inne pożarli łapczywie. Jak się ma Momo, a Tata? Żyję w ciągłym strachu o dom szczególnie w nocy, a Moma to już tak kocham okropnie. Co jest Madzi — potrzeba biedactwu świeżego powietrza... — tu by jej dobrze zrobiło posiedzieć z tydzień. Możemy być całkiem sami, gości można nie prosić, żywej duszy może nie być, za to cały dzień w lesie i na ruinach — Niech Mama urządzi przyjazd tu, tak byłoby wesoło, a biedne Magasisko naprawdę jałowo dni spędza.

Tak mi żal biednego Ajdusia (niech już Momo nie zamienia tego zegarka chyba że już zamieniony) takie to już było dobre i biedne, czy się ta operacja tak dobrze udała? — „ja tylko dopomagam naturze” powiedział zapewne doktor. Biedna nasza Brama Tryumfalna, biedny stary legionista — Ja jestem zdrow, Władzio od dłuższego czasu nie piłował, zatem też zdrow, maluję sobie dosyć, tylko mi goście, straszne nieroby nic, ciągle przeszkadzają, a najwięcej „książ” jak go tu nazywają, Jabłonowski, który Władka kocha a mnie kokietuje z lwowska. Żaden z tych ludzi by książki nie przeczytał za żadną cenę, toteż inteligentnego pożytku mam z nich mało. Psa już nigdy nie będę mieć, co to było urwania głowy z tym smrodem ile trzeba było wódki, wina, wreszcie kropel kapucyńskich by go wyprawić na tamten świat — byłby żył gdyby nie głupi doktor płci zwierzęcej, który tyle wiedział co i skromna Niesia, którą Władek już do desperacji doprowadził, ale pomimo to woli zostać.

Z tych pieniędzy co posyłamy racz Momo kazać kupić kawał kielbasy (ale nie cały wieniec ślubny) za tanie pieniądze i masła duńskiego u Hawełkiego, tudzież paczkę herbaty — oprócz tego nic jeno jabłek domowych nieco, kawałek sera zwyczajnego, i szczypiorku, bo fabrykuję tu kanapki, i jeśli można się wstawić do maminego serca o słoik kwaśnych rydzów to proszę Resztę już wie Madzia. Do widzenia moje ukochane Momo, niedługo przyjadę, całuję i ściskam i łaszę się bardzo, Tatę ściskam bardzo i przypominam się, Momo moje kocha mnie? pewno się odzwyczaiło już. Jureczka też ściskam. Lilka Proszę o koszyk od Ajdusia i bransoletę jeśli jest już. Co Tata teraz maluje — czy Austin gotów? Co robi Jureczek

„Ajdusiem” nazywano w naszej rodzinie malarza batalistę Ajdukiewicza, który przebywał na dworze rumuńskim jako nadworny malarz i którego wielkie batalistyczne kompozycje oglądałam w pałacu królewskim w Bukareszcie.

Przyjeżdżał często do Krakowa i przesiadywał na Kossakówce, obdarzając całą rodzinę prezentami. Służył w Legionach i do końca życia paradował w szarym legionowym mundurze. Miał karykaturalnie pałakowate nogi i dlatego Lilka nazywała go „naszą Bramą Tryumfalną”. W tym liście Lilka też wspomina, że

„książ” (książę Jabłonowski) „Władka kocha, a mnie kokietuje z lwowska”. Nam się to może

wydawać podejrzane. A może cnotliwy, bogobojny Władek był biseksualny?

Ultrakatolickie wychowanie sprzyjało poniekąd takim skłonnościom, mało się to chłopaki nasłuchały od księży, że kobieta to szatan, którego należy się strzec i unikać? A może właśnie to było przyczyną coraz bardziej narastającej u niej antypatii —do przystojnego męża? Cóż my wiemy? O takich sprawach nigdy się wówczas w przyzwoitym towarzystwie nie mówiło. Poza tym trzeba przyznać, że Bzunio był na swój sposób bardzo kochającym małżonkiem, pragnął Lilce przychylić nieba — takiego małego mieszczańskiego niebka ozdobionego złotym kluczykiem szambelańskim.

Jeden z jej panięskich wierszy pod tytułem Cisza, pisany jeszcze w 1912 r., jest jak gdyby przecuciem owych samotnych dni w Mödling u boku nieodpowiedniego partnera:

Spokojna jestem w ciszy. — Nie chcę myśleć więcej

— co mną jest, gdzieś odeszło, w jakimś tajnym celu —

Patrzę w ogród Zamkowy, na róż sto tysięcy,

marząc o przetowłosym mych wdzięków minstreli.

Staję cicho wśród bytu. — Próżnię mam za czołem, w woni ziela usypia się krwi mojej tętno...

Bezczucie w szarej płachcie za królewskim stołem siadło — i będę dzisiaj nieżywą i piękną.

Lecz znam czary i wróci wśród serca uderzeń,

dusza moja namiętna jako skrzypek blady —

królowa burz wiosennych i bolesnych wierzeń

Niechaj mi zajrzy w oczy księżę mej ballady...

A tymczasem zamiast „księcia z ballady” jego przystojny pacholek, który do poetki mówi: „Ej, babo, wziąłbym cię”. Ale niech jej poetycka wysokość będzie spokojna. Księżę zjawi się i będzie tak piękny, i tak urzekająco uroczy, że niech się schowają wszystkie jej marzenia i sny! Musi jednak trochę jeszcze poczekać i pomęczyć się. Na razie państwo Bzowscy zostają przeniesieni do Weisskirchen, gdzie stacjonuje pułk Bzowskiego i skąd Lilka znów śle do „Moma” listy pełne tęsknoty i czułości. Pisze też o swoich perypetiach z pomocnicami domowymi:

Poniedz. 15.

Złote Momo!

Los mnie uwolnił od jałowej Niesi w sposób nieprzewidziany — przychodzi ciele do mnie całuje w rękę jakby ogonem kiwnęło i zapowiada że albo dam jej tydzień urlopu do chorego ojca albo się od pierwszego wynosi. Pierwszy szczegół byłby mnie wzruszył ale drugi przeciwnie. To też to. Zgodziliśmy się wszystko troje na to ostatnie. Chodzi teraz o to, by z „tą trzecią” nie było

ostatecznego wypadku. Gdyby Józia miała jeszcze na składzie tę udłość prasująco—czesząco—

gotującą byłoby cudownie — Gdyby Momo się mogło rozpytać i zgodzić. Brzydka niech se będzie kie już tak musi, ale wesoła gęba co najmniej i z „herzem”.

Szkoda, że Momo pewnie dłuższy czas nie będzie w domu — — — Poza tym nieźle słyhać u nas, deszcz błoto i inne naleciałości — mam okropny katar i siedzę w domu cały dzień.

Kiedyż się zobaczymy? Czuję że Momo lada dzień zawita do nas. Nikt nie pisze do mnie i nie wtem nic o domu oprócz udałego listu Magdusi, bardzo interesującego —

Wczoraj widzieliśmy Jureczkę wesołą i spaśną byliśmy razem na kolacji proszę Mamy, Jurek mi powiedział że ładnie wyglądam (wojna ludzi zmienia) w mej sukni od Hersego wyglądam zresztą wcale sobie, przyznaję. Pani Stollberck i ta kwoka Krzeczunowiczowa nie były dotychczas u nas z wizytą — nie kochają mnie baby, co mi bardzo pochlebia — Wobec tego stosonki chwilowo (oby jak najdłużej) zawieszono. Za to mamy inne bardzo zabawne znajomości, księdza Węgra i młodego Francuza porucznika który się pytał Władzia pod sekretem o nazwisko ładnej panny z którą Władzio wieczorem szedł. Wszystkie tu bowiem małżonki stanowią jeden typ szeroko rozlany i trzeźwy, od którego się trochę odróżniam poniekąd.

Najdroższy Mamiś!

Dziękuję za list w bieliźnie, bardzo miły i także herbatę, ale to Momo musiało się na mnie zachnąć za to przytrzymywanie przez które odjazd Taty się udał... dziś spodziewam się księdza, tego węgrzyna, i obiecuję sobie dużo po tej wizycie, jutro zaś morowy huzar, nowy nauczyciel jazdy też nas nawiedzi, jednym słowem może się człowiek i nie urwie? Z tych powodów dywany się trzepoczą, Jan się pierze, a meble stanęły w swej kratkowanej nagości pełne pychy, a ciastka mdleją w szufladzie. Nowszego nic. Tapicynder ślicznie się załatwił, firanki wiszą ka trza, i jeszcze nam za nasze własne pieniądze wydusił skądś kopę jaj

„prawdziwych wiejskich”. Z firankami całkiem inaczej chociaż podobnie, mam nadzieję że Madzi cały ten kłopot na głowę nie spadnie gdy przyjedzie, już będę uważać za co ciągnie. Jeździłam już razem z koniem, nic się nie stało wartego zachodu słońca. Władzio zadowolony... Władzio dobry chłopiec, nie klócimy się prawie wcale; Cóż więcyl? Po Mamie zostało trochę domu w powietrzu, i bardzo przyjemnie w „pomieszkaniu”, próbowałam malić z okna, ale nie bardzo ślicznie pięknie wypadło —

(Po księdzu)

Ksiądz prawdziwie przewielebnie morowy jeszcze też Mama takiego nie zdybała nigdzie, prawdziwa satysfakcja z nim gadać, przy tym mądry aż żal bierze.

Podobało mu się, szczególnie herbata której wytrąbił 5 bez przesady filiżanek.

Wszystko się udało, tylko Jan ryczeć bo go Władzio wyrzucił, za to że kłamie.

Może się ta jeszcze pogodzą. Posłaliśmy Mamci kilka chryzantem, czy nadeszły całe i zwiędłe?

Nawet nie wiem co już pisać, cieszę się na spanie w wygodnym i godnym mnie łożu — Człowiek zwyrodniał w otoczeniu szlachetnych i uczciwych nieruchomości, i przez to spanie osobno. Daleko się mniej kłócimy i o wiele dostojniej. Mam uczucie że jestem „chrabiną”, firanki w kropki są jak marzenie kwietniowe, ktoś gra za ścianą na cytrze, bardzo a bardzo przyjemnie. Resztę już opowiem ustnie. Tymczasowo dziękuję najmilszej Mamie za przyjazd raz jeszcze, ściskam całuję po milion tysięcy razy, do Madzusika jutro napiszę, jak się ma zwierzątko? Czemu nie napisało jak się ma? Ja go ściskać. Mama? napisz długo i szeroko.

Władzio mnóstwo ucałowań rąk, za wszystko dziękuje, liże się, kadzi i nudzi; ja też.

Ksiądz Węgier, o którym Lilka pisze, uwodzicielski typ o czarnych diabelskich oczach (wspominam o nim w Marii i Magdalenie), był moją pierwszą panią miłością. Sama się jej wyrzekłam z uwagi na jego „sukienkę duchowną”, którą zresztą zwykle zmieniał na normalny surdut. Ale patrzeć na swoje senne marzenie odprawiające mszę w garnizonowym kościele to był za wielki grzech dla dziewczęcia wychowanego w surowych przykazaniach Kościoła katolickiego.

Obustronna namiętna pasja skończyła się na kilku gorących pocałunkach wśród ruin, pod okiem odwiecznie tam stojącego kamiennego posążka św. Nepomucena.

Dalej Lilka pisze w swoim liście: „malić z okna”. Niełatwo się domyślić, że chodzi tu o malowanie widoków z okna. „Jan ryczeć” — pisze nasza figlarka z murzyńska. Jan — to ordynans Bzowskiego, „oferma” i ofiara pana rotmistrza. Ta oferma była zresztą normalnym mężczyzną; z tymi samymi męskimi atrybutami co

„jaśnie panowie”, cóż więc dziwnego, że z przystojną Niesią, pokojówką Bzowskich, uciał sobie romansik. Przydybawszy ich na tym typowym „gorącym uczynku”, zasadniczy Bzowski rozkazał ordynansowi wziąć ślub z uwiedzioną, inaczej wyśle go na front!

— Wolę śmierć, panie rotmistrzu — odparł Jan salutując służbiście — niż ożenić się z tom dziewczynom!

Skończyło się na tym, że Jan pozostał na służbie u pana rotmistrza, a

„grzesznicy” „wymówiono miejsce”, jak to się wówczas nazywało.

Warto wspomnieć, że ówczesne panie niby to żartobliwie mówiły o swojej pomocy domowej „niewolnica”. Były to istotnie niewolnice, którym nie wolno było korzystać z tych wszystkich uciech ziemskich, z jakich korzystały ich chlebobawczynie. Nie wolno im było lasować łakoci, przeznaczonych tylko dla państwa, ani wstać rano później niż o siódmej (ale gdy jaśnie pani wracała o świcie z jakiegoś balu, to bez najmniejszych skrępowań budziła „niewolnicę”, by jej pomogła się rozebrać). Wszelkie ich romanse ze służbą męską były ciężkim przestępstwem, o ile zostały ujawnione. Panie domu nie lubiły zastawać niewolnicy odpoczywającej lub czytającej książkę — w tej chwili zapędzały ją do jakiegokolwiek roboty. Poza tym wciąż każdą z nich posądzały o kradzież. Cóż to były za żenujące sceny, gdy rozwścieczona pani domu wyrzucała z ubogiego kufereka swojej „niewolnicy” wszystkie jej łachy, aby odnaleźć broszkę czy bransoletkę, która jej rzekomo zginęła, a która zwykle znajdowała się w nieoczekiwanym miejscu, jako że przedmioty też mają swoje chody...

leż to było płaczu, leż biednej ofiary, grożenia wezwaniem policji, zawsze trzymającej z państwem przeciwko służbie. Aż wstyd wspomnieć. Nawet tak święta niewiasta jak nasza Mama miała pod tym względem dużo na sumieniu. Tak wierną i do końca życia oddaną służącą, jak garbata Marysia, też umiała posądzić o rzekomą kradzież. Gdy ta nagle zmarła, cicho i bezgłośnie, Mama przeglądając jej skromny dobytek znalazła trzy mydełka w formie bebusiów, które kiedyś w domu zginęły. Owa do głębi uczciwa istota raz tylko w życiu załamała się i przywłaszczyła sobie te całkiem bezwartościowe przedmioty. Co nią kierowało — nie wiemy. Jakaś dziecinna potrzeba czegoś kolorowego, gładkiego i pachnącego? Nie miała dzieci ani rodziny, więc tylko dla siebie, dla swoich oczu zmęczonych cerowaniem skarpetek i prześcieradeł. Było w tym coś tak rozdzierającego, że Mamidło posmutniało i spuściło oczy, a ja się rozplakałam.

Wylana z domu Bzowskich Niesia była w ciąży i z trudem znaleziono dla niej miejsce w pewnym znajomym krakowskim domu, którego panią była matrona „tres catolique”. Uważając biedną Niesię za notoryczną grzesznicę, zmuszała ją do tak ciężkich prac domowych, do noszenia węgla z piwnicy i ciężkich wiader z wodą —

aż ta poroniła. A pani Dulska, uznawszy to za słuszną karę bożą, do której sama się przyczyniła, nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia i ze swojego okrutnego postępowania nie poszła się nawet wypowiedzieć.

Lilka nadal albo zjeżdża do Krakowa na Kossakówkę, albo mnie sprowadza do Weisskirchen. Pisze wciąż listy do Moma, żarcikami i kossakowskim humorkiem maskuje swoją życiową pomyłkę.

Momo ukochane dzień dobry!

Jak się ma po wczorajszym rwetesie moje biedne złoto? Nam się ukotwiło nadzwyczajnie bośmy jechali „pirszą” i to bardzo krótko bo o drugiej już byliśmy na swoim miejscu. Ledwo że człowiek miał czas zjeść co było pod ręką, a ciastki były tak dobre że nikt by nie uwierzył że to babki. He he he. Teraz Władek pojechał na ten Hubertus, a ja czekam aż sprzątną i piszę choć się czuję nieopisanie głupia, (zresztą opisuję to dokładnie) Nic nie u— ani przybyło w komnatach, kilim zawiesi się w salonie bo jest za piękny by się kryć po bokówkach, ślicznie z nim wygląda bo jest w tonie z meblami. Okropnie wbrew naturze wyjeżdżałam wczoraj z domu Tatko wczoraj był tak wzruszający że myślałam potem długo o tym — patrząc na niego widziało się Młodość we własnej osobie, niech Mama to powie Tatce. Władek łązi podniecony — jakżeż by tego człowieka zmienił jakiś cel, żeby to móc go zaprząć do jakiejś wielkiej rzeczy! — bo i tam się przecież tuła jakaś iskra ducha, przytłumiona nędznie i beznadziejnie Jest pod wrażeniem chwili i dużo sobie obiecuje*. Momo napisz zaraz expresse o wszystkim, a Tatę poproś o te obrazki dziadzi z Warszawy, niech koniecznie je przywiezie dla mnie. Oprócz tego jeśli Momo znajdzie chwilę czasu to niech zatelegrafuje do Pronasza willa „Staszeczkówka” co jest z gęsią czyli z tymi wisielcami z wystawy*, a jeśli nie to nie potrzeba.

Dziękuję strasznie za jajka, które się przydały na śniadanie ogromnie, w ogóle za wszystko, moje Momo ukochane, o czym myślę teraz zostawszy znów sama w tych trzech izbach. Spodziewam się że Mama mi zostawi Madzie po moich imieninach —

niech mnie Mama uwolni od tej strasznej samotności która mnie zjada, która jest już jak znana a

obmierzła, ciągle się powtarzająca melodia, albo jak znoszona suknia, antypatyczna. Już nie chcę ciągle siedzieć tylko z Marysią. Parawan dotarł zdrowo, za to ja mam katar. Z całej duszy ściskam po milion razy Moma najmilszego, Tatę też Madzi zaraz odpiszę, nie zapomnijcie o mnie (i o sukni niebieskiej).

Z tym węgierskim a to sobie nawarzyłam piwa a flaków no! Ten ksiądz chce żeby ja zwariowałam — pisze kiedy indziej Lilka.

Ów przystojny duchowny, który jest zresztą niezmiernie „świecki”, udziela poetce lekcji węgierskiego. Lilka bierze te lekcje... z nudów. Ma tak wybitne zdolności językowe, że nawet ów język, tak mało podobny do innych, pomału wchodzi do jej genialnego puszystego łebka. Uczy się nawet wierszy węgierskich klasyków na pamięć.

Strasznie jestem ciekawa [pisze znów w innym liście do Moma] czy Frist zrobi interes na tym dobrym uczynku... boję się że żydzie będzie gorzko żałować swoich rodzonych pieniędzy.

Frist — to znana krakowska firma, która reprodukuje obrazy słynnych polskich mistrzów na kartkach pocztowych. Batalistyczne obrazy Juliusza i Wojciecha Kossaków, kompozycje Fałata i Wyczółkowskiego wypuszcza Frist w Polskę na kolorowych pocztówkach. Ponieważ eleganciej jest reklamować taki towar w języku francuskim, więc na odwrotnej stronie pocztówek wydrukowane było „Fille a Varsovie” — co miało oznaczać „filia w Warszawie”. A ponieważ, jak wiadomo, francuskie „fille” znaczy „dziewczyna”, więc Tatko nie posiadał się z radości.

Tej to firmie zaproponowała Lilka reprodukcje na kartkach pocztowych swoich obrazków, do których inspirację czerpała z biało-niebieskich kafli holenderskich. Frist, prawdopodobnie chcąc się przypodobać Tatce, z którego obrazów ciągnął grube zyski, zgodził się wypuścić serię Lilczyńskich kompozycji.

Nie miały one jednak, na skutek swojej oryginalności, żadnego powodzenia i jeszcze po ostatniej wojnie całe stopy owych kartek wałęsały się na strychu Kossakówki. Frist dał autorce zaliczkę i kilkaset sztuk do własnej rozsprzedaży.

Władzio jest tak dumny i szczęśliwy [pisze w dalszym ciągu Lilka], że go nosi po prostu chodzi koło mnie jak koło kury która złote jajko panie tego zniosła.

Proszę Moma przysłać pieronem miarę na buty Madzi obstaluję zaraz jutro... Momo?

moje złoto... co w domu czuć nowego czy Baca wciąż uczciwie zarabia nie tyle na chleb ile na klombie?

... Te moje zarobione pieniądze kocham tak że nic nie mogę za nie kupić, chyba jak będę we Wiedniu — Władziuś jest przemiły i bardzo mi z nim dobrze...

Lilka pisze, że jej mąż jest dumny i szczęśliwy, „chodzi koło, mnie jako koło kury, która złote jajko zniosła”. Nic dziwnego, w tych czasach to był niebywały wypadek, aby żona zarabiała, i to swoim talentem.

W paszporcie, w rubryce: zajęcie miała wypisane „przy mężu”, co miało być jej życiowym zadaniem. Brakowało jeszcze: „i przy dzieciach”.

Gdy o tym mowa, mógłby ktoś zapytać: czy państwo Bzowscy nie myśleli o potomstwie? On pewnie tak, ale ona nie. Tylko raz podczas jej pożycia z Bzowskim na coś się zanosilo i pobożna Mama zaprowadziła Lilkę w Krakowie do SS.

Felicjanek, aby ksiądz pobłogosławił jej przyszłe macierzyństwo. Szczęśliwie dla niej — „rozeszło się po kościach”. Nigdy zresztą nie chciała mieć dzieci. Kiedyś powiedziała do mnie:

— Gdyby ludzie byli nieśmiertelni, chciałabym mieć kupę dzieci, ale urodzić śmiertelnika!

Prócz zabawnych obrazków o motywach zaczerpniętych z kafli holenderskich, poetka malowała urocze akwarelki. Często powtarzał się w nich motyw kwiatów o twarzach pięknych kobiet, które mdlały i więdły w dusznej atmosferze. Umierająca kobieta—

kwiat, czy kobieta—motyl, była jak gdyby ilustracją do jej pożycia z Bzowskim.

Poza fantastycznymi kompozycjami, dużo malowała z natury, a będąc w Krakowie ściągala spod kościoła stare żebraczki, które za opłatą służyły jej za modelki.

Stare, poorane, obwisłe twarze w jakiś perwersyjny sposób fascynowały ją, i właśnie te portreciki, rysowane i malowane z natury, świadczyły o jej niezaprzeczonej talencie. Dziwne było u tej, tak młodej wówczas kobiety owo głębokie zainteresowanie starością i jej odrażającymi objawami, w którym spotykamy się w jej nawet wczesnych poezjach, o czym już uprzednio wspominałam.

Lilce udało się w tych czasach urządzić w jednej z sal krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych wystawę akwarelek i nawet sprzedać kilka z nich po wcale wysokiej cenie pięćdziesięciu koron! Chodzili więc oboje z Bzowskim dumni i szczęśliwi, jak para pawi, nie mówiąc już o Ojcu, który zawsze przepowiadał jej karierę malarską.

Czasem się kochają, czasem kłócą okropnie, w końcu następuje krach. Oto co pisze Lilka do Mamy mniej więcej po dwóch latach ich małżeństwa: Moje Momo ukochane. Władek wrócił antypatyczny z Wiednia. Widocznie mu Zosia i zacny Konstanty Br. znów zawrócili d...

Znów morały bez sensu słyszę, na Madzie bez racji żadnej jakieś „pudła” miota, na mnie to samo, jakieś nauki daje nam wszystkim że Mama nie powinna jechać do Krynicy dla tego „pudła Madzi” „bo nas nie stać na to” a sam w Wiedniu przez niecałe 2 dni puścił na nic 300 koron — i jeszcze il fait du mélo* czego najbardziej nie znoszę — powiada że robi sobie wyrzuty ile razy się uśmiechnie tak „cierpi za miliony” gada to, zajadając kiełbasę z babką — jednym słowem: małpa. Przy tym niedelikatnie postąpił wzywając mnie w sobotę bo dziś ma inspekcję i ja muszę siedzieć sama, chociaż już z dwojga złego wolę to — lepiej mi było zostać w domku — List Tata nie przyszedł — widocznie jakiś amator Kossaków zwędził go sobie na pamiątkę przy cenzurze jako cenny autograf. Jestem okropnie pokrzywdzona. Żeby to można było wiedzieć jak to długo jeszcze tego dobrego? Ach czemu mi Mama pozwoliła wyjść za tego jełopa!!! No mniejsza z tym.

To jest revanche za zbyt udułych rodziców. Po sto razy całuję Twa najdroższa Lili.

PS.

Niech Mama przyjmie do wiadomości że ani myślę tu zostawać. Żadnych ofiar z siebie robić nie myślę. Cóż to znów znaczy? dlaczego ja mam robić to czego nie chcę? Wolę by ten najlepszy Władzio miał krzywdę panie, nic na to nie poradzi Mama.

„Władek wrócił antypatyczny z Wiednia — pisze w tym liście Lilka — widocznie mu Zosia i zacny Konstany Br. zawrócili d...” Zosia to siostra Bzowskiego, która otrzymała „zaszczytną” posadę nauczycielki w wiedeńskim Theresianum i która tak samo jak jego druga siostra, Terenia—kanoniczka, lituje się nad biednym Władeczkiem, że tak się nieszczęśliwie ożenił... „Zacny Konstany Br.” to Brunicki; jak widać wciąż utrzymuje z Bzowskim bliskie stosunki i pragnąłby rozbić jego małżeństwo. W następnym liście, który nareszcie zawiera datę, a mianowicie 10.6.1917, Lilka, zdawałoby się, znów czyni wysiłki, aby „zaciągnąć oczka” pękającego małżeństwa. Jak z treści listu wynika, była w Krakowie i Mama zrozumiała do głębi jej małżeńskie kłopoty. Ale jako niewiasta święta prawdopodobnie nakłania ją mimo wszystko do zgody z mężem, jako że rozwodów w Kościele katolickim nie ma i jej ukochana córka może co najwyżej żyć z mężem w separacji. Co jej poradziła mądra matka — nie wiemy, ale po pierwszych zdaniach owego listu można przypuszczać, że trzyma stronę nieszczęśliwej córki.

Moje złoto. Nie mogę wytrzymać by zaraz nie napisać do Momo choć jeszcze nie ma co. Chciałabym niby wyrazić jak bardzo kocham Mamę, i jak dziękuję, że tak było dobre dla mnie, najmilsze moje zwierzątko, zwyciężając w sobie świętego na korzyść dobrego, co zresztą i tak wyjdzie w końcu na korzyść świętego, bo robi się wszystko co się przyrzekło, uważa?

... Cudowny czas — ale trochę za dużo czasu. Od jutra zaczynam się kąpać w Teplic, co mi nastroi nerwy na ton mniej krzykliwy... Za dwa tygodnie przyjadę w gorsetowych formalnościach... Śliczny pikowy kapelusz do sukni zrobił mi Zwieback.

Władzio grzeczny. Całuję Mamę z głębi serca, i bardzo przepraszam, że chciałam zaimponować nieszczęściami które nie są znów takie gigantyczne, na przyszły raz już nie będę. Proszę i to bezwarunkowo o list od Moma i Madzi inaczej stracę pantałyk i nic nie będę wiedzieć co się w świecie dzieje. Ściskam niezmiernie, i okropnie kocham Momo

„Przyjadę w gorsetowych formalnościach” pisze w tym liście. Widocznie jeździ do Berlina, do zakładu ortopedycznego dr. Hoffa, gdzie jej konstruuja co jakiś czas nowe narzędzie tortur. Cóż, trzeba cierpieć, aby być piękną. A Lilka chce być piękna i ukrywa defekt swojej figury z takim bohaterskim uporem, jak starzejąca się piękność — swoje lata.

Na całym świecie odbywa się wielkie święto Zawieszenia Broni. Kobiety witają swoich mężów i synów powracających z frontu. Płaczą ze szczęścia, nawet wówczas, gdy wraca mąż bez ręki i nogi lub syn amputowany do połowy. Tragiczne szczęście.

Żniwo tej wojny — a przecież wobec ostatniej wydaje się ona katastrofą jeszcze stosunkowo nie tak straszną, gdyż nie była skierowana przeciwko ludności cywilnej — widać na ulicach Krakowa, co

krok spotyka się żołnierzy o kulach lub z ręką na temblaku. Prowadzą ich z dumą młode krakowianki, spoglądając z pogardą na żony i narzeczone tych, którzy wojnę spędzili na zapleczu, w urzędach i kancelariach. Lilka nie ma więc powodu do dumy ze swojego Bzunia, on też sprytnie potrafił się wymigać od służby na froncie. Kłóćą się o byle co, dokuczają sobie wzajemnie, tym bardziej że Lilusia jest wojownicza i zaczepna.

Dochodzi do strasznej sceny, kiedy rozwścieczony Bzowski uderza w twarz swoją żonę! Uderzyć TAKĄ Lilkę w twarz — to wydaje się nam wszystkim podobnym świętokradztwem, jakby ktoś strzelił do ryngrafu z Matką Boską (co zresztą zdarzyło się w wiele lat później naszemu bratu Jerzemu, gdy urodziła mu się trzecia córka, kiedy i on, i cała rodzina tak pragnęli „czwartego Kossaka”). Nie pomagają przeprosiny i kajanie się nieszczęsnego męża, Lilka opuszcza męzowski dom i zapowiada, że jej noga więcej tam nie postanie. Mama, która sakrament małżeństwa uważa za nierozzerwalny, coś jak obłóczyny zakonnicy, i wierzy w groźną formułę ślubną: „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci”, stara się, jak może, skleić z powrotem to zupełnie pęknięte małżeństwo i ku wielkiemu oburzeniu Lilki, gdy Bzunio przyjeżdża do Krakowa na Kossakówkę, wstawia mu łóżko do pokoju starszej córki. Ach, ileż Mamy kuzynek pragnęło uciec od męża, a jedna wspólna nocka naprawiała wszystko i — jak powiada Boy w jednym ze swoich genialnych wierszyków — „koniec tej historii całej — nowy bąk za trzy kwartały”.

Lilka jednak okropnie zła na ukochane Momo, która biedna zapomniała na moment, że nie ma do czynienia ze zwyczajną zamężną córką, ale ze wspaniałym dziwołagiem, niespotykanym wybrykiem Natury, każe przenieść swoje łóżko do mojego pokoju.

Biedny Bzunio, od czasu tego haniebnego uderzenia Lilki w twarz cała rodzina, z wyjątkiem świętego Mamidła, traktuje go z milczącą pogardą, szczególnie Tatko, który prędzej by zamordował jakiegoś mężczyznę, niż kobiecie wymierzył policzek.

Ta jego „milcząca pogarda”! Pamiętam ją z moich dziecinnych lat. „Co wolisz, Magdzia — pytał, gdy coś poważniejszego przeszkobałam — dostać w skórę od mamy, czy ażeby cię traktował z „wieczną milczącą pogardą?”

— Wolę milczącą pogardę — odpowiadałam chlapiąc i pociągając nosem.

Ale to było bodaj gorsze niż dostać w skórę. Przychodzę rano na śniadanie z ukochanym Ojcem, rzucam mu się na szyję, on mnie bez słowa odsuwa od siebie.

Pytam go, jak spał? Milczenie głucho. Zapytuję, czy mam pójść do kuchni poprosić dla niego o jajecznicę? Milczy i zasłania się gazetą. Ta straszna kara trwała czasem tydzień, czasem dłużej, dopiero na interwencję Mamy i zapewnienie, że

„ona się już poprawi”, kara bywała pomału zniesiona.

Tę samą więc karę zastosował drogi a tak kochający Ojciec w stosunku do zięcia, który obecnie przebywał w Krakowie na Kossakówce. Zasłaniał się na jego widok gazetą i milczał.

Tatko miał filię swojej krakowskiej pracowni w Warszawie, do której Ignął

zawsze, i na karnawał sprowadził żonę z córkami do stolicy. Spacerowali jeszcze po niej pacholankowie Besselera, jako że wojna na Wschodzie nie była ukończona, i dziwnym może się wydawać, że Warszawka mimo to bawiła się i urządziła jak co roku karnawał. Dziewcząt było coraz więcej — a mamusiom chodziło przede wszystkim o to, aby je wydać za mąż — chłopców zaś coraz mniej... albo byli na froncie, albo też leżeli w szpitalach lub przebywali w sanatoriach. Mama Kossakowa nie miała już kłopotu ze starszą córką, panią Bzowską, ale chodziło o to, aby tę młodszą wydać za mąż, a tu poza starym jej adoratorem i konkurentem, czterdziestokilkuletnim bankierem Rothwaniem — nie widać było nikogo odpowiedniego. Chociaż wszystko było wówczas horrendalnie drogie, Mama sprawiła córkom piękne suknie w znanej firmie Herse. Lilka otrzymała błękitną krynolinę, a ja różową, w której wyglądałam jak aniołek z... diablikiem w oczach. Jeździłyśmy więc obie z Mamą wynajętą z remizy karetką na owe bale i rauty. O ile jednak ja bawiłam się świetnie, o tyle Lilka siadywała pod ścianą smutna i zgaszona. Nie była już „panną na wydaniu”, nie była jeszcze rozwódką, ani jakimś ówczesnym zaborczym „wampem” — więc nikogo specjalnie nie interesowała i jej też to snobskie towarzystwo nie porywało i nie bawiło. Do bawienia towarzystwa byłam ja, zawsze pełna werwy i humoru. O panią Bzowską nikt się nie troszczył, powinna była zdaniem starych ciotek sterczeć u boku męża, a nie włóczyć się za rodziną bez żadnego celu.

Bzowski postarawszy się o urlop przyjeżdżał do Warszawy na kilka dni i zastawał

Lilkę smutną, obojętną i coraz bardziej mu obcą. Nie tego po małżeństwie spodziewał się biedny Bzunio, który przez pomyłkę dostał się do rodziny artystów, w której jedyną normalną osobą była teściowa. Do mnie odnosił się z coraz większą niechęcią, domyślając się, i słusznie, jak sobie z niego w cztery oczy dworujemy i jak go obgadujemy ze smakiem. Ta sama zazdrość o siostrę powtórzyła się jeszcze raz w naszej rodzinie, gdy zaczęłyśmy się z Lilką nabijać z mojego męża Starzewskiego, który rozstanie ze swoim „Madziątkiem” przypisywał

zgubnym wpływom starszej siostry.

Przesiadywała więc Lilka często sama w zimnym, nie opalonym pokoju pensjonatowym, wiedła jak goździk w flakonie, któremu nie zmieniano wody i nie dosypywano cukru.

„Poezjo, pod twoją obronę” — pisała w wiele lat później na ponurej angielskiej emigracji.

Głęboki, wzruszający wiersz pt. Modlitwa, który wszedł potem w skład jej pierwszego tomiku Niebieskie migdały, może właśnie powstał w tej epoce. Warto go zacytować:

O pocałunku, któryś jest w niebie

razem z duszami bzu i jaśminu!

Krwi i bezsennych łąk gwiezdny synu!

O pocałunku, któryś jest w niebie!

O treści wszystkich myśli i czynów!

O upragniony mej duszy chlebie!

Tęsknoto wichrów! Bajko jaśminów!

O pocałunku, któryś jest w niebie!

Me smutne usta zwiędną w czas krótki,

a gdy z nich barwa oddana glebie

w amarantowe przejdzie stokrotki —

wówczas mi zagrasz twą pieśń skrzypcową,

zamkniesz mnie w obce wieczności słowo,

o pocałunku, któryś jest w niebie!

Cóż za filozoficzne myśli wychodzą spod pióra tej dwudziestodwuletniej kobiety.

„Me smutne usta zwiędną w czas krótki”! Myśl o śmierci, o przemijaniu wszystkiego, nawiedza ją zbyt często — i tylko ta smutna pociecha, że nic w przyrodzie nie ginie... Tkwi to w niej głęboko, wbrew jej późniejszym wierzeniom w wędrówkę dusz, w metempsychozę, w kolejne awatary, wynikłym ze studiowania religii hinduskiej i nauki jogów. W tym młodocianym wierszu odsłania swoje najtajniejsze przekonania, że nie ma nic poza życiem na ziemi, i że tylko miłość pozostaje jako jedyna prawda i jedyna pociecha. Z pobożnym lękiem unosząc rąbek czarnej zasłony, usiłuje zajrzeć w tajemnicę Tamtego Świata — ale kocha TEN

świat i TĘ ziemię! Widać to w jej późniejszym wierszu Ziemia, który nie ukazał

się w żadnym z jej zbiorków.

Ziemia leci. W rotacji, w elipsie, w postępie brnie w miękką nieskończoność. W długą nieskończoność wraz z całym gwiazdnym kluczem płynie w równym tempie noc przebijając głową, życiem uwieńczoną.

I czemuż jej nie przyznać, że do celu leci

jak żuraw, który sercem przemierza bezdroże,

krzycząc żurawim głosem tęskniących stuleci.

Ziemia, tęskniąca ziemia leci w jasną zorzę.

My na niej jak pająki, rude pasożyty

wgryzione pod jaskółki indygowo pierze.

Ona nas w drogę bierze. Nie cierpi lecz bierze i życiem naszym mierzy czas w drodze przebyty.

I będziemy wciąż na niej z naszymi oczami,

ustami i słowami, i smutkiem i krzykiem,

Gdy nagle wpłynie w cel swój wraz z nami — wraz z nami, A wówczas się zbudzimy w szczęściu wielkim, dzikim.

I zatrzyma się ziemia jak żuraw w Kairze.

Nadzieja zerwie z oczu przepaskę i klęknie,

i zagra pieśń spełnienia na swej złotej lirze — —

Będziemy w niebie z ziemią. Byłobyż to pięknie!

Czyżbyśmy się znużyli ziemią przeradosną?

— — Kto się zmęczył pięknnością ulubionej twarzy?

Kto miał dosyć Wenecji? Kto się znużył wiosną, lub słodkim pocałunkiem, nim go mróz powarzył?

W tej oazie wszechświata, w daktylowym cieniu, byłby śmiech nieskończony, czad jak po eterze, szaleństwo zastrzyknięte każdemu stworzeniu — —

Radosny każdy człowiek, mądre każde zwierzę.

Popędzajmy więc ziemię. Leć wielka jaskółko!

pogłaszczmy drżące ciało, rozpędzoną glebę.

Jeśli musisz, trać chwile na obroty w kółko

Lecz już doleć! I ja chcę się poznać z twym niebem.

GDY SIĘ MIAŁO SZCZĘŚCIE, KTÓRE SIĘ NIE TRAFIA...

Nasz wspaniały Tatko często w tym czasie jeździ do Zakopanego, gdzie ma swoją flamę. Jest to pewna piękna hrabina — wysublimowana, znawczyni sztuki, wielbicielka malarstwa Wojciecha i... jego sztuki kochania. Nie żyje z mężem, lecz stara się zachować pozory kobiety bez skazy — wzbrania się pokazywać ludziom sam na sam z tym znanym uwodzicielem, więc ja będąc w Zakopanem towarzyszę zakochanej parze. Wprawdzie rola przyzwoitki bardzo mnie nudziła, ale czegoż nie robiło się dla ukochanego Ojca!

Ten flirt był na najwyższym towarzyskim poziomie, zakochana para mówiła ze sobą albo po angielsku, albo po francusku i poruszała przy mnie wyłącznie sprawy dotyczące sztuki i malarstwa.

Piękna dama zajmowała się artystyczną oprawą książek i była tak oblatana w sprawach sztuk pięknych i literatury, jak to się rzadko zdarza. Osiemnastoletniej panience imponowała szalenie. Marzyłam, aby kiedyś, gdy wyjdę za mąż, być do niej podobną. Po wielu, wielu latach spotkałam kiedyś na ulicy ową piękną damę. Przypominała zasuszoną roślinkę, włożoną między kartki starej książki do nabożeństwa. Mól czasu zniszczył i stoczył ją kompletnie, miało się wrażenie, że przy dotknięciu rozsypie się. Ze starością nikt wówczas nie walczył, przyjmowało się jej objawy z chrześcijańską rezygnacją.

Ale to wszystko jest mało ważne, ważne było to, że Tatko, aby być bliżej swojej flamy, wydzierżawił od właścicielki „Mariloru” mały pawilonik należący do jej posiadłości, domeczek w stylu góralskim z obszernym stryżkiem, gdzie założył

sobie pracownię malarską. Domek ów przedtem zajmował inny malarz, Axentowicz i kazał sobie zrobić szklany dach. Na dole był duży pokój, który Tatko urządził

jak jakąś orientalną komnatę. Tapczany przykryte tureckimi dywanami pełne były przytulnych poduszek, a u sufitu wisiała mieniąca się tęczowo „lampa Aladyna”.

Kto tam wszedł, wiedział od razu, że ta komnata nie jest przeznaczona dla

„najdroższej małżonki”, ale dla cudzych żon. Cóż, Woj teczek był wówczas czterdziestokilkuletnim, szalenie przystojnym dżentelmenem, a przy tym znanym i popularnym artystą. Mężowie pięknych dam też z dwojga złego woleli, ażeby ich żony romansowały z Kossakiem, niż z jakimś chłystkiem, tym bardziej, że z owych romansów zawsze pozostawał mocno pochlebiony portret niewiernej, lub nawet szkic olejny przedstawiający pana domu na koniu. My obie z Mamą mieszkaliśmy w pensjonacie „Stamara” śmiesznej panny Budziszewskiej, która słynna była z tego, że spała obłożona kilkoma psami różnych ras i którą z daleka poznawało się po ujadaniu jej faworytów.

Słodkie życie Wojciecha, przypominające żywot tureckiego paszy, skończyło się nagle, gdy do jego garsoniery zjechał z żoną brat bliźniak Tadeusz, ojciec Zofii Szczuckiej. Po utracie majątku podczas działań wojennych na Wschodzie, Tadeusz pozbawiony był kompletnie środków do życia i musiał szukać azylu u bardzo słabo wówczas zarabiającego brata Wojciecha. Z żoną Anną zajęli pracownię na górze, gdzie stał mały piecyk gazowy. Stryj opowiadał mi później, że nie chcąc być dla brata ciężarem i nie mając żadnych dla siebie perspektyw, postanowił wraz z wierną małżonką popełnić samobójstwo. Tego dnia, kiedy to w nocy mieli zrealizować ową dramatyczną decyzję, Tadeusz spotyka na ulicy swojego sąsiada, tak jak on obywatela ziemskiego, który mu radzi, aby starał się o dzierżawę starego dworu na Śląsku koło Skoczowa, wraz z całym gospodarstwem. Informuje go, gdzie można otrzymać kredyty na dzierżawę tego majątku, i nawet oświadcza, że zna kogoś, kto może mu udzielić pożyczki na początek. Tadeusz nieraz potem wspominał owo niezwykle zrzędzenie losu.

Zamieszkali więc wraz z córką Zofią Szczucką, później Szatkowską, w majątku Górki Wielkie koło Skoczowa, gdzie Zofia urodziła kilka swoich wspaniałych powieści historycznych i dwoje dzieci. A zakopiańska, przytulna garsoniera Wojciecha znów powróciła do swojego artystyczno-erotycznego nastroju.

Ta mała dygresja potrzebna mi była do dalszego toku akcji — poznania przez Lilkę największej

miłości jej życia, Jana Gwalberta Pawlikowskiego, który mieszkał

przeważnie w Zakopanem, wraz z rodzicami i rodzeństwem, na Kozińcu, w wielkim dworzyszczu w góralskim stylu, projektowanym przez artystę malarza Stanisława Witkiewicza, ojca Witkacego. Wszystko w tym drewnianym dworzyszczu było na najwyższym artystycznym poziomie, ale dziwne i niepokojące, z tą skalną ścianą zaśnieżonych tatrzańskich szczytów naprzeciwko i górskimi wichrami, które zginały rosnące w ogrodzie sosny i świerki i nagle otwierały z trzaskiem drewniane drzwi rzeźbione w góralskie motywy. Mieszkańcy tego tatrzańskiego pałacu też byli bardzo dziwni, jakby żywcem wzięci z jakiejś powieści skandynawskiej. Stara matka, która wówczas wcale nie była stara, o pięknych, szlachetnych rysach, ale zgarbiona i zaniedbana, zawsze w jakichś burych wełniakach, czcigodny Jan Gwalbert Pawlikowski senior, cały zagłębiony w Królu Duchu Słowackiego i nie bardzo orientujący się w sprawach życiowych; w okularach, ze szpakowatą brodą, przedstawiał typ starego mędrca, chociaż miał

pewnie wówczas niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Starszy syn Michał, o typie Satyra, tłumacz, poeta i eseista, który zarządzał dobrami medycznymi i bardzo oszczędnie gospodarował, i córka Nusia, która w owej skandynawskiej powieści mogła być córką czarownicy. Nieduża, niezbyt zgrabna, miała piękną twarz, w której błyszczały niesamowitym blaskiem czarne, cygańskie oczy. Specjalnością jej było wyszukiwanie nieznanych chłopskich piosenek i śpiewanie ich tak urzekająco pięknym głosem, że męskie serca, można rzec, padały u jej stóp postrzelone i bezwolne. No i w końcu drugi syn, Jaś...

Noc, w którą Jan Gwalbert Pawlikowski senior zapoczątkował istnienie drugiego syna, musiała być niezwykłą nocą. Może to było po silnym ataku wiatru halnego, kiedy z gór splywa łagodne, pachnące powietrze, a roz pogodzony księżyc zagląda do okna sypialni? A może jakiś napływ czułości obopólnej? Coś musiało być niezwykłego, skoro się urodził syn tak niepodobny do rodzeństwa. Michał był

niezgrabny, Nusia też, a tu raptem jakieś bóstwo górskie. Natura wypieściła tę postać i wykończyła starannie, począwszy od prostych, kształtnych nóg, skończywszy na urzekająco pięknej twarzy okolonej pasmami kasztanowatych włosów (czesał się z przedziałkiem w środku). Oczy miał przezroczystoniebieskie, które raz błyszczały ciepłym blaskiem, jak jeziora górskie ogrzane słońcem, a innym razem miewały zimny spokój lodowców, który winien był trochę zaniepokoić zakochaną poetkę. Jak już pisałam w Marii i Magdalenie, ta para poznała się w kawiarni zakopiańskiej przez Hanię Pawlikowską, córkę Tadeusza, dyrektora teatru krakowskiego, i od razu zakochała się w sobie gwałtownie i piorunująco.

Listy miłosne, które do siebie pisywali, zachowały się. Dziś nikt już takich listów nie pisuje — minęła ta epoka. Majakowski podpisywał się w listach do ukochanej: „Twój Szczeń” — Lilka w listach do Jasia „Szczur” albo „Twój Szczurek”. Czy nie wyrażna zbieżność? Majakowski żarcikami i humorkiem odciąża cza; sem wagę swoich gorących miłosnych słów. Lilka tak samo lubi między słowa niebotycznego uczucia wplątać coś ogromnie śmiesznego, jak na przykład: Kocham ten zbytek i nadmiar którym mnie obdarzasz. Przecież mógłbyś choć tak cudownie nie pisać! Dziękę korną przyjm Panie za świntucha w kwiatki. To moja droga pociecha.

Pamiętam „świntucha w kwiatki” — była to skarbonka gliniana w formie świnki, w góralskie

motywy, która długi czas stała na Lilczynym biureczku.

Mój jedyny [pisze znów kiedy indziej Lilka] Gwalbercie prześliczny i najmiłszy!

słoniku! bramo niebieska! ucieczko szczura!

Czasem jednak aż zachłystuje się uczuciem:

...Ja Cię Jaśku chcę mieć więcej jeszcze — jeszcze bardziej — choćby jeszcze okropniej — Chciałabym ofiary dla Ciebie, naprawdę ofiary, bólu potwornego potrzebnego dla Twojej rozkoszy... Czemu nie mogę w objęciach Twoich umrzeć wśród śmiertelnych dreszczów, by poczuć się w Tobie — Tobą, nakryć mą duszę twoją duszą jak Ty moje ciało — całować ją straszliwie i słuchać jej szeptów — — — a po długiej, długiej takiej chwili wracać z wolna w siebie — Czemu nie mogę czuć krwi mojej przelewającej się w Ciebie. Oddać ci ją — oddać do ostatniej kropli a w zamian wziąć Twoją... Tak sobie wyobrażałem dawno bardzo, gdy byłem mały, małżeństwo...

Ach! wynajdź mi jakąś mękę okropną, każ mi ją znieść posłusznie, bez jęku. Każ mi czasem być niewolnicą tylko niewolnicą, szczęśliwą, ach jak szczęśliwą —

Ciebie jednego uznaję nad sobą. W Ciebie jednego wierzę — i Ciebie też jednego kocham nad własne zdrowie, nad własną duszę, i nad własną piękność — jak dziecko swoje. Wstyd mój, przez Ciebie zadany graniczy z uczuciem dumy szalonej — Dumną jestem gdy nas bliżej o krok bliżej przysunie ku sobie jeszcze godzina — Dumną będę jak żaden zwycięzca ni żaden potentat świata nigdy nie był gdy zostanę Twoją — Ach Jaśku Jaśku, Twoją! Jaś, czy ty sobie zdajesz sprawę co znaczy być kobietą — co znaczy czuć w sobie ciężar prawego pana — Umiłowanie najśłodsze cisnąć do piersi, drzeć w jego władzy strasznej —

Ach Jasiu, ten nasz zamek, ten zamek! siły mi brak na słowa — nie wiem —

Stałam się małą, malutką i wątłą z własnej woli. Chcę być samą pokorą, samym poddaniem się i uległością. Ach jakże bardzo jestem podstępna, przewrotna Ja, potęga nad potęgami, kobieta — — ja, siła prawieczna, ja dusza rozkoszy obłąkanej — —

Ach Ty, świecie mój — Ty Boże mój — i mężu — Przebacz mi małe i niegodne słowa, Ty myśli najwyższa, geniuszu skrzydlaty i przeczysty — Przebacz mnie, potędze ślepej jeszcze, i nieokielzanej. Prowadź mnie, prowadź wysoko, ucz, rozwijaj — —

— W ręce Twoje oddaję duszę moją — — —

Jasiu, Jasiu! nic już nie ma we mnie prócz imienia Twego wołanego całym ciałem, całą duszą — — Jakiś Ty wielki, że ja Cię mogę tak kochać — Jakże ja wielką być muszę że Ty mnie pożadasz! (Pamiętaj dać mi tę potarganą poduszkę z falbankami muszę ją mieć!)

W liście tym pełnym gwałtownej, egzaltowanej miłości Lilka wspomina zamek. Ten zamek to Wawel, wtedy jeszcze zdewastowany i poniszczony przez Austriaków. Tam, w opuszczonych, pustych królewskich komnatach, Tristan i Izolda przeżywali godziny wielkich miłosnych wzruszeń. Modna wówczas była „dusza”, o której pisali poeci i wszyscy w nią wierzyli. „Dusza? Cóż to za taka

część ciała?” — mogłoby paść pytanie z ust dzisiejszej młodzieży. — „I czy dałoby się ją przeszczepić, tak jak serce?” Według religii katolickiej człowiek składa się z duszy i ciała.

Dusza po śmierci idzie do czyśćca, piekła lub nieba, według tego, jaki żywot prowadziła za życia. Lilka wierzyła, że nie tylko człowiek ma duszę, ale i wszystko, co żyje. „O pocałunku któryś jest w niebie razem z duszami bzu i jaśminu...” — pisała w zacytowanym wyżej wierszu. Pawlikowski nie pozostawał jej dłużny, jak chodziło o ową duszę. Oto fragment jednego z jego listów, listu poety do poety:

Ty wiesz, że zrozumieć, milczenie, znaczy zrozumieć duszę. Duszy wypowiedzieć niepodobna, niepodobna, chociaż każde uczucie ma swoją nazwę.

To co jest we mnie, nazwy nie posiada — może się zwać każdym mianem i żadnym się zwać nie może — Duszy wypowiedzieć niepodobna — tak jak niepodobna wypowiedzieć Ciebie.

Więc kiedy mi się urwie zdanie — nie będę trwożnie szukać słów, bo Ty będziesz wiedzieć, o czym milczę. Chcę patrzeć w Twoje oczy długo, nieskończenie długo i chcę rozumieć wszystko.

Chcę wiedzieć skąd i jak Cię Bóg stworzył i chcę znać Twoją długą drogę i zadowolić odwieczną moją tęsknotę: słyszeć o tym wszystkim, czego nie wiem o sobie. Przez Twoje oczy widno nieskończoność i cud życia — jak widno z głębokiego szybu jasne niebo nad otworem kopalni — Powiedz, czy wiesz o tym, że są słowa, które starczą, aby cały świat przeważyć na szali? Czy wierzysz w to, że jest jedno słowo, nigdy nie powiedziane, słowo, które sobą tłumaczy cały świat?

Czy wierzysz, że jedna połowa tego słowa jest u Ciebie, a druga u mnie i że nigdy, przenigdy wypowiedziane nie będzie? Ja wiem, że znasz to słowo nie wypowiedziane nigdy ludzkimi usty i kocham Cię. Kocham Cię, bo Ty jedna wiesz, jak cudne jest życie...

Z każdym dniem, z każdym nowym przeżyciem, z każdym Twoim słowem uczę się Ciebie coraz lepiej. Zdaje mi się, Najdroższa, że Cię przez całe życie będę poznawał, a wraz z Tobą moją własną duszę, która przecież już niczym nie jest, jak jedną miłością Ciebie...

Szczęśliwa Lilka! Takie listy otrzymywać! Tak mógł pisać Romeo do Julii. Jej zamówienie u losu na idealnego kochanka, który by grał z nią długo w miłosnym duecie — ona na fortepianie, on na skrzypcach namiętne sonaty i nokturny —

zostało spełnione, otrzymała go poetka w osobie Jasia Pawlikowskiego. I cokolwiek potem uczynił, jakkolwiek zranił jej serce, winien pozostać w naszej pamięci jako ten, który ją na pewien czas uczynił najszczęśliwszą, najbogatszą kobietą w świecie. Chodziła dumna i szczęśliwa, obwieszona — jak królowa kosztownymi klejnotami — słowami wielkiej miłosnej, pasji, które otrzymywała w jego listach.

Mało to się naprosiła Boga w swoich panińskich wierszach — pisanych w roku 1911

i 1912 — o takiego właśnie kochanka! Oto jej wiersz pod tytułem Jeśliś jest prawdą...

Jeśliś jest prawdą przyjdź do mnie bez słów

i weź w twe ręce wszystko co dać mogę

lecz jeśliś snem jest pośród innych snów

och! to samotną puść mnie w dalszą drogę.

Czy wiesz co znaczy być jak biały bez,

który ku słońcu wypręża się cały

i tak już za nic nie chceć więcej łez? —

Patrz na me oczy — one już płakały —

Prawie w każdym z jej panięskich wierszy jest pokorna prośba do Boga o wielki cud miłości wzajemnej, jak również powątpiewanie, czy jej prośba zostanie spełniona. Po drodze do tego cudu serce poetki nie traci jednak czasu i próbuje kochać.

Oto śliczny wiersz pisany pod urokiem starego drewnianego kościółka przy szosie Zakopiańskiej:

Stary kościółek modrzewiowy —

dzwonnica, ganek i kopułka —

Ma w sobie coś z siedzącej sowy

a tak serdeczny jak jaskółka...

Godny jak dziad co był w powstaniu

a lipy modłę szepczą złocą —

i człek by tu się w ust drganiu

modlił gdyby miał jeno o co...

Mieć jeszcze łez i pragnień tyle

by móc tak zebrać jak bywało...

za jedną tę najświętszą chwilę

weź mi ty Boże dolę całą.

I przeszła chwila... i daremnie

szukać nadśmiertnych w niej bezgranic

dobry ten Pan Bóg, że ode mnie

nie przyjął wtedy życia za nic.

Jaś w przeciwieństwie do Lilki pisze czasem listy nie nastawione na tak wysoki uczuciowy ton jak jej, która w żadnym liście do niego nie zapomina, że jest poetką, chociaż nie przypuszcza, aby owe listy mogły być kiedykolwiek czytane nie tylko przez niego.

Lilusiu złoty i jedyny! [pisze ze Lwowa w r. 1918]. Wyjechałem nareszcie z Krakowa. Prosto od Ciebie poszedłem na kolej i sobie miejsce znalazłem, i ślicznie zajechałem, podczas kiedy Ty sobie spałaś. Od razu na wstępie miłe mnie rzeczy powitały. Chwilkę po mnie przyszedł listonoga i przyniósł Twój list z Zakopanego i zwolnienie z ministerium. Telegrafowałem Ci też o tym zaraz. Teraz sobie siedzę u siebie przed Lilczurowymi papierasami i sobie czytam je. I myślę o Tobie, ale nie jest mi smutno. Może to zwolnienie (n.p.u.)* pomogło do poprawienia humoru. Nie wiem jeszcze, czy przyjadę, tak jak mówiłem, ale wiem przynajmniej, że każdej chwili mogę do Ciebie wrócić... Następnie chciałbym, jak to mówiłem, wystarać się w Krakowie o dowody mego fizycznego niedomagania na wypadek służby...

Wiesz Dzieciusiu najmilszy, że mimo tego gadania kanonikowego jestem dobrej myśli. Po prostu nie chce mi się w głowie pomieścić, aby to, co się pod tak widoczną opieką losu stało i szło, mogło się tak prostacko załamać przez jakiegoś klechę. Musi być tak, jak mówiliśmy, prawda? Wolałbym, żebyś się poprawił na lepszym powietrzu niż Kraków — taki krótki pobyt w Zakopanem, do 15-

go, niewiele by pomógł. Może byś przecież pojechał zaraz z Władkiem*, a ja tam przyjadę trochę później. Ty tymczasem Ojca namów, żeby dłużej trochę został. A może nam już rzeczywiście pisane nie być w Zakopanem, aż razem już? I to na Kosińcu — a nie mogę sobie wyobrazić siebie na Kosińcu samego. Nie chcę tam być bez Ciebie —

Ściemnia się — jestem tam Malutka u Ciebie. Spłynie mi te parę dni nudno i bezbarwnie. Myślę pisać tę rozprawkę nad grafomanią i Mniszkówną. W zjadliwości i wysileniu dowcipu w tę stronę prędzej mi przejdzie czas tutaj. A także jeszcze coś muszę napisać! Jeszcze coś, co ci chcę przywieźć. Daruj więc, jeżeli co dzień listu Ci nie pošlę, Malutka! Wierz mi, że i bez tego tylko o Tobie myślę i tylko dla Ciebie wszystko robię!

... Stary mój dostanie dziś Twoje fotografie do oglądania, bo się bardzo dopytuje jak wyglądasz. Wolałbym przecież, żeby Cię samą zobaczył. Może przecież pojedzie do Zakopanego. Jakoś go tam lub w Krakowie muszę z Tobą poznać... Szurku mój! Co tam robisz? Proszę bardzo nie nudź się beze mnie. Jeżeli pomyślisz o mnie, to tylko wyobraź mnie sobie piszącego dla Ciebie bajdy i cieszącego się na to, jak Ci je będę czytał. Okropnie bym chciał mieć dowody, żeś i Ty się nie nudził...

Posyłam Ci ten list krótki i dość węzłowaty i przyznaję, że mi go spieszno ukończyć. W tej chwili zabieram się do innego pisania, które będzie z pewnością o wiele, wiele ciekawsze. Ła—pięta Twoje całuję i tulę złotą głowinę. Czekał mnie niedługo i myśl o swoim zdrowiu, Malutka, na którym

mi tak strasznie zależy!

Twój Gwalbert

W tym liście uderza nas kilka rzeczy. Przede wszystkim owo „gadanie kanonika”. A więc już się rozpoczęły starania o unieważnienie małżeństwa, a ojciec narzeczonego nawet nie wie, jak przyszła synowa wygląda... Na owe czasy wypadek zupełnie odosobniony. Poza tym Jaś widocznie jeszcze mało zna Lilkę, kiedy pragnie dowodów, że „i ona się nie nudzi”. Kiedy to Lilka potrafiła się nudzić?

Albo maluje swoje akwarelki, na których często oni oboje, para gwiazdnych kochanków, wirują wśród gwiazd i planet, albo pisze wiersze, albo też, gdy jest pogoda, jeździ ze mną na rowerze do ukochanych przez nią Bielan. Siada na trawie i pilnie obserwuje życie mrówek, które ją specjalnie interesują. A w kilka lat później pisze swoją fantastyczną sztukę Mrówki, ukazuje w niej tragedię uskrzydłych kochanków, którzy po małżeńskich godach padają martwi. Ta znakomita sztuka była grana tylko w Krakowie, w Teatrze im. J.Słowackiego i z niewiadomych przyczyn nie ukazała się na żadnej ze scen warszawskich. Była widocznie za dziwna na gusty płytkiej, lubiącej wyłącznie lekkie komedie publiczności warszawskiej.

W życiu Lilki też działy się rzeczy dziwne i niesamowite. Przypominam sobie np.

takie zdarzenie: Siedziałyśmy sobie kiedyś na leśnej polance, z której roztaczał

się wspaniały widok na podkrakowskie okolice. Był wtedy z nami nasz brat Jerzy, który — jako zagorzały myśliwy — dzierżawił sobie w tych okolicach kawałek terenu myśliwskiego. W myśliwskim stroju, z „flintą”, Jerzy usiadł koło nas pełen morderczych myśli — nie pamiętam, co się wówczas strzelało, zające czy kuropatwy. W pewnej chwili na jasnym niebie zaczęły się zbierać jeszcze niewinnie wyglądające chmurki. Wówczas Jerzy wyciągnął pięść ku niebu i zaczął

brzydko przeklinać Stwórcę, że mu psuje polowanie. Wtem — huk, trzask, błysk, i o kilka metrów od niego padł piorun. Można rzec — „piorun z jasnego nieba”.

Jerzy, czyli Koko, jakeśmy go nazywali, zbladł, strzelba wypadła mu z drżącej ręki. Lilka zaśmiała się złowieszczym śmieszkiem: „Widzisz, Jureczku, nie wolno przeklinać Boga. To jeszcze bardzo uprzejmie z jego strony, że cię nie trafił”.

Powróćmy po tej naszej dygresji do listu Pawlikowskiego. Jaś nie wierzy, aby bez niego Lilka mogła się nie nudzić. Widać również z tego listu, że bardzo jest przejęty własną twórczością. Pisze poezje, jakieś impresje, a później doskonałą Bajdą o Niemrawcu. Dla psychologa byłoby dużo ciekawych miejsc w owym liście, jak na przykład nazywanie ukochanej „Malutką” i „Dzieciusiem”. Na pozór nic to nie znaczy, pieszczotliwa nazwa. A jednak, czy nie czuje się w tym zdrobnieniu, że podświadomie pragnąłby, aby ona była tą „malutką” — a on tym „wielkim”? Pod tym względem Jaś nie różni się od innych mężczyzn. Wyśmiewaliśmy się z moją siostrą z popularnej powieści Szpyrkówny Będziesz maleńką (jak i z jej zwrotów w artykułach w „Bluszczu”, np. „kobieta dzisiejsza stanęła z mężczyzną w odwrotnym kierunku”). A przecież samo założenie nie było takie znowu głupie, nie ma prawie mężczyzny, który by nie pragnął górować nad kobietą, nawet najbardziej twórczą i niezwykłą. Zdaje się, że uroczy Jaś będzie miał przez cały czas swojego

pożycia z Lilka ów kompleks niższości, który zwykle objawia się chęcią wywyższenia się.

Nie pomoże, że Lilka w swoich listach nieraz czyni się „maleńką” i duchowo klęczy przed nim.

Oto jeden z takich jej peanów miłosnych:

Jasiek najmilszy! Życie moje! odrywam się od myślenia o Tobie by pisać a tak mi się dobrze myśli leżąc sobie na leżaku w ogrodzie — Tylko wciąż to samo.

Przebacz mi najdroższy jeśli Ci nic nowego nie powiem. Kocham Cię bezgranicznie

— W samotności wzywam się w nasze uczucie — zagłębiam się w niesłychaną jego tajemniczość — bo powiedz Jaś czy była dotychczas kobieta którą by na myśl o połączeniu się z kochankiem ogarniał dreszcz mistycznej prawie grozy? Miłość nasza Jasiu wynosi mnie tak wysoko, tak daleko od ludzi — tak mnie zabezpiecza na zawsze od nich, od ich brudu i „Iwowszczyzny” jakieś to dobrze określił, od ich śmiesznośtek i głupstw nudnych i śmieci — Naprawdę całkiem jakbyś mnie zaniósł na rękach w niedostępną dla wszystkich prócz Ciebie, zieloną dolinę, bronioną murem szczytów niebotycznych. Jestem wciąż sama z Tobą, siedzę na Twoich kolanach, gładzę Cię po włosach, wdycham Cię, Ciebie w którym nic nie ma niepodobnego do mnie, nic innego — a przecież wszystko jest rozkosznie różne.

Jakaż to łaska że Ty, tak kochany, piszesz: „jakże szczęśliwą jesteś Malutka że ja Cię tak kochani” Ach tak, niemożliwe nam się dostało!

Bośmy go też chcieli, wytrwale i uparcie, choć nam do rozsądku przemawiało życie Chcieliśmy Wielkości, szaleństwa niezmiernego — i zlitował się Bóg nad dwojgiem wariatów, dał nam czegośmy chcieli — otworzył nam oczy na siebie. Teraz się podparł i patrzy na ciekawą mękę szczęścia, na wyrafinowaną, niewidzianą rozkosz

— rozkosz zbyt straszliwą, zbyt grzeszną i zbyt świętą — niedozwoloną ludziom słabym, ciemnym i chciwym na wszystko inne. — Pomimo ciągłego przebywania z tobą cudem mi się zdaje to że Cię zobaczę najdalej za tydzień — że ujrzę oczy Twoje, twarz — że poczuję objęcie Twego ramienia już nie we śnie — — Dziwne to i niesłychanie radosne. Czy rozumiesz moją wielką krzywdę że do mnie pisać nie mogłeś? Powiedz, a ty cieszyłeś się może z tego? może by Ci się nie chciało? W

ogóle co ja mogę wiedzieć o Tobie i o tym co Ty myślisz o mnie teraz? — może już nigdy nigdy nie napiszesz, że przyjedziesz i będziesz udawał że mnie nie znasz —

a ja się nigdy nie dowiem, dlaczego? Jasiu, Jasiu mój najdroższy, żabo moja w zielonym ubranku wypasiona i odchowana, wierzę Ci niezbiecie, kocham cię też niezbiecie, i całuję Cię wszędzie, wszędzie na oślep —

Musimy jeździć na rowerze i spotykać się aż na Bielanych, dobrze? a na zamku byłam teraz i nie więcej tam ludzi jak zwykle.

Lilka żyje w oczekiwaniu na upragniony rozwód kościelny. W owym czasie otrzymanie takiego rozwodu przedstawiało szalone trudności i wymagało olbrzymich pieniężnych wkładów, jak również

i... kłamstw. Pisze o tym dokładnie i wspaniale Boy w swojej książce *Dziewice konsystorskie*, która narobiła dużo szumu i była umieszczona przez Kościół na indeksie. Nieoceniony kochający Tatko działa, jak może, swoimi wpływami, przekupuje adwokatów, maluje portrety, wydaje na ten cel mnóstwo pieniędzy i gdyby nie on, ta zakochana para nigdy by się nie doczekała rozwodu kościelnego. Rozwody istniały wówczas tylko dla ludzi, którzy mogli rozporządzać dużymi sumami pieniężnymi i mieli znajomości wśród kleru.

Dla unieważnienia kościelnego małżeństwa istniały tylko dwa powody: *non consumatum* i małżeństwo pod przymusem. Lilka musiała więc udawać dziewicę, opuściła Bzowskiego i przeniosła się do rodziców. Prawa były jednak tak katońskie, że kler nie mógł się dowiedzieć, iż do opuszczenia męża przez czystą dziewicę doszło pod wpływem jakiejś „grzesznej miłości”, i gdy proces się rozpoczął, Pawlikowskiemu wstęp na Kossakówkę został surowo wzbroniony, czego rodzice Lilki bezwzględnie przestrzegali. Jak widzimy z jej listu, który przytacza, Kościół robi jakieś nowe trudności.

Gwalbercino jedyna. Mało dziś napiszę bo taki jestem zły i smutny co cud. Ten Buzdygał* telefonii że mu to samo powiedziano co i Bogdaniemu w konsystorzu —

zaszły jakieś nowe urzędnicy, papież puścił bullę przeciwko załatwianiu takich rzeczy przez nuncjusza. Sto dyabłów zjadło! Weźmy ślub cywilny a to niech sobie do rzymu idzie — a potem jak przyjdzie to pogadamy, chyba tak; albo bez awantur grzecznie, poczekamy jeszcze ze trzy miesiące... Nie mogę Jasieńku, smutek mnie zalewa taki okropny — — żebyś choć tu był i ze mną razem brzęczał, ale tak...

najmilsze kochanie przebac mi że tyle masz udręczenia z mojej winy, gdy o tym myślę że każdy mój list od kilku dni tylko ci zmartwienia nowego przyczynia...

Lilka pisze: „weźmy ślub cywilny”, ale o ile pamiętam, do ślubu cywilnego też trzeba było mieć unieważnienie kościelnego małżeństwa. A jeśli mogli wziąć ślub cywilny, to dlaczego tego nie zrobili? Chyba ze względu na rodzinę. Mama nie uznawała małżeństwa cywilnego i uważałaby taki związek swojej córki za życie „na wiarę” (odpowiednik dzisiejszego określenia „na kocią łapę”). Okres, w którym Lilka oczekuje zezwolenia na rozwód i może się widywać z ukochanym tylko ukradkiem, jest najszczęśliwszy chyba w jej życiu. Żyje w miłosnej euforii, oczekuje owego cudu... Zapomina o naszych dziecięcych nocach przed Gwiazdką lub Św. Mikołajem, kiedy to przewracając się z boku na bok marzyło się o otrzymaniu takiej lub innej zabawki. A gdy pod rześisto oświetlonym drzewkiem leżał już duży pakiet z upragnionym przedmiotem i niecierpliwie rozwiązywało się sznurki, aby wziąć w ramiona urzeczywistnione marzenie — czar pryskał i nawet płakać się chciało, że to... tylko to...

Lilka marzy o Jasiu w dzień, śni o nim w nocy, nic innego ją już nie obchodzi, oczywiście poza jej miłosnymi poezjami, których wybór do pierwszego tomiku będzie układała wraz z ukochanym.

Oto co pisze w jednym z listów do niego:

Myślałam wieczorem co byłoby z Tobą beze mnie. Czy naprawdę geniusz Twój miłosny nie znalazłby sobie innego ujścia, tak jakby było z wielkim mistrzem który w braku środków stwarza

arcydzieło węglem na murze? Czy też ja jestem tak ściśle związana z Twoim istnieniem że nie mogłoby mnie nie być tak jak nie mogłoby być bijącego serca bez krwi? Pewnie tak. Ja rozumiem to już teraz dobrze że Ty nie jesteś cudem w moim życiu przypadkiem szczęśliwym ale właściwością mego życia, Ty to ja, to wynik mnie samej, to wszystkie moje upodobania, wartości idee, porywy i uparte pragnienia — Ale dlaczego tak się stało logicznie i konsekwentnie na tej ziemi tak niepoczytalnej, tak gorączkującej, bezładnej — Czy to wielkiemu rozumowi zawdzięczamy, czy chaosowi, anarchii świata w której wszystko może mieć miejsce?... Ty i ja to konieczność oczywista, to zaspokojenie najbardziej palących pragnień, głodu krzyczącego do nieba — Jakież złe mamy pojęcie o życiu skoro patrząc na nie, z osłupieniem ważymy w rękę dobry jego dar — Przecież ono ma wciąż ucho zwrócone ku poszeptom swych stworzeń — ...Widać inni pragnąć nie umieli tak ani żądać — usłyszało nas, i dało nam potrzebny naszemu gatunkowi przywilej, Jak ja bredzę głupio! prawda? Kocham Cię okropnie. Więcej tego jest jak mnie samej... Pisz pan do Idalci, już wie; masz pisać! Całuję Jasieńka bardzo.

On.

Po tych pięknych filozoficznych zdaniach o życiu, nagle: „Pisz pan do Idalci”.

Idalcia to żona Tadeusza Pawlikowskiego, aktorka „z domu”. Zaczyna dama przechowywać korespondencję obojga kochanków, którym nie wolno nawet jawnie pisywać do siebie listów. Dziwne to nam się wydaje — czyżby aż tak daleko sięgał

wywiad księży. I dlaczego tak im zależało, aby ludzie, którzy się kochają, nie mogli się pobrać, choć tego oboje pragną? Z drugiej strony życie „na wiarę” uważane było za ciężki grzech. Nasz kochający Tato bacznie pilnuje, aby ta miłość pozostała tajemnicą do dnia otrzymania rozwodu. Doprowadza tym nieraz Lilkę do rozpacz.

Oto co pisze do Jasia:

Tatko mnie zanudza — i po co zmieniać ciągle zdanie — najpierw przystał na ten Koziniec a potem znów nie — Wyjadę, nie wytrzymani tu — Wiem że to wszystko dla naszego dobra, ale niemniej odczuwam to jak tyranie i prześladowanie... Odpisz mi czy nie moglibyśmy spotkać się dziś jeszcze między czwartą a szóstą, może w jakim kościele? np. na Górcie? albo w tym drewnianym?... Całuję najmilszą główkę moją i tulę do siebie.

Jaś nie potrzebuje już Lilki nazywać „malutką” i „dzieciną”, ona sama w wielu listach do niego z tego okresu pomniejsza się, unieście, klęczy u jego stóp:

„Moje serce płacze, mało nie zmiro, że się moja krasa darmo poniewirowa” Tak Jaś, ponieważ się, czuję się nic nie wart, słaby, smutny

... Chcę Cię, chcę życie moje... — chcę spojrzeć w Twoje oczy, ręce Ci całować, klęczeć u nóg Twych kochanku, kochanku mój — Tak pragnę Twych pieszczot, rozmowy z Tobą tak strasznie pragnę — W Tobie i przez Ciebie przecież jedynie jestem

— Tyś mnie stworzył z niczego — mogę być jaką chcesz jeszcze, jam gliną najmniejszą w Twym

ręku. Tak jestem zmęczona bez Ciebie...

Wicher się jakiś niezwykle zerwał, ogród wygląda jak jakie pobożowisko, drzewa oszalały i żyją tak jak ja przez Ciebie, przez Twoją obecność — dają się łamać w upojeniu... Kiedyż nadlećisz nareszcie wichuro młodzieńcza, kiedy mnie uniesiesz na słodkie z Tobą gody — Czy Jaś jest dumny, że wzbudził w tej niezwyklej kobiecie tak wielkie niespotykane uczucie, taki ogrom miłości? Chyba tak, i jak słowik na nawoływania samiczki odpowiada jej podobnymi trelami.

Rozwód cywilny już jest [pisze w jakiś czas później Lilka], tylko go przyślą tu za dni parę, ale jestem już wolną jak ptak. Nie pozwolę się też już nikomu nazywać tak jak nie lubię. Jak to będzie cudownie otrzymać ten papier — Jaśku!

No, zobaczymy czy i z tamtej strony nie będzie jeszcze jakiejś niespodzianki przyjemnej — bądź co bądź Rzym to trzy miesiące... P. Małachowska mówi, że to pewniejsza droga jak się narażać na przydługie gędzenie naszych klerykałów.

Widać po tym, co pisze, że jej adwokat pojedzie do samego Rzymu, aby sprawę przyspieszyć.

W dalszym ciągu listu przejawia się u niej już pewna tęsknota za cygańskim życiem miłosnym, które prowadzili:

Tak tęsknię czasem do tego byśmy znów nie mieli dachu nad głową — w domu tak ciasno* dom nigdy nie był nasz — w kościele było tak odpowiednio, fioleto, złoto i ciemno, tajemniczo i cicho... Tak szczególnie to odurzające, święte, czyste milczenie, w którym się słyszy gadanie dusz — i jęki rozkoszy —

Tam musimy przyjść znów razem, Ty w Twoim futerku czarnym, w zimie gdy nas będą mogli nawet i zamknąć razem na psa urok. Dom jeden na świecie to Koziniec.

Dziwne to że ktoś tam może mieszkać tak obojętnie jak w każdym innym domu — bez tego św. wzruszenia które ja mam zawsze gdy na niego patrzę. Wyobraź sobie że Madzia leży chora, co jej bardzo szkodzi na zdrowiu, ma Hiszpana* ale strasznie namiętnego — — Niam niam, zwierzęcie całuje Gwalbercinę w nos. Przebacz że tak kleksie, ale piszę na łóżku pod lampą...

Ślub Marii z Kossaków, primo voto Bzowskiej, z Janem Gwalbertem Pawlikowskim odbył się w jednej z bocznych kaplic katedry na Wawelu. Dlaczego właśnie tam?

Może aby usankcjonować, uświęcić ich tajemne schadzki w pustych komnatach zamku wawelskiego? Tak sobie Lilka życzyła, Jaś, ze swoimi równo na karku przyciętymi włosami a la paż, klęcząc przed ołtarzem wyglądał jak renesansowy młodzieniaszek pasowany na rycerza. Lilka w jakichś fiołkowo-liliowych gazach, drobna i pastelowa — jak mała księżniczka z ilustracji do bajek Andersena, pędzla Dulaca.

Gości było mało. Najbliższa rodzina państwa młodych i trochę przyjaciół.

Przyjęcie weselne na Kossakówce raczej skromne. Wówczas, po wojnie, ceny były na wszystko szalenie wysokie, dewaluacja pieniądza pogłębiała się z każdym dniem, a rodzice „pani młodej”

wykosztowali się i zadłużyli na przeprowadzenie rozvodu kościelnego. Lilka nie otrzymała tym razem prezentów ślubnych ani wyprawy.

Rodzice obojga młodych uważali zresztą, że „miłość wszystko wybaczy” (i za wszystko inne starczy), wybaczy brak nowych sukienek, kostiumów, płaszczy...

Gdy szłam do ślubu z Bzowskim — skarżyła mi się Lilka — bez prawdziwej miłości, to dostałam wspaniałą wyprawę, dużo nowych sukien i bluzek, a teraz, kiedy tak pragnę podobać się mojemu Jaśkowi, to nie dostałam nic i będę musiała donaszać stare rzeczy.

Wśród gości, którzy zjawili się na owym skromnym bankiecie weselnym, byli koledzy Lilki z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, do której pilnie uczęszczała aż do dnia ślubu: piękny i uwodzicielski Fedkowicz oraz Eibisch, obaj utalentowani uczniowie prof. Weissa. Innych kolegów nie zaproszono, ponieważ „nie byli dość dobrze ubrani”, więc Mama ich sobie nie życzyła...

Lilka przed ślubem pisze do Jasia w ten sposób: Czym ja Cię wynagrodzę najukochańszy ptaszku za to coś przecierpiał? Będę ładniejszy, słodszy i ciekawszy, będę Cię całował lepiej i mądrzej — będę pachniał gwoździkiem który znalazłam cudownym; będę miał pończochy o jakich nie słyszałeś nigdy; Będę czasem głupi jak teraz a czasem dziwnie inteligentny —

zobaczysz. Tymczasem, jako że iść już muszę, kłaniam się do Ciebie miły Panie i całuję pod każdym względem. Mary a Kawalerowa.

Lilka, która dotychczas zarabiała nieźle sprzedając swoje akwarelki, a której po ślubie Jaś stanowczo zabronił „kupczyć sztuką”, chodziła bez grosza. Inaczej sobie to wyobrażała, pisząc w jednym ze swoich listów do Jasia: Zrobię się ładna, rozpuszczę włosy i stanę w oknie otwartym. Wyciągnę ręce ku Tobie i wychylę się cała w Twoją stronę jak nikotiana do księżycy. Tęsknota do Twojej bliskości i Twego całowania przebija mnie...

Dziękuję Ci, na klęczkach Ci dziękuję za każdy pocałunek każdą godzinę od czasu gdy jestem Twoją, każde słowo, za uśmiechy Twoje, za błękit i księżycową światłość Twych oczu i czarność ich przez rozszerzone rozkoszą źrenice... Tonę w Tobie jak w stubarwnej, złotolitej łące wiatrem kołysanej.

Na łonie Boga nie może być słodziej i prościej Jasiu jak na Twoim... Przebacz mi, że zawsze to samo powtarzam!

Albo:

Dla Ciebie, wszystko dla Ciebie tylko! oczarować Cię chcę, podobać Ci się do szału do obrzydzenia i znów do szału — skarbie mego życia, Mężu!

A tymczasem, biedna, nie ma nawet na fryzjera... Kto zresztą na Kozińcu dba o takie płaskie, przyziemne sprawy. Stary Jan Gwalbert siedzi cały w swoim dziele o Królu Duchu Słowackiego i nie widzi otaczającego go świata, zresztą ma zły wzrok i nosi ciemne okulary. Pewnie nawet nie zauważył, że jego żona od lat nosi ten sam bury wełniak i nawet do spania go nie zdejmuje, a synowa Maryna, żona Michała, chodzi oberwana, zaniedbana, nie uczesane włosy wiszą jej w pasemkach

wokół twarzy.

Ale Lilka chce być ładna dla ukochanego Jaśka i nie chce się poddać tej atmosferze absolutnej abnegacji, swoje piękne popielate włosy upina w jakieś węzły i koki, otula się w gazowe i jedwabne szale, pragnąc „jakoś wyglądać”.

Chodzą razem na wysokogórskie wycieczki, bo Jaś jest zawołanym taternikiem.

Lilka w długim granatowym płaszczysku i pantofelkach na obcasie dzielnie dotrzymuje mu kroku, choć męczy ją to niewypowiedzianie. Po powrocie do domu siada i pisze wiersze o Tatrach, które ją fascynują, a zarazem przejmują grozą.

Oto jeden z nich, był drukowany o wiele później w „Almanachu Spraw Kobięcych”, lecz nie wszedł do żadnego z jej tomików:

Wspomnienie z gór

Przez tablice kamienne

przez stosy tabliczek

szedłeś przede mną piękne niosący oblicze,

i to mi pokazując z właściciela gestem:

krzak osypany dzikim włochatym agrestem

strojnym

(może dlatego, że po stronie czeskiej)

w szkiełka rosy

podłużne, grające, niebieskie,

to (przez lunetę Zeissa)

świstaka na straży,

to leluję, stojącą wśród górskich ołtarzy,

o płatkach odwróconych,

na wzór wąskich dłoni

świętych,

gdy oczy zamkną w zachwytniej agonii,

to zastępy krokusów, tęczowe i sine,

które jak tłum narciarzy

spływają w doliny,

to gniazdo skalnej śmierci

pod Zamarłą Turnią

gdzie drży duch Stanisława*

w mgłę owity chmurną.

To lecące siklawy

jak krwotoki czasu,

to śniegi z szafirowożółtego atlasu,

to korzeń arcydziegła

lekarza i maga,

który anielską mocą

w chorobach wspomaga,

To goryczkę tak gorzką

a w kolorze słodką,

To białą gwiazdę turni

futrzaną szarotkę,

która czeka dotknięcia

w swej przemarzłej dumie,

by okazać pieściwość

którą darzyć umie — —

W dali owce jaśniały

pod ścianą bez granic — —

którą jak mur w Jerycho

wybudował granit — —

Mgły rozdzierały szaty

na wysokich sosnach,

i płakała boginka,

o miłość zazdrosna.

Krzyk jej raz słyszeliśmy z górskiego komina

gdzie się nawet kozice

nie odważą wspinać...

Groźna potęga Tatr fascynowała ją tak samo jak bezmiar morza.

Pisana kilka lat później jej niesamowita sztuka Bracia syjamscy, której cała akcja toczy się w wysokich górach, pokazuje nam wyraźnie, jak kończy się pomału wielka miłość tego małżeństwa kochanków. Do tej dziwnej sztuki powrócimy jeszcze później, teraz przytoczę z niej tylko wiersz nazwany Inwokacja Flory — obłąkanej z rozpaczy kobiety, której przepaść skalna zabrała ukochanego. Ten wiersz, pisany z jakąś desperacką mocą, powstał prawdopodobnie pod wpływem własnych przeżyć, kiedy to nie dzika górską otchłań, ale... świeża łączka usiana kwiatkami (czyli młodziotka dziewczyna), w którą stoczył się Jaś — zabrała jej ukochanego męża.

Inwokacja Flory

Góry! Szczyty rozpaczy, przepaście tęsknoty

zwróćcie mi go. Na chwilę. Zaklinam was. Góry!

Siła moja limbowa, halna, kosodrzewna

Serce kwitnące w piersi czerwonym gwoździkiem Zamknięte w sobie, ciche, taternicze, dzikie

Wzywa was górskie moce. Zwróćcie mi kochanka.

Matko przyrodo. Jeśliś matka nie macocha

Spraw niechaj z gór wróci. Ten który mnie kochał.

Wszystkie jej wiersze o Tatrach tchną lękiem i grozą. Boi się tych skalnych mocarzy, ale czuje się, iż je podziwia i kocha. Poniżej — jeszcze jeden nie publikowany wiersz o górach, pisany w epoce jej poznania się z Pawlikowskim, pt.

Morskie Oko.

Pojechaliśmy wówczas do Morskiego z naszym Ojcem jego samochodem. Chciałam sfotografować Lilkę z Jasiem i tak długo cofałam się z aparatem, aż zleciałam w dół. Na szczęście jakiś poczciwy krzak schwycił moją sukienkę i zatrzymał mnie w tej karkołomnej drodze do jeziora.

Pamiętam moje rozgoryczenie, gdy wdrapawszy się do góry ujrzałam moją rodzinę zanoszącą się od śmiechu...

— A bo ty nie wiesz, Magdusia — rzekł Tatko — jakie to było śmieszne! Szaś z nastawionym kodakiem i nagle zniknęłaś nam z oczu...

— Przecież mogłam się zabić!

— Ale chwała Bogu nic ci się nie stało. Chodźta do schroniska na kielbasę z kapustą i piwko.

Lilka w ten sposób opisuje tę wycieczkę:

Nad jeziora kamiennym brzegiem razem stali

wartki wiatr rwał jej płaszczem, chrzęścił w włosów złocie w górze gięły się świerki na niebie ze stali

drząc do kolumn korzeni w gliniastym wykrocie Stali — ślepych olbrzymów otoczeni kołem więzi w potworne rondo wiekuistych głazów —

posępne w krąg postacie — Mnichy za kapturem

dążą w dal pośród nieba zachodnich topazów...

od ziemi gdzieś pod chmury podnoszą się cienie groźne kształty zatarte przez czasów przeloty obojętne na każde odrębne istnienie

wnikają myślą w brzemie swej groźnej tęsknoty Drogi nie dla stóp ludzkich — schody z malachitów na których rwą się w strzępy wiotkich mgieł teorie wiodące w biel złocistą nieskalanych szczytów gdzie skłon słońca roztacza rubinową gloryę

Jezioro legło ciche — poczerniałe w męce

jak wieczyste wpatrzone oko bez powieki

jak szmat nocy ujęty w skamieniałe ręce

smutne jak duch człowieka skłętego na wieki.

Stali patrząc w milczenie — bez słów byli szczerzy w milczenie które głuszył śpiew natury—
wiedźmy.

Płaszcz jej wciągnął i zapiął posłusznej na piersi

— Po co? — Bo ja tak każę — szofer trąbi — jeżdźmy —

Ten poemat daje nam cośkolwiek do myślenia. Oczywiście ta para stojąca nad Morskim Okiem to ona i Jaś, a jego słowa: „bo ja tak każę” ukazują już jego władczy stosunek do Lilki. Niewolnica — jakże proroczy był zbiorowy tytuł jej panięńskich wierszy. Będzie odtąd niewolnicą swego męża—kochanka i niewolnicą swojej wielkiej miłości do niego.

Na razie nic jednak nie wróży katastrofy. Jaś, sądząc po listach Lilki, spełnił

wszystkie nadzieje pokładane w tym poetyckim międzygwiezdny męzu—kochanku.

Oto co poetka— pisze w jednym ze swoich listów do Jasia: Lepiej jest nie mieć nic na świecie prócz kochania się. niż domek, morze, swobodę i nawet basen w domu, a w sercu pustkę... Ja się i tak uważam za najszczęśliwszą z ludzi, gdy się porównam z innymi, czuję się tak bardzo bogatą! Czy może być coś miłszego i rzadszego jak mieć męża—kochanka...

W innym zaś liście, przedmałżeńskim, wspomina, że mogłabym z Tobą żyć na drodze z suchym chlebem na śniadanie — byle z Tobą, wesołości moja, najwyższy komforcie duchowy bogactwo i dostojny przepychu mego wewnętrznego życia —

Los to jak wiadomo „figlarz salonowy” (był w tym czasie taki podręcznik) —

podchwytuje niebaczne powiedzenie Lilki, że mogłaby żyć o suchym chlebie na śniadanie. Na Koziańcu panuje tak skrajna oszczędność, że masło do śniadania bywa tylko dla ojca.

Tłumaczy się to tym, że po wojnie wszystko szalenie zdrożało i że należy oszczędzać. Pamiętam, jak raz — gdy stara Pawlikowska wyszła z domu —

zakradłyśmy się z Lilką i Hanią Pawlikowską do spizarni i smarowałyśmy sobie chleb grubo masłem, ze znaną złodziejom emocją i satysfakcją. Lilka na tej spartańskiej diecie chudnie i brzydnie. Nie może też spać po nocach, co przypisuje urokom, które jakoby rzuca na nią teściowa. Pasja do czarów i jakaś średniowieczna wiara w rzeczy nadprzyrodzone tkwi w niej głęboko.

— Ja ci mówię, Madziusiu — zwierza mi się całkiem poważnie — że matka rzuca na mnie uroki, abym nie mogła oka zmrużyć.

— Nie wierzę, bo co by jej na tym zależało? — odpowiadam uśmiechając się.

— Nie wierzysz? To ci coś powiem, jako przykład. Otóż tej nocy spałam świetnie aż do rana. A dlaczego? Bo zwierzyłam się matce, że zupełnie nie mogę sypiać, a ona spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie głęboko i powiedziała: „Dzisiejszej nocy będziesz dobrze spała, zobaczysz!” Zdjęła ze mnie urok...

Jaś ma jej za złe tę wiarę w czary, jak również jej przesadny mistycyzm i wczytywanie się w stare grimoiry traktujące o czarownicach i szatanach. Odpisuje mu na to w jednym ze swoich późniejszych

listów: Pozytywizm i głód nadzwyczajności, której czysta fantazyja nie wystarcza oto powód mego zamięłowania. I dlaczego by to miało być dla mnie szkodliwe — może właśnie to użyźnia moją głębę? Ale Ty jesteś największym cudem, i gdybyśmy zamieszkali razem w górach nie potrzebowałabym już tamtych sensacji... Co do książek tych, wszystko co pisałeś przeblyskuje mi nieraz w duszy jako prawda, i rzeczywiście wszystko to jest na to tylko by mi dać zapomnienie chwilowe o sobie samej. Wszystkie mistyczne książki dają mi zawsze wrażenie głębokiego oddechu, przetarcia oczu, i spoglądania z wysokiej góry na ziemię, na życie, na gatunek ludzki na moje życie jako jednostki — i odnajduję w tym zatraceniu spokój...

To dziwne, że Pawlikowski, sam po trochu poeta i syn ojca tkwiącego głęboko w mistycyzmie Słowackiego, nie rozumiał pod tym względem Lilki.

Cała poezja młodopolska oparta była na mistycyzmie i wszystko nawet doznania miłosne, były nim przesiąknięte, co nie mogło nie pozostać bez wpływu na poezję Pawlikowskiej, chociaż w swoich późniejszych wierszach odbiegała od młodopolszczyzny i ulubionych przez ówczesnych poetów: „chramów”, „kruz”,

„świętyń”, „gromów”, „trun”, „strun”, „tęsknic”, „otchłani” i „obiąt”.

Bóg był ulubionym i wciąż używanym pojęciem również dla poetów dwudziestolecia, jak Tuwim, Lechoń, Hłakowiczówna i inni. Zrozumieć to można, jeśli się przyjmie tezę, że Boga wynaleźli poeci. Bo i któż inny miałby taki genialny pomysł! Na to trzeba było artystycznego zmysłu i fantazji poetyckiej, którą mogły posiadać wybitniejsze jednostki. Bóg chrześcijański, który jakoby stworzył człowieka na swoje podobieństwo, przedstawiany jest od najdawniejszych czasów w ludzkiej postaci. U prymitywnych Indian i ludów afrykańskich bóstwa są jak gdyby potwornymi karykaturami człowieka w połączeniu z drapieżnymi zwierzętami. Wielki bóg Majów Tlaloc, bóg deszczów, wody, błyskawic, burz i gradu, ma zamiast twarzy koszmarną maskę pomalowaną na kolor niebieski i rodzaj okularów ze splecionych węży. Im cięższe było życie owych prymitywnych plemion, tym groźniejsze i bardziej wzbudzające nabożny lęk były ich bóstwa. Ówczesni artyści, reprezentowani przez kapłanów i kacyków, dość logicznie rozumowali, że nie może mieć gładkiej „buzi” ten, który potrafi tak żarem słońca wysuszyć ziemię, że nic na niej nie wyrośnie i nieszczęśni mieszkańcy takiej ziemi, aby nie umrzeć z głodu, muszą przenosić cały swój nędzny dobytek w inne miejsce. Albo stworzyć tyle straszliwych, jadowitych węży, od których ukąszenia umiera się w straszliwych męczarniach. Ze strachu więc, z owego nabożnego lęku należy czcić groźnego boga-węża Ouetzalcoatl.

Bóg ten posiada jednak skrzydła i może się wznieść do słońca. Wybitnie poetycka symbolika, gdy chodzi o przedstawienie obrazu człowieka, który pełza po ziemi, ale może się myśłą wznieść ponad świat materialny. Wstrząsające swoją artystyczną brzydotą prymitywne bóstwa miewają też zazwyczaj gigantyczne genitalia. Symbol płodności. Słowem: groza i sex. Bo i z czegoż się składa życie ludzkie na ziemi, jak nie ze śmierci i z rodzenia śmiertelnych istot. Pozytywizm poetycki.

Bóg Pawlikowskiej, do którego tak często się zwraca w swoich poezjach i listach miłosnych, to bóg miłości. Oto dziwny i zaskakujący wiersz, wchodzący w skład jej pierwszego tomiku Niebieskie migdały pt. Wielki Maramba, którego obraz nie odbiega daleko od figur prymitywnych bożków odkrytych w meksykańskich dżunglach: Jest słodki jak banany

i jak ogier gorący,
jak mgły leśne rozwiany
i jak róża pachnący.
Jako indyk wyniosły,
jako tygrys okrutny,
jak słoń mądry i rosły
i jak twe oczy smutny.

U Lilki Bóg nie jest jedynie rekwizytem poetyckim, jak u Tuwima i innych poetów, ona naprawdę w niego wierzy i pisze o nim z nabożnym lękiem, który może się komuś wydawać bluźnierstwem. Oto wiersz jej pt. Wrażenie: Dziwię się małym pastuchom

prowadzącym stadnika z beztroską otuchą...

Okrągłe dzikie nozdrza, w oczach iskra.

Byk z pochylonym rogiem...

Przypomniął mi się nagle maleńki ministrant,

gdy się krząta i drepcze,

oswojony z Bogiem.

Gdzie jest Bóg, tam musi być również i jego przeciwieństwo — Szatan. Cała poezja młodopolska hołduje „kultowi Szatana”, Miciński poświęca mu cały poemat pt.

Lucifer, z którego zacytujemy fragment:

Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,

lecący z jękiem w dal — jak głuchy dzwon północy —

ja w mrokach gór zapalam czerwień zorzy

iskrą mych bólów, gwiazdą mej bezmocy.

Nawet tak głęboko religijny poeta jak Kasprowicz poświęca szatanowi wiele zwrotek w swojej pięknej Pieśni wieczornej. Oto jedna z nich: Szatanie!

Ty Kościotrupa chwyciłeś za ramię

i nad wysokość jego ostrej kosy

wzrosłeś w niebiosy —

a grom nie pada!

Z nieukojoną żalobą

klękam przed tobą!

Klękać przed szatanem — mocna rzecz! Ale już tam Kasprowicz dobrze wiedział, że nie bluźni; tak jak prymitywni Meksykanie bili pokłony przed groźnym bogiem—

wężem Ouetzalcoatl i składali mu ofiary z ludzi, tak on kaja się przed złą mocą, przed szatanem. Lilki stosunek do diabła jest inny, nie klęka przed nim (mimo iż jego wizerunek, wycięty ze starego grimoiru, wisi nad jej łóżkiem obok obrazka ze św. Antonim), ale miewa z nim konszachty, zwykle o zabarwieniu humorystycznym, jak w wierszu Zamek na lodzie: Pod zamkiem moim w słońcu popękały lody!

Chwila, a runie wszystko, szamocząc się z losem!

Anioł–Stróż z długą twarzą, jak ministrant młody, odmawia zdrowaśmarie, pociągając nosem.

Diabeł zobaczył, krzyknął: na ratunek gońmy!

Lecą jak sadze czarni, hałaśliwie, butnie,

podparli, ustawili, przyklepali dłońmi —

i rozśmiali się do mnie — pocziwie — przesmutnie...

W wierszu Bandyta i diabeł szatan chce przynieść papierosa bandycie (Dudkowi), którego mają powiesić za chwilę i którego ostatnim życzeniem był papieros: Wicher strachu trząśł Dudkiem jak umarłym listkiem.

Poprosił o papieros. Nie było i basta.

Diabeł usłyszał. Skoczył galopem do miasta.

Znalazł, wraca z tryumfem. A tu już po wszystkim...

Każdy z poetów polskich miał swojego odrębnego Szatana i swojego własnego Boga.

Bóg Kasprowicza był wspaniały, wszechmocny i groźny, przypominał ów przepyszny witraż Wyspiańskiego u oo. Franciszkanów w Krakowie, przedstawiający groźnego Boga–Ojca, który ciska planetami jak piłkami. Bóg Marii Konopnickiej był dla niej przede wszystkim Polakiem i bratał się z polskim ludem: Strażnicą nas postawił Bóg

U granic swej krainy,

A twierdzą mu jest każdy próg

Gdzie polskie ojce, syny...

Bóg poetki Maryli Wolskiej jest słowiański i piastowski (panowała na początku dwudziestolecia moda na słowiańszczyznę i zbratanie się z narodami słowiańskimi). Oto fragmenty jej poematu Święto słońca: Że oto w skwarną, słoneczną biel,

Wieńczony w ciężkie kłosa,

Szedł ku mnie łąką jasny bóg Lel

Bóg młody, złotowłosa...

Lilki wcale nie porywa ten panslawistyczny prąd. Nic ją nie obchodzą

„siermięgi”, „chramy”, „obiaty” składane piastowskiemu „Bogu pogody i znojących cisz” (jak go nazywa Maryla Wolska). Jej Bóg — „Bóg winnic i żarów”, jest namiętny, ognisty i szczególnie troszczy się o sprawy sercowe swoich czcicieli.

Jest bogiem miłości i śmierci, antyrasistą i antynacjonalistą. Nienawidzi wojny, jest pacyfistą. Takim go widzi poetka i do takiego czyni inwokacje.

Czasem w swej wielkiej miłości do drugiego męża jak gdyby go identyfikowała z Bogiem...’

Chcę [pisze w jednym z listów do Jana], byś mnie poznał na wskroś jak Bóg Stworzyciel, i dotknął wreszcie duszą mojej duszy w nieludzkiej miłości — o kochany, o słodki mój Panie!

Wiersz pisany w okresie największego nasilenia jej uczuć jest jak gdyby inwokacją do tego Boga, który przybrał postać normalnego mężczyzny. Nazywa go w tym wierszu „Panem”, co zwykle w modlitwach odnosi się do Boga: Panie, który me ciało posiadasz i duszę

Panie myśli, o Panie moich zmysłów pięciu —

Ach w jakiejże bym gorzkiej żyła bezotusze

— Gdyby nie straszna Prawda w naszych ust zetknięciu...

O księżycowy Panie! ginęłabym w trwodze

że twa dusza więziona w przecudnym zwierzęciu zawyje i zatęskni na tej wspólnej drodze —

— Gdyby nie słodka prawda w naszych ust zetknięciu...

O Panie ukochany — Męką by się stała

myśl o mej niegodności i niedoścignięciu

duszą moją twej duszy, ciałem twego ciała

— Gdyby nie dobra Prawda w naszych ust zetknięciu...

I wciąż ogarniają ją wątpliwości, czy jej Bóg kocha ją tak samo, czy nie ma dosyć jej adoracji. W wielu jej listach przebija wieczna trwoga o tę wielką wzajemną miłość:

Mój najświętszy skrzydlaty mężu — patrzysz na to wszystko przez ramię —

uśmiechasz się do mnie miłosiernie, by mnie nie dręczyć — ale co myślisz, co myślisz w tej chwili — powiedz mi, nie ukrywaj nic — nie oszczędzaj mnie...

A w innym liście ta dewotka miłości pisze tak: Chciałabym być strasznie wielka byś leżał przede mną i bił czołem o ziemię w prawdziwym, bezsilnym podziwieniu — wówczas nie wzbijałabym się w pychę tylko może zrównoważyłoby się moje samopoczucie z uwielbieniem Ciebie — Wyprostowałaby się moja pokora zgięta w czci boskiej dla Twojej piękności — o najdroższy. Mam wstręt do samego siebie, piszesz — ach gdybyś mógł zobaczyć obraz Twój w mojej duszy, tak cudownie czysty i nieludzki, niezmacony — i prawdziwy.

Całuję twoje oblicze, i kreślę się na Twym wilgotnym ust koralu —

Jest w tym coś zadziwiającego, że Lilka, która знаła już przecież mężczyzn i życie i choć jeszcze nie wszystkie rozumy pojadła, ale w każdym razie wiele —

nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzny nie można kochać bałwochwalczo, bo uwierzy, iż jest istotą boską, doskonałą i zacznie z czasem lekceważyć swą

„czciicielkę” i brać nad nią górę. I tu również ukazuje się nam poetka jako duchowa Androgina. Androgina, która zupełnie zrezygnowała ze swoich męskich cech i stała się kobietą, niewolnicą Pańską. Nie potrafi być jednak tak kobietą, jak by tego pragnęła. Bo czyż takie listy, pełne żaru i namiętności — poza panną de Lespinasse — pisywały kobiety? Pisali je zwykle zakochani do szalu mężczyźni, jak na przykład Napoleon do Józefiny czy Sobieski do Marysieńki. Listy miłosne kobiet, które znamy z historii, były zwykle pełne oddania i czułości, ale nie przelewały one na papier tak namiętnych uczuć. Powstrzymywał je lęk, że komuś nieodpowiedniemu te listy wpadną do rąk, i kobiecy wstyd, którego Lilka nie posiada wcale. Ponieważ jej listy są unikatem w dziejach wielkich miłości sławnych kobiet, więc cytujemy ich tak wiele, i wdzięczni jesteśmy Pawlikowskiemu, że po rozwodzie z Lilką odesłał je z powrotem; mądra i roztropna Mama przechowała je z petyzmem w szufladach swojego biurka. Zdumiewa nas również, że Lilka, tak dumna i władczą w swoim pożyciu małżeńskim z Bzow—skim, w listach do Jana pomniejsza się, lekceważy swój niepospolity talent poetycki, a malując urocze kompozycje często przedstawia swojego drugiego męża jako jakiegoś wielkiego boga w gwieździstej todze, trzymającego na dłoni drobnego motyla—

kobietę z twarzą jej samej.

Przytoczę tu zdanie z jednego z listów do Jasia, na dowód, iż sama odczuwa w sobie tę dwoistość

jaźni:

Przyjaciel ten myśli mądrze zawsze — a moja kobieta głupio, o, gęś to jedyna!

Albo jest też właśnie przeciwnie — nie wiem jeszcze na pewno.

Mimo niechęci, jaką Jan odczuwa do dzieł metapsychicznych i mistycznych, Lilka siedzi w nich po uszy, a raczej... po oczy. Modny w tej epoce jest Freud i jego Teoria snów, co znajduje odbicie w niektórych jej wierszach: Sen, Sen opaczny, Sen straszny, Najpiękniejszy sen. Niektóre ze swoich snów opisuje dokładnie w listach do drugiego męża:

Dziwny miałam sen wczoraj. Oto śnił mi się dom taki nadzwyczajny — Był to drugi Koziniec i ten się właśnie nazywał „dom pod Jedłami”. Był wysoki jak drapacz nieba, a przy tym drewniany jakby modrzewiowy i w góralskim stylu. Przed nim gęstym rzędem stały wysokie jodły. Ale co najciekawsze to to że nie miał żadnego wejścia, tylko wysoko bardzo drzwi a do nich wznosiła się drabina wysoka i szeroka ogromnie, pochyło oparta o szczeblach w tak wielkich odstępach że chyba olbrzym albo halny mógł po nich wybiec — i to takie szalone, nadludzkie robiło wrażenie — i Ty tam mieszkałeś. Z dumą pokazywałeś mi ów dom i to wejście.

Okropnie jestem ciekawa co Ci się śniło — tak lubię sny!

Freud miałby o tym śnie wiele do powiedzenia, dojrzałby w nim kompleks niższości Lilki i jej świadome wywyższanie Jasia ponad własną osobę; w owym śnie ukochany wspiał się na wyżyny dla niej niedostępne.

Albo inny sen, piękny i poetyczny, opisany również w liście do niego: Jakie cudowne rzeczy mi się śniły, jak na zamówienie. Byliśmy sami i nad morzem.

Ja chodziłam po jakiejś morskiej promenadzie czekając na Ciebie któryś był u fryzjera. Była gorąca, złota pogoda, wiatr, muzyka rwąca się w wietrze i tłumy białe i barwne, reklamy ogniście kolorowe, wesołość i gwar, radość rodzaju ludzkiego miła dla oczu — odwracałam się od morza nie chcąc patrzeć na nie bez Ciebie... morze burzyło się w słońcu, całe zorane w białe skiby (jeśli można się tak wyrazić) ruchliwe, pełne okrągłych barek, szerokie jak nasze życie — Tak było dobrze.

A później siedzieliśmy razem w więzieniu, i szukaliśmy którędy by uciec. Nie było ani okna ani żadnej dziury. Tylko drzwi w podłodze ukryte i mocno zamknięte. W końcu udało nam się otworzyć i zejść na dół po schodkach w ciemności. Ale było to tylko chytre urządzenie na więźniów chcących uciekać, by nie tylko nie uciekli ale jeszcze umierali potem ze strachu w tej celi. Gdyż za tymi drzwiami była jakaś krypta pełna głów uciętych, szkieletów, trumien i innych okropności. Śliczny sen i mądry — No do widzenia Gwalbert najdroższy...

Nie wiem, dlaczego Lilka nazywa ten dziwny sen „ślicznym”. Czyżby zgadzała się z tym faktem tragicznym, że po morzu, radościach plaży, barwnych tłumach i wszelkich uciechach życia — trzeba zejść do ciemnych lochów śmierci, do szkieletów, trumien i „innych okropności”? Dla mnie ów sen to jak gdyby obraz ich miłości, czego Lilka jeszcze wówczas nie przeczuwa. Owa promenada nad morzeni i barwne tłumy to powojenne Sopoty, do których pojechaliśmy we trójkę: ona, ja i Jaś-

Gwaś. Był to pobyt nie zmacony żadną chmurą. Sama czysta radość życia i kochający śliczny mąż w szarym flanelowym garniturze i w popielatym kapeluszu.

W tych czasach ludziom wrażliwym śniły się całe pasjonujące sceny. Jakieś alegorie. Jakieś prorocze zwidzenia. Istniały też autentyczne DUCHY, ponieważ wszystko, w co ludzie na ziemi wierzą, istnieje przez ich imaginację, nadwrażliwość, histerię i siłę — wyobraźni. W rodzinie Kossaków zupełnie poważnie opowiadano sobie dwie dość dziwne i niesamowite historie z duchami. Jedną z nich było ukazanie się ducha brata Zofii Szatkowskiej, który utonął w rzece Wieprz chcąc ratować swojego brata stryjecznego Jerzego Kossaka. Jerzy, uratowany przez korepetytora, powrócił szczęśliwie do domu, mały zaś Witold zaginął bez wieści.

Nazajutrz o świcie ukazał się bratu, w czarnym ubranku do komunii świętej, i objaśnił, gdzie i w jakim miejscu prąd rzeki wyrzucił jego ciało na brzeg. Stryj Tadeusz natychmiast pojechał bryczką w to miejsce i rzeczywiście znaleziono tam martwego chłopca. Sen, przeczucie, jasnowidzenie? Nie wiem, w każdym bądź razie był to fakt autentyczny.

Druga historia z duchami, równie niesamowita, zdarzyła się matce Zofii Szatkowskiej. Ciocia Andzia, osoba pełna cnót wszelakich, miała według opinii rodzinnej tylko jedną wadę — nie była religijna, co pobożna nad wyraz Zofia miała jej za złe. Nie chodziła do spowiedzi, a do kościoła jeździła wyłącznie na niedzielną sumę. I co się dzieje? Otóż któregoś wieczora, gdy ciotka spokojnie rozbierała się do snu, przez zamknięte drzwi weszła jej nieżyjąca matka, w szarej domowej sukni, wzięła zdumioną córkę za rękę, kazała jej uklęknąć obok siebie i powtarzać za nią głośno „Wierzę w Boga” i litanię do Matki Boskiej. Gdy skończyły, ciotka chciała matkę uściskać — lecz ta rozplynęła się, jak to widma zwykły czynić. Od tego czasu ciotka stała się bardzo religijną i co miesiąc chodziła do spowiedzi. Ta historia pasjonowała mnie i Lilkę.

— Jak to, ciociu — pytałam — i ujrzawszy zmarłą babcię ciocia nie zemdląca z wrażenia?

Ciotka Anna była najbardziej zrównoważoną osobą, jaką znałam. Gdy podczas ostatniej wojny gestapo poszukiwało Zofii, która pracowała w konspiracji i wiedząc o tym, co jej grozi, opuściła mieszkanie, ciotka najspokojniej w świecie spaliła zakazane gazetki i usiadłszy w fotelu robiła na drutach, czekając na wtargnięcie gestapowców.

— Dlaczegoż miałam zemdleć — ze zdziwieniem odparła na moje pytanie. —

Przeciwnie, ucieszyłam się niezmiernie, myśmy się przecież bardzo kochały.

Zofia też była mistyczką, mimo swojej krzepkiej, mięsnej postaci i ziemskich apetytów. Jej wiara była prosta, wiejska, a spirytyzmem nie zajmowała się chyba tylko dlatego, że księża byli temu przeciwni i uważali to za grzech. Raz jednak dała się nabrać. Jeszcze jako panna pojechała nasza Zośka do Szwajcarii, gdzie zapoznano ją z pewną praczką, do której w nocy przyszedł anioł, taki jak to w kościołach, ze skrzydłami i aureolą na głowie, i zapowiedział, że będzie co noc się u niej zjawiał i pouczał ją, jak ma malować obrazy świętych. Pobożna niewiasta uklęknęła przed niebiańskim wysłannikiem, mówiąc, że przecież nigdy nie malowała i nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.

— Ja ci pokażę, ty tylko wystaraj się o farby olejne i gładkie deski.

Zniknął, aby w następną noc znów jej się ukazać. Wizerunki świętych kazał jej malować palcami umaczanymi w farbach olejnych.

— Ale jak ja te farby potem zmyję — pytała pobożna kobieta — jestem praczką i mogę onymi farbami pobrudzić cudzą bieliznę (pewnie jej przyszło na myśl, że odtąd powinna pracować tylko tak zwane kolory).

Anioł zapewnił ją, że zabrudzone palce łatwo zmyje terpentyną (tak przynajmniej się domyślamy), po czym zabrali się do pracy. (Gdyby to się działo w Polsce i po wojnie, to osławiony „upiór dzienny” z naszych „salonów pralniczych” byłby tutaj jak najbardziej na miejscu, chociaż anioł nie był żadnym upiorem, ale pięknym i świetlanym zjawiskiem). I w ten sposób powstały obrazy prymitywy, jak gdyby ze szkoły Giotta, którymi zachwyciła się znana już wówczas autorka Pożogi, Zofia.

Po swoim powrocie ze Szwajcarii opublikowała w krakowskim „Czasie” szereg felietonów opisujących to niebywałe wydarzenie.

Nasz Tatko czytając je, kulał się ze śmiechu.

— Nigdy nie przypuszczałem — powiedział — że Sofija może być do tego stopnia naiwna i łatwowierna.

— Dlaczego, mój Wojteczku — stanęła w jej obronie Mama — może naprawdę taki cud się wydarzył. Różne cuda już się zdarzały. A jak się Matka Boska ukazała w Lourdes małej Bernadette...

— Zwyczajna cwana szalbierka — upierał się Tatko — która w ten sposób chciała się zrobić znana i sławna. Możliwe też, że była medium jakiegoś hipnotyzera, który uśpiwszy ją kazał jej malować owych prymitywnych świętych... W każdym bądź

razie zdumiewa mnie, że Zosia mogła z taką naiwną wiarą podejść do tego, miałem ją za mądrzejszą. Dobrze, że mnie się nie zjawi w nocy taki „jamiół” i nie każe mi paluchami malować moich koni — zażartował, jako że zawsze go się dowcipy trzymały, i w tym miejscu spojrzął na swoje piękne, nigdy farbami nie powalane ręce.

W okresie miedzymałżeńskim Lilka często brała udział w seansach spirytystycznych, wraz ze swoim wielkim przyjacielem Ludwikiem Morstinem, który przysięgał, że na jednym seansie ze sławnym medium Guzikiem w Warszawie latarnia uliczna przytaszczyła się z ulicy do zaciemnionego pokoju...

Kiedyś taki seans odbywał się w majątku ziemskim Zofii Starowieyskiej—

Morstinowej. Oprócz nas obu i rodziny Morstinów był tam jeszcze adorator Lilki, Feliks Konopka. Nie wiem, kto z nas był tym głównym medium, ale stolik, na którym trzymaliśmy nasze splecione dłonie, zaczął w pewnym momencie szaleć i zachowywać się zupełnie po wariacku. Nie wiadomo z jakiej przyczyny zawziął się na Lilkę i zaczął na nią nacierać. W końcu przyparł ją do ściany. Przerażona otworzyła drzwi znajdujące się przy ścianie i zerwawszy „łańcuch” zamknęła się w owym pokoju. Wówczas stolik, na którym reszta uczestników wciąż trzymała dłonie, podniósł do

góry dwie nogi i z całej siły zaczął nimi dobijać się do owych drzwi. Przerażeni „spirytyści” unieśli dłonie i stolik momentalnie znieruchomiał. Gdybym nie była sama brała udziału w owym seansie, nigdy bym nie uwierzyła w podobną historię. Wśród nas nie było żadnego „figlarza salonowego”, sami „wierzący”. Nikt stolika nie popychał, ponieważ tylko czubkami palców dotykaliśmy blatu. Jakaś masowa histeria? Czy mesmerowski „magnetyzm zwierzęcy”?

W każdym bądź razie Lilkę to bardzo przeraziło i zniechęciło do „puszczania duchów”.

W jednym z listów do Jasia pisze tak:

Na dole teraz siedzą bubki z Madzią i robią seans idiotyczny, ja uciekłam od nich by choć parę słów napisać do Ciebie mój skarbie...

Do inteligencji zaświatowych gości zniechęcił ją również znakomity pisarz i myśliciel Maurycy Maeterlinck, który w swojej książce Śmierć opisuje przebieg seansów spirytystycznych, w których brał udział.

— Wiesz, Madziusiu — rzekła do mnie strapiona — duchy są beznadziejnie głupie!

— Ach, Lileczko, jak możesz tak mówić!

— Przeczytaj sobie wspaniałą La Mort Maeterlincka, gdzie on opisuje przebieg seansu spirytystycznego, kiedy to wywołano ducha Conan Doyle’a, jego wielkiego przyjaciela, który też w ostatnich latach zajmował się spirytyzmem i obiecał

zjawić się i opowiedzieć, jak TAM jest. No więc siedzieli przy stoliku, wśród nich było medium, które zasnęło snem kataleptycznym i w które wcielił się słynny pisarz. Na zadawane pytania odpowiadał tak beznadziejnie tępo, że aż Maeterlinck, wierzący w życie zaświatowe, poczuł się zupełnie zniechęcony i zawiedziony. Zresztą podobne nudziarstwa i bzdury możesz wyczytać w książkach Ochorowicza, w jego relacjach ze seansów z słynnym medium Eusapią Palladini.

— A ja myślę — odparłam — że to media są głupie i ograniczone. Gdybyś to ty, Lilusiu, była takim medium, to i odpowiedzi byłyby inne.

Wszystko jednak, co się działo w życiu Lilki, było po to, aby nowymi sokami zapłodnić jej poetycki talent. Muza pilnowała, by poetka miała o czym pisać.

Seanse spirytystyczne, w których brała udział, znalazły odbicie w tomiku wierszy Profil Białej Damy, gdzie Lilka z melancholijnym przymrużeniem oka traktuje

„zjawy” i „pozagrobówkę”.

Oto kilka strofek wiersza z tego cyklu, pod tytułem Biała Dama: Jak balonik odpływasz pod plafon,

krążysz światłem ponad gdańską szafą,

w załęknienu i trumiennej tremie...

Biała damo! pod twoją obronę

płyną moje tęsknoty szalone,

o madonno nudnego cmentarza!

Gdzie uczeni powiedzieli: koniec,

gdzie szyderczy woźnica w bikornie

swym humorem życie chce uprościć — — —

Tam zakwitasz fantazją bez nazwy,

tam powiewasz suknią z ektoplazmy

niespodzianko wesołej wieczności!

W wierszu z tego samego zbioru, pod tytułem Nieudany seans, znów miłość, ten jej ukochany motyw poetycki, odzywa się nagle:

Fluid ulatniał się niepostrzeżenie...

Stolik stanął i zamarł bez ruchu.

Z białej ręki w dłoń męską przeniknęło drzenie i przyszła miłość zamiast duchów.

Jej poezja to jak gdyby rodzaj pamiętnika. Dwa pierwsze zbiory Niebieskie migdały (r. 1922) i Różowa magia (r. 1924) to jeszcze epoka, kiedy była szczęśliwa ze swoim drugim mężem Jasiem. Szczególnie w Migdałach można odczytać te same elementy miłosne, co w jej listach do ukochanego: Gdy pochylisz nade mną twe usta pocałunkami nabrzmiące, usta moje ulecą jak dwa skrzydełka ze strachu białe, krew moja się zerwie, aby uciekać daleko, daleko i o twarz mi uderzy płonąca czerwona rzeka.

Wiersz Pantofelki szklane dowodzi, że między nią i mężem jest jeszcze miłość i pełna harmonia:

Pantofelki szklane,

skrami malowane,

rżnięte w błękicie,

dane mi z rąk przemądrej, doświadczonej wróżki, abyś ty w niebo wpatrzony,

gwiazdami strojne złotemi,

które mi duszę twą kradnie —

dojrzał nad sobą moje małe nóżki

zwieszone ku ziemi

i przyjrzał się im dokładnie,

myśląc, że oto nóżki twojej żony

i jej szklane pantofelki

zasłonią ci wszechświat gwiazdzisty i wielki. —

Dużą zasługą Pawlikowskiego jest, że nakłonił widać Lilkę do wydania tego pierwszego zbioru, ponieważ ona sama, mimo zachwytów Mamy i Tatki bardzo niepewna swojego talentu, waha się, czy ma go wydać. Oto co pisze w jednym ze swoich listów do męża:

Z wydaniem moich wierszy wstrzymam się jeszcze, bowiem wy dają mi się głupie do łez. Recytacja ma się jednakowoż odbyć. To wystarczy, może z czasem wydam ale teraz za nic.

Jej obawy co do oceny pierwszego tomiku były słuszne, lecz tylko gdy chodzi o umysły ograniczone, jak np. znany krytyk Ostap Ortwin — „najpoważniejszy autorytet tego czasu”, który w pospolity sposób schlastał owe skarby i klejnoty poezji. „Wierszyki te — pisał — mogłyby służyć do zawijania karmelków nadziewanych marcepanami lub kręcenia papilotów przy rannej toalecie”. Nazywa poetkę „Dzidzi-Colombina” i w ogóle plecie jak... zazdrosny poeta na mękach. Na szczęście inni poważni krytycy i pisarze odpowiednio ocenili ten debiut, zwłaszcza Jan Lorentowicz, a przede wszystkim Stefan Żeromski, który po przeczytaniu wiersza Do Lenartowicza napisał do niej pochwalny list i wydrukował

entuzjastyczną krytykę. Nawiązując do Lenartowicza, pisze Żeromski: „W wolnej Ojczyźnie uczciło jego duszę to arcydzieło nowoczesnej poezji”. Ta ocena uwielbianego przez nas wszystkich wybitnego pisarza była dla młodej poetki już jak gdyby przepustką na Parnas. Od razu również docenili jej debiut skamandryci: Słonimski, Iwaszkiewicz, Lechoń, który przeprowadza brawurowy atak na Ortwina i między innymi pisze z wrodzonym dowcipem: „A chce od nas p. Ortwin dowodu, że wiersze Pawlikowskiej są prześliczne? Dajemy mu na to słowo honoru”.

Najdowcipniej jednak zemściła się na nim sama poetka, bo po jeszcze jednej złośliwej krytyce wysłała mu telegram zredagowany w ten sposób: „Ortwin — ostap mnie w spokoju”.

Dziwnym może się wydawać, że do tego pierwszego zbioru Lilka nie włączyła kilku swoich panińskich wierszy, pisanych jeszcze w 1912 r., jak na przykład przejmujący swoim obrazem wiersz pod tytułem Biały krzyżak, który już ujawnia jej nieopisany i wręcz mistyczny lęk przed pajakiem: Przeszywszy kilkakrotnie pierś okrutną szczęką zmotanej pajęczyną niechybną a mięką

ciągnie z niej moc serdeczną prądy rubinowe

wpierając w nią swą straszną wielooczną głowę i kołysze ją kośćcem swoich białych ramion

już trupa w skrzyżowanych rozpostarciu znamion —

jest jej razem stęsknionym wrogiem, władczyni katem białą kapą pośmiertną, pogrzebowym bratem

błogosławi ją krzyżem za senną opilość

pająk — słodki, potworny jak śmierć i jak miłość. —

Lub ten, pełen krakowskiej melancholii, pod tytułem Wiosna: Z hałasem na strych niosą się zimowe szyby

w rynku baby wiązkami bladych płatków śmiecą

dzieci wiodą balony kwiaty miejskich wiosen

katarynka melodią starczą uszy nudzi.

Dziś się kończy zabawa w kochanie na niby

i zaczyna się inna; w smutek dłuższa nieco.

Na mogiłki odjeżdża szczęście w szumie sosen

lecz nikt tym nie zdziwiony... to częste wśród ludzi.

I może by nie spadły łzy w złożone dłonie

gdyby nie straszne rzewne dziecinne przekłete coś w biednej drugiej szybie kwiatku i balonie.

I znów kiełkuje pole w przyszłości już zżęte...

Z hałasem na strych niosą się zimowe szyby.

Mnie ten wiersz specjalnie wzrusza, bo tak było na Kossakówce: z nastaniem pierwszych ciepłych dni, już w marcu, służąca wynosiła na strych drugie, zimowe okna z naszego pokoju. Mimo zimnych powiewów było to oznaką wiosny. Katarynka, która „melodią starczą uszy nudzi” — to była grająca maszyna przy karuzeli stojącej przez długie lata na placu Latarnia, dzisiejszym placu Kossaka; koło niej stałyśmy nieraz, zazdrośnie wpatrzony w normalne uliczne dzieci, które na prymitywnych konikach z malowanego drzewa uganiały wkoło za kilka centów wyłudzonych od rodziców.

Uroczy i niesłychanie malarski jest również jej paniński wiersz pod tytułem Chustki i serdaki:

Wy na serdakach góralskich wyszycia

któreście ziołom podobne znad drogi

piosnką nieśmiałą nieuczoną swoją

gdzieś wymarzone przez zachwyty ubogi

szukanie w ciemni ukrytego życia...

wy o nieznanym kwiatku dziwne baśnie

gdzie kocie łapki w szlak nad sercem stoją

na owczej skórze wypisanym kraśnie.

Wy niesłychane Marysine chustki pole
czerwone w miedze róż kulistych
zdziwionych kwiatów wirujące łąki
wiązanki modrych pnączów we krwiach czystych
róże róż śpiące pośród żółtej pustki...
w myśl modły starej, prostej i jedynej
wiejskie tkacze, nieznane pokątne pająki
tkwały was jak pierwowzór wiecznej pajęczyny.

Nie wiemy również, dlaczego do żadnego z jej zbiorów poezji nie został włączony wzruszający wiersz napisany w wiele lat później, z okazji śmierci Żeromskiego: Do Żeromskiego

Teraz już znasz, najmilszy, Zagadkę życia...

— — — Czemu milczysz,

Ty któryś mówił prawdę o wielkich przeżyciach?

Otoczony gwiazd i słońc ramą,

zasłuchany w najśłodsze dźwięki,

masz srebrne pióra u ramion — — —

Lecz Twoje złote pióro wypadło Ci z ręki.

Biedny ten, co śmiał sądzić Twoje serce wieszczę!

Żałujmy go. Bóg z nim.

— — — Tyś święty, a Twój profil zapatrzony w przestrzeń ma ziemię za nimb — — — —

Lilka widocznie nie uważała tych wierszy za dość dobre, aby je umieścić w którymś ze swoich tomików. W tym miejscu przychodzi mi na myśl wspaniały pisarz francuski Malraux i jego Antimemoires (antypamiętniki), z których jeden ustęp szczególnie utkwił mi w pamięci: jest to mianowicie rozmowa owego znakomitego pisarza i podróżnika z młodą Indianką, której ręczny haft podziwiał. „Ale dlaczego — spytał — jedno z tych wyhaftowanych przez siebie zwierzątek jest w porównaniu z innymi jakieś mniej udane i niezgrabne?” „Zawsze — odparła z całą powagą — należy zostawić coś takiego mniej udanego, aby nie drażnić bogów.

Doskonałość należy do nich...”

Niebieskie migdały nie mają powodzenia u krakowskiej publiczności i całe stopy tych książeczek zalegają strych na Kossakówce. Krystyna Grzybowska pisze w swoich uroczych wspomnieniach, którym nadała formę zwierzeń jakiejś trzynastoletniej dziewczynki Zuzi, jak się zaczytywała w wierszach Pawlikowskiej i jak stare damy bywające w domu Estreicherów oburzały się na tego rodzaju poezje. Musiały być mocno zaszokowane takimi „bezbożnymi” wierszami, jak O

biskupie fiołkowym albo wyżej cytowanym wierszem o Bogu (Wielki Maramba).

Z kobiecej poezji znały przeważnie tylko Konopnicką, którą byłyby uwielbiały, gdyby nie ta jej „przesadna miłość do wiejskiego ludu”. Pewnie nigdy nie czytały uroczych poezji Maryli Wolskiej, ani Kazimiery Zawistowskiej, a co do Iłakowiczówny, to nie rozumiejąc jej poezji uznawały ją, jako że w jej głębokich myślach zawsze przebijała prawdziwa wiara chrześcijańska.

Ze wszystkich zbiorów poezji Pawlikowskiej chyba najbardziej zadziwiający i zastanawiający jest właśnie ów pierwszy tomik. Wiersze w nim zawarte nie są pisane ani pod wpływem poezji młodopolskiej, ani pod wpływem jej ukochanego poety Staffa, nie widać w nich również cech właściwych skamandrytom, tak jak w niektórych jej późniejszych poezjach. Jest samorodna, unikatowa, a przy tym bardzo nowatorska. Oczywiście, że wpływ na jej wiersze ma nowoczesny kierunek w poezji płynący z szerokiego świata. Kierunek, który odrzucił wszelkie pompacyjne porównania i alegorie, wzniosłe, „uskrzydłone” myśli, gdzie „duch” ustępuje miejsca zmysłom i gdzie nowe spojrzenie na otaczający poetę świat jest pełne zachwytu, ale również ironii i lekkiej melancholii. Zakochana w kobiecych strojach i zagłębiona zawsze w paryskich żurnalach, Lilka wie, „co się nosi”, a

„czego się nie nosi”. Tak samo wie dobrze, że „już się nie nosi” długich poematów ani nie pisze się aleksandrynem, sonety owszem, to forma trudna, ale zawsze będzie nęciła poetów. A poza tym, że modny jest erotyzm, i to nie poetycko wysublimowany, lecz bujny, wrzący, kipiący...

Wiersze Pawlikowskiej można by podzielić na: miłosne, filozoficzne, monopeistyczne (patrz gwoździak z Szanghaju i kilka wierszy ze zbiorku Dansing, z których wprost bucha muzyka jazzowa), na panteistyczne, w których podobnie jak Staff i Leśmian oddaje entuzjastyczny hołd Przyrodzie, i na malarskie, bodaj najpiękniejsze. Jej malarskie zdolności znajdują jaskrawe odbicie w niektórych jej wierszach nawet wówczas, kiedy już prawie całkiem porzuciła farby. Można by nawet powiedzieć, że odczuwa się w nich wpływ sławnych malarzy. Wiersz Olejne jabłka to przecież całkiem martwa natura Cezanne’a. A jej koń z Kochejlanu i My konie — to jak gdyby arabczyki z akwarel Juliusza Kossaka. Nie ma chyba w całej poezji świata poety, który by tak „czarno na białym” malował wiersze piórem. I myślę, że gdyby się była poświęciła malarstwu, a nie poezji, byłaby została marynistą — jej wiersze o morzu są pisane z takim odczuciem uroku i grozy morza, jakie się widuje w starych holenderskich obrazach lub marinach Ajwazowskiego.

Oto kilka strofek z jej poematu o morzu Bryzgi fal, drukowanego w „Tygodniku Ilustrowanym” w r. 1930, który jednak nie wszedł w skład żadnego tomiku. Czy według niej nie był dość udany?

1

Żagle kładą się na bok

— — — zdychające motyle — —

bałwany rozkwitają żółte jak żonkile...

2

Z olejnej niwy wstaje

tysiąc fal wezbranych — — —

a po każdej z nich zjeżdża srebrna dżonka z piany.

8

Parowiec zgarbiony idzie wśród odmętów,

— — — poszukiwacz diamentów —

śrubą wykopuje z fal rozciętych kohinory i regenty.

9

Jak lwy ambitne wielce

nie żywią się padliną,

fale łapami z piany

spychają ku brzegom

topielca,

— — — beczkę siną.

10

Morze jest dzisiaj całe

w sargassach

i glonach,

pływa w nim wian syreni

z morszczyń

i muszel...

Po południu

gdy zaśnie

pensjonat

służące bujną piersią

wodne oczy kuszą.

11

A tu na wielkiej już głębi,

Księżyc

oświetla głowę

nie chcącą pomocy...

to foka mija okręt

i w oddali ginie...

Jak pies

gościńcem pustyni

włóczy się

po nocy...

Gdy się czyta ów wiersz, ma się w oczach głęboką zieleń morza, w uszach szum fal, a w ustach smak morskiej soli i jodu...

Lilka od najwcześniejszych lat była pod silnym wpływem sztuki Dalekiego Wschodu.

Zresztą nic dziwnego, chińszczyzna była wówczas w modzie: przeżyła epokę Ludwików, kiedy to delikatne saskie figurynki przedstawiały panie z chińskimi parasolkami, a na tkaninach widniały pagody i smoki, a zniknąwszy zupełnie podczas francuskiej Rewolucji, znów odżyła pod koniec dziewiętnastego wieku i w początkach dwudziestego. W mieszczańskich domach wisały na ścianach chińskie i japońskie wachlarzyki, stały japońskie parawany malowane w ibisy i obłoki, z wulkanem Fudzijamą w tle, na etażerkach — porcelanowe chińczyki z kiwającymi się główkami i podłużne pudełka z chińskiej laki.

Na Kossakówce był cały serwis do herbaty z chińskiej laki, którego się zresztą nie używało, ponieważ płyn przez nią przeciekał. Cała secesja oparta była na motywach chińskich i japońskich. Te

powyginane damy w długich szatach, z olbrzymimi fryzurami, te poskręcane lilie i nenufary, łabędzie i ibisy — to wszystko było wystylizowanym i spaczonym echem sztuki Dalekiego Wschodu.

W Krakowie do tej mody przyczynił się w dużej mierze pisarz i podróżnik Feliks Jasiński, który napisał obszerne dzieło o Dalekim Wschodzie pod tytułem Manggha. Pamiętam Mangghę (bo tak go popularnie nazywano) z moich dzieciennych lat. Był jak gdyby syntezą czerni. Chodził w czarnej pelerynie, czarnym kapeluszu z szerokim rondem, miał wielką czarną brodę i ciemne okulary.

Spotykany na ulicach Krakowa budził w dziewczynkach podziw i grozę.

We wszystkich epokach dzieci lubiły się przebierać i urządzać przedstawienia amatorskie. My obie i nasze kuzynki przebierałyśmy się najchętniej za Japonki.

Wkładało się długie mamine szlafroki, przepasując je jakąś szeroką szarfą.

Warkocze upinały dziewczynki w wysokie koki i malowały sobie skośne brwi węglem z pieca. Wachlowały się zawzięcie chińskimi wachlarzykami i drobiły chodząc małymi kroczkami, niby że Japonczki tak muszą chodzić. Modna była wtedy operetka Gejsza i arie z niej umiały dziewczynki na pamięć, jak na przykład:

„Chińczyk goli łeb, z tyłu warkocz ma — a na znak, że nie kiep, ciągnąć się zań da”.

Ja, mając wówczas dziewięć czy dziesięć lat, skomponowałam do którejś arii z tej operetki słowa tak idiotyczne, że siostra-poetka zawrzała oburzeniem czytając je.

Brzmiały one następująco:

Poszedł Chińczyk, poszedł Chińczyk,

poszedł Chińczyk do lasu,

by nazbierać, by nazbierać, liści i chrustu.

Wziął na głowę szapoklak, a do ręki paraso,

skakał, tańczył jak kozica,

aż wpadł w rów glebo.

Wyszedł z rowu, strzepnął szaty i do domu pragnął iść, a po drodze zerwał sobie wisieneczek kiść.

— Cóż za brednie! — wykrzyknęła Lilka. — Przede wszystkim Chińczyk nie mógł mieć na głowie szapoklaka, bo to nie jest wschodnie nakrycie głowy, a poza tym, co to ma znaczyć „paraso” i „glebo”?

— Nie rozumiesz, Lileczko, to jest właśnie po chińsku, a zresztą inaczej nie byłoby rymu — odparłam.

— Głupia jesteś, Madziusiu, lepiej nie zabieraj się do pisania wierszy, zostaw to już mnie.

Wiele swoich znanych wierszy napisała Pawlikowska pod urokiem Dalekiego Wschodu, np. gwoździak z Szanghaju, Chinoiserie, Ptaszki japońskie, Madama Butterfly. W

późniejszych latach bardziej ją zaczynają fascynować Indie, wiedza jogów, wiedza tajemna. Uprawia ćwiczenia z tak modnej obecnie „hatha-jogi” i długo potrafi siedzieć w pozycji „lotosu”, ze skrzyżowanymi nogami, niczym nasza słynna Malina Michalska. Uprawia głębokie oczyszczające oddechy i przy jedzeniu żuje, aby z pokarmów wyciągać „prane”. Po obiedzie obie kładziemy się na podłodze w salonie na Kossakówce, na wznak, bez ruchu i bez słowa, robiąc sobie tak zwany dzisiaj: relaks.

Lilka wierzyła w reinkarnację dusz, w ich powroty na ziemię i w „awatary”, Pamiętam, jak nieraz mówiła do mnie z lekką pogardą: — Ty, Madziusiu, która jesteś pierwszy raz na ziemi, nie możesz tego pojąć... Ale ja już tu byłam nie wiem ile razy, więc niczemu się tak bardzo nie dziwię.

Nie wie jednak na pewno, czy w przyszłym życiu nie urodzi się innym stworzeniem: ptakiem, różą, motylem. Mówi o tym w przejmującym wierszu Świat mówi. Ów wiersz, jeden z jej najpiękniejszych i najbardziej filozoficznych, cytuję w całości. Nie został on zauważony przez licznych wielbicieli talentu Pawlikowskiej i — o ile wiem — nie był nigdy deklamowany na wieczorach poświęconych jej twórczości.

Świat mówi

Świat mówi, blady od wzruszeń:

„Chcesz skrzydeł?

Czy wolisz płetwy?

Żywioł wybierasz czy duszę?

Grzmot ryku?

Głos ptasiej fletni?

Motylej pragniesz swobody?

Miłosnych toków na wiosnę?

Chcesz drobnym być a złowrogim,

Jak bakcył, smok bezlitosny?

Chcesz cennym być?

— Oto diament.

Chcesz w groźnych zjeżyć się liniach

I w leśnej czatować jamie?

Niewinność wolisz?

— Jest lilia.

Chcesz wzrostu i pychy drzewa?

Poziomu fiołków niebieskich?

Zwinności?

Piękna?

Groteski?

Ach, tylko nie gardź, nie ziewaj!”

Wierząc silnie w reinkarnację, Lilka powiedziała kiedyś do mnie z wielkim smutkiem: „Czy ja jeszcze kiedyś otrzymam od Przyrody taką genialną główkę?” **DOM POD JEDLAMI**

Wróżki lubiły nam przepowiadać: „Będziesz kochana sławna, bogata”. Wszystko to razem jednak bywa rzadko osiągalne. Lilka jest kochana, będzie niedługo sławna, ale bogata — to już przesada. Pawlikowscy, mimo iż można było ich nazwać, jako posiadaczy licznych majątków, magnatami, żyją jak ludzie ubodzy. Są przecież pięknoduchami i takie przyziemne sprawy, jak dobra kuchnia i ładne ubranie, są im najzupełniej obce. Stary Pawlikowski, „Król Duch”, zupełnie się sprawami finansowymi nie interesuje. „Królewicz Duszek” — Jaś, chciałby na pewno rozporządzać większymi kwotami i stroić swoją młodą żonę, ale mu jakoś nie wypada jako „pięknoduchowi” wciąż prosić o forszę starszego brata, chociaż posiada swój własny majątek, Kormanice, wchodzący w skład klucza medycznego.

Jedyny z nich wszystkich, który posiada tak zwaną kiepełe do interesów — to ów starszy brat Michał. Zarządza też całą Medyką i wydziela rodzinie skromne kwoty.

Jaś pragnie wstąpić do dyplomacji. Po pierwszej wojnie, w Polsce — nic łatwiejszego. Potrzeba ludzi inteligentnych, zamożnych, którzy by mogli dobrze

„reprezentować”. Ojciec i Michał nie zgadzają się na to, twierdząc, że aby być w dyplomacji, trzeba mieć pieniądze, a ich na to „nie stać”.

Biedny Jaś jest normalnym chłopcem, chciałby pracować, coś robić, być czymś, kimś, a nie mieć jako główne zajęcie — miłość do zakochanej w nim obłądnie żony.

Skończył wprowadzić swoją ciekawą, fantastyczną Bajdę o Niemrawcu, którą niebawem wyda „Biblioteka Medyczna”, i wieczorami maluje jakieś obrazki, pozostając wyraźnie pod wpływem

Witkacego. Ale coś go gna w szeroki świat — całkiem zrozumiałe. Aby się wyżyć, wyszumieć, biega po górach, jest przecież wytrawnym taternikiem.

Odwiedzając często ukochaną siostrę w Zakopanem, robię z nimi wysokogórskie wycieczki. Kiedyś zaszliśmy do Ciemnosmreczyńskiego Lasu po czeskiej stronie, który potem Lilka opisała w swoim pięknym wierszu pod tym właśnie tytułem. Była to niesamowita i groźna dżungla. Paprocie rosły tam wielkości człowieka, pełno było nigdzie nie spotykanych kwiatów i krzewów. W pewnej chwili Lilka dostrzega wśród mchu jakiś dziwny przedmiot — jest to kawałek drzewa, wokół którego owinięte są długie kobiece włosy. Podnosi i przygląda mu się z uwagą.

— Rzuć to paskudztwo, „Szczurku! — mówi Jaś.

— Za nic — odpowiada. — To jest „czar”, ktoś chciał jakąś osobę zaczarować, rzucić na nią urok... może, aby „wzbudzić wielką miłość w tej, której włosy owinał

wokoło tego kawałka drzewa. A może, aby ją spotkał pech?

— Bzdury — mruczy Jaś i naburmuszony podąża naprzód. A tak mu obiecywała w swoich listach, że „porzuci te wszystkie brednie”!

Pomóż mi pracować nad sobą [pisała]. Tak łatwo ze mną! Mogę zarzucić „wiedzę tajemną” i odłożyć ją na starobabstwo, gdy nie będzie już obawy utraty czasu, nie chcę o nic się targować z Tobą, żadnej przykrości nie chcę Ci już robić... Co zaś do mojej sztuki całej, to może się jeszcze coś we mnie ruszy i popłynie. W

gruncie rzeczy oddałabym to wszystko za Ciebie, bo nie tamto lecz Ty jesteś największą ambicją mego życia.

Pisała tak, ale naprawdę to wcale nie myśli zrezygnować z owych wszystkich czarów, zabobonów, „czarnej” i „białej” magii. Gdy nasz Tatko w r. 1920 pojechał

jako kurier dyplomatyczny do Stanów Zjednoczonych, skąd śle do rodziny czarujące listy, m.in. napisał w liście do mnie:

...W powrotnej drodze, z Paryża przywiozę Liluchnie diabelsko—czarodziejską literaturę, ale myślę, że miłsze Warn będą jedwabne pończoszki i toaletowe rozmaite „fąfry”.

Czyli że „Liluchna” prosiła ojca tylko o kupienie jej w Paryżu jakichś dzieł

traktujących o czarnej i białej magii. Sprowadzała je również z Paryża sama, płacąc za nie grube pieniądze. Pożyczała je później Tuwimowi, który użył owych ksiąg do napisania dzieła Czary i czarty polskie oraz wypisy czarnoksiężskie. W

swym zamiłowaniu do kabały i wiedzy tajemnej Lilka nie była odosobniona. W wielu poetach i pisarzach dwudziestolecia tkwiło coś z „kultu Szatana” Przybyszewskiego, z mistycyzmu Micińskiego, a Brzozowski zraził się mocno do Zofii Nałkowskiej, gdy spotka—wszy się z nim w Szwajcarii, wykiła jego silną wiarę w spirytyzm i obcowanie z duchami zmarłych, o czym ona sama

pisze w swoich pamiętnikach.

Czy Lilka jest panią na Kozińcu? Nic podobnego, raczej bliską krewną, którą Pawlikowscy przygarnęli, zapewniając jej górskie powietrze i najskromniejszą pod słońcem kuchnię. Tej Lilce, która na Kossakówce nie tyle „szpakami”, co kurczątkami i kuropatkami ze słoninką „pod pachą” była karmiona! Za to nie byle jacy goście odwiedzają teraz często Koziniec. Znakomity architekt i rzeźbiarz Karol Stryjeński ze swoim genialnym czupirałem, żoną Zofią, słynną malarką.

August Zamoyski, utalentowany rzeźbiarz i „cygan” w paryskim znaczeniu tego słowa. Wraz z nim zjawia się jego żona, piękna choć o wiele starsza od niego, słynna wiedeńska tancerka Rita Sachetto, która miewa taneczne występy w Krakowie i Zakopanem, z całym swoim zespołem złożonym z młodziutkich uczennic. Nalewając owej damie herbatę (wina w tym domu nie podawano), Lilka nie przypuszczała, iż uśmiecha się uprzejmie do złej wróżki zazdrosnej o jej szczęście, która przyczyni się do jej wielkiej życiowej klęski.

Zjawiali się często — nasz przyjaciel artysta malarz Andrzej Pronaszko, malarz futurysta, i filozof Leon Chwistek, no i przede wszystkim Staś Witkiewicz, czyli Witkacy, którego można by nazwać „wczesniakiem”, ponieważ urodził się o wiele za wcześnie. Gdyby przyszedł na świat pięćdziesiąt lat później, byłby dzisiaj sławniejszy od Becketta, Jonesco i swojego epigona Sławomira Mrożka. Cóż za straszliwy chaos bulgotał w tej genialnej głowie! Bo i resztki satanizmu Przybyszewskiego, i ukochany przez niego Miciński, początki futuryzmu, a przede wszystkim — szukanie nowej formy. W jego dramatach aż się kłębi od filozoficznych myśli i szokujących scen „piekielnie zmysłowych”, a przy tym od

„papojek ? la russe” (reminiscencje z czasów, gdy był w carskiej Rosji jako leibgardzista), zawsze w nich występują jakieś księżniczki, hrabiny „diabelnie ponętne” i „metafizycznie perwersyjne”. Szalenie przystojny leibgardzista musiał mieć nie lada przeżycia z rosyjskimi arystokratkami, kiedy to w nim pozostawiło takie silne ślady, podobnie jak poprzednie egzotyczne podróże z prof. Malinowskim. W jego niesamowitych dramatach często pojawiają się jakieś ciemnoskóre piękności („lubieżność syjamska doprowadzona do szczytu”). Jego nieraz rewelacyjne i nowatorskie myśli toną w modnym wówczas „pure nonsense”,

„piekielnie” jednak zabawnym, o jaki próżno by się kusić naszym dzisiejszym satyrykom, ponieważ wsparty był dużym i niespotykanym talentem pisarskim. Motto do sztuki W małym dworku, cytowane z Czyżewskiego elektrycznych wizji, jak najlepiej określa jego niezwykły umysł: „A teraz idę do czuciowej, do przepotężnej maszyny mego rozumu”.

Zwyczajne kobiety, nawet piękne, nie interesowały Witkacego. Musiały być albo

„diabelnie demoniczne”, lub też „metafizycznie zmysłowo–intelektualne”.

„Diabelnie demoniczna” była słynna rudowłosa aktorka Irena Solska, z którą łączył Witkacego długodystansowy romans, a ta metafizycznie zmysłowo–

intelektualna to Zofia Żeleńska, żona Boya, która wiele lat cierpliwie znosiła tak trudnego i skomplikowanego amanta, jakim był Witkacy.

Witkacy kochał p. Zofię i uwielbiał Boya. Wymalował niezliczoną ilość jego portretów — raz bez używania alkoholu, raz pod alkoholem, co zaznaczał u dołu każdego swojego obrazu. Z paleniem papierosów albo bez palenia. We wszystkim, co robił, starał się być oryginalny i niepowtarzalny — głównie z potrzeby swojego genialnego mózgu, ale także trochę „pour épater le bon bourgeois”. Jego umysłowość męczy go nieprawdopodobnie, wciąż nasuwa mu inne tezy, nowe postulaty, nowe idee, co widać wyraźnie, gdy się czyta jego utwory dramatyczne.

W tej samej sztuce, bodaj najciekawszej, pod tytułem Oni, raz przyznaje teatrowi rację bytu, a raz go pragnie zniszczyć. Jego postać sceniczna Tefuan, jeden z wielkich niszczycieli istniejącego porządku z grupy ONI, powiada w ten sposób: Może na Marsie nie ma barw, ale są jakości X1. Ale jeśli dany gatunek jest już raz na tym poziomie hierarchii Istnień, że tworzy pojęcia i może ruszać się i działać, to w takim razie wszystko jedno, czy to będą dźwięki, barwy czy jakości X1 lub X2, a nawet Xn—1, musi mieć poezję... i musi mieć teatr, jako że teatr jest konstrukcją działań Istnień Poszczególnych, zdolnych do postępowego ruchu w przestrzeni. Rozumiecie więc, że malarstwo i muzyka mogą gdzieś nie istnieć. Ale poezja i teatr muszą istnieć wszędzie, gdzie są Istnienia, znajdujące się na pewnym stopniu hierarchii...

To znowu ów Tefuan mówi inaczej:

Wiedz, że wszystkie sztuki „pure nonsense” piszę ja i tylko ja, aby przygotować grunt pod komedię delFarte w Czystej Formie, która będzie końcem teatru i aktorów. Nie możemy po prostu zamknąć wszystkich bud. To nie jest malarstwo, które nikogo właściwie nic nie obchodzi... Musimy zabić go powoli...

I rzeczywiście Witkacy jakby pragnął zabić teatr swoimi przedziwnymi utworami scenicznymi. Nie mówiąc już o tym, że i dziś większa część publiczności przestałaby uczęszczać do teatrów, gdyby wystawiano tylko takie sztuki jak jego, a cóż dopiero w dwudziestoleciu, kiedy publiczność najchętniej oglądała lekkie francuskie bulwarowe komedie i farsy. Biedny Staś borykał się więc z dyrektorami polskich teatrów, aby zechcieli wystawić jakiś jego dramat, a gdy któregoś uwiódł i ten zgodził się wystawić Wścieklicę czy Wariata i zakonnicę, kłapa była tak wielka, że sztuka po kilku spektaklach schodziła z afisza. Zrozumiałe więc było, że Witkacy zionął głuchą zazdrością do wziętych ówczesnych dramaturgów, jak np. Karol Hubert Rostworowski, a nawet z ironią odnosił się do utworów scenicznych Wyspiańskiego, którego poza tym podziwiał i uwielbiał. Był też zazdrosny o twórczość sceniczną Pawlikowskiej i krytykował jej znakomite komedie, mimo iż przez dłuższy czas łączyło ich to, co Francuzi nazywają tak ładnie: *amitié amoureuse*.

Witkacy przemyca nieraz pod całą stertą pure nonsensów i zawiłych dociekań filozoficznych jakieś bardzo proste ludzkie spostrzeżenia. Weźmy na przykład to, co o kobietach mówi bohaterka jego sztuki Oni, Spika: Wolę być hermafrodytą, wolę, by nawet Kalikst mnie nie pokochał naprawdę, wolę śmierć nawet, niż choć na chwilę solidaryzować się z tą wstrętną kupą świń, jaką jest społeczeństwo kobiet. Złączone wstrętnym instynktem, ponad który wznieść się nie mogą, nienawidzą się i boją się nawzajem. Och, jakże zazdroszczę mężczyznom, że mogą mieć przyjaciół między sobą, nie szukając ich ani wyżej, ani niżej od siebie!

Lilka inaczej spogląda na kobiety, z jakąś, powiedziałabym, litościwą serdecznością, staje się nawet z czasem wyraźną feministką i współdziała z Ireną Krzywicką, propagatorką wolnej miłości i

„świadomego macierzyństwa”, co przejawia się w jej sztukach teatralnych. Nie zdaje sobie sprawy, ile w tych tak na pozór oddanych przyjaciółkach tkwi małych zazdrostek i czysto kobiecych złośliwostek. Irena Krzywicką w swoich wspomnieniach o zmarłej poetce pisze na pozór pięknie:

Nawet w najbardziej pospolitych warunkach poezja szemrała wokoło niej bezustannie, jak blisko płynący, ciągle żywy strumyczek. Nie, źle to określam.

To była nieustanna sekrecja poezji, wydzielanie wewnętrzne i rozpylanie bezustanne poprzez słowa.

Itđ., itd... Ale dlaczego w dalszym ciągu wspomnień objaśnia dokładnie powojennym adoratorom talentu Lilki, że była ona ułomna, „co starała się ukryć strojem”, i co gorsza, że „miała jedną nogę krótszą”!

Tu już przyjaciółeczka zagalopowała się. Lilka nie tylko że miała obie nogi równej długości, ale w dodatku tak piękne i rasowe, jakimi mogła się poszczycić tylko popularna piosenkarka Żuła Pogorzelska. Była z nich bardziej dumna niż ze swoich wierszy. Poza tym lubiła bardzo tańczyć modne wówczas tańce, wcale nie łatwiejsze od twista, jak charleston albo black–bot–tom, które wymagały sprawnych i wygimnastykowanych nóżek. Krzywicka z fałszywym współczuciem babskim domyśla się, że Lilka w dzieciństwie musiała przechodzić chorobę Heine–

Medina, co było nieprawdą wyssaną z... pióra. A w ogóle to wśród wielu serdecznych superlatywów robi z niej jakieś puszyste zwierzątko, które wtulone w ramiona głębokiego fotela gryzie orzeszki śmiejąc wokoło.

Druga jej wierna i oddana due?a, Zofia Morstin–Starowieyska, też niby entuzjastycznie wspomina zmarłą poetkę. Oto, co o niej pisze: Naprzód uderzała jej uroda. Ale właściwie źle mówią: naprzód uderzała jej uprzejmość. Lilka bowiem, jak to świetnie określa francuskie słowo, była

„avenante” — wychodząca naprzeciw. Naprzeciw każdego. Nawet dla nudziarzy miała zawsze uśmiech powitalny, ten swój specyficzny uśmiech, który jakoś na ukos układał jej wąskie wargi, marszczył cienki nosek, trochę podnosił górne wargę, a obu cienkim rękoma, przypominającym raczej algi niż ludzkie kończyny, kazał ku nadchodzącemu człowiekowi wyciągnąć się w serdecznym geście powitania...

A potem jeszcze raz to samo spostrzeżenie, że „po ludzką miłość wyciągała ku każdemu chude ramiona”. Mamy wiele zdjęć i portretów Pawlikowskiej i na żadnym z nich nie dostrzegamy, aby miała „wąskie wargi”. Przeciwnie, miała małe, wypukłe usteczka, jak dwie złączone wiśnie, między którymi błyskały, niby białe obrane orzeszki laskowe, drobne ząbki. „Chude ramiona” specjalnie pozostały w pamięci przyjaciółki. Nie były one wcale chudsze od ramion, które dzisiaj pokazują młode, szczupłe kobiety, tylko że moda wówczas była na tęgie damy; strach spojrzeć na fotografie z owej epoki, jakie byłyśmy wszystkie wtedy zażywnie i pękate. Ramiona przyjaciółek Lilki przypominały grube białe kiełbasy, a ich nogi

— pękate dzbanki mleka. Obraz fizyczny poetki, który przedstawia ta bardzo zresztą zdolna pisarka, to wizerunek jakiejś zaszuszonej dziwożony o wąskich zaciętych wargach, machającej „chudymi rękami”, „przypominającymi raczej algi niż ludzkie kończyny”...

Zresztą, gdyby była taka, jaką ją opisują najbardziej oddane kobiety, nie byłaby zdobyła w swoim życiu, i to na długo, tylu przystojnych młodych mężczyzn. To, co w dalszym ciągu swoich wspomnień pisze o niej Starowieyska, jest bliższe prawdy, a mianowicie, że „Lilce wolno było jednych lubić, drugich nie lubić, ale ją musieli lubić, kochać i podziwiać wszyscy”. Było podobnie, choć trochę inaczej.

Lilka nie miała takiego szczęścia do ludzi jak ja i zawsze z pewną zazdrością wspominała, że ona, jako typ asteniczny, ma na ogół „pecha do ludzi”, a mnie, jako okrągłego „pyknika” wszyscy kochają. Coś w tym było. Babcia Kossakowi i wszystkie ciotki zawsze wołały okrągłego Magasiz (czyli mnie) od szczupłutkiej i eterycznej Lilusi. Obie siostry Bzowskiego stanowczo Ignęły do mnie, a do niej odnosiły się niechętnie, nie mówiąc już o wspomnianym w innym miejscu przyjacielu Bzunia Brunickim, który wprost Lilki nie cierpiał. Stara matka Pawlikowska przez cały czas jej małżeństwa z Jasiem walczyła z cichą niechęcią do niezwyklej synowej, ani jej nie rozumiejąc, ani nie pragnąc zbliżyć się do niej. Nie okazała też żadnego sprzeciwu, gdy jej syn postanowił rozwieść się z Lilką, a ożenić z małą, nic nie znaczącą tancerką z zespołu Rity Sachetto, a może nawet odczuwała jakąś cichą „Schadenfreude”.

Lilka mówiła mi, że jeśli w pociągu ktoś ma do kogoś z pasażerów pretensję i wszczyna jakieś awantury o miejsce — to zawsze z nią. Przeciętni ludzie —

skarżyła mi się — czują w stosunku do mnie jakąś nieopanowaną niechęć i ochotę zaczepiania mnie. Gdybym utyla i przez to zmieniła swój asteniczny typ — na pyknika, od razu byłoby inaczej.

Do przeciętnych ludzi nie miała rzeczywiście szczęścia — za to niezwykle podziwiali ją i uwielbiali. Boy, który w takich superlatywach wyrażał się o jej utworach scenicznych, Stefan Żeromski, entuzjasta jej poezji, no a przede wszystkim skamandryci: pisali o jej wierszach zupełnie „niekoleżeńskie”, czyli niebywale pochlebne recenzje Lechoń, Wierzyński, Tuwim, zaś Antoni Słonimski, najzłośliwsze pióro w Polsce, okazał się nie tylko entuzjastą jej twórczości, ale do końca jej życia pozostał oddanym przyjacielem. Jeśli ktoś zrobił Lilce w życiu krzywdę, to tylko kobiety, które starały się uwieść jej drugiego i trzeciego męża — jednej z nich aż nadto się w tym kierunku powiodło.

Tylko Maria Morska (Knasterowa), świetna interpretatorka wierszy Lilki, tak zwany „Sorek” (imię, które poetka nadała swojej ukochanej wiewiórce), była zawsze jej wiernym przyjacielem, bez żadnych babskich fałszów.

Ale wracając do Witkacego, to zadziwia nas wyżej cytowane zdanie o kobietach, wypowiedziane ustami Spiki. On, ten wielki i skomplikowany uwodziciel, za którym ganiały wszystkie zakopiańskie piękności, którego pierwsza narzeczona popełniła samobójstwo skacząc ze skalnego kominka, udęczona nadmiarem jego

„metafizycznego pępka” — skąd mógł tak podpatrzeć babskie nastawienie kobiet do kobiet? Musiały widocznie narobić wiele świństw nie jemu wprost, ale jego długoletnim miłościom, intrygując i donosząc im to i owo...

Lilka, nie będąc entuzjastką pure nonsensu i poszukiwania nowej formy, bawiła się utworami

scenicznymi Witkacego, ale ich chyba nie brała na serio. W każdym bądź razie nie odnosiła się do nich tak krytycznie, jak do sztuk innych współczesnych dramaturgów.

Oto co pisze w jednym ze swoich późniejszych listów do męża: Byliśmy dziś całą kupą na niegrzecznych dzieciach Rostworowskiego. Po *Amorze* i *Psyche* najstraszniejsze co widziałam w życiu, mówię Ci, coś połapał z Witkacego, coś z *Balwierza* i zrobił bujdę w której się dokładnie uwidocznia jego „*marasmus senilis*” — *Bujdę patriotyczno–dadaistyczną*. Jak to dobrze, że to nie Ty napisałeś — jakżebym się powiesiła!

Z Rostworowskim bardzo się zresztą nie lubili. On pisywał krwawe makabryczne utwory, podobnie jak Mauriac i inni !tzw. katolicey pisarze, Lilka zaś była bardzo świecka, zmysłowa i nowatorska. *Ogień* i *święcona woda*.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Witkacego, jest to postać tak barwna i wielowarstwowa, że trudno się od niej oderwać. Otóż w Zakopanem poznaje on młodą kobietę, która jest jak gdyby żywą postacią z jego dramatów — patrz *Tumor Mózgowicz*, opis hrabianki *Ibisy*: „*Ruda, oczy niebieskie. Bardzo rasowa i wściekle wprost ponętna. Demoniczna dziewczynka*”. A w innym dramacie: „*Donna Lubrica Terramon — ruda z czarnymi oczami*”.

Los nieraz urzeczywistnia poetom i pisarzom typy, które sobie wymarzyli i które opisali. Lilce zesłał „księcia *Nemroda o zielonym piórze*” — czyli książętko góralskie w osobie *Jasia Pawlikowskiego*, Witkacemu zaś rudą pannę o szalenie zmysłowych wargach i „wściekle wprost ponętną” — naszą siostrę cioteczną *Ninę Unrug*, której protoplasci pochodzili z bardzo starej niemieckiej szlachty, *grafów von Unruhe*. Urzeczywistnione jeszcze jedno marzenie *Stasia* — jego bohaterki sceniczne były przeważnie arystokratkami, rzadko niżej baronówny (chyba że to była pomoc domowa). To, że *Nina* nie była młodziutką panną, ale dojrzałą kobietą i że nie posiadała żadnego majątku — było dla niego sprawą obojętną. Miała pelerynkę z rudokasztanowatych kręconych włosów i obleczona była w naturalny skórzany kombinezon tak biały (co wówczas było warunkiem kobiecej urody), że aż prawie niebieskawy. Poza tym była bardzo dumna i wyniosła, co też Witkacemu imponowało. Bawiąc się z nią jeszcze jako małe dziewczynki nazywałyśmy ją „*Królową Dzieci*” — i ten tytuł widocznie zakorzenił się jakoś w jej pojęciu o sobie. Nawet tak niezwykłego męża jak *Witkacy* traktowała troszkę z góry, z łaskawością *Panującej*. Należy jej jednak przyznać, że będąc sama na bardzo dobrym poziomie intelektualnym ceniła przedziwne dramaty swojego męża i nawet niektóre z nich sama przepisywała na maszynie, a zapoznawszy się z francuskim tłumaczem, starała się, aby jego sztuki były tłumaczone na język francuski.

Przetłumaczone zostały jednak dopiero w kilka lat po ostatniej wojnie, a biedna żona, będąca na stare lata w opłakanych warunkach materialnych, poza moralną satysfakcją nie czerpała już z sukcesów scenicznych swojego męża żadnych materialnych korzyści, ponieważ czas, który pracował dla zmarłego autora przysparzając mu sławy, dla niej okazał się bardzo niełaskawy — w dwadzieścia lat po jego śmierci nie miała już prawa do pobierania tantiem autorskich.

Taki człowiek jak *Witkacy* nie mógł być tym, co się po mieszczańsku nazywa

„dobrym mężem”, kochał ją jednak i malował portrety na zamówienie, aby dla niej zarobić jak najwięcej. Potrafił nawet zafundować jej kilkumiesięczny pobyt na francuskiej *Riwierze*, razem z

Lilką i ze mną, co i wówczas kosztowało słono, a co ona przyjmowała bez zdziwienia i zachwyty, jako hołd należny jej osobie.

Kilka lat przed wojną to małżeństwo zaczęło się coraz bardziej rozluźniać. Nina zamieszkała w Warszawie, Staś pozostał w Zakopanem i tylko od czasu do czasu do niej przyjeżdżał. On miał swoje przyjaciółki — ona swoich adoratorów, ale do końca jego życia pozostali oddanymi sobie przyjaciółmi.

Ich małżeństwo polegało na wzajemnym imponowaniu sobie. On jej imponował swoją niezwykłą indywidualnością i talentami — ona jemu tym, że była taką leniwą rudowłosą hurysą, zresztą istotą chłodną mimo pozorów „piekielnie zmysłowej”. W

Zakopanem mieszkali u wspaniałej matki Witkacego, takiej „Mutter Courage”, która prała, gotowała, prowadziła cały dom w bardzo nieraz ciężkich warunkach. Nina traktowała teściową z pewną wyższością i mówiła do niej „pani”, co, miałam wrażenie, bardzo bolało Witkacego, szalenie do matki przywiązanego. Nie można się zanadto dziwić synowej, tego rodzaju matron nie spotykała w środowisku, w którym się wychowała. Czcigodna matrona powinna być bardzo religijna, a stara Witkiewiczowa nie tylko że była kompletnie niewierząca, ale w dodatku wzbraniała się ochrzcić swojego jedynaka...

Poza tym tkwiła mocno w młodopolszczyźnie, również dla Niny obcej i dalekiej.

Była to kobieta mądra i odcytana, a goście, którzy często odwiedzali willę

„Zośka”, najchętniej prowadzili z nią dyskusje na poważne tematy. Nina, jak zresztą wszystkie żony, była zazdrosna o flirty i miłości swojego męża, wiedząc, że nie potrafi mu dać owych — „metafizycznie piekielnie zmysłowych wstrząsów”, co inne jego flamy. Mimo to byli przez dłuższy czas zupełnie zgodnym i poprawnym małżeństwem.

Witkacy skończył tragicznie we wrześniu 1939. Pierwszy raz w życiu nie żartował ze śmierci, tak jak w swoich utworach teatralnych, tylko wydał na siebie wyrok i wykonał go w sposób okrutny. Nie widział w owych tragicznych dniach klęski innego wyjścia dla siebie. Trudno zrozumieć, że nie żał mu było wykończyć Witkacego, tego fenomena, który wyrósłszy z Młodej Polski, z moderny, poprzez satanizm Przybyszewskiego i mistycyzm Micińskiego potrafił stworzyć nowy styl, niespotykany dotąd rodzaj twórczości, przez niego jedynie wynaleziony i stworzony, i że w ostatniej chwili przed popełnieniem samobójstwa nie pomyślał, tak jak pewien bohater z powieści: „Ale jak ja BEZ SIEBIE wytrzymam” i nie odrzucił rewolweru.

W epoce, w której obie z Lilką dorastałyśmy, rósł wraz z nami jakiś, można rzec, bunt młodych. Już jako podlotki czułyśmy ogromną pogardę dla takich panienek, które nazywałyśmy „grzeczne dziewczynki”. „Eh, to taka grzeczna dziewczynka —

mówiła lekceważąco Lilka — nie będziemy się z nią zadawać”. „Grzeczna dziewczynka” była posłuszna rozkazom matki, pobożna, dobrze ułożona, całowała zakonnice w rękę, a księży w ramię, czytała tylko książki dla jej wieku wskazane, i wiedziało się z góry, że wyjdzie za mąż za tego, którego jej rodzice wybiorą.

A my nigdy nie byliśmy „grzeczne”. Lilka mając szesnaście lat czytywała Nietzschego (z czego powinna się była spowiadać), pisywała wiersze miłosne.

Wyśmiewała się z „Journal de Margueritte”, francuskiej lektury specjalnie dla młodych panienek zalecanej, i robiła „oko” do młodych ludzi. Czytając później Zapolską nabierałyśmy coraz większej pogardy dla „burżujów”, a wielkiej sympatii dla świata artystycznego.

Dorastałyśmy obie w epoce niespotykanych dzisiaj i niezwykłych typów.

Zwyczajnych ludzi nie znało się w naszym środowisku. Nie używało się wówczas określenia „mieszczański” czy „drobnomieszczański”, a mimo to o wiele mniej było takich typowych mieszczan jak dziś, kiedy to niejeden artysta, czy jest nim aktor, poeta, filmowiec czy plastyk, tworzy przede wszystkim po to, aby mieć komfortowe mieszkanie, stylowe meble, no i oczywiście własny samochód. Wtedy artyści chodzili na ogół biednie ubrani, a określenie: „głodny literat” długi czas się utrzymywało. Niektórzy artyści, podobnie jak dzisiejsza młodzież, starali się nawet wyglądać jak clochardzi. Typowym takim clochardem był szalenie zdolny i czarujący Karol Stryjeński, bardzo obiecujący architekt, już nie mówiąc o znanym rzeźbiarzu Jacku Pugecie, który wręcz przesadzał w swojej chęci odróżniania się od „burżujów”. Chodził w podartych butach, połatanych portkach, z nie strzyżoną głową i mało się różnił od dzisiejszych hippiesów.

Starsze pokolenie artystów, to z młodych moich lat, nosiło czarne peleryny i czarne lub granatowe berety. Jedynym wyjątkiem był Wojciech Kossak, który ubierał się w Londynie u najlepszych krawców, nic w jego wyglądzie nie zdradzało, iż należy do tak zwanej bohemy.

Mam w oczach wspaniałego artystę Jacka Malczewskiego — ten nie nosił, jak Wojciech, pumpów w kratkę i czapki angielskiej z daszkiem, ale otulał się, jak togą, szeroką granatową peleryną, a łysinę zasłaniał małym beretem. Ze swoją spiczastą czarną bródką i płonącymi ciemnymi oczami miał w sobie coś z Chrystusa i zarazem Mefistofelesa. Na Kossakówce traktowano go serdecznie, ale z pewną pobłażliwością. „Ach, ten Jacuś!” — śmiał się z jego dziwactw nasz Tatko, który podziwiał jego gigantyczny talent, lecz nie uznawał alegorycznych postaci, jakie Malczewski zwykle umieszczał w tle malując czyjś portret. Pamiętam, często wyrażał żal, że Jacuś wpadł w manierę i że już nie maluje, jak na początku swojej kariery artystycznej, takich wspaniałych kompozycji, jak Śmierć Ellenai czy sceny z życia Sybiraków. „Jacuś zmarnował swój olbrzymi talent”.

W Wiedniu Malczewski nie był uznawany i jego przepyszne kompozycje nie miały powodzenia. Uznawał go wówczas tylko Kraków.

Dzisiejsi artyści i pisarze nie starają się o to, by mieć własny, oryginalny styl. Ich zaplecza słabo są zaopatrzone, wyciągają z nich tylko tyle, ile na razie im potrzeba do stworzenia jakiegoś dzieła. Gdyby ich potoczne rozmowy nagrać na płytę, to jedynie po głosie poznałoby się, kto jest kto. Żadnego własnego języka, żadnych charakterystycznych żartów czy powiedzonek — nic, co by ich odróżniało od innych ludzi. My z moją siostrą miałyśmy swój odrębny język.

Nasz Tatko posiadał tak indywidualny sposób wyrażania się, że trudno go porównać z jakimkolwiek innym. Miał zwyczaj mieszania słów i określeń polskich z francuskimi, niemieckimi lub angielskimi, ponieważ uważał, że w ten sposób lepiej będzie mógł wyrazić swoją myśl. A poza tym dla dowcipu

używał

staropolskiej mowy, mówił: „chodźta”, „przyjrzyjta się”, „nie nudźta”. Mówił

zamiast „mleko” — „mliko”, a zamiast „ser” — „syr”. Nie mówił „diabli” — tylko

„wciórności”. Do żony zwracał się per: „najdroższa małżonko”, dziecko to był

„pędrak” albo „skrzat”. A kto się dziś domyśli, co to może być „didko na słomianych nogach”? W jego języku był to nocny strach, który mógł się dzieciom przyśnić. Gdy chciał sobie dziarsko zakląć, mówił żartobliwie: „przez niebieskie!” (z francuskiego „parbleu”!). Ach, heca i zabawa była z tą Tatki mową.

Boy miał swój język i swoje powiedzonka. Pawlikowscy przyjęli nieznośną manierę mówienia po dziecinnemu, w co też wciągnęli tak zdolną poetkę jak Maryla Wolska.

Nawet czcigodna stara matka Pawlikowska zmiękczała każde słowo i starała się seplenić jak dziecko. A Witkacy, ten dopiero miał swoją oryginalną mowę. I te jego „piekielne”, „demoniczne”, „metafizyczne pętki” i inne wyrażonka jakże doskonale się komponowały z jego całą osobowością, która w jego pragnieniu również miała być „demoniczna”.

ROBACZYWA RZECZYWISTOŚĆ

Niemcy — przegrany wielki pokerzysta — wciąż płacą długi z tej morderczej gry.

Stracili Alzację i Lotaryngię i część Górnego Śląska, o którą jest teraz spór między Czechami a Polską. Powstaje Komisja Międzysojusznicza, dla zorganizowania plebiscytu, który ma rozstrzygnąć, komu jaki kawał owego cennego, bo czarnego od węgla ciasta ma przypaść w udziale. Polsce dostaje się okręg katowicki, poza tym powiaty pszczyński, rybnicki, część tarnogórskiego i lublinieckiego oraz skrawki bytomskiego i zabrzańskiego. Będzie miała swój węgiel, swoje kopalnie.

Lilka zapewne myśli, że to zasługa Jasia, który bierze udział w pracach plebiscytowych i — jak to widzimy z jego listów — bardzo jest przejęty swoją misją. Wygląda uwodzicielsko w amerykańskim mundurze koloru khaki i wysokich sznurowanych butach. Nowy powód zachwytu dla jego żony, która ma znów okazję wysyłać do niego swoje zakochane i pełne czułości listy.

Jaś pisuje ze Starej Wsi do Lilki rzeczowe i serdeczne listy.

Czesi zachowują się niemożliwie. Robią zasadzki na polskie auta, kiedyś w nocy musiałem strzelać do bojówki czeskiej. Ale o tym sza!!!

Mimo wszystko jestem kontent, bo lubię taki młyn. Nadzieje na rezultat plebiscytu są dobre, będę skrajnie szczęśliwy, jeśli się trochę do tego rezultatu przyczynię. Te parę godzin na tydzień, które w Zak.* spędzam, obracam na asystowanie p. Ziemięckiej i Okęckiemu...

Któż to taki owa pani Ziemięcka? Młoda uciekiniarka ze Wschodu, przystojna ziemianka, ale i... lepianka, ponieważ jak to zauważyłam we wspólnej kąpieli w Jaszczurówce, lepi się od brudu.

Posiada tylko jedną kombinację, już na wszelki wypadek — czarną. Opowiadam to mojej siostrze, co ją niesłychanie uspokaja, jeśli chodzi o flirt ze schludnym Jasiem.

— Dziękuję ci za tę wiadomość, Madziusiu — nic z tego nie wyjdzie, Robak tak lubi czyste i pachnące dobrymi perfumami damy...

Jaś pisze dalej:

... [W Zakopanem] jest strasznie pusto, poza tym rad się zwalnam od towarzystwa misjonarzy, których mam wciąż na karku.

Pisałem do Ciebie raz ze St. Wsi, ale wtedy całą pocztę skonfiskowali Czesi, oczywiście bezprawnie zrewidowawszy kuriera. Zrobiło się straszny krawal z tego powodu. Jest nadzieja, że się to nie powtórzy. Szczureczku najmilszy, co tam robisz po całych dniach? Tak mi jest strasznie niespokojnie, że dotąd nie miałaś wieści ode mnie i może się martwisz niepotrzebnie! Na—piszże mi proszę jak najprędzej. Tatkowi wczoraj zarekwirowano domek na kancelarię wojskową, zrobiłem wszystko, aby uwolnić domek, ale Muchowicz (jak wiesz mój „przyjaciel”) uparł się...

Nie pamiętam, co było dalej z tą pracownią Tatki, widocznie ją jakoś wybronił, bo później w swoich listach z Ameryki wspomina, jak się na nią cieszy.

A stęskniona żona pisze z Krakowa:

Jasiu mój najmilszy! Tęsknię za tobą naprawdę tak okropnie, i tak Cię Kocham że już nie mogę. Napisz albo przyjedź, nie zostawiaj mnie tak bez wiadomości —

przecież Ty mój jesteś, jedyny — wiem, że nie masz czasu na myślenie o mnie, ale ja mam bo nic takiego nie robię, i to myślenie samotne truje mnie — naprawdę.

Gdyby dziś był przyszedł choćby krótki list od Ciebie byłoby mi całkiem inaczej na sercu. Lubię przecież Robak! Przeraźliwie lubię Cię!

Nie wiedzieć nic co robisz, gdzie robisz, czy Cię Czechy nie nadeptały, — Pewno po namyśle nie pojedę jutro do Woźniakowskich, Będą mi się pytać o wiadomości od Ciebie a ja im nic powiedzieć nie mogę. Z tego wyniknie że nie kochasz już szcurka Chuchundrę.

Taki zły jestem na Ciebie, a tak bym chciał Cię pocałować 10 razy i długo trzymać na kolanach. Ty najdroższe moje złoto! Bądź pewny że nie wątpię ani chwili w Ciebie, i wiem że jeśli nie pisałeś to dlatego że chciałeś przyjechać prędko...

Męskie cechy, o których pisałam poprzednio, zadziwiające u tej tak bardzo kobiecej istoty, uderzają nas i w tym liście: „A tak bym chciał Cię pocałować 10

razy i długo trzymać na kolanach”... Czy tak pisze zakochana żona do męża — czy zakochany mąż do żony?

Ja w tym czasie jestem zaręczona z Janem Starzewskim, którego wszyscy nazywają

„Karasiem”, jako że ma na drugie imię Polikarp, jak i dlatego, że jest tłusty i okrągły. Mam z nim jechać do Warszawy do Tatki, ale niewinnej pannie w tych czasach nie uchodzi jechać we dwójkę z narzeczoną. Lilka pisze o tym do Jasia: Nie pojechaliśmy z Madzią do Warszawy, bo coś zaszło. Ja tak sobie tylko chciałam jechać, bez wielkiej ochoty tylko by Madzi i Karasiowi wygodzić bo im zastąpiłabym Mamę na czym by dobrze wyszli... Byliśmy z Mamą na chrzcie tego idyoty Jacka*. Bardzo do rzeczy chłopak, teraz jeszcze podobny do Malczewskiego całkiem*. Nusia urosła i bardzo ładnie wygląda, zaś Henryk wygląda jak Bóg Ojciec w młodym wieku. Chrzcziny były świetne... Ksiądz trzymał mowę i upuścił ją bowiem wzniósł z okazji nowogrodka zdrowie państwa młodych i wszyscy pękli ze śmiechu. Było wesoło, Michał śpiewał, Ojciec milczał a wszyscy żalowali ciągle że Ciebie malutki i najdroższy Jasiu nie było.

Widać po tym liście, że Lilusia jest pogodna i w doskonałym humorku. Słowiki na dłuższy czas przed burzą i huraganem nie trwożą się jeszcze i kłaskają w krzakach...

Zresztą Jaś nie daje jeszcze powodu do niepokoju. Jest szalenie przejęty swoją misją plebiscytową i pisuje do żony listy interesujące i rzeczowe:

...Latam wraz z Komisją autem niby Holender. Co parę dni wpadam w przejeździe... do Zakopanego. Gościłem na Kozieńcu hr. Torniellego, delegata włoskiego, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Strasznie miły człowiek i prawdziwy, odważny nasz przyjaciel. Dziś po pół. wracam do St. Wsi... Może mi się uda jednak do Krakowa frunąć... Każdą chwilę wolną spędzam jak na szpilkach, w oczekiwaniu świeżych podróży i zdarzeń...

Prawdopodobnie osiadę wraz z Komisją w Jaworzynie, a wtedy Cię ze sobą zabiorę, bo jest tam cudne mieszkanie i cudne miejsce... Jeślibyś spotkała gdzie Torniellego, bądź bardzo grzeczna i powiedz mu też, że się nim wszyscy zachwycają. Ale na ogół mówić o tym nie trzeba, boby Czesi zrobili awanturę, że to polonofil.

Nie obiecuję bardziej ciekawego listu, chyba że już nie będę miał możliwości przyjechać do Ciebie.

Całuję Twoje ogromne gały i małe łapięta, proszę nie nadeptywać na Robaka.

Miły, ciepły list męża, który nie ma nic złego na sumieniu.

Czy Lilka pojechała do owego „cudnego” miejsca w Jaworzynie? Chyba nie — i dalej trwa między nimi wymiana listów. Bardzo śmieszny list pisze Jaś do żony z Orawy (wreszcie jest na nim data: 16 IV 1920), na papierze z nadrukiem: „Commissione Interalleata di Plebiscito Delegazione Italiana”; widać, że Pawlikowski wyrobił

sobie dobre stosunki z delegacją włoską. Oto kilka zdań z owej zabawnej włosko-polskiej mozaiki:

Szczureczko mio carissimo!

Ecco un libero momento — aby napisać list ten to. Nie gniewaj się Szczurku za to

— che non ho presto scrivato... Bardzo, ach, byłem zajęty — uno plebiscito va lente... Doppo partenza la Tua — człek się tuła i tuła. In settimana ventura —

może do Ciebie dam nura — Póki się Robak tu zwija — aspetta in Cracovia... Con la Interalleata — roboty mam tu do kata! — Mia piccola persona — mnóstwem jest spraw obarczona — I agitację też wszczyną — escribe alla macchina. A tam gdzie składam sam głowę — e par si muove, si muove!

Itl.,itd.

Uroczy jest ten „Robak”, jak się sam nazywa, i trudno za nim nie przepadać.

Toteż cała rodzina Kossaków adoruje go. Oto jak o nim pisze nasz Tatko w którymś z listów do Maniusi:

Gwaś kochany mi tutaj zjechał, którego mogę ugościć, bo mam wspaniały numer...

... i ta jego przyjaźń dla Karasia, z którym są razem, wszystko to takie miłe i dodające otuchy. Byłem dziś rano u OO. Kamedułów na wczesnej mszy, nie budząc kochanego Gwasia, który tak cicho i słodko śpi, jak i on cały jest słodki.

Warszawa opustoszała przygnębiające robi wrażenie, ma dziwny jakiś pesymizm mimo wszystkiego cudownego, co się stało. Masę znajomych z Klubu zginęło, albo na polu chwały, albo zamordowanych... Drożyzna dochodzi do absurdu, befsztyk nieduży 75 marek, jajecznica 50, talerz zupy 25...

Dla gigantycznego apetytu Tatki to naprawdę tragedia. Katastrofalna dewaluacja robi z ludzi zamożnych — biedaków. Słowo „milion” szeleści jak bezwartościowy papierek. Ale Wojciech nie jest z tych, którzy by narzekali, jęczeli i żałamywali ręce nad pustą kasą. Trzeba działać, przecież na jego utrzymaniu jest prawie cała rodzina. W takim wypadku nie należy iść po żalność do serca — tylko po rozum do głowy, co też czyni i postanawia jechać po zarobki do Ameryki, która jedna na pierwszej wojnie światowej wygrała. Zaczyna się kręcić koło owego wyjazdu i w niedługim czasie pisze do ukochanej małżonki: Maniusiu, jadę jako kurier Rządu Polskiego do Paryża (envoye extraordinaire du gouvernement polonais), wiozę miliony i tajne dokumenty dla Ambasady w Paryżu, a część dla Ambasady w New Yorku.

A Lilka pisze do Jasia w ten sposób:

Pomyśl jaki Tatko młody i jak się cieszy na Amerykę — a przecie daleko nam do niego. Co ja robię cały dzień? Dużo. Dotychczas było mi strasznie szaro i ciężko bo przeszło tydzień nie wiedziałem nic o Tobie. Malowało się, trochę, czytało, uczyło, grało, łąziło, pluło, łapało, rzucało. Mama zważywszy mnie doszła do przekonania że trzeba mnie gwałtownie zacząć odżywiać, ważę bowiem jeno 46 kilo.

Zaczynam więc kurację koniakowo–mleczno–maślaną, trzy razy dziennie, tak jak chciałeś. Zimno okropnie, Madzia choruje na brzuszek, ma jakiś katar herbu Jelita.

Najmilsze moje! Jasiu mego serca. Zrób tak bym był z Tobą razem, bo mi się nudzi bez Ciebie...

Całuję Cię najukochańszy w główkę, w łapkę, w brzuszek, kocham ogromnie, i czekam z tęsknotą. Odezwiij się za drzwiami Kwaku najmilszy — uduszę Cię z radości, malutki Jasiu.

Do widzenia z Robak.

Jedzie więc nasz ukochany ojciec po zarobki do Ameryki, jak dawni ubodzy wyrobniicy „na Saksy”. W New Yorku jest grupa Polonii z Paderewskim na czele, który jest tam niesłychanie popularną personą i z którym się wszyscy liczą.

Można rzec, że „gra tam pierwsze skrzypce”, mimo iż jest, jak wiadomo, słynnym pianistą. Przyjmuje Wojciecha bardzo serdecznie i obiecuje mu jak najdalej idącą pomoc. Ale cóż, kiedy jego magnifika nie jest na poziomie i bardzo drażni Wojciecha. Pech chce, że kiedyś na jakimś przyjęciu polonijnym Wojciech zwierza się z tą swoją opinią pewnej przygłuchej starej damie, której szepcze do ucha, że „Paderewski jest sercem i miłością Ojczyzny, ale ta jego baba trochę mu zaszkodziła...!” Staruszka, jak wszyscy głuchawi, słyszy to, czego należałoby nie usłyszeć, i nie ma nic lepszego do roboty, jak to innym wokoło powtórzyć.

Dochodzi to również i do Paderewskich, którzy czują się bardzo dotknięci.

Wojciech jest w rozpacz, bo nie tylko że sobie zraził przyjaciela, ale w dodatku jego zarobki w Stanach zależą w dużej mierze od protekcji tak popularnego mistrza Ignacego. Pisze więc do niego list, w którym porównuje go do Napoleona w odwrocie z Moskwy, w otoczeniu grenadyerów z jego gwardii, brnących w śniegu, zmarzniętych i wyczerpanych. „lis grognaient parfois, mais ils le suivaient partout. — Tak i ja, drogi Panie, z sercem i miłością ojczyzny za Tobą pójdę wszędzie a que j'ai osé grogner parfois, więc wyproś u dostojnej Twej małżonki przebaczenie, a na znak, że mi wybaczenie, raczcie oboje przyjsć do mojej pracowni, będzie to odruch jeden więcej dwóch wielkich serc”.

Ów list wzruszył Paderewskiego, pokazywał go wśród Polonii jako wzór pięknego stylu. Odwiedzili oboje Wojciecha w jego pracowni i cały incydent poszedł w zapomnienie. Interesy szły jednak dalej kiepsko. Tatko pisze do Maniusi:

...powiedzieli mi tutaj, że Ameryka jest pod względem sztuki barbarzyńska i że muszę mieć swoją specjalność koniecznie, inaczej nie imponuję im. Speciality płaci się potrójnie. Powiedziałem więc, że prasa ma mnie jako specjalistę od portretów konnych przedstawić.

Owa reklama robi swoje i Tatko zaczyna otrzymywać zamówienia na portrety dam i dżentelmenów na koniach. Niedługo pisze do żony, że otrzymuje po dwieście, trzysta, a nawet po pięćset dolarów za portret. Wszystkie te zarobki wysyła na jej konto bankowe do Polski, gdzie wciąż jeszcze jest straszna dewaluacja.

Manusia [pisze krotchwilnie] jesteś niestety milionerką.., Nic sam sobie nie sprawia ten idealny mąż i ojciec i pisze do żony, aby mu przysłała koniecznie do Ameryki stare portki. Wprawdzie z angielskiego materiału, ale znoszone.

Z tego garnituru londyńskiego w kratki [pisze do Maniusi] jest dwie pary spodni krótkich, jedne dobre, ale w dyskretnym miejscu... trochę szerniałe, drugie zaś prawie nowe, ale zjedzone przez mole. Te dobre wraz z kamizelkami są w Zakopanem, a te zjedzone przez mole w Krakowie. Moja droga, każ z tych zjedzonych przez mole wyciąć kawałek i wstawić... Zrobisz mi wielką łaskę, pyszne ubranie. — Ściskam Was z całej duszy, moje najdroższe, Wasz Tato.

Mamusia nie pojmuje, że jej mąż w tak bogatym kraju, zarabiając dolary, nie może sobie sprawić nowego ubrania, i nie kwapi się z wysyłką, wobec czego Tatko ponawia swoją prośbę, dołączając jeszcze życzenie, aby mu wysłała również wełniane pończochy w kratę, które sobie zaanektował syn Jerzy.

Moja najdroższa [pisze znów do żony] odbierz koniecznie Kokowi moje wełniane pończochy w kratę i wyślij razem ze spodniami, tu wszystko jest takie drogie, że strach, krawat kosztuje kilkanaście dol.!

Oszczędnym na sobie ten znany elegant, uchodzący w Warszawie za najwytworniejszego dżentelmena. Myśli tylko o ukochanej żonie i córkach i ciuła dla nich dolarki. Po jakimś czasie, kiedy zaczyna wzrastać jego popularność, a tym samym zarobki, Mama ściąga go z powrotem do Polski na ślub młodszej córki, czyli mój, z Janem Starzewskim. Tatko prosi w swoich listach, aby ze ślubem poczekać do jego powrotu za dwa miesiące, bo mu. interesy zaczynają doskonale iść, ale młodzi nie chcą czekać. Mnie się nie zanadto śpieszy, ale narzeczony, służąc w Legionach, czekał już dwa lata i nie ma zamiaru czekać dłużej. Obojętne mu jest, czy sławny teść będzie na ich ślubie, chodzi mu o to, aby jak najprędzej móc ukochaną porwać w ramiona, a wówczas, wiadomo, ksiądz musiał

„pokropić” młodą parę — tak jak święcone, którego nie wolno było tknąć, nim ksiądz nie poświęcił.

Nie sądzmy, aby ten niezwykły i tak kochający ojciec miał mi za złe, że go się gwałtem z Ameryki ściąga do Krakowa. Udaje nawet zadowolonego, oto co pisze do mnie swoim pogodnym, krotchwilnym stylem:

Magdusia, moje drogie niemowlę! Czy Ty wiesz, że wróciwszy z Chicago już się będę pakował do drogi, że już mam kabinę zamówioną na wspaniałą LA FRANCE i że niezadługo po tym liście dostaniecie, moje najdroższe, telegram ode mnie z Paryża, a nawet jeszcze z Havru, że jestem w Europie, biednej, zmarnowanej, ale!

o ileż, ach, o ileż miłszej i droższej sercu, juści. Jak też Momo, kochany wróbelians, wygląda? Gdybym Warn nie dał zaraz po przyjeździe po 100 dol., byłbym nie kochający Tata, ale szewc paskudny. A dostanę barszcz z uszkami i makaron na szynce? Uściskaj Momo, drogiego bohatera, i Liluchnę, i obu Jasiów, Ewę i Koka — Gwasiowi powiedz, że gorzko by lamentował, gdyby tu przyjechał.

Kryzys finansowy, wszystko stanęło, mnie ratuje tylko popularność między Polonią.

Jaś widocznie musiał pisać do teścia, że pragnąłby szukać szczęścia na drugiej półkuli. Skończył już swoją działalność plebiscytową i zaczyna się nudzić. Nosi go i wynosi z Zakopanego. Tymczasem kochający Tato wrócił do Krakowa, obładowany prezentami niby przysłowiowy „wujaszek z Ameryki”. Na moim ślubie, który się odbył w Krakowie, w kościele Św. Anny, wystąpił po

staropolsku w kontuszu przepasanym pasem słuckim, w ręce trzymał kołpak z czaplím piórem. Babskie ciało zgromadzone licznie w kościele na jego widok zaczęło syczeć jak stado gęsi:

„Kossak, Kossak, Kossak!” Był to jednak syk podziwu i entuzjazmu dla popularnego artysty i tak pięknego mężczyzny. Para nowożeńców znikła zupełnie w jego blasku Pawlikowski po powrocie z plebiscytowej akcji już nie był ten sam, poznał

cudzoziemców, nauczył się mówić po włosku, zapragnął bliższego kontaktu z zagranicą i ciasno mu już było w Zakopanem. Zmierzch jego miłości, a raczej pierwsze oznaki owego zmierzchu wymownie opisała poetka w swojej sztuce pod tytułem Bracia syjamscy. Jaś bywa przykry, opryskliwy, prowokuje żonę do sprzeczek, a za chwilę znów tonie w czułościach dla swojego Szczurka.

Michał Pawlikowski, jeden z redaktorów lwowskiego Wydawnictwa Altenberga, gdzie również jest redaktorem Jan Parandowski, zajmuje się wydaniem drugiego tomu Lilki Różowa magia. Opowiadał mi znakomity pisarz, jak Pawlikowski miał

zastrzeżenia co do wiersza, tak często obecnie deklamowanego, pod tytułem Babcia. Chodziło mianowicie o zwrot: Babcia pamiętająca Krakusa i Wandę, a w każdym razie Piłsudskiego i Focha... „Zostawiłbym Focha, nie dawałbym Piłsudskiego

— oświadczył Michał, zagorzały entuzjasta i przyjaciel Dmowskiego — bo i któż będzie po latach wiedział, kim był pań Piłsudski?” „W każdym razie będą więcej o nim wiedzieli niż o Fochu” — odparł rozumnie Parandowski. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Pawlikowskiemu, że doceniali talent poetki Lilki, mimo iż ukochana poetka Maryla Wolska była u nich zawsze na pierwszym miejscu, i Różowa magia ukazała się w r. 1924 prześlicznie wydana, z winiętkami kolorowymi samej autorki. Było to bibliofilskie cacko, a wiersze w nim zawarte — mocne i dojrzałe.

Jaś przesiaduje często u Zamoyskich, gdzie Rita Sachetto podsuwa mu pod ... zmysły swoją młodziutką uczennicę i wychowankę, kilkunastoletnią pannę Wally. Jak już wspomnieliśmy, Jasia coś nosi i wynosi z Zakopanego. Bywa często w Warszawie u teścia, który za nim przepada. Lilka przez ten czas przebywa w Krakowie, pod puszystym skrzydełkiem Mamy, czyli — jak ją Tatko nazywa — „Wróbeliansa” (od

„wróbelka”).

Gwasio jest tutaj [pisze Tatko z Warszawy], dużo u mnie przesiaduje, marzą mu się jakieś podróże do Meksyku (sic), to znowu na Południe...

Lilka też marzyła o dalekich podróżach (oczywiście z Jasiem), o ciepłych krajach... palmach. W uroczym wierszu Po cóż jechać do Turcji, z tomiku Różowa magia — objawia się jej tęsknota do obcych, nieznanych dalekich krajów, ale ponieważ na razie nie ma żadnych widoków na tego rodzaju podróże, więc szybko pociesza się egzotyką przyrody w ogródku na Kossakówce: Kule z puchu wśród trawy błyskają jak świeczki i ogród drży marzeniem o haszyszu chórem.

Po cóż jechać do Turcji? Pachnie bez turecki, półksiężyc bładny wschodzi tak jak nad Bosforem.

I ostatnia zwrotka, pełna radosnej filozofii: Tureckiego Khediwa dym w kłębach się waha

i zapachniał do rymu złoty kwiat nasturcji.

Milczenie jest tureckie, obce. — Na Ałłacha!

Po cóż jechać do Turcji? Do dalekiej Turcji?

Jej marzenia podróżnicze sięgają jeszcze dalej: marzy o ujrzeniu Chin, co możemy wyczytać w jej wierszu Chinoiserie:

Nie po to chcę jechać do Chin,

by widzieć piękne świątynie,

wieżę jakąś Ming czy Tsin

lub pejzaż w Kao—linie.

Marzy o „chińskiej miłości” i o „chińskiej wiśni”, o „chińskim dostojniku, który nauczy ją chińskich tajemnic”.

Jakich?

Tajemnic laki, herbaty

płaskich jak liść kapeluszy,

pagód i smoków rogatych,

i mojej własnej duszy.

Lilka ma takie bogate wnętrze, że nie musi koniecznie zwiedzać egzotycznych krajów, można rzec, iż ma je w sobie, w swojej główce. Niemniej poetka zwiedzi Turcję, a potem francuską Riwierę. Zrobi wycieczkę do Maroka i do Grecji. Na razie przebywa częściowo w Zakopanem, ale najwięcej w Krakowie, gdzie ma swoich stałych adoratorów: Macieja Starzewskiego, mojego szwagra, najbardziej uroczego i uczonego pana w Krakowie, w którym kocha się wiele krakowianek, Feliksa Konopkę, o którym już wspominałam, no i Witkacego, który często zjawia się na Kossakówce. Flirtuje, ale w sercu i głowie ma tylko i wyłącznie swojego męża, Jasia, o czym zresztą świadczą jej listy do niego z tego okresu. Wierzy wciąż w jego wzajemne wielkie uczucie, w tę międzygwiazdną miłość, jaka ich połączyła i winna być tak pewna jak słońce, które czasem przysłaniają chmury, ale które jest i zawsze się ukazuje. Jaś zresztą też ją wciąż kocha, ale inaczej — spokojnie i już nie tak namiętnie i bezpamiętnie, jest przecież normalnym mężczyzną, a mężczyźni, wiadomo, jak sławnemu wirtuozowi, audytorium w osobie jednej, nawet ukochanej kobiety nie może wystarczyć. Pragnie być podziwiany i przez inne.

Przedsiębiorstwo, w które włożyła cały swój kapitał uczucia, przynosi jej jeszcze dywidendy, ale już

coraz mniejsze. Żeby jeszcze je zachować, nie sprzeciwia mu się w niczym, stara się nie być zazdrosną żoną. Chce Gwasio jechać z Zamoyskimi do Wiednia, ma go to odnowić, odświeżyć, dać mu nowe wrażenia, nowe impulsy do prac literackich — niech „Robak” jedzie. Będzie pisała do niego te swoje piękne i wzruszające listy.

Oto jeden z nich, nareszcie z datą, a mianowicie 29 marca 1923 roku: Jasiu, małpku mój jedyny! Czemu takiś zły żeby nie pisać już prawie miesiąc?

Żebyś Ty wiedział jak mnie to męczy chwilami, a wierz mi że nie chcę Cię nudzić wyznaniem przywiązania, i boję się Ci pisać, że naprawdę tęsknię za Twoim widokiem, by nie wyglądać w Twoich oczach natrętnie i głupio. Nie można zapomnieć Ciebie, Kwak, bo jesteś inny od wszystkiego, i zajmujesz osobne miejsce którego nic innego zająć by nie mogło. Rób sobie co chcesz, ale pokaż się znów trochę! Tak jestem ciekaw jak wyglądasz — musiałeś rozwinąć jeszcze swą kibić przez gimnastykę, i pewnie świetnie się nosisz, z zagranicznym szykiem i dąsem. Ja też ładnie n.p.u. wyglądam i trzymam się jakoś. Był tu Ojciec... Cały wieczór siedział i dużo opowiadał. O Tobie mówił i chciał się ode mnie czegoś dowiedzieć, ale ja nic nie powiem póki mnie nie zwolnisz z obietnicy... Czy kupiłeś mi farby? Wystawiam teraz moje rzeczy w Warszawie, i bardzo dużo robię rysunków na ewentualne okładki i ozdoby księgarskie.

Kawał życia spędza Lilka na oczekiwaniu listonosza. Ileż pięknych wierszy napisała na ten temat! Weźmy choćby wiersz pt. Listy: Pani traci już wszelką powagę:

Czyha w bramie na listonosza!

Patrzy smutno, uśmiechem go błaga

jak ranny leżący na noszach.

Dni tej pani bez listów toną,

idą na dno w żalu bez granic...

aż się dziwi zmartwiony listonosz:

„Ja bym tam napisał do pani”...

Była to zresztą autentyczna historia. Lilka, jak co dzień, wybiegła do listonosza na zimny korytarz: „Nie ma dla mnie listu?” „Nie ma, proszę pani”.

Spogląda na piękną panią, która ma w oczach łzy zawodu, i mruczy: „Ej, ja bym ta napisał do pani...”

Lilka lubi również sama pisać listy i pisze je wciąż. Jest to zresztą cecha rodzinna. Tatko pisuje do „Moma” co dzień, gdziekolwiek jest, i owych wspaniałych i ciekawych listów pozostało około tysiąca. Mama siada wieczorami przy swoim biurku i pisze listy — do męża, do córek i do wszystkich swoich kuzynek. Cóż to był za wspaniały zwyczaj, szkoda, że dziś zupełnie zaginał.

Gdyby nie listy, nie wiedzielibyśmy nic o pannie de Lespinasse, bardzo mało o George Sand, a o płomiennej miłości Sobieskiego do Marysieńki nie mielibyśmy pojęcia. A poza tym ta troska rodziny, aby się owe listy zachowały!

Ale jakież listy godne byłyby dzisiaj chowania w tajemnej skrytce? Owszem, przechowuje się pieczołowicie rachunki za gaz, za elektrykę, różne listy handlowe. A listy miłosne? Czy one jeszcze istnieją? Czy ktoś dzisiaj pisze płomienne słowa i tak zwane wówczas „zaklęcia”? Owszem; czasem żona męża

„zaklina”, aby nie pił, dbał o swoje zdrowie i nie chodził późno spać... Mężowie zwykli tylko telegrafować lub telefonować. A chłopiec do dziewczyny? Po cóż miałby pisać o swojej miłości, kiedy ją może sfruktyfikować od razu... na miejscu.

Dawniej miłość często równała się tęsknocie. Kochankom stawiali przeszkody rodzice, zazdrosny mąż lub żona. Dzisiejsi ludzie mają inne problemy...

A Lilka wciąż tęskni za tym swoim „mężem-kochankiem” — to zajęty jest swoją misją na Śląsku, to znów przebywa za granicą. W listach do niego stara się być pogodna i nie zamęczać go wyznaniem miłości, ale pisząc zwyczajnie i rzeczowo i tak nie jest w stanie ukryć swych uczuć. Na Kossakówce przygotowuje mu nowe gniazdko. Każe przebudować „górkę” i zrobić tam dla nich dwa pokoje. Oto co mu o tym pisze do Wiednia:

Niedługo już będzie gotowa łazienka, Madryt, i pokój jeden i drugi nad kuchnią.

Kwaczek będzie miał wygody wszelkie gdy przyjedzie — i nikt mu nie będzie nudził

ani zatrzymywał — przysięgam! Koniecznie przyjedź. — Tatko tak Cię kocha — gdy się mówi o kimkolwiek, Tatko mówi: Wolę Gwakona... Dostałam od Altenberga za Twoją książkę 35 lisów które powoli idą do salonu, ale wiem że się o to nie będziesz gniewał. Gdy zarobię co na moich rzeczach to zaraz oddam Ci i kupię coś ładnego dla Kwak. Całuję Cię bardzo, bardzo w twarz, nie bądź obcy! Nie potrzeba.

Pocałuj wszystkich ode mnie i lub mnie, bo ja Cię strasznie i zawsze tak samo —

Nareszcie listonosz przynosi pani Pawlikowskiej upragniony list. Natychmiast odpisuje:

Kwaczusiu Ty mój drogi! List Twój z Wiednia zastał mnie piszącą do Ciebie już z gorzkimi wymówkami, a i kartkę równocześnie dostałam a także bardzo przyjemny serdeczny list od Mamusi, pisany ze zrozumieniem rzeczy, Twego wyjazdu i naszego do siebie stosunku. Bardzo się cieszę.

Żebyś Ty wiedział jakie te święciska były tu nudne! Rozpacz! Stara, znoszona bielizna którą się pobożnie z roku na rok nosi. Cały batalion Starzewskich, Madzia i Karaś, wór mąki, dochodzący do szczytu w przeciąganiu się i innych estetycznych objawach. Piła Jaśku, i myśl o Tobie nieraz mnie podtrzymuje na duchu gdy patrzę na tę smutną ludzkość. Lubię że jesteś egoista, lubię że dziwaczysz i że nie chcesz flaków w niedzielę. Pisz tylko i pamiętaj że ja jestem. Ja też nie lubię flaków.

Listy Jasia w Monachium, a potem z Wiednia odzwierciedlają w pełni jego charakter. Jest to przede

wszystkim wielki egotysta — jego uwielbienie dla Lilki to przede wszystkim wspólne uwielbienie JANA GWALBERTA. Bo i gdzież by na świecie znalazł kobietę, która by tak pięknie i tak poetycznie opisywała to cudo, za jakie on się bezwzględnie uważa. Przez te jej słowa, przez setki wierszy, które pisywała do niego i o nim, jego pycha rozrosła się i wybijała, pragnie być kimś wielkim i niezwykłym! A tymczasem proponują mu w Wiedniu posadę... fordansera. Pisze o tym do żony:

Ofiarowano mi już stosunkowo wysoką gażę, za to tylko, żebym co wieczór jawił

się w fraku w barze u Ronachera i tańczył z paniami. Ale się nie piszę na takie rzeczy we Wiedniu. Gdzieś w świecie i owszem, ale tu za blisko.

Ach, więc tylko dlatego nie zgadza się na tę posadę, że „za blisko”. Wyobrażam sobie zdumienie i przerażenie Lilki czytającej te słowa.

Dalej pisze tak:

Amerykański impresario angażuje nas na jesień do Stanów. Ofiaruje 75 d. dziennie każdemu z nas. Rita chce wyciągnąć więcej. Gdyby nie marka, którą ma R., nic by z tego nie było. Nie masz pojęcia, co znaczy pieniądź. Jak wiele go trzeba mieć, żeby się przepychać w tym świecie.

Biedna Lilusia musiała spać z obłoków, na których wciąż przesiadywała, w myślach i snach, ze swoim gwiazdzystym kochankiem. Jaś-Gwaś nagle taki businessman, on, którego pieniądze dotychczas tak mało interesowały, który był

wyższy ponad takie „drobiazgi”!

Ale... największy artysta [pisze w tym samym liście] nie zrobi nic, jeśli nie ma wszystkich agentów, dyrektorów i prasy w kieszeni. O dostaniu się do kina, do teatru, do variete... nie ma mowy.

Przypomina sobie nagle o Szczurku i pisze:

Bardzo, bardzo chciałbym skoczyć do Ciebie, aby się z tobą nagadać i powiedzieć Ci wszystko, co się listownie nie da. Przeżyłem w sobie bardzo wiele i dziwne się rzeczy porobiły ze mną, a może mi się tylko zdaje, może to wszystko jeno przejściowe.

Drżj, Lilczyne serce! Cóż się takiego „z nim porobiło”? Zakochał się zmysłowo w ładniutkiej laleczce-tancerczce i „dusza” jego jest rozdarta między przywiązaniem do niezwyklej żony, a zmysłową pasją do tej młodej zgrabniutkiej.

Rzecz normalna, ale nie dla takiego Jasia; to, co u innych mężczyzn jest normalnym objawem męskiej natury — jego zadziwia i rozstraja.

Przypomina mi się [pisze] nasza rozmowa w Warszawie i wszystko, cośmy mówili a propos uczuć i małżeństwa. Tak strasznie chciałbym dać Ci obraz mej duszy i uczuć, i tak strasznie to trudno napisać, żeby nie być źle rozumianym, a może i wcale nie. Ja naprawdę jestem całkiem inny człowiek niż wszyscy inni...

„Ja jestem taki inny niż wszyscy” — znamy to, tak zwykli mawiać mężowie, którzy wobec żony mają coś na sumieniu. Zaś żona, jeśli chce męża przy sobie zatrzymać, powinna powiedzieć z całym przekonaniem: „Tak, ty jesteś taki inny... taki niezwykły...”

Weltschmerz „Kwaka” przeistacza się jednak w czyn, i to w czyn wcale nie banalny: zaczyna występować w variete u Ronachera w Wiedniu, jako tancerz w masce...

Pisze do Lilki o tym:

Pracuję obecnie u Ronachera. Stosunki tu mam wcale miłe, dzięki temu, że uparcie mają mnie za Rosjanina, wielkiego księcia kryjącego się pod maską na scenie, a poza sceną samotnie zawsze dumającego nad zmiennością losu.

Korzysta z tej famy i przybiera pseudonim „książę Orłów”. Pewnie chytra Rita podsunęła mu tę myśl. W owych czasach emigranci z carskiej Rosji są bardzo w modzie i wiele paryskich kabaretów prowadzonych jest przez arystokratów rosyjskich. Szczególnie właśnie Francja miała słabość „pour les pauvres russes”, mimo że zadali klęskę Napoleonowi. Nie zapominajmy, że gdy car Aleksander po ucieczce Cesarza wjechał triumfalnie do Paryża, paryskie kobiety witały go entuzjastycznie... Wiedeń zaś pod tym względem nie ustępował Paryżowi i „biedni biali Rosjanie” mogli liczyć na pełne powodzenie.

Z przyjazdu mego do Krakowa niestety „nici” [pisze „książę Orłów”]. Mam tu we Wiedniu więcej do roboty niż przedtem, ponieważ studiuje obecnie nową rolę. Ach, Szczurku, czy myślisz, że gdyby nie nadzieja na rychłe wyfrunięcie w świat dzięki temu zajęciu, któremu się chwilowo oddałem, zdołałbym wytrzymać w charakterze artysty variete, występować dzień w dzień, wciąż te same słyszeć rzeczy i te same szprynce wyczyniać; użerać się z robotnikami na scenie i grać rolę poza sceną, rolę podupadłego magnata, który musi ciężko na kawał chleba pracować? Ciężką mam pracę, bardzo ciężką.

Czy mamy Jasia żałować? Współwłaściciel Medyki, pan na majątku Kormanice, i tak się biedny musi marnować jako „prosty” tancerz! No cóż, dla chleba, panie — dla chleba!!

Niech nam nie zawraca głowy. Wystarczyłoby skubnąć starszego brata Michała, zarządcę medycznego klucza, aby mieć nie tylko chleb, ale i wspólne zagraniczne podróże z biedną Lilusią, która siedzi w Krakowie i — w przeciwieństwie do swojego męża, który „tak ciężko pracuje” — „nic nie robi”, tylko pisze, maluje, czyta i tęskni za swoim Kwakiem, pełna tkliwości, dobroci i wyrozumienia dla niego, zupełnie jakby była o wiele od Jasia starsza, a przecież są w tym samym wieku, a nawet Lilka jest od niego trochę młodsza. „Będę Ci Marią i będę Martą”

— pisała w jednym ze swoich wierszy. I rzeczywiście ta uduchowiona Maria jest zarazem ową biblijną Martą, która otacza go ciepłą, macierzyńską opieką. W swoim liście do niego wspomina nawet o jego futrze: Jasiek kochany! Piszę to zaraz rano po Twoim liście z Monachium z którego się ucieszyłam ogromnie. Ale czy Ty nie dostałeś mojego, który już ze 12 dni temu wysłałam pod adresem rodziców Rity? Tam pisałam o futrze że już jest... Obiecałam Matce, że jej będę o Tobie pisać, ale co do dyskrecji o Twoich planach możesz być spokojny. Cieszę się z całego serca drogi mój mały że żyjesz, pracujesz że Ci dobrze nareszcie — Mam nawet z tego powodu uczucie

wdzięczności dla Zamoyskich. Byłbyś tu kładł pasjans, albo się zmuszał do nieswoich rzeczy, do tłumaczeń, wykładów i innych pił.

Mówi się, że miłość zaślepia. Ale też ogłupia. Lilka pisze o swym uczuciu wdzięczności do Zamoyskich, którzy go na tę ekspedycję namówili — czy naprawdę nie czuje wielkiego niebezpieczeństwa, jakie jej z tej strony grozi? Chodzą pogłoski, że mała tancerczka panna Wally jest nieślubną córką pani Sachetto, czy Lilka nie domyśla się, że chytrym marzeniem pani Rity jest rozbić ich małżeństwo i z czasem wyswatać Jasia z tą smarkulą? W każdym bądź razie może przypuszczać, że Jaś nie jest mężem świątobliwym i że młode różane ciało Wally nie pozostawia go obojętnym.

...chętnie z tobą później pojedę [pisze] i w ogóle lubię Cię ogromnie. Brak mi Ciebie nieraz, ale mam wrażenie że choć jednym płucem oddycham innym powietrzem.

Szkoda że Cię nie odprowadziłam do Wiednia, i żeśmy tam razem świąt nie spędzili

— Byłoby mi to oszczędziło tej corvee po której jestem chora z wyczerpania i wyjałowienia. Piszę jak zwykle od czasu do czasu kap, kap, i siedzę z rozkoszą w moim ślicznym pokoju, jedynym teraz w całym domu przyzwoitym naprawdę. Z Twego biurka wyjęłam wszystko co było do najgorszych śmieci i schowałam razem do szafy

— Nic już nie zginie absolutnie. Szafa z książkami zamknięta i wyniesiona na strych, by ludzi nie wodzić na pokuszenie.

Ciasno kobiecie–motylowi, kobiecie–nimfie w czterech ścianach Krakowa, chciałyby wyfrunąć. „Gdybym ja miała skrzydełka jak gąska — poleciałabym za Jaśkiem do Śląska...” A Lilka, gdyby miała forszę, za Jaśkiem do Wiednia. Tylko czy on tego naprawdę pragnie?

Nigdy nie czułam tak niemożliwości Krakowa jak teraz [pisze w innym liście do niego] te kilka starych, zdemolowanych mężatek, to całe towarzystwo, cały motor.

Poza tym mała, nierasowa żydowsko—polska krzywonoga banda się bawi, i urządza dancingi i reduty. Znajomi są tak nudni że się idąc patrzy pod nogi by ich nie widzieć. Wystawa, szereg nędz i słabości ludzkich, oprócz Eibischa, wielkiego i oryginalnego pana. Deszcz, albo mrozy nieokrzesane; toteż żyje się osobno czyta się, i robi się co może by nie być kwaśnym. Mój pokój to takie teraz cacko, że samo mieszkanie w nim jest przyjemnością. W ogóle nie czuję się wcale źle, ani apatycznie. Przeciwnie, mam wrażenie, że n.p.u. w tym właśnie roku musi coś być ze mnie nareszcie, i coś mnie pcha w tym kierunku.

Lilka wciąż tak samo czeka na listy od ukochanego, ale są one już teraz inne, więc i ona stara się nie pisać do niego tak namiętnie i żarliwie jak dawniej, kiedy to pisała tak:

Drugi Twój list właśnie przyszedł. Żebyś widział z jakimi ceremoniami zabieram się do czytania Twego pisma! nigdzie nie jest mi dosyć ładnie do tego, najchętniej poszłabym z nim do kościoła ale niecierpliwość mi nie daje — patrzę też przedtem do lustra... potem go noszę cały dzień na łonie, tego lista, i tak „

się nim strasznie cieszę! Taki jest mądry i bliski niemożebnie... Jaśku jedyny —

Przyjacielu najserdeczniejszy i najpiękniejszy kochanku! Kocham Cię za Twoją Miłość, i oprócz tego Cię kocham; Jeśli można tak powiedzieć kocham Cię jeszcze poza naszą miłością jak wszystkowiedzący przyjaciel który mnie samej, kobiety mądrze używa w celu Twego szczęścia, kombinuje, myśli. .. uczy tę kobietę jaką ma być — ach ile Ci o nim mogłabym opowiedzieć! on nie chce bym Ci dała szczęście spokojne i słodkie, gdyż byłoby to mało...

I tu znowu objawia się ów duchowy androginizm, o którym już wspominałam. Lilka pisze o jakimś „przyjacielu”, który ją, „kobietę”, uczy, jak ma z ukochanym postępować. Ale ten „wszystkowiedzący przyjaciel” nie zna dobrze mężczyzn —

powinien jej być podszeptać, że „panu stworzenia” („stworzenia”, którym jest kobieta) nie można wciąż powtarzać, że się go tak bezgranicznie kocha. Że Lilka taka mądra sama nie wie o tym, chociaż mnie pouczała: „Tylko mu nie mów, że go kochasz — to pecha przynosi...” Kiedyś spytałam naszego rodzinnego wielkiego uwodziciela Tatkę, dlaczego tyle lat kocha się w jednej i tej samej pani, mając tyle innych, lepszych okazji.

— Bo widzisz, drogie dziecko, ona mi jeszcze nigdy dotychczas nie powiedziała, że mnie kocha...

Ale wracając do Lilki i jej duchowego androginizmu — zobaczmy, co na ten temat mówi świetny pisarz Mircea Eliade w swojej nader interesującej książce *Sacrum, mit, historia*:

Zgodnie z informacjami przekazanymi przez świętego Hipolita, Szymon Mędrzec nazywał praducha arsenothelys — „męsko-żeński”. Naasseńcy uważali także człowieka niebiańskiego Adamasa za arsenothelys. Ziemi Adam był tylko obrazem niebiańskiego archetypu; on więc także był androgynem. Przez sam fakt, że ludzie wywodzą się od Adama, arsenothelys istnieje potencjalnie w każdym człowieku, a doskonałość duchowa polega właśnie na odnalezieniu w sobie samym androgynii.

W wierszach Lilki możemy nieraz odnaleźć ów idealny biseksualizm. Wszyscy przeważnie nazywają jej wiersze „kobiecy”. Chyba jest w tym zazdrość mężczyzn poetów, że nie potrafili stworzyć takich krwistych, męskich poezji, jak np.

choćby wiersz *Barwy narodowe*, który w wiele lat później posłużył K.

Gałczyńskiemu do jego wiersza o narodowych barwach sztandaru, czy wspaniałego, machniętego jakby pędzlem Kochejlanu czy Burzy na morzu. (Burzą, jako poezję wybitnie nie kobiecą, wybrał sobie do deklamacji Holoubek).

Te cechy istoty doskonałej, męskiej, ujawniają się w zwięzłości jej strof, w braku tak właściwego poezji kobiecej ciągłego roztkliwiania się nad sobą.

Cechuje ją również duża erudycja w każdej dziedzinie, nie będąca właściwością kobiecą, poza tym — poetycki dowcip, ironiczny i gorzki, jaki odnajdujemy w niektórych wierszach Goethego, Heinego i Norwida. Jest duchową wychowanką Mickiewicza, którego zresztą uwielbia, prawnuczką Teofila

Lenartowicza, poety lirycznego i chwytającego za serce, bliską kuzynką Leśmiana i Staffa, a z poetek spokrewniona jest chyba tylko z panią de Noailles, której wiersze pięknie przetłumaczyła. Twórczość Lilki nie wywodzi się ani od Marii Konopnickiej, ani od Maryli Wolskiej, nie ma nic wspólnego z poezją Kazimierzy Iłakowicz, jest najzupełniej samorodna, a jeśli można mówić o jakichś wpływach, to tylko sławnych poetów — nie poetek. Niektórzy krytycy dostrzegają w jej poezji wpływ skamandrytów. Jej „kobieta”, jak nazywa żeńską połowę swojej istoty, jest czuła, wrażliwa, delikatna, targana różnymi lękami, zabobonna i kochająca tak, jak to tylko kobiety potrafią. Jej „przyjaciół” (o którym wspomina w listach do Pawlikowskiego) jest pewny siebie, dumny, zaborczy, zna się nią interesach i ma

„kiepełe”. Jej „kobieta” boi się panicznie pajaków, krów pasących się na łące, starości, chorób, śmierci. Jej „mężczyzna”, jest silny i odważny — na trzy lata przed najazdem hitlerowskim na Polskę, Lilka pisze sztukę Baba–Dziwo, gdzie w postaci kobiety–dyktatora, w państwie aż nadto przypominającym hitlerowskie Niemcy, nietrudno rozpoznać karykaturę führera. Przez ową znakomitą sztukę, niepodobną do innych jej utworów scenicznych, musiała uciekać z kraju w 1939

roku. Tej tak odważnej i ryzykownej rzeczy na pewno nie pisała jej „kobieta” —

mogła być. ona śmiało dziełem takiego np. Dürrenmatta.

Również jej przedśmiertne relacjonowanie wszystkich objawów nowotwora, który ją pomału zżerał, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, było bohaterstwem ponad miarę słabej, bojaźliwej kobiecej natury. Ów kliniczny i dokładny opis choroby znajduję się w rękach Tymona Terleckiego, pisarza i wielkiego jej przyjaciela, i dotychczas nie został opublikowany.

I ZOSTAŁA TYLKO FOTOGRAFIA...

Jaś jeszcze kocha Lilkę — a raczej siebie w niej — lecz spokojniej i po przyjacielsku. Po jego płomiennej narzeczeńskiej miłości jest to jak dym po pożarze. Ale ona jest dalej tą namiętą kochanką, jaką była od początku ich poznania, tylko wyczuwając teraz różnicę między ich uczuciami, stara się w swoich listach dostosować do jego tonu.

Cała nasza rodzina, łącznie z zięciami, stale naciąga kochającego Tatę.

Pawlikowskiemu, mimo iż mógłby wyciągnąć od brata tyle pieniędzy, ile by pragnął, zachciewa się „automobilu”, i dobrotliwy, przyzwyczajony do owego eksploatowania go przez wszystkich Tatko chce mu go sprokurować. To kupno, a raczej zamiana samochodu na duży obraz, nie dochodzi do skutku i Lilusia pisze do męża te słowa:

Moje jedyne pso.

Dziękuję Ci ogromnie za to że list zaraz przyjechał i chociaż w nim dużo o interesach niemniej miły był memu sercu. Zaraz mówiłam Tatowi o tym wszystkim, ale wyobraź sobie że to auto jest w niebie razem z duszami bzu i jaśminu, i że absolutnie nici z całej tej sprawy, Tatko dawno już zerwał umowę dotyczącą tego automobilu, za który miał zrobić duży obraz historyczny... Bardzo mi w domu przyjemnie wszyscy mi każą, całują i kochają... Brakuje tylko robak, który gdzieś łązi osobno a tu

go tak lubią, i czekają, a mnóstwo jest dobrych rzeczy.

Lilka nie zawsze pisze do męża „z wicem”, czasem cisną jej się pod pióro słowa tęsknoty i niepokoju:

Jesteś mój a przecież oddalona jestem od Ciebie jak obca. Nic nie wiem co dziś działo się z tobą, co wczoraj, żebyś choć pisał zwyczajny „dziennik” (broń Boże nie w nocy) w rodzaju okrętowym: Dziś spać tak a pójść tam, a zjeść o szóstej, a ziewnąć o siódmej choćby to, i przysyłać mi. Ale ty się mnie boisz i chcesz pisać listy albo ciekawe albo piękne albo z wicem, nie wiesz że każde słowo Twoje, najprostsze zdanie zawiera miody, soki, głębie i znaczenia o których sam pewnie nie wiesz, a że Ci się nie chce więc mnie zostawiasz tak na opiece Bożej, w Krakowie tak samo pustym i przebrzydłym jak Lwów, samego, biednego Lila, bez przyjemności żadnej. Ale dosyć gładzenia.

Jaśku! miły, ulubiony przyjacielu, dobranoc bo już gaszę świecę, całuję Twoje usta, i tulę Cię mocno do serca.

Tęskni, śni o Jaśku, pisze wiersze i maluje...

Zrobiłam Ci skromny obrazek rodzajowy — ale nic takiego, i czuję że na tym chwilowo poprzestanie moja twórczość, a tak bym chciała więcej działać.

Przerzuciłam się z akwareli która jest sucha i blada na temperę — cóż to za cudowne malowanie! Ty też tak musisz. Zaczną chodzić do jakiej szkoły ale dopiero z tobą chyba... (n.p.u.)

Tak mi okropnie smutno że się telefon nie udał. Coś wczoraj dzwoniło około 8-

mej... i mamrotało coś z daleka i z żydowska — potem nagle przestało — i już nic.

To pewnie był Jaś! Pewnie Jaś najdroższy, a ja nie wiedziałam nic, i już nie pomoże — przepraszam że to nie moja wina... Całuję w łapkę, i koniec.

Ja jestem w tym czasie w „błogosławionym stanie”, jak to się wówczas mówiło.

Dlaczego „błogosławiony” — nie wiadomo. Nazwalibyśmy go raczej „nieestetycznym”.

Damy z „towarzystwa” ukrywały to „błogosławieństwo”, jak się tylko dało — ja, na przykład, nosiłam długą jasną pelerynę zakrywającą mnie od stóp do głów.

Pokazywanie wybujałej ciąży zdarzało się tylko u zaniedbanych kobiet z ludu, na taki widok damy spuszczały wstydliwie oczy. Dzisiejsze smarkule, którym przyszły potomek kolebie się pod mini— sukienką, jakby już był w kołysce, nie mają pojęcia, co to był ów dawny „wstyd niewieści”.

Określenie „błogosławiony stan”, podobnie jak „posłuszeństwo małżeńskie”, które zaprzysięgała młoda żona przy ślubie — dorastające panny wiedziały już, że to nie znaczy posłuszeństwo jako takie, tylko poddawanie się pieszczotom starego nieraz i wstręt wzbudzającego męża — wymyślili chyba księża. Biedny Pan Bóg wplątany był w te małżeńskie karesy, a Sienkiewicz w Rodzinie Połanieckich nazywa je, dość dla nas dzisiaj bluźnierczo: „służbą bożą”. Pewna znana mi dobrze

krakowska dama przez rok opierała się „służbie bożej”, czując przed nią lęk i odrazę. Rozumiała jednak, że postępując w ten sposób „grzeszy”, więc poszła się z tego wypowiadać. Ksiądz ją zgromił i zagroził, że nie udzieli jej rozgrzeszenia, o ile jeszcze tej nocy nie podda się „służbie bożej”. Uczyniła to, i odtąd nawet bez żadnego poświęcenia... Potężny wówczas Kościół wtrącał się do prywatnego życia małżonków, i żonie, która nie chciała mieć więcej dzieci, a wyznała to księdzu przy spowiedzi, zabraniał stanowczo wszelkich stosunków erotycznych z mężem, co powodowało rozbitcie wielu małżeństw.

Lilka lituje się bardzo nad moim „błogosławionym stanem” i w jednym z listów do Kwaka pisze w ten sposób:

...Jak ona znosi to wszystko! Niektórym to potrzeba by ich „wóz Sziwy” trochę przejechał — Brzuszek ma okropny, nigdy nie myślałam że to takie nieładne.

Zresztą wygląda ładnie i bardzo by chciała zobaczyć Cię. Ach, gdybyś Ty przyjechał najukochańszy choć na trzy dni — Nie chcę się rozsentymalizować, ale szkoda że na święta nie będziemy razem. Ja nie mogę jechać ze względu na pieniądze, i wizy. Może po świętach, ale napisz jeszcze, czy nie wolisz poczekać do Berlina. Tam masz pewno w tym Wiedniu straszny rozgardiasz... Napisz prędko.

Całuję Cię bardzo

Lilka pisze: „Niektórym to potrzeba, by ich «wóz Sziwy» trochę przejechał”. Cóż to takiego? Sziwa to hinduski bóg, najwyższy pan świata. Wiązą się też z nim kultury falliczne — podczas uroczystości na jego cześć wiozą na wozie gigantycznego Fallusa, a kobiety obrzucają go kwiatami i całują.

Poetka obeznana jest z religią hinduską i posiada w domu wiele ksiąg traktujących o religiach i wierzeniach Dalekiego Wschodu; ma nawet w swojej bibliotece Kamasutrę, czyli traktat o miłości.

Wierząc w wiedzę hermetyczną i tajemnice Kabały, sama często kładła karty. Za stawianie mnie kabały brała złocisza, twierdząc, że inaczej karty nie powiedzą prawdy (zupełnie jak Cyganka). Miała swoje własne karty z napisami, takimi jak:

„Wschód słońca”, „Szczęście bez granic”, „Pech na całej linii”, „Dentysta”,

„Przyjazd ukochanej osoby”, „Upragniony list”, „Choroba”, „Zaprotestowany weksel”, „Małe pieniądze”, „Niespodziewane duże pieniądze”, „Wyjazd”, „Kłótnia”,

„Piła”, „Nudna wizyta”, „Dziecko”. Och, tego bałyśmy się najbardziej i gdy taka karta wyszła którejsz z nas, traciłyśmy humor na kilka dni...

Lilka wciąż tkwi w swoich gnostyczno—kabalistycznych pasjach, w których znajduje się również miejsce dla naszego kochanego pomocnika życiowego św. Antoniego. Oto dowód (w liście do Mamy):

Ukochana Momo!

Posyłam św. Antoniemu pocztą 40 koron. Niech Frojlusia je zanieś i nie czeka na kwit. Wszystko

jest po dawnemu, z bębniem jest nam świetnie, i żadnych trudności z nim nie ma, ani kosztów najmniejszych...

Albo te napisy na ścianie w Lilki pokoju! Jaka szkoda, że przy odnawianiu mieszkania zostały zamalowane. „Św. Ant. 2 złote jak przyjdzie list”. „Św. Ant.

5 zł jeśli TO przyjdzie we właściwym terminie”. („TO” — powód naszych kobiecych niepokojów.) Żaden z jej mężów nie rozumiał jej wierzeń i zabobonów, a przed mężem—lotnikiem Jasnorzewskim musiała konspiracyjnie wręczać Antoniemu drobne datki za „usługi” (zwykle przeze mnie), ponieważ mąż bardzo się o to gniewał. W

jednym ze swoich listów do Pawlikowskiego pisze melancholijnie, tłumacząc się z tej swojej pasji:

Jesteś cichy i zamknięty jak kielich zesnurowanego powoju. Otwórz się, powiedz pragnienie swoje uczynię wszystko co w mojej mocy, a wiesz o tym, że mogę wiele zmienić w sobie —

Już raz pisała do niego podobnie, zawsze obiecując w tych sprawach „poprawę”: Co do książek tych, wszystko co pisałeś przebłyskuje mi nieraz w duszy jako prawda, i rzeczywiście wszystko to jest na to tylko by mi dać zapomnienie chwilowe o sobie samej. Wszystkie mistyczne książki dają mi zawsze wrażenie głębokiego oddechu, przetarcia oczu, i spoglądania z wysokiej góry na ziemię, na życie, na gatunek ludzki na moje życie jako jednostki — i odnajduję w tym zatraceniu spokój który odpędza tę gryzącą zmorę że ze mnie — nic nie będzie —

Oprócz tego od dziecka miałam pociąg do takich rzeczy — nie wiedząc czemu czułam szacunek dla antykwarzy, Cyganów, starych Żydów — kościół wydawał mi się jałowy i niemądry; w mistyce, w pół serio traktowanych bajkach z dziedziny magii odnajdywałam pokarm dla mej fantazji —

Witkacy również stawiał kabałę, ale zazwyczaj rozkładał karty, mówił ponuro:

„Sto procent pustki” — i mieszał karty z powrotem.

We wspomnieniach o Maryli Wolskiej Stanisław Sierotwiński cytuje fragmenty jej pamiętników, z których dowiadujemy się, że owa poetka jeszcze bardziej od— Lilki zadawała się z siłami nadprzyrodzonymi. Oto cytat: Bodaj, że już wtedy (mając lat pięć) pewien lekki haczyk z pieca dał mi poznać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem kręcidła, zaczarowanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawą rękę, gramoliłam się na jakiś podnózek... i zaczynało mi się myśleć — myśleć tak płynnie, jak leci woda spod kurka, a co najdziwniejsze, prawie bez udziału woli, jakby coś myślało mną, a nie jakbym ja coś wymyśliwała. Ścisnąwszy mocno w prawej ręce zakrzywiony haczyk, odczuwałam wyraźnie jak gdyby napływ czegoś spoza mnie i równocześnie myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen, zrazu oderwanych jak obrazki, potem spojonych konsekwentnie w długie opowieści... Rychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego, co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tym cudactwem coraz skrzętniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustalało swój kształt ostateczny... Ostatnie

„kręcidło” oddałam, już jako narzeczonemu, Wackowi, gdy powiadomiony o tym dziwie i słusznie o zmysły moje przerażony, wziął ode mnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej

pałeczki. Żal mi było za nią długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku...

Historia podobna jak z Lilką i Jasiem. Widocznie wszyscy mężowie przeciwni byli czarom i nadprzyrodzonym zjawiskom, którym ulegały ich żony. Uważaliby je za skończone wariatki, gdyby w takim transie przepowiedziały np. fotografie, które nie dość, że się ruszają, to jeszcze mówią, lub miały zwidzenie ludzi spacerujących po księżycu. Dzisiaj, kiedy wiedza i technika wypierają siły nadprzyrodzone, Śmialiby się z takiego „hobby” swoich małżonek i z politowaniem wruszaliby ramionami:

Na pociechę [pisze dalej Maryla] zaczęłam więcej wtedy pisać, bo poprzednio, zawsze z chwilą gdy z ręki puściła mój drażek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne odrętwienie całego prawego ramienia...

Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że dość by mi było ścisnąć na nowo „kręcidło”, aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy...

Podobno po wielu latach, oglądając jakąś encyklopedię, ze zdumieniem odnalazła w niej Wolska rysunek ściśle takiego samego przyrządu, jak jej „kręcidło”, używanego przez wróżbitów i czarowników u ludów pierwotnych. Miała więc chyba jakieś predyspozycje medialne (choć do seansów spirytystycznych odczuwała awersję), sama żartobliwie mawiała, że w średniowieczu spalono by ją na stosie za czary.

Jest pewna zbieżność między tymi dwiema poetkami — i Lilkę, jeszcze prędzej niż Wolską, uznano by wówczas za czarownicę i spalono na stosie.

Ponieważ zwykłe karty do gry nie zaspokajały jej potrzeby zgłębienia tajemnic wiedzy kabalistycznej, zaczęła studiować wiedzę hermetyczną zawartą w taroku.

Według kart tarokowych wymalowała sama kilkadziesiąt kart, na których były różne znaki kabalistyczne, egipscy bogowie i boginie, jak również groźna śmierć z kosą; była tam karta przedstawiająca pustelnika, i inna z kosmatym szatanem trzymającym widły w łapie. Tylko ona znała znaczenie owych kart i nikomu ich nie dawała do ręki. Ten unikat, ręcznie przez nią malowany, widziałam po wojnie w Londynie u moich tamtejszych przyjaciół. Opowiadali mi, jak Lilka, już ciężko chora, stawiała sobie nimi kabałę. Wyszła jej karta wróżąca daleką podróż.

„Daleka podróż — rzekła z wielkim smutkiem poetka — czy to ta, z której się już nie powraca...”

W jednym z ostatnich emigracyjnych wierszy przypominają się jej te wróżby: Wróżebne chmury, wróżebne dymy,

Wróżebne karty... Kiedyż wrócimy?

Czy tego lata, czy przyszłej zimy?

Czy nawet jutro — lecz już zza świata? —

Jaś na początku swojego pobytu za granicą zaprasza ją do siebie. A ona pisze tak:

Mam wrażenie, że łatwo Ci będzie mówić ze mną i nie trafisz na żadną ścianę na żaden umyślny opór egoizmu który nie chce wiedzieć i rozumieć. Usiądziemy sobie jak przyjaciele z papierosem i zaufaniem i dymem. Bardzo chcę tej chwili i będę się starał przyjechać teraz do Wiednia — tylko paszport, a co ważniejsze dudki —

Bo bez tego nici. Może nadejdą na czas te co piszesz z Warszawy. Jeśli nie udałoby mi się przyjechać... to proszę Cię Robak przyjedź tak jak piszesz w połowie maja i weź mnie trochę do Berlina. Może choć na dwa trzy dni dostałbyś urlop? — Powiedz Ricie że jak Cię zwolni na dwa choćby dni byś mógł przyjechać, zrobię jej kilka ślicznych portretów.

Jeśli się tak na pewno już ułożysz, to zaraz napisz lub zatelegrafuj, bo może mój przyjazd teraz byłby kłopotliwy, a ja chcę to i to, a Berlin nawet wolę niż Wiedeń.

Ach, biedna moja Lilusia, jakżeż się upokarza, jak się umniejsza, obiecuje portrety owej przewrotnej kobiecie, aby tylko na dwa dni złuzowała jej ukochanego męża.

Nie można powiedzieć, aby Pawlikowski nie dbał o żonę i nie myślał o niej. Był

tylko człowiekiem o słabym charakterze, a otoczenie, w którym się obecnie znajdował, starało się go od niej odciągnąć:

Poleciłem Ci [pisze] posłać trochę dudków z Warszawy. Dostaniesz pewnie wkrótce.

Jeżeli byś chciała przyjechać do Wiednia, telegrafuj i jedź. Paszport ci wystawi radca Styczeń w dyrekcji policji. Powołaj się na Zamoyskiego. Będę tu do końca kwietnia...

Troszczy się też o jej kompozycje malarskie:

Rób swoje, Szczurku i nie rób sobie nic z tego, że u nas zbytu nie ma dla talentu. Reklama znaczy wszystko. Jesteś przecie bardzo młoda i czas masz. A reklamę zacząć trzeba od rzeczy niewątpliwych. W Niemczech trudno bardzo dla nas. Na każdym kroku robią trudności. W artystycznym świecie wprawdzie zazdrość gra małą rolę, ale mecenasami nie są artyści.

„Jaś z Księżycą” naprawdę nie znał artystów, kiedy pisze, że „zazdrość u artystów nie gra roli!” A u kogóż, jak nie u artystów?

Może pisząc to Jaś myślał o swoich kolegach „artystach” z variete, z których każdy miał swoją specjalność i swój numer przedstawiał publiczności; nie zazdroszcząc kolegom ich umiejętności:

Mimo wszystko [pisze dalej] pewny jestem, że Twoje rzeczy pójdą. Chciałbym strasznie dostać się wreszcie do Berlina, gdzie jest centrum artystyczne. Mam widoki na pewnych ludzi, którzy mi pomogą pchnąć Twoje rzeczy. Ale nie przypuszczaj, że to pójdzie łatwo.

Oboje, jak widzimy, są marzycielami. Trudno przypuścić, aby Lilki delikatne, fantastyczne akwarelki miały mieć popyt w Berlinie. Co innego, gdyby malowała sceny batalistyczne, jak jej ojciec i

dziadek. Nawet Jerzego Kossaka chętnie kupują w „Widniu” i w Berlinie i jego obrazy mają na rynku artystycznym niezłą cenę. Lilka jednak łudzi się, że za granicą jej obrazki będą miały popyt, pisze o tym do męża. List naszej poetki zaczyna się od liter: N.p.u. (na psa urok): Co za straszna szkoda żeś nie wziął obrazków! To moja wina zresztą. Gdy będziesz gdzie dłużej na stałe to ci może przyśle? Byłbyś mi je sprzedał a kupił za to dużo ślicznych szat i pokrywek na głowę... Ja też n.p.u. dosyć intensywnie żyję, choć bez niczyjej pomocy, wszystko tylko we dwoje. To jest ja i ta Lilka cała która mnie w gruncie dosyć mało obchodzi...

Jej pierwszy tomik poezji Niebieskie migdały słabo się rozszedł; w jednym z wcześniejszych listów pisze Lilka, że będzie musiała znaleźć na to wydawnictwo 150 tysięcy marek!

Zdziwi to dzisiejszych poetów, ale wówczas początkujący poeci musieli własnym kosztem wydawać swoje poezje. Trzeba było mieć już taką markę—, jak Staff lub Kasprówicz, aby jakiś wydawca zdecydował się na wydanie zbioru wierszy. Z tego też powodu poezją „parali” się albo ludzie majątni, albo ci, którzy mieli inne dochodowe zajęcia. Jedni byli pedagogami, inni prawnikami, lub też siedzieli na swoich majątkach ziemskich, jak np. Ludwik Hieronim Morstin.

A Kossakowie chcieli dobrze żyć i dobrze zarabiać. Ja na przykład od najwcześniejszych lat miałam nie spotykaną w tych czasach ambicję, aby zarabiać i nie być na wyłącznym utrzymaniu rodziców. W tym celu, mając dziesięć lat, wyuczyłam się robić szydełkiem paskudne włóczkowe czapki (breciki i kominiarki) i w tajemnicy przed rodzicami dawałam je w komis do znajomych sklepów galanteryjnych. Cóż to była za radość, kiedy parę z nich zostało zakupionych.

Tych kilka koron austriackich — to był wtedy majątek! Można było kupić za to papier do rysowania, farby i jeszcze zostało na kupienie Mamidłowi jakiegoś kwiatka w doniczce. Potem, gdy miałam osiemnaście lat, zrobiłam kurs zdobniczy w Szkole Sztuki Stosowanej u profesorów Buszka i Warchałowskiego, gdzie wyuczyłam się malowania woskiem na jedwabiu, czyli batikarstwa. Po zdaniu egzaminu założyłam na Kossakówce własny warsztat, wzięwszy do pomocy kilka młodych uczennic z pracowni Buszka, dziewczynek z ludu, które musiały komponować same, bez pomocy żadnych wzorów. Powstawały więc wspaniałe kompozycje jawajsko—

krakowskie, gdzie na ciemnym tle wyrastały pawie, z których ogonów wystrzelały przedziwne kwiaty, lub też kwiaty, z których wyfruwały ptaki. Był to nowy prąd w sztuce zdobniczej, odrzucający okropne tapetowe wzory, tworzone w ten sposób, jakby do jakiegoś narysowanego kwadratu lub trójkąta z naturalistycznym kwiatkiem pośrodku przyłożyło się lusterko i odrysowało dokładnie drugą połowę wzoru. Makaty, szale i serwetki z mojej pracowni wysyłałam do Warszawy, gdzie miały duże powodzenie i były sprzedawane po wcale dobrej cenie. Niestety, ten artystyczny business skończył się z chwilą zamążpójścia. A w ogóle wyszedłszy za męża, mimo sukcesów mojej pierwszej książki *Na ustach grzechu*, która uzyskała od razu kilka wydań i była rozchwytywana — stałam się „żoną przy mężu”, i na placówce dyplomatycznej w Bukareszcie nikt nie przypuszczał, że pod skromnym nazwiskiem pani sekretarzowej Starzewskiej ukrywa się autorka ówczesnego bestsellera.

Biedę poznałam dopiero będąc „żoną przy mężu”, jako że wówczas nie miałam możliwości zarobkowania. A w ogóle to nasi mężowie uważali, iż miłość to taki skarb, że starcza za wszystko. Nie wystarczał jednak na kupno strojów, kapeluszy, które wówczas były tak ważną częścią ubrania, jak dzisiaj buciki, futrzanego „boa”, i wachlarza ze strusich piór. Żona polskiego dyplomaty

występowała więc na dworskich balach w sukniach swojej matki przerobionych przez małą rumuńską krawcową i w grubych pończochach, które na szczęście zakrywały długie suknie...

Lilka — wiedząc, że z poezji nie zakupi tego wszystkiego, o czym marzą kobiety —

pragnęła swoje obrazki lansować za granicą. Gdy to nie chwyciło, jej genialna główka zaczęła znów pracować, i wymyśliła, że będzie drugą Zapolską. Jej pierwsza komedia *Szofer Archibald*, wystawiona zaraz po mojej farsie *Malowana żona* w Teatrze Małym za dyrekcji Szyfmana, miała duże powodzenie i zyskała pochlebne recenzje.

W pokoju Lilki na Kossakówce stała przez długi czas, nawet po ich rozejściu, fotografia Pawlikowskiego w stroju *Hamleta*, w którym występował w jakimś amatorskim przedstawieniu. Z włosami do ramion, w krótkim kubraczku i obcisłych pluderkach, wyglądał pięknie i uwodzicielsko. Prawdopodobnie spoglądając na to zdjęcie, już po ich rozstaniu, poetka napisała ów wiele mówiący czterowiersz: Gdy się miało szczęście które się nie trafia

Czyjeś ciało i ziemię całą

a została tylko fotografia

to, to jest bardzo mało.

Strój *Hamleta* leżał nienagannie nie tylko na zgrabnej figurze Jasia, ale i na jego duszy. „Być albo nie być? Oto jest pytanie”. Być kimś wielkim, niezwykłym, sławnym, czy pozostać niedużym, ale uroczym Jasiem Gwasiem?

W przyszłości wybrał to drugie. Swojego chwilowego fachu tancerza w masce wstydził się przed rodziną i w wielu listach prosi żonę, aby nikomu z nich o tym nie wspominała. Bo i jakżeż? Ojciec, stary Jan Gwalbert — wielki znawca Tatr, pisarz i znakomity znawca Słowackiego, stryj — słynny dyrektor krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego, który ów teatr postawił na wysokim poziomie, brat —

czynny, ruchliwy tłumacz, poeta, redaktor Biblioteki Medycznej, a on, Jaś —

tancerz w masce, zgrywający podupadłego księcia rosyjskiego w wiedeńskim kabarecie? Wstyd i hańba! Na taką wieść stary ojciec oniemiałby z wrażenia, co by mu zresztą przyszło bez trudu, jako że był bardzo oszczędny w słowach, a wszystkie kuzynki i ciotki *Dzieduszyckie* chybaby tego nie przeżyły... Inna sprawa, że mądry stary Pawlikowski nie miał zbyt wysokiego mniemania o możliwościach młodszego syna. Pamiętam, jak kiedyś wieczorem, spoglądając, jak Jaś stawia po raz pierwszy pasjanse, powiedział:

— A Jaś to taki pracowity, to stawia pasjanse, to coś z papieru wycina... to dłubie w nosie... zawsze czymś zajęty...

W dzisiejszych czasach ów zdolny zresztą dyletant mógłby — ze swoją urodą i wrodzoną inteligencją — stać się popularnym aktorem. Ale wówczas niełatwo było komuś, kto posiadał majątek ziemski i nazwisko, obalić bariery przesądów i wejść na deski sceniczne. Przecież to w tych samych czasach

Boy, w jednym ze swoich

„słówek”, woła ustami panienki broniącej się przed „podrywaczem”: „Adasiu, tak nie można... Ale potem cóż?... Chyba umrzeć już — Albo... zostać artystką!” Ale co będziemy się nad tą postacią tyle zastanawiać — był po to, aby największa polska poetka pod wpływem miłości obopólnej tworzyła swoje najpiękniejsze wiersze. Dlatego też wspominam o nim tak wiele i nie traktuję Pawlikowskiego już tak ironicznie i humorystycznie, jak w Marii i Magdalenie. Jaś jest smutną postacią, z tych, co to za wiele dobrego otrzymali od życia. Nie śmiejmy się —

to groźne! Piękny, dowcipny, inteligentny, zdolny, młody, ubóstwiany, majątny, zarozumiały i egoista... Czegóż można więcej chcieć!

Rozmawiałam w owych czasach z jeszcze przystojniejszym i bardzo inteligentnym młodzieńcem ze starej arystokratycznej rodziny.

„Jestem bardzo nieszczęśliwy — zwierzył mi się — chyba wstąpię do jakiegoś zakonu”. „Pan? — zdziwiłam się. — Przecież pan tak wiele otrzymał od losu, powinien pan być szczęśliwy.” „Może właśnie dlatego... nie mam czego pragnąć, do czego dążyć, nudzę się...”

My obie z Lilką nie znałyśmy uczucia przesyty, wciąż walczyłyśmy, to o utrzymanie miłości ukochanego człowieka, to o zarobki z naszych prac artystycznych, o sławę i popularność, o suknie, kapelusze, o zdrowie ukochanych rodziców — wreszcie o... rzęsy. Lilka bardzo mi zazdrościła długich podwiniętych rzęs, jakie miałam wówczas, i aby mi w tym dorównać, przycięła sobie swoje nożyczkami, aby dłuższe wyrosły. Obrażone nie wyrosły i jej piękne olbrzymie oczy okolone były małą szczecinką. Nasza ciągła walka o zdobywanie urody mogła dziwić u tak młodych i ładnych kobiet. Lilka zakrapiała oczy, jak aktorki, atropiną, aby błyszczały i aby białka robiły się niebieskie, i przed każdym balem piła sok z marchwi, wiedząc, że to wspaniałe działa na cerę. Walcząc do końca o utrzymanie miłości Jasia, nie opuszczała swoich pięknych rąk i w oczekiwaniu na jego przyjazd pisała wiersze, malowała i uprawiała ćwiczenia z hatha-jogi. Jeździłyśmy też dużo na rowerach do Lasku Wolskiego pod Krakowem.

Lilkę drażniła jazda samochodem Tatki, który — opętany jak każdy automobilista pasją zdobywania przestrzeni — nigdy nie chciał się zatrzymać w jakimś przydrożnym lasku, chyba że mała potrzeba zmuszała do tego.

„Panny — mówił — róbta szybko «some water», i jazda dalej!”

„Tato — prosiłyśmy — zatrzymajmy się tu dłużej, tak tu pięknie...”

„Nie nudźta, panny, siadajta, i jazda dalej!” Rozgoryczona na zaciekłych automobilistów, Lilka napisała wiersz, który nie wszedł do żadnego z jej tomików, pod tytułem Pośpiesznym ludziom, a który dzisiaj warto przypomnieć:

Słysząc trąbkę na szosie wśród siwych obłoków zadrżały dzikie róże wśród głogów i ostów...

Wędrowcze, cichy gościu,

zejdź z drogi, stań z boku,

Nie zazdrość szybkoędnym.

Żałuj ich po prostu.

Nawijając na siebie mile jak na motki

jadą ludzie bez ziemi,

małorolne pany,

bo łąka im nie kwitnie, ruczaj im nie słodki

las nie dla nich tak ciemny,

śpiewem osypany.

W rowie gdzie niezabudki w niebo wierzą święcie czai się śmierć szybkości,

dziecinnie złośliwa,

lub biegnie pochylona, aby na zakręcie

chwycić koło, gdy wiraż

w górę je porywa.

Bogatszym od was, państwo, żebrak pod kościołem zdrowszy rekonwalescent

na swoim szezlongu —

bo w ich rękach są chwile — skarb dalszego ciągu a was szosy rozniosą

kilometry zedrą.

Niebiosa, lewantyni w haftowanych strojach,

mają czas i na piękność

i na wyczyn burzy.

Wy zbrojni w ostre dźwięki, ryki i poświsty.

Nie dacie nie weźmiecie

niczego oprócz kurzu.

W koło życie pochylone nad dywanem świata

strzyże w polnym natchnieniu

włóczek barwne nacie — —

gdy wasza pusta dusza nad chłodnicą wzlata

z pogardą dla wytchnienia,

którego nie znacie.

Stop! Oto raj akacji. Stop! Tu las sosnowy!

Zaciągnijcie się wreszcie

sekretem igliwia!

O pień dębu oprzyjcie zamroczone głowy,

I niech was ukoi cisza która uszczęśliwia.

Tak, o larwy półślepe, które w okularach

(Rodzice, dzieci, szofer)

dudnicie jałowo

jak pusta beczka, jak melodia stara,

zwalniając przed zdziwioną

rozbawioną

krową.

Nie należy sądzić, że wtedy, gdy maksimum szybkości samochodów osobowych wynosiło 50–60 km na godzinę, nie było kraks i katastrof. Powodowały je najczęściej... krowy przechodzące przez szosę lub spłoszone konie; trzeba było kilku końskich pokoleń, aby przestały się bać tego hałaśliwego potwora z czerwonymi ślepiami latarni w nocy. Mądrzy kierowcy, widząc nadjeżdżający wóz z końmi, zwalniali albo nawet zatrzymywali się, inaczej mogli być narażeni na katastrofę. Spłoszone konie, z obłędnym strachem w oczach, najeżdżały dyszlem na samochód lub zwały do rowu wóz z siedzącymi na nim ludźmi. Należy jeszcze dodać, że nasze drogi przed wojną były w stanie beznadziejnym, błoto i ślizgawica utrudniały jazdę, i samochód, chcąc ominąć spłoszone konie, sam nieraz wpadał do rowu.

Pamiętam straszną chwilę, jak w Zakopanem doszły nas wieści, że Tatko, wracający do Krakowa

samochodem, uległ katastrofie. Naoczny świadek opowiadał

wstrząśnięty, jak samochód stoczył się na zakręcie z nasypu, wyrwał krzaki i wywrócił się kołami do nieba, a pan Kossak, ciężko poturbowany, został przez jakiś przejeżdżający samochód odwieziony do domu. Natychmiast pojechałyśmy z Mamą koleją do Krakowa, drząc całą drogę z obawy, w jakim stanie zastaniemy ukochanego Ojca. Spodziewałyśmy się ujrzeć go w łóżku, z obandażowaną głową i złamaną nogą na wyciągu. To, co ujrzałyśmy, przejęło nas niewypowiedzianą radością i wiarą w wyjątkowe szczęście tego Króla Życia i jego niespożytą krzepę. Tatko siedział w fotelu trzymając obandażowaną nogę na krzeselku i grał

sobie w bridża z trzema kompanami. Jak nam opowiadał, cięta rana w nodze była zapchana igliwem ze złamanego krzaka, tak że wyczyszczenie jej wymagało dłuższego lekarskiego zabiegu. Bolało srodze, ale od czegoż domowa mocna nalewka i... dobry humor kossakowski.

— Ale za to, Manusia, żebyś wiedziała, jak mi karta idzie... Dzisiaj otrzymałby na pewno zastrzyk przeciwężcowy, który nieraz pociąga za sobą gorsze niedomagania niż sama rana. Ale któż wtedy poddawał się tym zastrzykom! My obie, wracając z rowerowych eskapad z krwawiącymi kolanami lub rozbitym łokciem, musiałybyśmy wciąż składać wizyty lekarzom. Kto by jednak o tym myślał, miałyśmy ważniejsze rzeczy na głowie niż rozbite kolana. Przemywało się ranę spirytusem albo jodynowało i... po krzyku.

Najwięcej bały się „automobili” góralskie konie. Wiedzieli o tym gazdowie i z daleka już widząc nadjeżdżającą maszynę; schodzili z wozu i mocno trzymali konia za uzdę przy pysku.

— Tak się wasz koń boi, gazdo? — zauważyła kiedyś łaskawie mama Kossakowa.

— On się nie boi, ni, ino się tak przibobowa — odparł. Gdy z winy woźnicy wóz zderzył się z samochodem, marny był los owego nieszczęśnika. Nasz srogi, demoniczny szofer Hieronim, o którym wiele napisałam w Marii i Magdalenie, dopadł raz takiego jednego biedaka, wciągnął go do rowu, a po chwili usłyszeliśmy jęki i błagania o litość bitej i kopanej ofiary.

— Hieronimie! — krzyczał Tatko — proszę go nie bić! Niech Hieronim da spokój!

Ale on nie słuchał i dopiero gdy z rowu nie dobiegał już żaden głos, powrócił do wozu zziębnięty i sapiący od zemsty.

— Jak można tak z człowiekiem postępować! — wtrąciłam się z oburzeniem.

— Pani Madzia głupstwa gada, to nie człowiek, a cham! Stłukł mi latarnię i mam cały wachlarz zgięty. Będzie na drugi raz uważał. No, jedziemy dalej!

Nikt z nas nie śmiał już nic Hieronimowi powiedzieć. Terroryzował całą rodzinę, a Tatko, ten anioł — był wobec owego szatana bezsilny. Hieronim miał na niego jakiś przemożny wpływ, niczym nie wytłumaczony. On decydował, komu z rodziny wolno do warszawskiej pracowni Tatki przyjechać, która służąca będzie odpowiednia, a która nie; zwykle odpowiadała mu tylko taka, którą wypróbował w nocy... Gdy uparcie broniła swej cnoty, odprawiał ją na drugi dzień.

— Ona się nie nadaje do niczego, proszę pana profesora, znajdziemy inną...

Wiemy to wprost od jednej z jego ofiar, która wprawdzie była w służbie kilka tygodni, ale któregoś dnia została przez niego zwolniona i chlapiąc w fartuszek wyznała, że pan Hieronim co noc „dybał” na jej cnotę i namawiał do grzechu — a ona się wciąż broniła... „To nie jest człowiek, proszę pana profesora, to sam diabeł”.

Miałam już tego dosyć. Poszłam do kościoła Św. Anny na Krakowskim i zaczęłam się modlić, aby Pan Bóg coś zrobił z Hieronimem.

— Panie Boże! — szeptałam żarliwie. — Ty widzisz i nie grzmisz! To bydlę, Hieronim, kazał Tatce napisać do Lilki do Modlina, aby nie przyjeżdżała z mężem, bo on, Hieronim, nie ma czasu po nich sprzątać. Naciąga Tatkę do niemożliwości i zamiast pensji bierze zapłatę w obrazkach, bez ograniczenia, bo Tatko nic nie pamięta, co mu dał. Podaje Tatce na śniadanie mocną czarną kawę jak smoła, która mu szkodzi na serce. No a co wyprawia z tymi pokojówkami! Przecież wiesz, bo Ty, Boże, wiesz wszystko. Błagam Cię, błagam na kolanach, zrób z nim coś, zlikwiduj go, bo Tatko nigdy go się nie pozbędzie. To szatan, a Ty przecież nie popierasz diabłów. Boże wielki, Boże miłosierny! Zmiłuj się nad nami!

Cud, przypadek, koincydencja? Dość na tym, że na drugi dzień jaśnie pan szofer zaniemógł, dostał silnych boleści, chodził zielony, skurczony, chory.

— Ja wiem, kto mnie tak urządził — mruknął.

— No, któż taki, Hieronimku? — zapytałam, niewinny aniołek, spuszczać oczęta.

— To ona, ta odprawiona jędza, musiała mi jakąś truczkę wpuścić do herbaty. A może kiełbasa była nieświeża...

— Na pewno kiełbasa, Hieronimciu, zdarza się. Żeby to tylko nie były trychiny —

westchnęłam fałszywie.

Rezultat był taki, że Hieronim poszedł na dłuższy czas do szpitala, a później, niezdolny do pracy, osiadł na wsi u swojej zamożnej żony. Nigdy już do zdrowia nie powrócił, a Tatko wziął na szofera i służącego jego syna, młodego, sympatycznego Malitę, który go naciągał umiarkowanie i pozostał u Ojca na służbie do końca jego życia. Należy zaznaczyć, że pan Hieronim, piękny czterdziestokilkuletni samiec, nigdy poprzednio nie chorował i był okazeta siły i zdrowia.

Lilka bardzo była przejęta tą nagłą i tajemniczą chorobą naszego szofera.

— Jak ty myślisz, Madziusiu, co to mogło być? Czy to możliwe, aby go ta Marysia struła?...

— Ja wiem, ale powiem tylko tobie — odparłam tajemniczo. — Może coś zjadł... a może moje inwokacje do Pana Boga, aby go z naszego domu usunął... Pamiętasz, Lilusiu, takie mądre powiedzenie starowierców: „Panie Boże, pomagaj nam żywym, bo z umarłych Ci nic nie przyjdzie”. No i... pomógł. Tylko błagam cię, nie mów o tym nikomu...

QUAND L'AMOUR MEURT

Gdy Jaś dowiaduje się z listów Lilki, że chciałaby przyjechać do Wiednia, zaczyna się wycofywać, ale bardzo miło, bardzo przyjaźnie. Przypomina mi to pewnego męża bawiącego przed wojną w Zakopanem, który do żony, chcącej do niego przyjechać, wysłał telegram: „Kocham — nie przyjeżdżaj!” Co do Twego tu przyjazdu [pisze Jaś] nie wiem, czy Ci warto, Wiedeń jest nieciekawym, okropnie drogi od jakiegoś czasu. Parę przykładów: pokój w hotelu przeciętnie 10 000 koron dziennie. Obiad 2–3 tysięcy, skromny. Tramwaj 100.

Koszula męska 23 tysiące. Ubranie pół miliona. Flaszka Chambertina 15 000. Ja dzięki Bogu mam mieszkanie gratis, a obiad i kolację u Ronachera za 1000 k.

razem. O moim pobycie tu nie wie nikt z krewnych... ...Mimo wszystkie przyjaźnie jestem sam ze sobą, nie mam nikogo, kto by mnie chciał słuchać — Ciebie tylko.

Brak mi Ciebie, Lilczurze, a równocześnie boję się Twojej kochanej twarzyczki.

Szczegół dość znamienny. W jej sztuce, jedynej pisanej wierszem, Bracia syjamscy, żona Agenora, w którym wyraźnie poznaje się Jasia, młoda i ładna Agnieszka, sprzykrzyła się mężowi, choć niby kocha ją dalej. Opatrzyła mu się jej uroda, zmęczyła jej psyche i dopiero kiedy Agnieszka na wspólnej tatrzańskiej wycieczce spada ze skały i rozbija sobie twarz, a potem leży w schronisku obandażowana po oczy — Agenor zaczyna odczuwać do niej dawną miłość.

Oto fragment II aktu tej nigdzie nie granej sztuki (rzecz dzieje się w tatrzańskim schronisku):

FLORA — Pan Edward zaraz przyjdzie zdjąć pani ten bandaż...

GÓRALKA (do Agnieszki) — Dobry wieczór, wie pani z czym tu przychodzimy? Jutro jest pierwszy marca. Dostyc mrozów, zimy i tego powijaka jak na krzaku róży.

FLORA — E, kawał zimy jeszcze, aż do pierwszej burzy!... (Wchodzi Edward, otrzepuje śnieg milcząc)

AGENOR (do Edwarda) — Więc już panie Edwardzie? Po cóż się tak śpieszyć.

EDWARD (z lekką ironią) — Co pan mówi? Myślałem, że się pan ucieszy.

AGENOR (zmieszany) — Widzi pan, nic już nie wiem. Żyłem tak jak we śnie. Boję się przebudzenia. Czy to nie za wcześnie? Może powinna jeszcze w bandażach poleżeć. Ja ją tak kocham— teraz...

EDWARD (uderzając go po ramieniu) — Wierzę panu, wierzę... Ale zapewniam pana

—

choć to rzecz niemiła — że się pani Agnieszka wcale nie zmieniła... (Podchodzi z Agenorem do Agnieszki. Góralka i Flora odwijają Agnieszkę jak mumię) GÓRALKA —No, dzięki Bogu! Patrzcie, śladu prawie niema. Teraz nie będzie pani już ślepa i niema. A za to urodziwsza niż przedtem i

nowa. (związ bandaż) Mogą się teraz państwo pięknie ucałować.

AGNIESZKA — Byliśmy niespokojni — czuliśmy zasadzkę. Coś złego w naszą stronę wyciągało mackę. Ach, człowiek biegnie w góry tak jakby miał skrzydła i mógł w przepaści fruwać! Mów, czy ja nie zbrzydłam?

AGENOR (jak gdyby zawiedziony) — Nie, jesteś taka sama.

AGNIESZKA — A czy nie zmizerniałam?

AGENOR — Nie, wyglądasz zdrowo. Nie znać blizny. Masz dawne gładkie swoje czoło.

AGNIESZKA (śmiejąc się) — Lecz czemu ty to mówisz tak... niezbyt wesoło?...

Gdy wrócimy, zaczniemy żyć jak wszyscy ludzie, prawda Adziu? Zobaczysz, jak to łatwo pójdzie. W dzień będziemy pracować, każde w swym zakresie, a co wieczór zrobimy przechadzkę po lesie i rozmawiać będziemy bez końca, bez końca...'

AGENOR (nie wiadomo czym zirytowany) — Nie. Pójdziemy spać wcześniej jak kury do kojca.

Ten fragment nam wystarczy. Agnieszka — to Lilka, widocznie w jej twarzy jest coś, co go męczy i drażni; może w olbrzymich fiołkowych oczach czyta niemy wyrzut, że oto nie podołał ich wielkiej miłości. Ach, może lepiej, żeby ją całkowicie opuścił, a nie pisał:

Boję się Twojej kochanej twarzyczki, boję się, bo Cię kocham serdecznie i nie chciałbym stracić Twojej przyjaźni.

„Kocham Cię serdecznie” — odpowiednik francuskiego „Je t'aime bien”, czyli

„lubię Cię” — tak się mówi przyjacielom i krewnym. W porównaniu ze słowem

„kocham!” — jest to jak drżący płomyk świecy przy blasku neonu.

A mówić jej o „przyjaźni” — to już kompletna rejterada z wielkiego oceanu miłości, po którym pływali, obejmując się jedną ręką za szyję.

Chciałbym Ci otworzyć moją duszę [pisze w dalszym ciągu listu] duszę smarkacza a równocześnie duszę człowieka o potężnych rozmiarach, dziwnych, anormalnych...

Znając go tak dobrze, mam wrażenie, że pisząc te słowa obcierał garścią łyzy rozczenia nad sobą, nad swoją „dziwnością” i potężnych rozmiarów swoją duszą

„niezrozumiałą”.

Nie obiecuję Ci listu [pisze dalej], bo nie uwierzysz, zanadto Ci wiele obiecywałem, ale postaram się powoli ubrać w słowa wszystko, co mam na sercu i wtedy Ci pošlę. A może przecież uda mi się skoczyć do kraju bodaj na dni parę. W

lecie i tak pewnie wrócę na miesiąc, dwa przed Ameryką.

Ach, to już nie te miłosne kłótnie z gorącego lata ich miłości, nie swary zakochanych — to już... koniec pieśni...

Do Wiednia Lilusia tak by nie pisała, jak w jednym z listów poślubnych, który jest tak poetyczny i przypominający jej wiersze, że warto go zacytować (list ów pisany jest prawdopodobnie z Warszawy, gdzie Lilką mieszka w małym pokoju hotelowym):

Stoję za firanką żółtą, koło kaloryfera i patrzę w okno — Ale okno jest jednostajnie zamarznęte, a za nim tylko pusta, ciemna uliczka. Płaczę w woalkę, nie mam bowiem chustki przy sobie, a Ty obojętny, ponury czytasz coś w fotelu siedząc lub może tylko udajesz? Czemu pozwalasz mi płakać? Pójdę na zamek gdzie czeka samotnie mój Jaś, ten który kochał mnie i pieścił nieludzko, który w gradzie i wicherze stał jak zziębły biały gwoździak jesienny i czekał na mnie.

Poskarżę mu się na Ciebie, zaniosę mu woalkę, kłębek zlepiony łzami. o jak głęboko i żałośnie spojrzą na mnie niebieskie oczy! Woalkę schowa prędko na piersi i wypytywać mnie będzie o przyczynę kłótni — O jakże gorzko śmiać się będzie najmiłszy gdy mu ją opowiem!

Nie, tak już do niego pisać nie będzie, jest na to za dumna. Przed nami, przed swoją rodziną i rodziną męża udaje, że nic się między Jasiem i nią nie zmieniło.

Jeśli płacze, to nie w „woalkę”, ale w poduszkę po nocach i rano ukazuje nam twarzyczkę gładką, wymytą, upudrowaną liliowym pudrem.

Jaś jednak czasem ulega powrotnej fali uczuć do Lilki, pewnie wówczas, gdy ma tak zwaną chandrę:

...nigdy nie dopuść myśli [pisze], że przestałaś mi być tym, czym mi nikt w świecie być nie zdoła. To nie słowa, Szczurku, to nie puste frazesy. To prawda, niestety może, ale prawda, że nie sposób wyrzucić z serca tego wszystkiego, czym Ty jesteś. Tęsknię do Ciebie i tak się cieszę, że Ty jesteś i że Cię zobaczę, i że będę mógł mówić z Tobą. Zechcesz Ty mnie słuchać? Słuchać wszystkiego, co się we mnie dzieje? Choćby to było coś, o czym nie mawia się, gdy się jest mężem i żoną? Tak mi dziwnie jest, że właśnie największą mą potrzebą jest z Tobą o tym mówić. Z Tobą, nie z „żoną”.

Już wiemy wszystko po tych paru niby czułych zdaniach. Jaś zadurzył się i chce o tej swojej nowej flamie porozmawiać z jedynym przyjacielem, z jedyną zaufaną istotą, którą ma na świecie — z Lilką. Biedny! Jakżeż według niego godny jest współczucia. Co za szarpanina! Przywiązany jest bardzo do Szczurka, a zmysły zaplątały się mu w różową spódniczkę młodej baletnicy. I jak tu z tego wybrnąć?

Dzisiaj, kiedy nie ma już wielkich uczuć, nie ma Hamletów i „schöngestów”, sprawa byłaby nader prosta. Zdradzałby żonę za granicą, a przyjechawszy do niej do Krakowa byłby .dalej tym przyjaznym i na pozór kochającym mężem, co dawniej, swój romansik z panną Wally chowając w ukryciu. Mądra

Lilka i tak by się wielu rzeczy domyśliła, ale prawda nie wypowiedziana nie boli i nie gryzie tak, jak szczere wyznanie:

Nie nazywaj mnie Peer Gyntem [pisze widocznie w odpowiedzi na jej słowa] bo to całkiem co innego. Nie patrz na mnie jak na curiosum, oczyma psychologa, ale jak na przyjaciela, jak na tego bliskiego Ci, tak bardzo bliskiego człowieka. A do tego czasu, aż Ci wszystko powiem, nie dopuszczaj myśli drwiących, ja mam dla siebie tak wiele już takich właśnie myśli.

Lilka, biblijna Marta, dba w Krakowie o jego rzeczy, chowa jego listy, myśli nawet o jakimś kołnierzu futrzanym Jasia, który nasz brat Jurek ma ochotę

„zwędzić”. Pisze o tym:

Jurek chce Ci zabrać kołnierz futrzany, ale go nie znajdzie, i jest rozżalony.

Napisz do niego kartkę, że wrócisz kiedyś, bo on w to nie wierzy. Wszyscy tu o Tobie myślą i mówią jak najserdeczniej i nie ma ani podejrzeń ani krytyk z żadnej strony. Jeśli chcesz nie będę nikomu pokazywać listów Twoich ani mówić co piszesz.

Lilka mówi mi w zaufaniu o tym oryginalnym i niepoważnym zajęciu swojego męża, mówi też pewnie i Tatce, który wszystko rozumie i którego życie bawi jak francuska farsa. Tylko Mamidło nic nie wie, bo z pewnością by się oburzyło, że

„zięć Wojciecha Kossaka tak nisko upadł...” A ona sama — czy nie jest zawiedziona i smutna, że ten, którego nazywała Bogiem i posadziła na nieboskłonie pośród gwiazd, wygłupią się w wiedeńskim kabarecie. Ale jest tak dalece jego przyjacielem i tak mu jest wciąż oddana, że chce mu do jego występów wyrysować jakiś oryginalny kostium, o czym pisze do niego: Tak bym chciał narysować Ci kostium! Chcę się też uczyć grafiki — gdybyś znalazł

taki amatorski cały przyrząd do akwaforty, z opisem techniki i płytami, to mi przywieź! Niemcy mają takie ułatwione sposoby — Ale to pewnie drogi „spaś”.

Znajdź też książkę z tego gatunku co „Aegyptische Kleinkunst” a która się nazywa

„Alt-Kreta”...

Lilka wciąż się uczy i pogłębia swoją wiedzę w różnych dziedzinach.. Jej biblioteka to nie biblioteczka „damy z towarzystwa”, która pisze wiersze — to księgozbiór sumiennego pisarza, który pragnie połączyć wszelkie mądrości, aby nie popełniać nigdy gaf i błędów. Posiada gruby album z reprodukcjami sztuki greckiej, dzieła z dziedziny przyrody — Życie pszczół i Inteligencja kwiatów Maeterlincka, Życie owadów Fabre’a — co ją później natchnęło do napisania fantastycznej sztuki Mrówki. Interesuje się porcelaną i dywanami, zna się na gatunkach i rodzajach dywanów niczym kupiec arabski, co jej się podczas naszej wspólnej podróży do Turcji bardzo przydało. Przeczuwa może, że jej życia dosłownie nie starczy na poznanie wszystkiego, więc połyka książki jedną po drugiej. We wczesnej młodości jest bardzo pod wpływem Fryderyka Nietzschego i zaczytuje się w jego książce Tako rzecze Zaratustra.

Gdy do spania ściąga z siebie morderczy pancerz i masuje obolałe ciało kojącymi maściami, staje jej przed oczyma wielki niemiecki myśliciel, który — dotknięty wieloma dolegliwościami i zagrożony utratą wzroku — nigdy nie sprzeniewierzył

się czci dla życia i kultowi ciała.

Nigdy nie sprzeniewierzajcie się czci dla życia [pisze w jednym ze swoich dzieł]. Zaklinam was, bracia, pozostańcie wierni ziemi i nie wiercie tym, co wam o nadziemskich mówią nadziejach! Wzgardziciele to ciała wymierający i sami zatruci, którymi się ziemia umęczyła... Ziemi bluźnić jest rzeczą najstraszniejszą, jako też cenić bardziej wnętrzości niezbadanego niż treść tej ziemi. Niegdyś spoglądała dusza z pogardą na ciało, naonczas była ta wzgardą czymś najwyższym: chciała mieć dusza ciało chude, zagłodzone... Lecz wy, bracia moi, powiedzcież: Co wam ciało wasze o duszy zwiastuje? Nie jestże dusza wasza ubóstwem i brudem, i żalosną błogością?

Tego rodzaju filozofia, polegająca na kulcie ziemskiego życia a pogardzie dla zaświatowych rajów, wstrząsnęła ludźmi o innych poglądach, a przede wszystkim ojcami Kościoła, którzy potępili dzieła Nietzschego.

Wielki myśliciel pisząc te słowa, miał pewno w pamięci pokutników biczujących się i udręczających własne ciało dla „zbawienia duszy”, jak i filozofów greckich: Marka Aureliusza, Sokratesa, który całą filozofię nazwał „studiowaniem śmierci”, nie mówiąc o Platonie, który nie chciał się dać portretować, ponieważ się wstydził, że ma ciało. Ale po cóż wracać do antyku, kiedy w Krakowie po pierwszej wojnie światowej pewien fanatyczny braciszek zakonny zamalował smołą akt gołej dziewczycy z końca XIX wieku, różany i ulizany, który wisiał w Muzeum Narodowym w Sukiennicach, ponieważ uważał to za grzech i obrazę boską oraz publiczne zgorszenie.

Lilka nie mogła się zgodzić z Nietzschem co do postępowania duszy i nazywania jej „ubóstwem, brudem i żalosną błogością”. Czyż w swoich poezjach i listach do męża nie wspomina wciąż o duszy? Wierzy w nią, ale jednakowo wierzy i w ciało, do którego pisze wspaniałą inwokację pod tytułem Do własnego organizmu: Nie bądź mi nigdy wrogiem, kapryśnym tyranem, Co się radosnej duszy przeciwstawiać sili!

Noś mnie na rękach, ciało jasne i kochane,

I szanuj mnie nawzajem. A w ostatniej chwili, Gdy nas ludzie odstąpią, gdy zgaśnie nadzieja, Wspomnij o mojej prośbie, przyjacielu drogi:

Zgińmy tak lekkomyślnie, jak więdną spirea,

Błaha gwiazda roślinna — jak cichnie piosenka I jak kochanka serce oddaje — bez trwogi...

Ciało „jasne i kochane” zdradziło ją niczym dusza Jasia i w ostatniej chwili nie dało jej zginąć „jak cichnie piosenka”, ale z wszystkimi wyszukаныmi torturami, na jakie ciało ludzkie stać... Na razie jednak te przecucia są jeszcze od niej dalekie. „Póki mam twarz białą z różowym, bez kurzych łapek na skroni, marzyć o tym lub o owym nikt mi nie wzbroni...”

GRECKA, ANIELSKA I... ROKOKOWA

Czy nie uważasz, Madziusiu, że ja jestem w typie rokokowych pań? — rzekła przeglądając się w ręcznym lusterku ze srebrną rączką. — Jestem zupełnie podobna z owalu twarzy do Marii Antoniny, i ten koloryt biało—różowy... Nieraz myślę o tej głupiej i nieszczęsnej królowej. Ona też, tak jak ja, przepadała za kapeluszami i wydawała na to moc pieniędzy, podczas gdy naród francuski cierpiał skrajną biedę.

— Miała taką nadworną modystkę, pannę Różę Bertin — ciągnęła dalej Lilka — która jej wciąż podsuwała coraz bardziej wymyślne i kosztowne kreacje... Ale czy wiesz, że gdy królowa przebywała w Conciergerie, nie wiedząc jeszcze, co ją czeka, śniło jej się, że panna Bertin przyniosła jej cały zwój czarnych wstążek...

— Proroczy sen — ale skąd o tym wiesz, Lilusiu?

— Czytałam w jednej książce francuskiej. Tak, na pewno między innymi wcieleniami byłam również i rokokową damą. Przypominam sobie dokładnie...

Pawlikowski musiał jej widocznie też o tym wspominać, ponieważ w sztuce Bracia syjamscy, gdy bohaterka Agnieszka po wypadku leży obandażowana po oczy, jej mąż, Agenor (Jaś), powiada tak:

Mówiłem z nim o tobie. Wiesz, co mi powiedział?

Że pod tą całą gazą, pod tą białą maską

jesteś tą samą dawną porcelaną saską — —

Nie można było zrobić trafniejszego porównania. Była jak figurynka z saskiej porcelany — kruchutka, różowa i biała, lubiąca wachlarze i róże.

W latach dwudziestych panowała zresztą głupiutka i tandetna moda, jakby zapożyczona z osiemnastego wieku. Kolombiny, pierroty i markizy pojawiały się coraz to na pudełkach czekoladek Lourse'a lub E. Wedla. Ckliwe wierszyki o markizach i pierrotach ukazywały się w tygodniku „Świat” i innych. Ulegając swojej smykałce satyrycznej, skomponowałam parodię tego rodzaju poezji, która bardzo ubawiła siostrę—poetkę. Brzmiała ona następująco: Piękny markiz i markiza

Stoją wraz na etażerce

Ona rączkę mu podaje

On jej oddał swoje serce

On całusa śle jej dłonią

Jej z miłości liczko płonie

Lecz z tej pary zakochanej

Wieje zimno... porcelany.

Znana firma Herse, raj kobiet, reklamę swojej firmy drukowała pod rysunkiem przedstawiającym markizę w pudrowanej peruce, z wielkim wachlarzem ze strusich piór w ręce. Nawet taki zdolny malarz jak Stefan Norblin nie oparł się owej pomadkowej modzie i portrety pięknych warszawianek malował trochę w typie

„kokotek”.

Wszystkie reklamy produktów kosmetycznych zaczynały swoje rady od słów: Piękna pani winna na noc... to i tamto. Pewne pismo kobiece tak się zagalopowało, że w radach, jakich udzielało swoim czytelniczkom, znalazło się zdanie, które nam z Lilką sprawiło wiele uciechy. Brzmiało ono: „Piękne panie, żyjące płciowo, winny zapamiętać...” etc., etc.

Nawet Kornel Makuszyński, pisząc o kobietach, chętnie używał tego określenia... Na bale „piękne panie” nakładały białe peruki, a słynna pieśniarka i kompozytorka, Anda Kitchman, nie występowała na swoich koncertach inaczej jak w czarnej krynolinie i białej peruce. Modne były „robe ? panier” i kołnierze skrzyżowane na piersiach, jak to widzimy na portretach Marii Antoniny. Lilka chętnie nosiła takie „fisutki”, które odsłaniały kawałek dekolciku, czarne aksamitki na szyi z jakimś cennym wisiorkiem, do różowych policzków przyklepała sobie czarne muszki i pudrowała włosy — co też wówczas weszło w modę.

Podobieństwo jej do osiemnaste wiecznych piękności nie ograniczało się jednakże do tych powierzchownych spraw. Wczytując się w piękne miłosne listy panny Julii de Lespinasse, dostrzegłam pewne podobieństwo Lilki do intelektualistek tamtego stulecia, a w szczególności właśnie do owej wspaniałej Julii, której talent literacki, bez udziału jej woli, ujawnił się dopiero w listach, przechowywanych po jej śmierci przez jednego z amantów. Obie żyły tylko swoimi amatorami. Doniosłe wypadki dziejowe minimalnie je obchodziły.

Np. Lilka moment zawieszenia broni załatwia w kilku słowach w liście do Mamy: Może to co się teraz na świecie stało poruszy i zmieni Władka...

Julia do końca swego chorowitego żywota żyła jedynie i wyłącznie miłością do faceta, który w trakcie ich romansu ożenił się z młodą i piękną panną. Cierpi niewymownie, ale kocha go dalej. Ta nad wyraz niezwykła i interesująca kobieta jest jak gdyby pierwowzorem Lilki, urodzonej w przeszło 160 lat później. Obie są intelektualistkami i obie są wybitnie twórcze, tylko że panna Julia nie wie nic o swoim dużym talencie literackim i pisząc do obu swoich amantów nawet nie przypuszcza; że te stopy listów miłosnych zostaną kiedyś opublikowane. Lilka natomiast ujawnia swój talent poetycki od wczesnej młodości, nie przypuszczając jednak, podobnie jak tamta, że jej listy do Pawlikowskiego będą kiedyś czytane przez całe rzesze czytelników.

Pierwowzór Lilki jest zaledwie przystojny i po przejściu ospy mocno oszpecony.

Powtarzając swoją niezwykłą kobiecą kreację, przyroda postanowiła, że poprawiony model będzie miał piękną twarz, ale za to złą figurę, aby pokazać, że walory duchowe i intelektualne bywają, gdy chodzi o powodzenie u mężczyzn, sprawą o wiele ważniejszą od klasycznej urody.

Oczywiście należy wszystko mierzyć modą epoki, w wieku osiemnastym we Francji najbardziej cenione były kobiety intelektualne, czyli sawantki, które miały u siebie tak zwany salon i przyjmowały najwybitniejszych ludzi epoki. Prowadzenie interesującej i uczonej konwersacji — oto co było ich głównym pieprzykiem i haczykiem na męskie serca. Głupich i pustych, choć pięknych laleczek było widocznie aż za wiele w paryskim mondzie.

W epoce, w której Lilka wyrosła, samo wykształcenie, czytanie i umiejętność prowadzenia intelektualnej konwersacji nie byłyby jednak dostateczne dla zapewnienia jej u mężczyzn aż takiego powodzenia, i przyroda wiedząc o tym obdarzyła ją piękną twarzą, rasowymi nogami i wybitnie ładnymi rękami.

Nieładna, niemłoda i „dziobata” panna Julia miała koło siebie do końca życia oddanego jej seigneur’a, pana d’Alembert, z którym łączyła ją jedynie miłość czysta i intelektualna. W trakcie tej „sympatii” zakochał się w niej szaleńczo pan de Mora, którego poczęła zdradzać z ówczesnym znanym pisarzem Guibertem, pisząc jednocześnie do tamtego listy pełne miłości i czułości. Po jego przedwczesnej śmierci oddała się całkowicie i poddańczo wielkiej miłosnej pasji do Guiberta, który — mimo iż był lwem ówczesnych salonów, głaskanym przez najpiękniejsze damy z paryskiej arystokracji — nie gardził bynajmniej uczuciem suchotniczej starej panny i nawet w początkach ich romansu był jej prawdziwym kochankiem.

Jakiż więc przepotężny musiał być urok tej niezwyklej istoty i jak wielkie walory jej umysłu, kiedy mogła wzbudzać tak silne uczucia! Julia — praprababka Lilki, była, co należy dodać, bardzo skromnie wyposażona przez swoją rodzinę i towarzystwo bywające w jej „salonie” mówiło, że panna de Lespinasse „podaje” na swoich przyjęciach jedynie... konwersacje.

Zbieżność, jaką dostrzegam w tych dwóch typach kobiecych, polega również i na tym, że część swego życia spędzają obie na oczekiwaniu listów od najdroższego.

Obie wypatrują, jedna kuriera, druga listonosza, kochają obie szaleńczo: Tak mi niepodobna kochać z umiarkowaniem [pisze panna Julia], tak potrzebuję kochać, tyle znajduję rozkoszy w kochaniu, powiem z całą prostotą, że umiałabym kochać sama jedna...

Lilka jest bardziej gorąca, bardziej namiętna, żyje przecież w innej epoce.

Pisze:

Dziękuję Ci, na klęczkach Ci dziękuję za każdy pocałunek każdą godzinę od czasu gdy jestem Twoją, każde słowo, za uśmiechy Twoje, za błękit i księżycową światłość Twych oczu i czarność ich przez rozszerzone rozkoszą źrenice —

A panna de Lespinasse:

O każdej godzinie mego życia, Miły mój, cierpię, kocham i czekam...

Poniedziałek, po godzinie poczty:

Nie ma listu. Gdyby to był kto inny, przyprawiłoby mnie to o drzenie, ale pokrżepiam się nieco,

powiadając sobie, że ścisłość i punktualność nie są w Twojej naturze...*

Lilka zaczyna podobnie jeden ze swoich wierszy: Nie ma listu — listonosza nie ma...

Panna de Lespinasse ma podobny talent do miłości jak Lilka, tylko że ta nie potrafiłaby kochać bez wzajemnego uczucia, a tamta pisze, że mogłaby kochać nawet „sama jedna”. Poza tym Lilka, gdy mąż —kochanek popełnia wobec niej największą zbrodnię, to znaczy żeni się z inną, przestaje go kochać. Julia zaś, mimo iż pan Guibert kocha swoją młodą żonę i tylko z litości odpowiada na listy byłej kochanki, uwielbia go do końca swojego życia.

Obie jednak nie potrafią żyć bez miłości. Wypowiada to zresztą Lilka w swojej bajce, którą wpierw jako siedemnastoletnia dziewczyna napisała prozą, a później ujęła w formę poematu. Ów poemat nosi tytuł Ogród Miłości.

Do tego zaczarowanego ogrodu wkracza piękna królewna ze swoim ukochanym. Jest pięknie, zielono, kolorowo i pachnąco, wszystko wokół kwitnie, ich miłość również, ale po pewnym czasie liście zaczynają opadać, kwiaty więdną, królewicz (który zwie się dość niepochlebnie dla rodu męskiego „Fujarys”) zaczyna ziewać, nudzić się, wyznania miłosne jakoś mu nie wychodzą. Królewna, w przeciwieństwie do niego, jest wciąż tak samo zakochana i namiętna. W końcu królewicz Fujarys ma dość tych miłosnych miodów i pragnie jak najprędzej wyjść z owego zaczarowanego ogrodu. Wychodzą smutni, znudzeni, ale przed bramą, której strzeże wąsaty strażnik, królewna przystaje, chwyta pod ramię jakiegoś pięknego rycerza i miłosna bajka zaczyna się od nowa, tylko z innym partnerem. Znow w Ogrodzie Miłości zakwitają drzewa i kwiaty, i wielkie obopólne uczucie. To się powtarza dopóty, dopóki królewna znajduje partnera. Ale przychodzi taki smutny późnojesienny dzień, kiedy nie znajduje ona już nikogo... Wówczas chwyta pod ramię wąsatego dziadka—strażnika i woła: „Chodźmy, dziadku — chodźmy do Ogrodu Miłości”. Wchodzą i tam dziadek przemienia się w pięknego czulego kochanka...

Poemat jest zbyt długi, aby go cytować w całości, ograniczymy się więc tylko do trzech zwrotek luźno wybranych, które ukazują nam wieczną i niezmordowaną kochankę i już znudzonego amanta, spacerujących po Ogrodzie Miłości: Księżyc z mgły wyrąbuje domy, baszty, mury

i dywany przewieszzone przez ganki.

„Co się stało ze światem? Taki zwykły, ponury!

Gdzie są oczy, moje oczy kochanki?”

A on na to:

— „Cóż robić! Mur jest murem, a trawa jest trawą.

Żyć wśród bajek — ach! Któż by nie wołał.

Lecz życie, moje dziecko, nie jest żadną zabawą.

Masz! i ząb mnie w dodatku rozbolał!”

Drogą przejeżdża rycerz w spuszczonej przyłbicy; koń jest kary i kroczy w ciemności.

Księżniczka drży ;— podbiega rzutem błyskawicy:

„Bierz mnie, panie! i jedźmy do Ogrodu Miłości!” Lilka nie szukała miłości, a tylko — jak owa księżniczka — partnerów do wyładowywania tej wielkiej siły, która w niej tkwiła. I tak jak w piosence Ordonki, kończącej się słowami „bo miłość, mój miły — to JA” — była samą miłością, samym uczuciem.

Uczuciowa pasja nie ogranicza się u niej, jak to twierdził Artur Sandauer, do

„kochania ładnych chłopców”. Kochała również przyrodę, ptaki, zwierzęta, liście zielone i zwiędłe, morze i góry, no a przede wszystkim swoją rodzinę — ojca, matkę i mnie, a w przerwach między jednym partnerem do spacerów po Ogrodzie Miłości a drugim — ukochanego Sorka, wiewiórkę, którą nosiła na szyi, pieściła, całowała w pyszczek i której poświęciła, po jej tragicznej śmierci, jeden ze swoich najpiękniejszych wierszy pt. Wiewiórka.

Pod koniec życia, na smutnej angielskiej emigracji, jej cała miłosna siła przerzuciła się na rodzinę, przebywającą w okupowanym Kraju.

„Ach tylko nie umierajcie za naszymi plecami” — wołała w swoim emigracyjnym Szkicowniku poetyckim po śmierci naszego ukochanego Ojca, o czym dowiedziała się z radia. Po beznadziejnym angielskim „Ogrodzie Miłości” spacerowała już nie z żadnym rycerzem, ale z bezbrzeżną tęsknotą do nas, tęsknotą, która ją zabiła.

Dopiero też pod koniec życia staje się istotą wrażliwą na wielkie światowe zmiany i klęski. Zresztą sama nam o tym mówi w pięknym wierszu Rymy: Rymy, zabawko moja, szkatułka otwarta,

Pełna koralu, wstążek, błyszczących kamieni;

Jak sroka gromadziłam was; najmiłsze chwile

Spędzałam, przesypując was z ręki do ręki...

Dziś nie umiem przymierzać do słów moich ciężkich Żadnej wstążki kwiecistej — nie potrafię dobrać Barwy do barwy, dźwięku do dźwięku... Żegnajcie Dawne igraszki moje mistrzowsko-dziecinne,

Asonanse, podobne pustym łamigłówkom,

Układanym w beztroskim pocie czoła... Dzisiaj,

Rytmie, prowadź ty jeden tęskniącą myśl moją

Równym krokiem pod ramię. Wojennie i twardo

Aż do chwili Powrotu.

Jak już wspominaliśmy, Lilka wierzyła silnie w reinkarnację, czyli kolejne wcielenia. Idąc po linii jej wierzeń fantazjujemy, że gdzieś po drodze tych kolejnych wcieleń, poprzez nimfę grecką i piękną czarownicę średniowiecza warzącą zioła i rzucającą zaklęcia, znalazła się również i w epoce Ludwików.

Arystokratyczne rokokowe damy lubiły w tej epoce trzymać na swoich dworach karzełki lub małych Murzynków. Lilka, idąc kiedyś ulicą, ujrzała ślicznego jedenastoletniego chłopczyka, który siedział pod murem i płakał. Miłosierne serduszko poetki zadzwoniło, zatrzymała się i zaczęła z nim rozmawiać. Chłopiec mówił tylko po francusku. Z rozmowy okazało się, że jest synem francuskiego emigranta, który przebywał kilka lat w Polsce i zmarł nagle, zostawiając dziecko bez opieki. Lilka wzięła go za rękę i zaprowadziła do Bristolu, gdzie Tatko wynajmował wówczas pracownię wraz z kilkoma pokoikami od fotografa p.

Mydlarskiego. Oburzenie szofera Tatki, Hieronima, nie miało granic.

— Pani Lilka to zawsze musi jakichś dziadów do nas sprowadzać. I co ja mam z tym oberwusem robić?

— Hieronim nic — odparła chłodno Lilka — ja go ubiorę, wyszykuję i będzie takim moim chłopcem na posyłki.

Sprawiła mu piękny mundurek lift-boya, odpowiednią czapeczkę i bardzo dumna ze swojego pomysłu zabrała go do Krakowa.

Mama dawno już przestała się dziwić wszystkim fantazjom starszej córki. Zresztą Lilka była wówczas już po definitywnym zerwaniu z Pawlikowskim i całej rodzinie zależało na tym, aby się czymkolwiek zajęła i nie płakała po nocach, z czym się zresztą bardzo ukrywała. Smarkacz jednak nie był łatwym dzieckiem i miał swoje wymagania, za nic na przykład nie chciał sypiać sam w ciemnym salonie na Kossakówce.

— Je ne veux pas dormir seul et sans lumi?re, madame* — oświadczył

kategorycznie.

— Przecież nie będę dla smarkacza palić całą noc światła w salonie — oburzyła się słusznie Mama.

Gdy mu zgaszono światło, przyszedł po chwili z grobową miną.

— Je ne peux pas dormir ainsi — tout simplement j'ai peur*. Skończyło się na tym, że trzeba go było na noc dać do pokoju służącej Marysi. Z odżywianiem

„karzełka” też był kłopot nie lada, nie znosił rdzennie polskich potraw, tak często podawanych na Kossakówce, i prosił tylko o chleb z masłem i ciastka.

Lilka miała za to tę snobistyczną frajdę, że otwierał jej gościom drzwi.

— Bonjour, monsieur, bonjour, madame! — mówił, wzbudzając zazdrość krakowskich damulek swoim paryskim akcentem i całą swoją postacią małego grooma w eleganckim mundurku z błyszczącymi guzikami.

— Skądżeś ty wytrzasnęła takiego „kamerdynera”?

— Znalazłam go przypadkowo na ulicy, był obdarty, głodny, więc go przyjąłam do siebie na służbę.

— A co on potrafi, co umie?

— Nic, poza francuskim językiem, ale mam przynajmniej wprawę w paplaniu po francusku, posłuchaj, jak on pięknie grasejuje.

— Przecież wy obie także nie wymawiacie litery „r”.

— Tak, ale nie tak samo, przy nim naprawdę można nabrać wprawy... Poza tym chodzi po papierosy, po gazety, bardzo miły nabytek...

„Miły nabytek” okazał się jednak niewdzięcznym cwaniakiem. Któregoś dnia, gdy Lilka znów z nim pojechała do Warszawy, „Joli Jacques” — jak go Lilka nazwała, zwiął i wiele dni go nie było. Hieronim nie posiadał się ze złości.

— Łobuz uciekł w tym ubranku, które kosztowało tyle pieniędzy, i teraz przyjmie posadę w jakimś hotelu jako pikolak!

Wściekłość Hieronima kazała mu szukać chłopaka po ulicach Warszawy. Dopadł go w końcu, zawlókł do bramy, ściągnął z niego mundurek, przyłożył kilka cięgów na tyłek i puścił wolno w samej bieliźnie, po czym z triumfem wrócił wraz z ubraniem do Bristolu.

Lilka omal się nie rozplakała.

— Jak Hieronim mógł zrobić coś podobnego, chłopaka w samej bieliźnie zostawić na ulicy. To podłość!

— Co tam pani Lilka mi będzie trajlować, zrobiłem to, co należało, może się na przyszłość oduczy kraść, łobuz jeden. Takich gówniarzy trzeba uczyć, proszę pani Lilki. Już tam Hieronim wie, co robi.

Rokokowe damy chętnie hodowały papugi, małpki, „łonowe pieski” (jak w Poznańskim nazywano małe pieski, tłumacząc; żywcem z niemieckiego

„Schosshündchen”). Lilki zapotrzebowanie na tego rodzaju pieszczochów nie ograniczało się do piesków, których zawsze na Kossakówce było wiele, i zachciało jej się... i małpki. Właśnie wrócił z egzotycznej podróży nasz kuzyn Marylski i przywiózł stamtąd rodzaj małpki z długim puszystym ogonem, tak zwanego makaka.

Było to najnieznośniejsze i najgroźniejsze zwierzę, jakie można sobie było wyobrazić; z firanki skakało wprost na głowy i nigdy nie można było wiedzieć, kiedy skoczy, brudziło niesamowicie, a gdy się przypadkowo nadepnęło na ogon, chlubę tej nędznej postaci, to wgrzyzało się w nogę do krwi.

Pamiętam, jak kiedyś, gdy jej przypadkowo nadepnęłam na ogon, nie wiedząc, że leży na schodach, goniła mnie skrzecząc groźnie i gdyby Lilka nie odpędziła jej parasolką, byłabym srodze pogryziona.

Na Kossakówkę przychodzili wciąż jacyś dżentelmeni, zostawiając kapelusze w przedpokoju — złośliwe stworzenie skakało do meloników, uważając je widocznie za zbliżone kształtem do nocniczków. Straszny był kiedyś wstyd dla domu, gdy makak narobił do kapelusza któregoś z gości, a ten, nie spodziewając się, co go czeka, nałożył go na głowę... Lilka zbladła z wrażenia, ja wybiegłam do kuchni wybuchnąć śmiechem, a nieszczęsny gość już się nigdy więcej u nas nie pokazał. Gorsza była jednak historia, gdy jednemu z adoratorów Lilki, przystojnemu lotnikowi, małpka, z którą chciał się pobawić, przegryzła w ramieniu żyłę! Krew trysnęła groźnie, lotnik zbladł, przerażona Lilka ścisnęła mu przedramię chusteczką i zawiozła taksówką na Pogotowie. Lekarz tamujący krew podejrzliwie spojrzał na poetkę.

— To mi nie wygląda na ugryzienie małpy... — mruknął.

— Wiesz — powiedziała do mnie Lilka, gdy już niebezpieczeństwo zostało zażegnane

— ten lekarz tak dziwnie na mnie spojrzał, gdy powiedziałam, że to jest ugryzienie małpy, tak jakby mnie podejrzewał...

— Co też ty pleciesz, Lilusiu!

— A może ja wyglądam na wampira? — roześmiała się.

Po tej groźnej historii los złośliwego stworzenia został przesądzony— Lilka oddała makaka do ZOO w Lasku Wolskim. Uczyniła to jednak nie bez żalu, ponieważ zdążyła się przywiązać do owej ciemnej masy, a ciemna masa do niej — Lilka była jedyną osobą, której ona nigdy nie ugryzła.

Ulepszony model panny de Lespinasse prowadził w Krakowie też swój salon intelektualny.

Wprawdzie był to mini-salon, ale ściągał samych ludzi interesujących, mających coś do powiedzenia i uszy do słuchania. Było to już po rozwodzie z Pawlikowskim, kiedy to Lilka — zarabiając dobrze na swoich sztukach teatralnych — mogła sobie wynająć luksusowe własne mieszkanie przy alei Krasińskiego, tuż naprzeciwko Kossakówki, aby żyć własnym życiem, ale nie z daleka od ukochanej rodziny. Uroczę to gniazdko było urządzone na wpół

nowocześnie, na wpół stylowo. Nad wielkim małżeńskim łóżem (dla jakiegoś nowego męża) wisiał nad głowami zakochanych barokowy amerek z rozpiętymi skrzydełkami, na ścianie obok obrazów Juliusza i Wojciecha Kossaków wisiały osiemnastowieczne kolorowe sztychy przedstawiające dość frywolne sceny, wśród nowoczesnych mebelków metalowych, które Tatko nazywał ortopedycznymi, stało śliczne antyczne białe biurko, prawdziwy Ludwik Szesnasty, przy którym poetka winna była pisać swoje poezje, tak by się przynajmniej wydawało. Ale ona wolała pisać leżąc samotnie w szerokim małżeńskim łóżu albo klęcząc na poduszce a zeszyt trzymając na stole, na framudze okna, lub leżąc w wannie. Na obiady przychodziła do nas, niedaleko, bo o miedzę, ale potem wracała do swojego mieszkania i piekła sama jakieś ciasteczka dla gości, paluszki i inne jadalne cacka. Miała też zawsze domową nalewkę i piekielną czarną kawę, do której dodawała wanilii i gałki muskatołowej, po jej kawie nikt nie miał ochoty iść spać i nawet groźba tak zwanej „szpery”, czyli opłaty za otwarcie bramy, nie wstrzymywała gości od siedzenia u niej do późnej nocy. Bywali tu często państwo Jachimeccy, oboje na najwyższym poziomie intelektualnym; Wojciech Weiss, wspaniały malarz i Lilki profesor z czasów, gdy uczęszczała do Akademii Sztuk Pięknych, jego najzdolniejsi uczniowie Eibisch i Fedkowicz, znakomity felietonista Zygmunt Nowakowski, poza tym Ludwik Morstin i jego siostra Maria, poetka, Zofia Starowieyska i słynna w Krakowie pani Kinia Bal, muza Malczewskiego i nieustępliwa do późnego wieku uwodzicielka.

Bywali dyrektorzy teatru krakowskiego: Aleksander Węgierko, wybitny aktor, wielki znawca teatru, pieszczoszek i czaruś Julek Osterwa, no a przede wszystkim wielki przyjaciel Lilki, słynny artysta malarz i dekorator — Karol Frycz.

Zjawiał się świetny rzeźbiarz i kapitalny oryginał Ludwik Puget ze swoją żoną Lula, która niczym mu nie ustępowała w uroczych dziwactwach. Przychodziła na każde przyjęcie ze swoją ukochaną jamniczką Kikunią, którą nosiła na szyi jak lisa. Gdy po swoim najdłuższym żywocie Kikunią powiększyła grono psich aniołków, Pugetowa rzekła ze łzą w oku: „Nigdy jej nie zapomnę tych wielu lat szczęścia, które mi dała...”

Ale chyba najbardziej do salonu nowoczesnej panny de Lespinasse pasował stary Franciszek Potocki, zadziwiająco mądry i światły we wszystkich dziedzinach literatury i sztuki. Nazywano go „starym” chyba na tej samej zasadzie, co króla Zygmunta Starego. Był oczywiście o wiele starszy od nas, ale nie miał chyba wówczas więcej niż pięćdziesiąt lat i kochał się w Lilce, nie okazując tego ani gestem, ani słowem, wiedząc, że ona woli tych młodych. Razem interesowali się magią i czarami. Pamiętam, jak ów stary markiz i piękna pani Lila spacerowali wieczorem po ogrodzie na Kossakówce, wyczyniając jakieś czary i szepcząc zaklęcia. Franciszek Potocki nie miał żadnego określonego zajęcia, tak jak hrabiowie z epoki stanisławowskiej. Po prostu był, degustował życie we wszystkich jego przejawach i to mu wystarczało. Kiedyś miał jakieś rozległe dobra na Ukrainie, ale niechętnie o tym wspominał, dobrze się czuł w swoim pałacyku na krakowskim Rynku, wśród cennych starych obrazów i muzealnych mebli.

Odznaczał się tym, że arystokratyczne towarzystwo nudziło go potężnie i lgnął do artystów i literatów. Na dwa lata przed wybuchem wojny, którą przeczuwał, postanowił, że szkoda jego starych, również „muzealnych” win dla tej

„niemieckiej hołoty” i coraz to urządzał u siebie olbrzymie przyjęcia, na które zapraszał cały intelektualny i artystyczny Kraków. Wszyscy aktorzy, malarze i młodzi literaci spotykali się na tych bankietach i wlewali w siebie najprzedniejsze i najstarsze wina.

Był to jeden z tych niepowtarzalnych typów krakowskich, których już nigdy nie będzie i bez których Kraków, dziś na wpół emerytalny, na wpół młodzieżowy, stracił zupełnie swój specyficzny charakter i oblicze.

KONIEC PIEŚNI

Odwiecznym sposobem kobiet na to, aby cudzego męża uczynić swoim, było i jest urodzić mu dziecko, co też uczyniła chytra panna Wally. „Szczęśliwy” ojciec, Pawlikowski, postawił Lilce ultimatum: albo zaadoptują to dziecko, które miało przyjść na świat — albo się rozwodzą. Lilka dumnie wybrała to drugie, nie chciała być, jak u Chińczyków, drugą, starszą żoną i niańczyć cudze dziecko.

Musiało to być dla niej jednak ciężkie przejście, bo chociaż nie kochała już Kwaka tak jak dawniej, była do niego” bardzo przywiązana.

Przestawszy być dla niej „mężem–kochankiem”, Jaś pozostał jednak dobrym przyjacielem (razem robili wybór jej wierszy) i przez dłuższy czas umiał dzielić swoje uczucia między nią i przyjaciółkę. Czyż jego starszy brat, Michał, nie postąpił podobnie ze swoją żoną, Maryną — rozwiódł się, aby poślubić córkę Maryli Wolskiej, Lelę, która — jak chodzi o różnicę wieku — mogła być jego córką. Ale Maryną, czyli „Macius”, była istotą przeciętną, o zaniedbanej urodzie, poza tym zdradzała męża z przystojnym górale, Lilka zaś — kimś niezwykłym, okazem, na jaki Przyroda wysiła się raz na setki lat. „Dony Anny porzucać nie wolno! — pisała poetka w swoim wierszu o don Juanie. — Wolno tylko powtarzać jej z wolna: O paloma, o paloma mia!” Końcowa zwrotka tego mocnego wiersza ma w sobie wiele goryczy i mściwości: „Bóg ci Anny przebaczyć nie może!

Za nią wstanie zemsty całe morze! Za nią z piersi ordery ci zedrą! Za nią ujmą się z płaczem kamienie i do piekła cię pchnie zasłużenie EL CONVIVADOR DE

PIEDRA!”

Jasia nie pchnięto do piekła, lecz do małego mieszczkańskiego czyścica z pieluchami, kołyską i... może nawet z serwetką z dużym napisem: „Guten Appetit”, haftowaną przez żonę Niemkę. Jego zdolności, jego artystyczne aspiracje skończyły się i więcej o nim jako dobrze zapowiadającym się pisarzu nie słyszało się. Młoda żona Michała Pawlikowskiego miała się wyrazić o Lilce, że to

„wariatka”. A jakież wielki twórca był kiedykolwiek normalny? Może Staś Witkiewicz? Albo Picasso? Miciński? Nawet Boy był po trochu dziwakiem. A Jacek Malczewski, ten dopiero był „zwariowany”. I to miała powiedzieć córka Maryli Wolskiej, poetki, o czym już była mowa, która

musiała wziąć do ręki czarodziejski haczyk, aby tworzyć i pisać...

Widzimy zresztą, jak wyglądają dzieła twórców „normalnych” — na ogół smutno i banalnie.

Wy tłumaczeniem braci Pawlikowskich przed sobą, że porzucili swoje żony i ożenili się powtórnie z osobkami o wiele młodszymi od siebie, było pewnie to, że nie mieli z nimi dzieci. Wiadomo, mężczyźni zwykle pragną mieć żywą kopię siebie samego, sądząc, że ta kopia będzie jeszcze bardziej udana od oryginału.

Najczęściej jednak pragną mieć potomka ci, którzy czują, iż nic wielkiego w życiu nie dokonają i ludzą się, że ów potomek tego cudu dokona. Nie słyszało się, aby sławni pisarze, malarze, kompozytorzy, gwałtem chcieli mieć dziecko.

Ich dzieci nie dziedziczyły też zazwyczaj po ojcu talentów, co widzimy po wielu synach sławnych ludzi, choćby np. syn Kazimierza Tetmajera, który był

nieciekawym typem, czy syn Wyspiańskiego. Wyjątkiem była rodzina Kossaków i Rafał Malczewski, syn Jacka, który posiadał wybitny talent malarski.

Nie wiemy, jakie bywały rozmowy Jasia z żoną na temat dzieci, ale sam fakt, że zgodził się porzucić Lilkę, taką Lilkę, dla swojego nieślubnego dziecka, świadczy, że było ono jego głębokim pragnieniem. Fragment rozmowy między Agnieszką i Agenorem z jej sztuki Bracia syjamscy — daje nam pod tym względem dużo do myślenia:

AGNIESZKA — Odrobimy to wszystko, co już kiedyś było! — Zobaczę czy mi serce będzie znów tak biło! Pamiętasz, raz mówiłeś o szarej godzinie o tajnym twym pragnieniu, o malutkim synie.

AGENOR — Nie ma, ach, syna, ale cóż to szkodzi i tak się już zestarzał, choć się nie urodził.

Jaś chciałby mieć wszystko — i przyjaciółeczkę, i „malutkiego syna”, i swoją niezwykłą Lilkę, a to się nie da. Poza tym ponosi go męski honor, o czym zapominamy; uważa, że byłoby łajdactwem pozostawić dziewczynę z dzieckiem na lodzie. Wobec Lilki, którą zgadza się porzucić, jakoś go ów honor nie ponosi.

Inna sprawa, że w owych czasach panna z dzieckiem była w ludzkiej gromadzie istotą pogardzaną i jak gdyby poza nawiasem, i mało było mężczyzn, którzy by zechcieli taką poślubić. Najłatwiejszym wyjściem z sytuacji było pozbycie się dziecka zawczasu, ale tego prawdopodobnie ani on, a tym bardziej ona sobie nie życzyli. Rozszedłszy się z żoną, Pawlikowski wziął z panną Wally ślub cywilny i dzieciątko już bez żadnych przeszkód ujrzało światło... sali porodowej. Była to urodziwa dziewczynka, podobna do ojca, której — rzecz zastanawiająca! — Jaś wcale nie kochał i bardzo mało o nią dbał. Wychowywała się u babki na Kozińcu, a rodzice tak mało się o nią troszczyli, że dosłownie nie miała co na siebie, włożyć. Nasz pięknoduch miał—widocznie za złe dziewczynce, że mimo woli stała się przyczyną jego definitywnego zerwania z Lil—ką. Podczas wojny Jaś i Wally przenieśli się do Krakowa wraz z córeczką, wówczas już kilkunastoletnią panienką. Zginęła tragicznie od zabłąkanej kuli niemieckiej, gdy Niemcy opuszczali Kraków.

Skończyła się wielka miłość Kwaka i Szczurka. I chyba los wiedział, co robi. Bo czyż może być coś bardziej smutnego i przygnębiającego jak widok „miłości dozgonnej”? Widzimy nieraz takich kochających się staruszków. Idą wspierając się nawzajem, często jedno kuleje, powiedzmy, na prawą nogę, drugie na lewą, dziadek nie słyszy na lewe ucho, babcia na prawe, irytują się o to, ale wszyscy stawiają ich za przykład, jak ta para się kocha i jak on dba o nią, a ona o niego.

Koszmar! Bo gdyby czas zatrzymał się dla zakochanych! Niestety, wiemy, że tak nie jest... Po wojnie, gdy Lilka już nie żyła (co zresztą na Janie nie zrobiło silniejszego wrażenia), spotkałam go, wlokącego się o lasce, na Krupówkach.

Nasze „bóstwo górskie” przeistoczyło się w zreumatyzowanego starszego jegomościa, „rzadkiego” pod względem czupryny, jak i pod względem uzębienia. I wówczas pierwszą moją myślą było: „Co za szczęście, że Lilka nie może go już ujrzeć takim, jakim jest teraz!” Jakże dziwne musiałyby jej się wydać te wszystkie płomienne listy, które do niego pisywała, i pełne żalości i zawiedzionych nadziei wiersze... Umarł w r. 1962.

Po tej dygresji powróćmy do czasów, kiedy panna Wally nie... zaszła jeszcze tak daleko, jak to się później stało, a Kwak i Szczurek mimo rys w ich miłości, uchodzą za zgodne i dobrane małżeństwo (zwłaszcza w oczach Mamy, tej westalki domowych ognisk swoich dzieci).

Przebywamy obie dużo w Warszawie, gdzie skamandryci robią nam szaloną reklamę, Lilce za jej tomik Niebieskie migdały, a mnie za Na ustach grzechu. W

„bomondzie” ja mam większe powodzenie od siostry — warszawskie hrabiny uważają za polską poetkę jedynie Konopnicką. Coś słyszały o talencie starszej Kossakówny, tylko nie wiedzą dokładnie, czy to chodzi o poezję, czy o malarstwo.

— Podobno pani maluje — rzekła kiedyś do Lilki, na jakimś fajfie, pewna dama.

— Owszem, maluję — odparła niechętnie poetka.

— Ale czy konie?

— Nie, proszę pani — ze złością oświadczyła Lilka — słonie, wyłącznie słonie!

— Och, jaka szkoda, myślałam, że tak jak tatuś, koniki... Ale moje Na ustach grzechu czytały wszystkie, chociaż nie każda z nich rozumiała, o co chodzi.

W atmosferze Warszawy, gdzie nikt jej nie klepie po ramieniu i nie nazywa

„głupim Szczurkiem”, jak na Kozińcu, Lilka rozwija się i kwitnie jak lilia wodna, która głęboko zapuściła korzenie, na dno stawu. Jaś jest nadal jej mężem (dzieje się to mniej więcej dwa lata przed rozwodem), dojeżdża do Warszawy i bierze udział w owych smakowitych, intelektualnych i dowcipnych rozmowach z kolegami żony, które odbywają się w „Małej Ziemiańskiej” lub w jej hotelowym pokoju. Jest jak zwykle uroczy, błyskotliwy i skamandryci przepadają za nim.

Lilka wie o jego przyjaciółce, ale traktuje to na pozór pogodnie i filozoficznie, według starej recepty

kochających żon, które wiedząc nawet o jakimś romansie męża nie robiły z tego tragedii, oczywiście wówczas, gdy on dzielił swoje uczucia między żonę i przyjaciółkę i był wobec żony dżentelmeński i elegancki. Zresztą Lilka posiadała żywy przykład z domu.

Tatko ma swoją stałą flamę — piękną pannę Irenę Luce, którą wiezie ze sobą nawet do Ameryki, dokąd jedzie po raz drugi, i na którą wydaje moc pieniędzy — ale przecież Manusia jest w jego sercu na pierwszym miejscu i byłby człowiekiem skończonym i złamanym, gdyby go chciała opuścić. Nie należy przypuszczać, że na pozór słodka Mania nie jest zazdrosna. Jest, i to potężnie. Lilka prawdopodobnie też, tylko nie lubią obie niesmacznych scen, awantur, obie są prawdziwymi damami. Przekonałyśmy się, do jakiego stopnia Mamidło jest zazdrosne, kiedy przed urodzeniem się mojej córki przyszła nagle z Paryża zachwycająca paczka od panny Luce. Zawierała najkosztowniejszą i najpiękniejszą wyprawkę dla niemowlęcia. Ku mojej goryczy i niezadowoleniu, Mamidło, czerwone ze złości jak piwonia, rzuciło te cuda do pieca w ogień. Bo już jeśli ten Wojteczek musiał

swoją żonę zdradzać, to niechby to była jakaś wybitna aktorka, jak ongiś Modrzejewska, lub wspaniała wiedeńska śpiewaczka Selma Kurz, albo słynna tancerka Gemma Bellincioni, ale zdradzać ją, Manusię, z „byle dziewczyskiem” —

to już chociażby „nie wypada”. Ja znowu tak szaleńczo kocham Ojca, że wydaje mi się, iż takiemu jak on wszystko wypada i wszystko wolno. Jest wiecznie młody, zawsze piękny, a cóż Manusia, już... starsza pani, nie powinna być zazdrosna.

Lilka była innego zdania i zawsze trzymała z Mamą. Ta rozbieżność między naszym nastawieniem do tych spraw znalazła odzwierciedlenie w znakomitej komedii —

(największy teatralny sukces Lilki). Temat: synek „podrywacz” widząc, że jego ojciec wpadł w sidła pięknej uwodzicielki, która pragnie doprowadzić go do rozwodu i małżeństwa z nią, zaczyna sam ją uwodzić, zaprasza cwaniarę do swej kawalerki i aranżuje szokującą (na owe czasy) scenę strip-teasową: to znaczy piękna panna Diana stoi w samej kombinacji, a on pod jakimś pozorem sprowadza papę. Papa, zachwiany w swojej miłości, zrywa z „wydrą” i kaja się przed

„najdroższą małżonką”, która — urażona w swojej kobiecej ambicji — przeniosła się tymczasem do hotelu. Następuje rodzinny happy end. Tym synem, przystojnym, uwodzicielskim Adrianem — który w scenie strip-teasowej splamił poniekąd honor dżentelmena, ale za to uratował ojca od popełnienia wielkiej życiowej omyłki, a ukochaną matkę od życiowej tragedii — jest ona sama, LILKA. Mnie natomiast urządziła odpowiednio (pod postacią siostry Adriana), przedstawiając jako nowoczesną dziewczynę, uważającą, że ojciec ma prawo do miłości, pozbawioną gorętszych uczuć do matki, co było nieprawdą. Grający starego Remberta Władek Grabowski, genialny aktor i niezrównany komik, ucharakteryzował się na Wojciecha Kossaka, przez co sztuka zyskała dodatkowy pieprzyk, i na premierze Tatko od razu siebie poznał. Mając jednak olbrzymie poczucie humoru śmiał się ochoczo i robił dobrą minę do... dobrej gry. Władek zresztą, jak to on, zalał się przed premierą i plótl, co mu alkohol na język przyniósł, ale tak dowcipnie i zabawnie, że publiczność oklaskiwała go przy otwartej kurtynie. Autorka też się zaśmiewała.

Powrót mamy szedł kilkadziesiąt razy, potem również i na porankach.

Nasze sukcesy teatralne zapoczątkowały w roku 1923 dwie komedie grane w Teatrze Małym, jedna po drugiej: Lilki komedia Szofer Archibald i moja głupiutka, ale zabawna farsa Malowana żona, która doczekała się nawet wydania książkowego.

Zaczęłyśmy zarabiać i tym samym uniezależnić się finansowo od naszych mężów. A że akurat przed premierą Malowanej żony przeszłam ostre zapalenie płuc, więc namówiłam zaprzyjaźnionego lekarza, który mnie wyleczył, aby powiedział mojemu mężowi, że konieczny jest dla mnie wyjazd na Riwierę, inaczej grożą mi suchoty.

Mąż nie uwierzył i wpadł we wściekłość, chcąc koniecznie, abym wracała z nim do Bukaresztu, gdzie wówczas przebywał na placówce dyplomatycznej.

— Mam pieniądze i zrobię, co zechcę — odparłam butnie.

— To całe nieszczęście — jęknął — że Madzia zaczęła zarabiać.

W tych czasach, kiedy nieszczęsne żony były całkowicie uzależnione od zarobków męża (gdy im wniosły posag, to oni nim dysponowali), „swoje pieniądze” oznaczały swobodę, wolność, wyrwanie się z uciążliwych nieraz więzów małżeńskich, jednym słowem — życie! Bo i jak tu było przyjść do własnego, uprzykrzonego już męża i powiedzieć mu wprost:

— Słuchaj, stary, chcę się na kilka miesięcy od ciebie wyrwać — daj mi forszę, żebym mogła gdzieś sobie pojechać! Gdzieś daleko od ciebie...

Pawlikowski, o wiele bardziej nowoczesny, a przy tym uczuciowo zaangażowany już poniekąd gdzie indziej, bardzo chętnie się zgodził aby i Lilka pojechała ze mną na Riwierę.

— Jedź, Szczureczku, dobrze ci to zrobi. Ja może postaram się do was przyjechać.

Masz forszę z Archibalda, a ja ci resztę przyślę...

Na pozór był, można rzec, dobrym i dbającym o żonę mężem.

Nie posiadałyśmy się z radości. Mnie gorączka od razu opadła i zaczęłyśmy się szykować do drogi. Moją córeczkę, Reksię, bez żadnych większych skrupułów miało się zostawić pod opieką Babu (czyli Mamy), a my obie jak skowronki lub bociany postanowiłyśmy pofrunąć do... ciepłych krajów. Była jeszcze i trzecia kandydatka do owej podróży, też wiecznie mająca coś z płucami, a mianowicie nasza kuzynka Nina Witkiewiczowa, żona Witkacego. Ile wysiłków i wyrzeczeń musiało to kosztować Stasia Witkiewicza, ile portretów musiał wymalować, aby wysłać żonę na tak kosztowny pobyt na francuskiej Riwierze. Ale wtedy istniał typ „dobrego męża”, dziś już nie spotykany w Polsce. „Dobry mąż” mógł żonę zdradzić, owszem, ale dbał o nią, troszczył się o jej zdrowie i nieraz ciężko się zapracowywał, aby magnifice dogodzić. I taki był właśnie Witkacy. Nina, zawsze królowa, wcale się nie dziwiła, skąd Staś, który przecież nie posiadał żadnego majątku, mógł

wytrzasnąć tyle forsy („floty”, jak się dawniej mówiło) i uważała to za całkiem naturalne. Należy dodać, że Witkacy był jeszcze wówczas pod dużym urokiem swojej żony i zdaje się, że ją naprawdę kochał. Świadczą o tym listy, które wciąż do niej wysyłał do Nicei, adresowane z humorkiem i

dziwacznie: „La comtesse Nina de Witkacy”, „Madame Hedwige de Witkasiewiczowa”, „Madame Stanislas Witkase” i tym podobnie, a które zresztą zawsze dochodziły do jej rąk. Ponieważ Staś nic nie robił zwyczajnie i banalnie, więc i te listy do żony pełne były dowcipu, swoistego humoru i niezwykłych pomysłów.

Osiemnastowieczne damy, podróżujące po świecie karocami, zwykły były zabierać ze sobą cały swój fraucymer, jak również ukochane pieski i papużki w klatce. Lilka, praprawnuczka owych dam, wzięła ze sobą w tę podróż ukochaną wiewiórkę. Sorek jechał więc z nami wagonem sypialnym, w pudełeczku z dziurkami, w którym miał

orzeczki i mały dzbanuszek z mlekiem. Na granicy francuskiej celnicy zainteresowali się Sorkiem, ale ponieważ nie było wyraźnych przepisów w sprawie przewożenia małych zwierząt, więc, aczkolwiek niechętnie, przepuścili wiewiórkę, spoglądając tylko na Lilkę z miną, z jaką lekarz psychiatra patrzy na łagodną i nieszkodliwą wariatkę.

— Mais dites moi, mademoiselle, que ce que vous allez faire avec cet animal?*

— Cest mon porte—bonheur* — odparła Lilka z czarującym uśmiechem.

— Ah, je comprends, alors, bon woyage!*

I w ten sposób Sorek znalazł się wraz z nami na Lazurowym Wybrzeżu. Naszych perypetii ze znalezieniem odpowiedniego locum nie będę opisywać, ponieważ opisałam je już barwnie i dokładnie w Marii i Magdalenie. Po kilku nieudanych próbach wylądowałyśmy w końcu w dużym pensjonacie—hotelu MARINA, położonym tuż koło Promenadę des Anglais, ze spokojnym i ujarzmionym morzeni nie opodal. Z

okien miałyśmy widok na wspaniały ogród pełen rododendronów, palm, fikusów, i na starych Anglików wygrzewających się na leżakach. Był to miesiąc grudzień, i oczy nasze, pełne jeszcze widoku krakowskich kałuż, błota i zimnej mżawki, nie chciały wprost w to uwierzyć. Miałyśmy z Lilka pokój na parterze i pączki róż zaglądały nam przez szyby. Zakutane w ciepłe futerka, wełniaki i szale, wyglądałyśmy trochę jak Eskimoski, które by się nagle znalazły w Afryce, i na gwałt musiałyśmy sobie sprawić białe wiosenne płaszcze, takie jakie nosiły tutaj elegantki, białe kapelusze i letnie pantofle.

Lilka znów, jak za czasów swojego małżeństwa z Bzowskim, zaczyna tęsknić za ukochaną Mamą i pisać do niej czułe i pełne tęsknoty listy: Momo jak się masz kochaneczku. Tu tak jakoś pocziwie i nudno, że też ludzie muszą zawsze jakieś blagi podpuszczać. Cannes jest dziura, Nica dosyć gemein a Monte Carlo mały śmieszny cyrk, wobec którego trudno zachować powagę. Kasyno ohyda ordynarna, daleko mniejsze i brzydsze i mauvais genre bardziej niż kasyno w Zoppot. Wygrałam już sobie, byłam dwa razy i dwa razy wygrałam po 200 franków, zero en plein wyszło mi, na psa urok, je ne demande pas mieux. Morze mamy tuż przed oknami, cudowny widok, ogródek pełen palm i róż i wielkich krzaków heliotropu, niechcący wybrałyśmy wyjątkowo tani pensjonat bo od 25 fr. dziennie pension... Jak mi się sprzykrzy to się przeniosę gdzie indziej, ale dla Moma byłoby tu idealnie bo i zdrowo, i gemütlich i rodzinnie. Spodziewamy się Mamy na pewno, bo przyznam się że nieraz w nocy zasnąć nie mogę myśląc o Mamie, tak się boję o ten kaszel i o tę wilgoć i beznadziejność

okropną... Dziecku nic nie będzie*, nawet mu to dobrze zrobi, trochę mniej skakania koło niego. Droga taka łatwa, każdy pojedzie, żadna sztuka. Kwak się pewnie wybierze, to razem przyjedziecie. Co tu można kupić za 100 złotych, Lafayette jest źródłem taniości. List Moma taki dowcipny, a mój taki nudny — ale wiem z doświadczenia że lepszy głupi jak nic...

...W tym hotelu tak nas lubią że możemy nie płacić choćby i miesiąc. Wszyscy wprost że szaleją za nami... a stary właściciel z czerwonym nosem prosi mnie by nie płacić bo może mi być potrzeba pieniędzy. Zmieniają dla nas menu i w ogóle przesadzają. W lecie będzie tu tanio jak w barszczu, nikogo nie ma. Chodzimy teraz dla odmiany do dentysty. Ponieważ tu jest wszystko na opak więc i dentysta jest cudownie pięknym młodzieńcem, który jest amerykańskim dentystą, to znaczy że jest drogi, robi plomby w pięć minut, i wszystko razem jest jak sen, a trwałe jak wieczność. Niedawno było corso, dzień mimozy w Cannes.’,Co tu tego kwitnie, aż się wierzyć nie chce. Całe lasy, kwitną też teraz wiśnie. Pomarańcze całe w owocach. Straszny groch z kapustą, daj Boże całe życie. Tylko to jedzenie, sławna kuchnia francuska, to są kpiny powiem. Jakby człowiek tu wyglądał gdyby miał maminą wyżerkę co dzień, z barszczem, z kurą; z rurą i z kaszą. Te rybki i brak zupy mi się strasznie przejadł. Madzia niedawno zgrawszy się na rulecie poczuła się obłożnie, zaczęło ją coś niby dusić, niby nie dusić, ona sama nie wie gdzie, a może tu, a może mi się zdaje, jak to Madzia. Więc ja trochę speszona z wielkim trudem bo to była 9 wieczór sprowadzam doktora. Znowu niespodzianka. Wspaniały Anglik, ubrany jak lord, piękny, aż Magdalena zapomniała o co jej chodziło. Doktor szczerze ubawiony zażądał 100 franków, co po jego wyjściu znów źle podziałało na Madzie, dopiero ją ostatecznie wyleczyła z hysterii jakaś miksturka na bulionie którą jej zapisał dentysta. W ogóle Madzia jest teraz (z dala od gości) tak nieznośna, że niech Momo spokojnie oddycha że jej nie ma w domu. Nauczyła się o byle co kłócić (rozpuszczać pysk) ciągle strapiona o to lub tamto, ciągle mnie zanudza że to nie jest „życie dla kobiety” a potem znów jęczy że trzeba będzie kiedyś stąd wyjechać. Typowa lekka histeria. Możliwe że ją te awantury głupiego Karasia tak rozstroiły, choć sobie z tego mało robi, raczej jej chodzi o stronę finansową, bo Madzia jest praktyczna, i lubi mieć „zapewnioną przyszłość”. Dobrze że jej to nie przeszkadza tyć i wyglądać jak ćwik, a na histerię tylko jeden sposób by prędko znalazła drugiego męża, co może nie będzie tak trudne... Tatko w tej chwili telegrafuje że przyjedzie pojutrze. Co to za radość, ale gdyby to i Momo było, to by już był „le comble”. Umieścimy Tatę w hotelu Pałace, bo ten nasz jest zbyt jednak gemutlich, zresztą nie ma miejsca. Ach, jak ja się stęskniłam za Mamą!

Czy Momo się tu nie wybierze, Czy nie ‘ma o tym mowy? Tanio, droga też nic straszego, ułatwienia wszędzie — Głupią Reksię* posłać z Brońcią do cioci Andzi

— Co by to było za szczęście! A co Jureczek?* Kocham go bardzo, pošlę mu jeszcze coś, a czy dostaje swoje pismo, tous ce que’il y a de plus nu?* Może nie? Od stycznia zaabonowane.

I w tym samym liście:

Morze wygląda dziś jak apokaliptyczne jakieś monstrum, nie widziałam nic podobnego, a możemy je oglądać z okna. Wiatr halny, aż się boję czy to Kwak nie

.straszy, pisał mi że jest chory, może na psa urok kiwnął? Chyba nie. Jest teraz w Zakopanem, a w Warszawie wyrabiają mu wizy na wszelki wypadek.

Lilka tak lekko pisze: „może, na psa urok, kiwnął?” Czyżby to znaczyło, że już stał się jej obojętny i obcy? A przecież rozwód, który dopiero później nastąpił, dotknął ją głęboko. Przeniosła tę swoją dawną szaleńczą miłość na dalszych członków rodziny, na „Ewcię” bratową, moją córkę Reksię, na Macieja Starzewskiego, mojego szwagra. Ale „któż zbada serc kobiecych przepastne krainy”...

W niedługi czas potem przyjechał do Nicei Pawlikowski. O, nie sam, to byłoby za piękne. Przyjechał ze swoją przyjaciółką, którą dyskretnie umieścił w innym pensjonacie, a sam zamieszkał z żoną. Oczywiście zwierzył się Lilce z tego, uważając ją za swojego „dobrego przyjaciela”. Ku mojemu zdumieniu moja siostra wcale mu tego nie miała za złe i nawet, o dziwo, kupiła dla panny Wally piękne błękitne pantofelki u Lafayette’a. — Skąd ten gest i dlaczego? Czy aby Jasia wzruszyć swoją dobrocią i wspaniałomyślnością, czy też aby mu pokazać, że sobie z niego i jego panny nic nie robi. Myślę, że chyba z tego pierwszego powodu...

O pobycie Jasia w Nicei tak pisze w liście do Matki: Kwak pojechał do Paryża, zapłaciwszy mi hotel i dwa tygodnie z góry, bardzo był

szopny, przegrywał, wygrywał, ale wyjechał odegrany. Podobało mu się tu i może jeszcze wróci, załatwiwszy te jakieś tam Michałowe sprawy, albo też my za nim pojedziemy i dopiero z Paryża do domu wrócimy, o ile nas będzie stać na takie wydatki. Dziś deszcz pada, wiosną pachnie, jak u nas, ale palmy i kwiaty są te same co i w zimie. Madzia poszła do dentysty plombować (tylko) zęby, broń Boże co innego, bo tu ludzie są ostrożni, i grzechu się bardzo strzegą, bo się boją że to może kosztować pieniądze. Na przykład Nince* się bardzo spodobał tu jeden doktor, który ją odwiedzał w chorobach. Przekonany był biedny Nintuch że tylko słowo wystarczy żeby dochtór oszalał i wybrał się raz do niego niby na poradę ogólną, przy czym wrócił z bardzo rzadką miną. Podobno dochtór stawiał się Nintuchowi, a raczej właśnie nie, dość na tym że Ninka pozostała Witkiewiczową, wierną i bez grzechu. A to wszystko dlatego że nie zapłaciła z góry, i dr bał

się o swoje pieniądze, o które jakoś trudno ,byłoby się po tym wszystkim upominać. Tacy są tu wszyscy nicejczycy, okropne kramarze i ludzie bez gustu...

Przyjechał Krzywoszewski i bardzo koło nas chodzi. Wczoraj byliśmy z nim na rulecie. Tamże spotkałyśmy głupią i już starą jak ciotka szczawiowa Anulkę. Te biedaki nie uważały za stosowne być u nas... Ciekawe jak nas ta rodzina nie lubi.

Widać im coś przykro że nam niczym zaimponować nie mogą, bo ani dowcipem ani bardzo wielkim państwem. A może uważają żeśmy skrzywdzili rodzinę...? W każdym razie mogą się uważać za pocałowanych w du.. Ale nie przeze mnie: Cały klub się zjeżdża, jest już Żeleński z Brunickim, Skrzyński ten taki stary, brakuje tylko Szymbery... Madzia jest babcia i ciągle się martwi: to brylantem*, to Frojłusią, to sobą, to Mamą, to ruletą, jednym słowem potrzeba jej pieniędzy...

W tym czasie przyszedł list od Starzewskiego, pisany stylem poważnym i napszonym, grożący mi rozwodem, o ile natychmiast nie wrócę do Bukaresztu.

A Lilka pisze o tym w ten sposób:

Tu nikt ze znajomych wierzyć nie chce w tę historię, wszyscy myślą że to Madzia go odrzuciła, i że

on ciężko biedak skrzywdzony. Co to za głupi chłopak!

Opowiadał tej małej Ponińskiej że tak cierpi, że mu tak ciężko, że go Madzia porzuciła itp. Widać lubi wzbudzać litość i miłosierdzie. Bardzo piękne cnoty.

Co do mego kaszlu, to przeziębiałam się wtedy co to w tych ruinach, co to fotografie Jaś posłał. Mogło być wszystko, zaczęłam kaszleć noc i dzień, tymczasem jest tu jeden syrop, nazywa się Akker, z jakiejś Abbaye, stary sekret z 18 wieku, klasztorny. Po dwóch łyżkach kaszel mi przeszedł, i nie ma śladu n.p.u. Tu mają takie lekarstwa, że się wierzyć nie chce. Ten syrop to talizman.

Przywiozę dużo do domu. To nie to co proszeczeki Maja*. Pamięta Momo? Całuję, Tatę ściskam i Mamę — i Ewcię* Ewcia by tu robiła furorę. Tak eleganckich jednak kobiet nie ma już w ogóle widać na świecie, ani tak pełnych temperamentu.

Lilka, jak zobaczymy z następnego listu do Mamy, żyje wciąż troskami rodzinnymi i bardzo jest przejęta propozycjami rozwodowymi Starzewskiego.

Teraz więc Madzia idąc za głosem rozsądku (moim) pisze do niego list poważny i taktowny, nawołujący go do rozsądku i zgody po raz ostatni — Obiecuje mu przyjechać gdy się ociepli (!) (w marcu) i utrzymywać o ile się da dobre stosunki. Kopię listu pośle Momowi do przeczytania. Jeśli on na to odpisze

„nagminnie” a to już chyba z Panem Bogiem, panie Dattelbaum Starzewski! Obejdzie się „bez krzyków”, o które się z naszej strony obawia Maciej* (niech Mama mu tego nie mówi). List jest taki, że jeśli on chce zgody i kocha Madzie, to się przeprosi. (Ale to się robi dla Reksi i Mamy, a też dla paszportu dyplomatycznego.) Awantura proszą Mamy jest zresztą tłusta i nie bierzmy jej zbyt tragicznie tylko się uśmiejmy bo warto. Mam wrażenie że to wszystko jeszcze na dobre wyjdzie n.p.u. najważniejsze to że nam tu zdrowo i ciepło, żeby to Momo mogło tu być choć miesiąc! Francuzi są tacy najdrożsi, że już bez nich nie wytrzymamy nigdy.

Tatko miał rację. Czy kto słyszał kiedy żeby człowiek sprzedający bilety na stacji odpowiadał” na pytanie: oui, charmante enfant. Tu żyć, kochać i wydawać pieniądze. Tu. . Maciej zresztą .strasznie miły list do mnie napisał. Nie jestem pewna czy ten kazuista nie myśli głęboko w sercu że szkoda Madzi dla tego migreniarza lekceważącego swoje i cudze zdrowie. Lubię go bardzo, to dobry chłopiec, tylko komediant. Najdroższa Mamo i Tato, Wesołych Świąt, nie róbcie sobie złej krwi, ponad wszystkim przecież jest Opatrzność, która lepiej wie...

Ja w tym czasie byłam rzeczywiście kwaśna i nudna. Nie wiedziałam, czy mam się rozwieść ze Starzewskim, czy nie? Żał mi było życia dyplomatycznego, a znowu z drugiej strony nie kochałam go wcale. Lilka żyła więc w otoczeniu dwóch grymaśnic, ponieważ Witkiewiczowa, nie mając tu jakoś powodzenia, czuła się przez to pokrzywdzona. W przeciwieństwie do nas Lilka z niezrozumiałych przyczyn była wesoła i pogodna, co zresztą wyczuwa się z jej listów. O wstępowaniu do

„Ogrodu Miłości” nie było mowy, rodzaj męski przedstawiał się tutaj mizernie —

przeważnie starzy Anglicy albo mali gigolo polujący na stare, bogate Amerykanki.

Raz tylko omal że nie wpadła w sidła jakiegoś ciemnego typu, mocno podejrzanego Greka, o czym zresztą pisałam w Marii i Magdalenie. Ale chwała Bogu, dzięki mojej interwencji; skończyło się to dla nas szczęśliwie i ciemny typ przestał

nas prześladować. Mam zresztą wrażenie, że podczas naszego pobytu w Nicei nie myślała o miłości i wcale jej nie szukała. Żyła jak gdyby życiem krzaku róży, który posiada wiele pączków i wie, że się będą one po kolei rozwijać. Miała czas. Poza tym pasjonowała ją gra w ruletkę, na której — w przeciwieństwie do mnie — przeważnie wygrywała. Miała specjalne rzeczy do ubrania przynoszące jej szczęście w grze, między innymi biały słomkowy kapelusz z winogronami z białego jedwabiu, który zresztą bardzo się naszemu Tacie nie podobał.

Pamiętam, jak kiedyś włożyła go na głowę podczas ulewnego deszczu.

— Ach, Lilek — zachnął się Ojciec ujrzawszy ją w tym nakryciu głowy — to „szapo” jest przecież całkiem nieodpowiednie do dzisiejszej aury.

— Ja wiem, Tato drogie, ale tylko w tym kapeluszu zawsze wygrywam — szalone szczęście mi przynosi!

Wówczas w Nicei żyła dla „samego życia”, nie dla amorów, nie dla uwodzenia mężczyzn, ale — dla słońca, które nade wszystko kochała, dla morza i dla kwiatów, które jak morze zewsząd ją w Nicei otaczały. Rano biegła na targ kwiatowy, gdzie za bezcen można było kupić najpiękniejsze róże, mimozy, narcyzy, lewkonie, przynosiła całe bukiety i naręcza do hotelowego pokoju, po południu zaś jeździła ze mną chętnie do Monaco, do najwspanialszego i najsłynniejszego w świecie akwarium i długo przyglądała się straszliwym polipom, stuletnim żółwiom, rybom głębinowym, miłości wielkich krabów, którym przeszkadzały i plątały się liczne odnóża. Podziwiała bogactwo straszliwych czasem pomysłów Przyrody, z których brały wzór ludy afrykańskie do swoich groźnych totemów i bóstw. Gniewało ją to bardzo, że mnie te wspaniałe cuda i dziwactwa wcale nie interesowały i że wolałam pójść do kawiarni lub pojechać do kasyna gry. Napisałyśmy wtedy razem nowelkę pod tytułem Ponura materialistka, o takiej osobce jak ja, której nic nie interesuje poza mężczyznami i strojami. Mając zawsze duże poczucie humoru, wcale się o to nie obraziłam i. dodawałam jeszcze dużo o sobie złośliwostek. Owa nowelka była później drukowana i weszła w skład jednego z moich pierwszych zbiorów.

Gdyby nie wieczna troska o dom i rodzinę, można by powiedzieć, że ten pobyt w Nicei był jednym z najpogodniejszych, relaksowych okresów w życiu mojej siostry.

Wiadomość o jakiejś ciężkiej i przewlekłej chorobie Fräulein, która od naszego dzieciństwa mieszkała na Kossakówce i była jak gdyby członkiem rodziny, popsuła Lilce ten euforyczny nastrój. Pisze o tym do Mamy: Momo biedne małe, co to za przykrości, tak się boję o tę Frojlusię, jak się to jednak człowiek przywiązuje! Kto wie co się tam teraz w domu dzieje — może Momo nie daje nam znać o tym co się może stało, co by było takie okropne! Ciągłe nam coś zatruwa ten pobyt tu, ten Karaś głupi, teraz to znowu — czekamy na listonosza tak samo jak Mama w Krakowie, i boimy się o dom. Dziękuję bardzo uprzejmie za tak prędkie przysłanie mi recepty. Czy „Modę Pratiąue” już przychodzi? A Jurek ma też zaprenumerowane nieprzystojne pismo „Paris-Plaisir” które mu się bardzo będzie podobało. Kochany Jureczek; Żeby on widział te sklepy tu, te biżuterie za bezcen,

imitacje niesłychane, to by się wściekł. Podobno takich sklepów jak są w Nicei i w Cannes nie ma nawet w Paryżu, a nawet co gorsze w Krakowie samym. Nawet Cypes się nie umywa do Redferna i „Madeleine et Madeleine” oraz innych. Niech Momo Frojlusi zapowie że pończochy (fil d’ecosse po (z przeproszeniem) 9 franków) jadą do niej, Momo też dostanie ale ładniejsze, później, niech ją Momo uściska, niech wie że ją tak lubimy, bo pewnie biedaczysko powiedziało gorzko że Madzi pokój będzie wolny teraz. A Madzia tak się martwi nią że aż zmizerniała i nie śpi. Serce to zły wynalazek. Tylko życie truje. Sorek znowu zjadł nowe prześcieradło. Znowu w rachunku mi to podadzą. Ale całe szczęście że służąca trzyma z Sorkiem, Włoszka, dobra jak matka dla nas i dla Sora, i już nieraz łątała prześcieradła w sekrecie przed patronem, a kiedyś kupiła rulon tapet by nakleić na miejscach zjedzonych przez Sorka który stale ukradkiem gryzie ścianę pod łóżkiem. Wszyscy są dla nas niezmiernie dobrzy.

Niedawno udusiłam się ością (zawsze się tego bałam), na szczęście doktor mieszka tu w domu, przyszedł, zajrzał mi tam, wziął 25 franków, a ość zostawił., ale jakoś mi sama przeszła, tylko mnie gardziel bolał przez 3 dni jak najęty. To że Momo płaci Preussową* jest niesprawiedliwą rzeczą, nie wiem co na to poradzić.

Może będzie co z Archibalda w Krakowie, dobrze byłoby się dowiedzieć. Teraz grają go w Wilnie, przysłali mi krytykę którą załączam, i upraszam schować bo dobra.

...Te pieniądze co to Tatko ma przysłać to by były mile widziane. Tamte już

powiększyły grono aniołków. Hotel jest teraz drogi, bo to sezon. 70 franków wszystko razem dziennie kosztuje. Do widzenia kochaneczko, ściskam Cię z duszy serca. Nie martw się zanadto, a o nas to już wcale bo nic nam tu n.p.u. nie grozi. Nudno jak w uchu.

Nasz cudny Tatko przyjechał na kilka dni do Nicei i wówczas los uśmiechnął się do nas nie sztucznym uśmiechem clowna, jak to on potrafi, ale pięknym, szczerym uśmiechem reklamującym samo życie. Dumne z tak wspaniałego ojca, ubranego w pyszny angielski garnitur khaki, w kapeluszu borsalino włożonym na bakier, kroczyliśmy przez la promenadę des Anglais uwieszone każda u jego ramienia.

Tatko zawsze bardzo pilnował, aby iść równo z tej samej nogi. Eleganckie damy z zazdrością patrzyły na szczęśliwe dziewczęta, które znalazły sobie takiego kompana; nie przypuszczały zapewne, że ten piękny mężczyzna w sile wieku, na którego tamte spoglądają z taką adoracją, to ich rodzony papa. On również idąc z nami, czy siedząc w kawiarni, zachowywał się nie jak ojciec, ale jak amant, który sobie aż dwie panny naraz przygruchał. Bawiło go to szalenie, a w ogóle to podobałyśmy się mu jako kobiety, szczególnie ja. „Wiesz, Magdusia — mówił — ty jesteś szalenie w moim typie...” Jako adorator tych dwu pań fundował im, co tylko mógł, zapraszał, częstował, a potem stękał z wrodzonym mu dobrym humorkiem:

„Ach, moje panny, co wy mnie kosztujecie!” A my najbezczelniej w świecie, zupełnie jak kokotki, naciągałyśmy tego cudownego ojca. „Tato, kup mi to...”

„Tatewko najdroższe, kup mi tamto...” „Tato, ja muszę to mieć!” Wiedziałyśmy zresztą, że jak my go nie będziemy eksploatować, to uczyni to o wiele od nas kosztowniejsza Irenka Luce, albo kochający

brat Tadeuszek. Wojteczek był zresztą z tych ulubieńców Losu, o których on specjalnie dba i pilnuje, aby zawsze mieli odpowiednie środki na swoje radości życia. Nie wiem, czy podświadomym marzeniem tego bożyszczka kobiet nie było chociaż raz w życiu odpocząć od nieustannej pracy i troszczenia się o finanse całej rodziny i być samemu finansowanym przez płec piękną. W każdym razie nie posiadał się z radości, gdy pod koniec jego wspaniałej życiowej kariery panna Luce zaprosiła go na swój koszt na Lazurowe Wybrzeże, jako że wyszła za mąż za maharadzę, który zapisawszy jej swój majątek taktownie zmarł.

— Popatrz, Mania! — wołał, machając owym listem przed oczami małżonki — Irenka zaprasza mnie na cały miesiąc na francuską Riwierę! Na stare lata spotyka mnie to, że jakaś kobieta chce mnie wziąć na utrzymanie! Czy to nie wspaniała historia!

— Ale chyba nie pojedziesz, Wojteczku — zaniepokoiła się żona.

— Pewnie, że pojedę — żartował podkrecając pięknego wąsa. — Głupi byłbym, gdybym

z tego nie skorzystał... — Widząc jednak przerażoną minę Maniusi, roześmiał się i zapewnił ją, że Irencie bardzo podziękuje, serdecznie odpisze, ale niestety z jej zaproszenia nie skorzysta.

— Trudno — westchnął figlarnie — taki mój los, już do końca życia kobiety mnie będą naciągać, a nie ja kobiety...

Nasz rodzony adorator dał się namówić na pójście do Kasyna w Monte. Od razu postawił na zero i wygrał en plein. Znając jednak ze swoich młodych lat tę przewrotną zwodnicę Ruletę, ową straszliwą syrenę wciągającą ludzi na dno, zgarnął całą stertę żetonów, poszedł do kasy zmienić na franki i oświadczył

córkom, że więcej nie gra.

— Za to zapraszam was, moje panny, na kolację z szampanem do najdroższej restauracji.

— Największa sztuka w życiu — mawiał do nas — to umieć sobie wybrać odpowiednich rodziców, od tego później wszystko zależy...

A myśmy jak mało kto umiały sobie „wybrać odpowiednich rodziców”. Cały mój humor, który zachowałam do późnego wieku, cała duchowa krzepa, to przede wszystkim zasługa tego cudownego Ojca, którego blask i miłość rozgrzewa mnie we wspomnieniach dotychczas...

Tatko był na Riwierze tylko kilka dni, ale gdy wyjechał, zdawało nam się, że niebo się zachmurzyło, chociaż słońce świeciło jak zwykle, że mimozy powiędły i wszelka radość życia zgasła. Smutne i bez humoru wróciliśmy do hotelu.

Właśnie w tym czasie słynny fryzjer paryski „Marcel” zaczął lansować krótkie fryzurki i od razu wszystkie elegantki kazały sobie obciąć włosy. Lilka z ciężkim westchnieniem postanowiła też pójść za modą.

— Ach, Lilusiu — zaczęłam utyskiwać — co innego ja, ale czyż nie szkoda twoich pięknych włosów do kolan? Błagam cię, zastanów się jeszcze.

Lilka spochmurniała.

— Pewnie masz na myśli, że moje długie włosy zasłaniały mi wystającą łopatkę.

Ale trudno, jak moda to moda.

Obie poszłyśmy więc do renomowanego zakładu fryzjerskiego, gdzie wkrótce bez jęku, z cichym szelestem padły na podłogę nasze bujne grzywy. Najmodniejsze były włosy zupełnie krótko obcięte, „a la garconne”, z wygolonym wysoko karkiem. Ale my wolałyśmy włosy ostrzyżone na pazia. Nie było jeszcze wówczas trwałej ondulacji, więc owe krótkie włosy fryzowało się żelazkiem w szerokie fale, z których jedna spadała trochę na bok. W tych uczesaniach wyglądałyśmy o wiele młodziej i ładniej. A jednak Lilka — jak to widać z jej pięknego wiersza napisanego o wiele później, bo w r. 1927 — żałowała swoich wspaniałych włosów, tego popielatego płaszcza, który na plaży zasłaniał defekt jej figury. W tym wierszu — znów nie wiadomo, dlaczego nie wszedł on do żadnego z jej tomików —

przeczuwa dzisiejszą modę, kiedy dziewczyny noszą długie rozpuszczone włosy, co zresztą nie robi na chłopcach żadnego wrażenia. Trzeba zaznaczyć, że wówczas włosy kobiece, gdy się w tańcu lub grach na świeżym powietrzu rozpuściły, działały na mężczyzn „zmysłowo”, a ich zapach, czyli woń włosów rzadko mytych (myło się raz na miesiąc w żółtkach i rumianku), przyprawiał ich o zawrót głowy.

Oto wyżej wspomniany wiersz pt. Włosy:

Wróćcie długie włosy. Czyhacie w pobliżu,

W szumie drzew, w błyskawicach i nadmorskiej bryzie — —

Wzrośnięcie w Ameryce, obcięte w Paryżu,

A moda spojrzy chmurnie i usta zagryzie.

Szumią strumienie brzozy i rozwiane palmy,

Trzaska włos elektryczny, kręte błyskawice.

Włosy! W promieniach waszych jak świece są palmy, Niech ondulacji morza nie krają nożyce! —

Rozwiejcie się na plażach, loki, grzywy, płaszcze, Niech dzikość żeńskiej grozy chorągiew rozwinie.

Niech was wiatr rozczesuje, masuje i głaszcze, A inni niech w was usta utopiają jak w winie.

Cóż nam ciężar i szpilek stutysięczne ości?

Zakochemy się znowu w bezsensie, w bezmiarze —

Wrócą długie, gorące i dzikie miłości,

Czesane wzdłuż i na bok grzebieniami marzeń!

Poetka przeczuła długie rozpuszczone włosy u młodych kobiet. Ale nie tylko to.

Przeczuła drugą wojnę światową, ekspedycję na księżyc za 50 lat (patrz sztuka Kochanek Sybilli Thompson).

Dużo rzeczy i spraw doniosłej wagi przeczuła Lilka, jednej rzeczy tylko nie przewidziała — długich włosów u mężczyzn!

W wyżej cytowanym wierszu pisze: „niech dzikość żeńskiej grozy chorągiew rozwinie”. A tymczasem „dzikość męskiej grozy” rozwija przed nami włosy do ramion! Tak, tego nie przewidziała w najśmielszych i najbardziej fantastycznych snach. Czyli że są rzeczy, o których nie śniło się nie tylko filozofom, ale i... poetom.

Pod koniec naszego pobytu na Riwierze znalazłyśmy adoratorów. Ja zdobyłam nie tyle serce, co zmysły — jubilera z Monte Carlo, któremu sprzedalam za pokaźną sumę 30 tys. franków mój piękny brylant czterokaratowy. Był to bardzo przystojny młody Żyd; szalenie pewny siebie, zdawało mu się, że względu na jego olbrzymie zarobki, że mu się żadna kobieta nie oprze. Ponieważ ja się stanowczo oparłam, więc gotów był się ze mną ożenić.

— Lilusiu — spytałam — jak ci się podoba mój jubiler?

— Szewc — powiedziała Lilka wydymając usteczka. Było to u nas najbardziej lekceważące określenie mężczyzny, nic zresztą ze szlachetnym fachem szewca nie mające wspólnego. „Szewc” — był to człowiek drugiej albo nawet trzeciej klasy, i w zachowaniu, i w ubraniu. Gdy Tatko albo Lilka powiedzieli o kimś: „to taki szewc” — natychmiast był w moim pojęciu zdyskwalifikowany.

— Dlaczego „szewc”? — oburzyłam się. — Przystojny, dobrze ubrany, zabawny...

— A widziałaś jego paznokcie? Długie i spiczaste, żaden dżentelmen nie zapuszcza sobie takich pazurów, no i te baczki. Ale skoro tobie się podoba — dodała ze złośliwą ironią.

— Nie powiem, żeby mi się tak podobał, zanadto pewny siebie ... Ale pomyśl, być żoną jubilera z Monte Carlo! Co za pieniądze i co za życie!

— Ty, Madziusiu, zawsze myślałaś o życiowej karierze i jak na tym wyszłaś? Dla kariery dyplomatycznej wyszłaś za mąż za Starzewskiego, a teraz znowu chciałabyś się sprzedać dla pieniędzy. Wstyd mi za ciebie... A zresztą ten elegancki „figo fago” na pewno nie myśli serio o małżeństwie z tobą, ma tutaj piękniejsze kobiety do uwodzenia. Poza tym nie masz przecież rozwodu...

— Ja tylko tak, Lilusiu, przymierzałam ten pomysł. Oczywiście, że to nie jest poważne. Postaram się

go spławić...

Ale jubiler nie był łatwy do „spławienia” i wciąż się zjawiał tam, gdzie ja się znajdowałam. Przypuszczalnie pochodził z Niemiec, bo chętnie zagadywał do mnie po niemiecku. Gdyśmy wyjeżdżały do Paryża, odprowadził nas na dworzec i wyludził

ode mnie adres hotelu paryskiego, gdzie zwykle nasz Ojciec się zatrzymywał.

Wkrótce otrzymałam od niego szereg listów, a gdy na żaden z nich nie odpisałam, przysłał mi jeszcze jeden z napisem na kopercie: „Das Weib ist frech”*. Tak to za młodych lat lekceważyło się męskie okazje...

Pod koniec naszego pobytu na Riwierze Lilka również miała swojego „adlatusa” (adoratora). Był nim wspaniały szejka w barwnym turbanie, otulony w biały burnus.

O tym niezwykłym fatygancie najlepiej opowie ona sama, w liście do Mamy: Momo, dzień dobry Ciebie. Pewnie że już wkrótce przyjedziemy, czekamy tylko okazji, żeby nam się chciało ruszyć. Mnie żal teraz wracać, bo mam tu przyjaciela, prawie jak brata (jak dotychczas) szejka arabskiego, który jest święty człowiek, i jak przejdzie przez dom to zaraz wszystko dzieje się tak jak się chce. Nie ma się pojęcia jak taki człowiek dzikiego Wschodu może być słodki i święty. Chciałabym go mieć zawsze, nie jako amanta, ale jako takiego opiekuna, mameluka i towarzysza, jak to Napoleon miał. Zgrywa się toto na rulecie pomimo powagi, czarnej brody i wściekłych arabskich turbanów, a wczoraj fotografowali nas znajomi do filmu, i graliśmy różne awantury bez sensu bardzo się śmiał ten Arab cały...

„Święty człowiek” odwiedzał nas często w hotelu i coraz to wypijał na rachunek Lilki jakąś kawę albo herbatę. Był szalenie dekoratywny i moja Lilka chętnie paradowała z nim na promenadzie i pokazywała się w kawiarniach. Była z niego dumna jak z wiewiórki, którą nosiła na płaskiej chińskiej parasolce, co wzbudzało zazdrość w bogatych starych Amerykankach, mogących się popisać najwyżej... papugą noszoną na ramieniu. Te stare damy obwieszane były poza tym najkosztowniejszą biżuterią oraz wy—mokłymi, bladymi żigolakami, których prowadziły pod ramię. Pierwszy raz w życiu my, czcicielki Miłości, zetknęłyśmy się tutaj na Riwierze z owym erotycznym biznessem. Nie miałyśmy pojęcia, że damy w wieku naszych „szczawiowych ciotek”, tylko że urozowane, uloczkowane i wyściskane, mogą posiadać jeszcze tego rodzaju apetyty. Był to prawdziwy szok, bo o panach mających tak zwane wówczas „utrzymanki”, czyli płatne przyjaciółki, wiedziało się od dawna, ale żeby takie stare cioty...

Nie zapomnę nigdy takiej koszarnej babci z siwymi lokami i karminowymi kolorkami, chudej, wysokiej, w czarnych koronkach, która na dansingu w

„Negresco” tańczyła z młodymi ludźmi „sambe” i „jawę”, i to z dzikim ferworem i wielką wprawą. W ogóle ten dansing wyglądał jak sabat czarownic. Koło umalowanych wiedźm skakały biedne, ubogie diabełki—fordanserzy, którzy nie prosili do tańca żadnej młodej pani, wiedząc, że młode zwykle nie posiadają pliku banknotów w torebce, ni okazałego konta w banku. Nikt nas więc nie zaprosił do tańca i wyszłyśmy rozgoryczone i zawiedzione.

Z okrucieństwem młodości nabijałyśmy się wówczas z tych staruszek i do głowy nam nawet nie przyszło, tak jak i dzisiejszej młodzieży, że i my kiedyś możemy być takie jak one... Z całą złośliwością i ironią młodych napisałyśmy razem nowelkę o takich dwóch starych Angielkach na Riwierze, z których jedna przyszła na galowy wieczór sylwestrowy do hotelu w bladoniebieskiej sukience z falbankami, a druga w różowej. To opowiadanko weszło potem do mojego tomiku opowiadań *Z pamiętnika młodej mężatki*. Dzisiaj, kiedy najstarsze damy noszą różowe sweterki i czerwone

„spodniemy”, nikomu by się to opowiadanie nie wydało śmieszne. Żadna powieść nie przedstawi danej epoki tak dokładnie jak utwór satyryczny — i nic tak szybko się nie dezaktualizuje jak satyra.

ŻEGNAJCIE PALMY, MIMOZY I... STARE ANGIELKI

Do Paryża pojechałyśmy w asyście zakochanego we mnie urzędnika z Kasyna w Monte Carlo. Był to ów przezacny człowieczek, który, gdy się zgrałam do... suchego franka, pożyczał mi pieniądze, a ja na drugi dzień oddawałam.

— Avez-vous perdu — ou avez-vous gagne? — pytał z niepokojem w małych pocziwych oczkach, gdy z kwaśną miną wychodziłam z Kasyna.

— Znowu przegrałam... niestety...

— No to proszę, jeśli pani już nie ma przy sobie pieniędzy, to ja pani pożyczę, tylko wyjdźmy poza obręb Kasyna, aby nikt nas nie widział...

Człowieczek ryzykował swoją posadę — gdyby go ktoś był na tym zacnym uczynku przydybał, byłby wyleciał na zbitą mordkę. Ale gdy Francuz jest zakochany, przestaje być natychmiast chytry i skąpy. Trzeba zaznaczyć, że miłość skromnego Francuzika była pod każdym względem bezinteresowna...

Zakochany urzędniczek powiedział, że boi się nas puszczać same w podróż i że nas odwiezie do Lyonu, ponieważ ma właśnie dzień wolny. Lilka, która nie lubiąc szczerze nicejczyków nie przepadała za ich towarzystwem, siedziała w przedziale koło okna kwaśna i nadęta. Nieefektowny urzędniczyna w ciemnym alpakowym garniturze, trochę w typie Charlie Chaplina, nie wydawał jej się odpowiednią dla nas asystą. Lubiała mężczyzn przystojnych i dobrze ubranych, pochodzenie i fach były jej obojętne, byle adorator wyglądał tak, aby się przyjemnie było z nim pokazać, ku zazdrości bab.

Był w niej jakiś snobizm na punkcie mężczyzn i... walizek: musiały być skórzane i takie, co to wzbudzały szacunek u współpasażerów. Podczas tej wspólnej podróży nie odezwała się ani słowem, przeglądając jakiś ilustrowany magazyn.

Ja, pełna sympatii dla owego bezinteresownego i pożytecznego adoratora, paplałam z nim bez przerwy. W pewnym momencie Francuzik zaproponował nam, aby pójść coś przekąsić do wagonu restauracyjnego. Zamówiliśmy czerwone wino, kawę i sandwicze. Gdy przyszło do płacenia i Lilka wyciągnęła z torebki portfel, Francuz wstrzymał ją gestem ręki.

— Oh non, madame, nigdy nie pozwolę, aby w moim towarzystwie damy płaciły za siebie!

— Nie zgadzaj się — rzekła Lilka do mnie po polsku — będzie nas miał za kokoty!

W owych czasach obowiązywała zasada: „każda dama — płaci sama”. Te, które pozwalały, aby mężczyźni płacili za nie, mogły zyskać u innych niepoehlebne miano „kokoty”. Od adoratorów wolno było „damom” przyjmować tylko kwiaty, czekoladki, czasem książki. Wszystko inne mogło być przez nich poczytane za...

„inwit do bez-atu”, a w ogóle to mężczyzn uważało się za istoty niebezpieczne, i

„od stóp do głów na miłość nastawione”, jak w piosence Marleny Dietrich.

Natomiast gdy jakaś dama zgodziła się na amory, to facet, o ile był dżentelmenem, powinien był posłać jej na drugi dzień kosz kwiatów w podzięce. W przeciwnym razie mógł być przez nią uważany za... „szewca” nie znającego przyjętych zasad dobrego wychowania i dobrych manier. Gdyby ten obyczaj był przetrwał do dziś, kwiaciarnie nie nadałyby w dostarczaniu klientom kwiatów, a mężczyźni nie mieliby już na wódzię...

Młode kobiety ceniły się wówczas niczym dziś zagraniczne towary w PKO. Pod względem erotycznym były o wiele mądrzejsze i wobec adoratorów zachowywały się tak, jak gdyby miłosne rozkosze były udziałem tylko jednej strony, mężczyzny, a one czasem „poświęcały” się, nie mogąc już patrzeć dłużej na „mękę” zakochanego.

A głupi mężczyźni w to wierzyli i byli głęboko wzruszeni i wdzięczni za owo bezgraniczne „poświęcenie”.

Czytając dawnych autorów — Stendhala, Balzaca, Tołstoja — wciąż mamy do czynienia z tą ofiarą kobiet, składaną na „ołtarzu miłości”. Oczywiście, że gdy obiekt męskiej adoracji nie wzbraniał się przyjmować kosztownych prezentów, znacznie malało owo „poświęcenie”, jak i bezgraniczna wdzięczność amanta.

W Lyonie mój Francuzik zaczął się z nami żegnać.

— Proszę przyjechać w lecie do Aix les Bains — rzekł do mnie ściskając mi mocno dłoń — obejmuję tam funkcję krupiera przy bakaracie. Pomogę pani wygrać duże pieniądze.

Nigdy nie miałam się dowiedzieć, jak miał zamiar to uczynić. Prawdopodobnie grałby ze mną konspiracyjnie na spółkę. A może znał specjalne sposoby tasowania kart i przekładania ich?

— Chyba nie skorzystasz z tego zaproszenia — odezwała się pogardliwie Lilka, gdy nasz pociąg pozostawił na lionskim peronie machającego kapeluszem Francuza. —

Miałabym cię wówczas za awanturnicę i kokotę.

Westchnęłam tylko i uśmiechnęłam się smutnie. Jechać samej i bez dużych pieniędzy do Aix les Bains, miejscowości dla milionerów — było marzeniem, jak to nazywałam, „śniętej ryby”.

Przypominając sobie dzisiaj tych nicejskich adoratorów widzę, jak Fortuna dwakroć podawała mi pomocną dłoń — raz z bogatym jubilerem z Monte, a raz z tym Francuzikiem z kasyna, który chciał mi pomóc w zrobieniu dużego majątku.

W Paryżu zastałyśmy moc znajomych Polaków. Urządzano wówczas pawilon polski na mającą się tam odbyć międzynarodową wystawę i cała artystyczna ferajna przywitała nas radośnie.

Spotkałyśmy tam od razu Stryjeńskich, Jerzego Warchałowskiego, Augusta Zamoyskiego, Jarosława Iwaszkie wieża, no i jak zawsze uroczego Jasia Pawlikowskiego, pieszczocha całej tamtejszej Polonii, który zachowywał się jak mąż „dochodzący”. Mieszkał w innym hotelu, ale przychodził co dzień nas odwiedzać i zabierał Szczurka na różne papojki i przyjęcia do swoich przyjaciół.

Jaki był wówczas stosunek Lilki do Kwaka? Chyba przyjacielsko–rodzinny. Burze wiosenne minęły, było letnio i pogodnie, a huragany jesienne, które łamią drzewa i burzą dachy domostw, miały dopiero nadejść. Lilka była bardzo skryta i nie zwierzała mi się ze swoich uczuć. Co wówczas przeżywała, można tylko wyczytać z jej zbiorku Pocałunki, który ukazał się w r. 1926.

W tych prześlicznych czterowierszach można wyczuć melancholijny żal po uczuciu, które się kończy. Czy adresatem tych wierszy jest Pawlikowski? Chyba tak, przecież nikogo innego w tym czasie nie miała. Zacytuję kilka z nich: Zawód

Wieczność wola daremnie

o jeden twój pocałunek!

Nieśmiertelnie płacze we mnie

zawiedziony, nieśmiertelny gatunek...

Nike

Ty jesteś jak paryska Nike z Samotraki,

o miłości nieuciszona!

Choć zabita, lecz biegniesz z zapalem jednakim wyciągając odcięte ramiona...

Spóźniony list

Może kiedyś, nieoczekiwanie,

przyjdzie list ten. I nic się nie stanie.

Tylko patrząc w oczy Panu Bogu

rzeknę z cicha: „za późno, mój Panie!”

Po tygodniu pobytu w Paryżu wracamy do Krakowa. Jest już wiosna, pąki kasztanów pękają jak jaja i wychodzą z nich wilgotne jeszcze i lepkie liście–piskłeta. Na placu Kossaka błoto jak zwykle, połączenie ciemnej płynnej czekolady i kakao w miejscu gdzie konie zrobiły kupki. Ale za tym placem stoi nasze ukochane domostwo Kossakówka.

Bezblędna radość, niezmienna serdeczność i jasne wspomnienia.

Los ma tę właściwość, że lubi się powtarzać, i w złym, i w dobrym. Ach, ileż już przeżyłam takich radosnych powrotów do domu: i z Bukaresztu, skąd wciąż uciekałam od mojego nieszczęsnego męża, i z Warszawy, a teraz z Nicei... I wciąż ta szczęśliwa powtarzalność.

Mama zachwycona naszym powrotem, pełna uściśnień i przytulań do biustu. Tatko z uciechy na widok córek podkręcający wąsa i mówiący im komplementy. Marysia, Brońcia, Kucharcia — cały personel serdeczny i zadowolony, że „panienki nareszcie przyjechały”. Tylko „Frojlusia” biedna leży chora, ale i ona uśmiecha się na nasz widok i ściska nam rękę.

— Dość już tych wzruszeń, siadajta do stołu! — nawołuje nasz Tatko, wielki rodzinny Gargantua.

A na tym stole, Bożeż ty mój! I kurczęta, i plastry szynki, jakiej się już nigdy po wojnie nie spotkało, i półgęsek, i jakieś paszteciki domowe, placki, przekładance, łamańce, makagigi i figi, bułeczki i rogaliki. I znów ta rozkoszna powtarzalność zjawisk! Opychamy się smakołykami i opowiadamy jak zwykle nasze wrażenia z podróży, a Tatko kopnąc „gauloisa” dodaje swoje komentarze, jak zawsze, jak za każdym razem. Przychodzą: brat, bratowa, przybiegają domowe panienki.

Mała uroczystość rodzinna. Aż kiedyś... Los będzie już miał dość. Tyle lat powtarzał te same sceny. Grom z jasnego nieba i... niemieckie bomby!

Lilka już nigdy nie przyjedzie, nie będzie już przywitań, twarzy mokrych od pocałunków, uścisków, dowcipnych powiedzeń Tatki, wzruszenia Mamy, suto zastawionego stołu... Koniec — szczęście umarło i zawieszono je na cmentarz.

Wszystkie postacie tej cudownej powtarzalności umierają jedna po drugiej...

Ale precz z tą melancholią, jesteśmy teraz w domu i rozpakowujemy prezenty dla rodziny. A nazajutrz rano galop do ogrodu. Trzeba przecież sprawdzić, czy krzaki bzu zaczynają się rozwijać, czy wyszły już żółte lilie w ciemne cienie koło posągu Matki Boskiej. Fiołki są? One to pierwsze zwąchały wiosnę, całe ich fioletowe rodziny wyzierają z trawy. Duży klomb pod lipą jest usiany gwiazdkami, te białe to stokrotki, a żółte, większe — kaczeńce.

Lilka jest zachwycona i twierdzi, że cała Riwiera ze swoją roślinnością południową to oleodruk i nieprawda. Prawda jest tu, w Krakowie, w tym naszym Zaczarowanym Ogronie. Wydaje się naprawdę szczęśliwa, że powróciła do tych znanych, swojskich czarów. Pochyla się nad grządką bratków, które ją zawsze fascynowały grymasami żółtych twarzyczek i aksamitem kolorowych płatków.

Napisała o nich dwa piękne wiersze, z których jeden wchodzi w skład zbioru Cisza leśna, drugi był

drukowany tylko w którymś i tygodników kobiecych. Oto on: Wściekłe bratki

Jeden z bratków gorący i amarantowy

patrzy mi prosto w oczy groźnie jak samuraj

Cała grządka spogląda ciężkim okiem sowy

fiołkowa, granatowa, czerwona, ponura.

Ten niebieski już wędnie, tamten, żółty tetryk złośliwie i ze wstrętem marszczy nos wklęsnięty A jakiś bratek—siostra w rzesach na dwa metry łązę rosy ściera z policzków odętych.

Największy brat jak pasza w turbanie z fioletu z goryczą w dół opuścił pociemniałe wargi

Wśród liści obróconych ku górze sztyletów

Skąd dumnie wilgoć rosy paruje jak nargil.

Bez strachu groźną grządkę przebrnął szary pająk Więc gniewają się i warczą kwiaty w złym humorze

— —O coś chciały zapytać. Oburzone wstają

A wiatr im aksamitne nakłada obroże.

I znów patrzą w zmartwieniu pustym i jednakiem począwszy od tetryka skończywszy na paszy

Bratki! Wyszłyście z ziemi skrzywione z niesmakiem Coś wam się nie podoba. Czy tam może straszy? —

OKNO NA OGRÓD

W latach naszego dzieciństwa sąsiad—powroźnik odnajmował na piętunku pokoik, którego jedyną atrakcją było okno wychodzące na nasz ogród. W wysokim murze obrośniętym dzikim winem było ono niby duże oko, które wciąż na nas spoglądało.

Mówiło się, że okno należy zlikwidować, że jest zrobione bezprawnie, ale w końcu przetrwało długie lata, nim wreszcie, już nie wiadomo z czyjzego nakazu, zostało zamurowane. W stancyjce mieszkała zawsze ta sama szwaczka, która od wczesnej wiosny siadywała w otwartym oknie i wchłaniała w biedne płuca tlen płynący z naszych drzew i zieleni. Na parapecie stały w doniczkach czerwone begonie, a nad nimi wisiała klatka z kanarkiem.

Do lokatorki powroźnika nigdy nikt nie przychodził, jej też nigdy nie widziałyśmy wychodzącej z domu. Pół dnia stukwała na maszynie do szycia, a resztę dnia spędzała wpatrzona W nasz Zaczarowany Ogród. A działały się w nim różne dziwne rzeczy. Choćby te historie z Bobciem.

Łatwo się domyśleć, że Bobcio to był pies, ale jaki! W społeczeństwie psów byłby obrany kacykiem za swoją niezwykłą mądrość i całkiem ludzki refleks. Oto co nasza szwaczusia ze swojego okna mogła zobaczyć: Jako małe dziewczynki hodowałyśmy kanarki i wiosną wносиłyśmy je w klatce na trawnik; wysuwało się dno i ptaszki spacerowały sobie po zielonej trawce. Kiedyś jednak, o zgrozo!

któraś z nas zapomniała, że dna nie ma i chcąc przenieść klatkę na inne miejsce, podniosła ją do góry. Jeden z kanarków wyfrunął i leciał nisko nad ziemią, nie przyzwyczajony do wysokich lotów. I cóż wówczas czyni Bobcio? Bez żadnej zachęty z naszej strony biegnie za ptaszkiem, chwyta go ostrożnie w pyszczek i wkłada z powrotem do klatki. Tylko u nas na Kossakówce i w tym zaczarowanym ogrodzie mogło się to zdarzyć. Gdyby krawcowa z okna żyła, mogłaby poświadczyć, że to nie żadna bajka, tylko najczystsza prawda.

Albo ta piękna historia z późnym powrotem Bobcia do domu. Przy płocie naszej posiadłości znajdował się dzwonek, zawieszony dość wysoko nad furtką; ciągnęło się za druciany pręt i wówczas dzwonek dzwonił. Kiedyś koło północy służąca Marysia usłyszała cichutki odgłos dzwonka. Ponieważ powtórzyło się to kilkakrotnie, zaciekawiona poszła zajrzeć przez szparę w płocie, kto o tak późnej godzinie ma śmiałość budzić mieszkańców Kossakówki. To, co ujrzała, przeszło wszelkie jej domysły: to Bobcio, podskakując w górę, łapą trącał dzwonek.

Bobs (jak go Ojciec nazywał) to nie był pies, to był kudłaty człowieczek–

niemowa. A jaki biedny był zawstydzony, gdy Tatko któregoś lata kazał go ostrzyc do gołej skóry, tak że z pięknego panicza — została jajecznicza (jak było w pewnym wierszyku dla dzieci). Ze wstydu schował się we wnęce pod schodami, nie było sposobu, by go stamtąd wyciągnąć, jedzenie wsuwało mu się do jego kryjówki.

Dopiero po miesiącu, gdy kudełki mu trochę odrosły, Bobcio ujawnił się uszczęśliwionym dziewczynkom. Może to właśnie od tego czasu datuje się wielka miłość do psów — i Lilki, i moja. W wiele lat później, gdy już mieszkała osobno w kawalerce przy alei Krasieńskiego, Lilka siedząc wieczorem na balkonie z pieskiem przytulonym do piersi komponuje wzruszający poemacik Głaszcząc psa: Miłości potrzeba pieskom, miłości jak człowiekowi...

Żywności czystej jak owoc, słodkiej jak głos słowika.

Pies pod dotknięciem rąk moich oczy w marzeniu zamyka.

Zmrok idzie, w niebie malwowym zielony błysnął nowik Miłości nie znają krowy, pszczoły, pająki, kwiaty.

Obca jest lwom i tygrysom. Nieznana jak pustce żądze [?]

Czy wiedział o niej mastodont lub machajrodus zębaty?

Wśród twardych ziemskich prawideł jak obca błądzi.

Dziś pod globusem księżycy, siedząc z psem głowa przy głowie kończę ten wiersz porzucony. Jest teraz pełnia i wszystko: wyraz psych oczu, mój strach, mój spleen mnie zapewnia że stamtąd, z

księżycyca — dawno przybyliśmy: pies i człowiek.

W tych zamierzchłych czasach istniał w naszym ogrodzie również kort tenisowy i krawcowa ze swej łoży mogła widzieć obie siostry, jak — w długich spódniczkach i bluzkach ze sztywnymi kołnierzykami — uganiały w asyście młodych ludzi. Były wówczas w modzie sterczące piersi, a że natura poskapiła ich kilkunastoletnim pensjonarkom, więc pod staniczek wkładały sobie chusteczki do nosa. Krawcowa mogła usłyszeć, jak przed nadejściem młodzieńców młodsza siostra prosiła starszą:

— Pożycz mi kilka chusteczek.

— Masz katar?

— Nie, ale nie mam biustu. Moje chusteczki są takie małe...

Piłki tenisowe odbite silnie przelatywały na aut, tuż koło okna krawcowej.

Cofała się wtedy do środka pokoju, nie chcąc być nimi ugodzona, ale nigdy nie wołała: „Uważajcie smarkacze! Jeszcze mi rozbijecie szybę!” Czuła swoją małość i nieważność, jak skromny kwiatek w doniczce stojący na jej oknie. Zimą nasza krawczusia, która razem z tym oknem miała w sobie coś z bajkowych postaci Andersena, miewała na szybach pełno białych, wymalowanych mrozem chryzantem. A gdy otworzyła okno na chwilę, widziała, jak młodzież lepi wielkiego bałwana ze śniegu (czego dzisiaj już prawie nie robi) lub jak ze śmiechem bombarduje się śnieżnymi kulami. Mogła też widzieć latem Lilkę siedzącą na ławeczce z zeszycikiem i... miską bobu, który jej świetnie działał na mózg (wiedziała oczywiście o dużej zawartości fosforu w bobie). Lilka od czasu do czasu wznosiła niebieskie oczy ku niebu, szukając w nim natchnienia, to znów spoglądała w dół —

na trawy, stokrotki, robaki, różnego rodzaju potwory w miniaturze, jak rogate żuki, bąki skrzydlate, węże doprowadzone do mini—stanu gąsienic, niewinne a zwinne jaszczurki — zdegenerowane dyluwialne jaszczury—olbrzymy, i inne cuda przyrody.

Już jako dorosła osoba, siedząc na swojej ławeczce lub kołysząc się na hamaku zawieszonym na dwóch brzożach, napisała piękny poemat pt. Etiudy wiosenne, który warto zacytować w całości: (jedną zwrotkę umieściłam już poprzednio) 21 marzec

Drzewa w lesie rękami złączyły się w koło:

Nocą w księżycu

Seans odprawiają potężny:

Zjawę wiosny—nieboraczki, mglistą, niewesołą

wywołują nad gęstwą malin i ostrężyn.

i kwiecień

Czy się już opalił?

30 kwiecień

Zwłoki żaby leżały na ścieżce spłaszczone,
deszcz zrywał się nad nimi,
mróz się ich uzalił...

Dziś gdy wiosna kwiecistą włożyła koronę

znikły zwłoki — — — —

a żaby kumkają w oddali.

1 maj

Ścieżki objęły trawnik szeregami ramion,

aż z rąk im lecały fiołki,

wiosen ametysty.

Zakochani przechodzą, bez przedwczesnie łamiąc, i recytują lekcję

Słówek wiekuistych.

25 maj

Na ławce oplecionej powojem, o zmierzchu,

siedzi dwoje nad wodą

jak nad miską Lilij.

A bez kłębi się wkoło, spłowiały już z wierzchu, deszczem krzyżyków radząc,

by chwil nie trwonili.

1 czerwca

Czarny bez zakwefiony poźółkłą chantilly,

diabła mając w swym rdzeniu,

słodkie knuje dreszcze...

Na jesieni koronki odwinąwszy z szyi

odsłoni węgle jagód — — —

(jak oczy złowieszcze)

25 czerwca

Słowik podleciał w górę, na lipie zaśpiewał

zdział motyla z powietrza

zniknął ze zdobyczą...

Drzewo szumi, w powietrzu poszukuje zbiega

i zapachem powtarza

melodię słowiczą.

Owe Etiudy wiosenne można porównać tylko z etiudami i preludiami Chopina. Piękno ich jest wzruszające, fascynujące i bezosobowe. Nie ma w nich, jak zwykle w jej wierszach, przeżyć poetki, nie ma jej samej, jest tylko podpatrzenie Przyrody z jej wiosennym trudem i pieczołowitą pracą. Ale chyba nie ma w całej poezji wielu wierszy, które by z taką miłością i zrozumieniem opisały narodziny wiosny oglądane przez jakiś poetycki mikroskop. W tym poemacie zachwyca nas również melodyjność owych strofek, owa niezrównana łatwość tworzenia asonansów, specjalność Pawlikowskiej. Etiudy wiosenne to jednocześnie obraz i melodia. Któż to dzisiaj potrafi! Niemodne? Być może. Wyszły z mody i rymy, i asonanse, jak również drobna choćby troska o odbiorcę.

Poeci dzisiejsi nie dbają o niego, nie chcą mu nic powiedzieć, przekazać. Tworzą wyłącznie dla siebie. Bo i co komu da, na przykład, wiersz drukowany w jednym z tygodników literackich, zaczynający się od słów: „Nos idzie w dal — aż nim rzęsy gwiazd...” — Autorka owego wiersza była jednak na tyle uczciwa i prawdomówna, że owej „poezji” dała tytuł Nic...

LELUM–POLELUM I KWIATKI Z WATERLOO

Wiersze moje jak kwiaty krótki zapach ślą,

jak kwiaty tracą płatki.

Na wielkich, samotnych polach Waterloo

zerwane kwiatki...

Pawlikowscy przeprowadzili rozwód i Jaś ożenił się z panną Wally. Z tej epoki pochodzą najpiękniejsze utwory poetki, wydane w zbiorze Pocałunki, czterowiersze, których dzisiejsza młodzież uczy się na pamięć.

W pierwszej wersji miały się one nazywać Kwiatki z Waterloo, czyli z pola klęski, ona jednak przeczuwa, że przyjdą jeszcze dni zwycięstwa, i w tych jej

„kwiatkach” nie ma cech dramatycznych, a jedynie przyćmiona radość życia, zaprawiona melancholią wspomnień, jak w czterowierszu Anioł i Jakub: Jak Jakub z Aniołem, tak ja z tym wspomnieniem mocuję się, lecz nadaremnie,

bo ono silniejsze ode mnie

i słodkie nieskończenie...

Nie martwmy się jednak o nią — jeszcze nie raz pójdzie do „Ogrodu Miłości” z jakimś nowym rycerzem i zapomni o tym swoim Waterloo.

Ale kochający Tato, który w tym czasie przebywa w Paryżu, gdzie maluje portret marszałka Focha, martwi się o nią. Pisze w liście do ukochanej małżonki: Żeby tylko Lilek prędko przyszedł do siebie, to bym ją tutaj zaprosił. Lilce rozrywka koniecznie potrzebna do życia, bo jej biedaczce nie bardzo udało się.

Maluję teraz portret marszałka Focha wielkości naturalnej. Miałem Radziwiłłów malować za darmo, ale ja teraz jak głaz, tylko za grube pieniądze. Dosyć mnie już Balice naciągały, ani mi się śni niżej 20 tysięcy. Ściskam Cię z całej siły i wszystko, co tam masz pod ręką.

Wojciech ukończył pyszny portret Focha. Odnosi olbrzymi sukces — któryś z francuskich mężów stanu wyraził się, że trzeba było dopiero polskiego malarza, aby tak uchwycić podobieństwo i charakter marszałka. Otrzymuje rzadkie dla cudzoziemca odznaczenie: Legię Honorową! Pełen chwały i forsy wraca do Polski. Z

Krakowa, gdzie nie znajduje odpowiedniej dla siebie atmosfery, wraca po kilku dniach do Warszawy. W liście do Maniusi wspomina o Lilce, która też chętnie ucieka do stolicy:

Lilek myśli tylko o etoli dla Madzi i naturalnie, że dopiął swego. 180 dol.

muszę dziś wywalić, częścią gotówką, częścią obrazkiem.

W innym liście znów o niej wspomina:

Byłem teraz u Lilki, pluskwy ją gryzły, mówi, że to wszy! Czy to możliwe?

Na dole owego listu jest dopisek samej poetki: Całuję z całego serca i ślę cukierki. Wracam niedługo a może jeszcze prędzej bo pluskwy. Dowidzenia się — Liliana.

Dzisiejsi mieszkańcy Warszawy nie wyobrażają sobie, jaka wówczas była plaga pluskiew w stolicy, a już reprezentacyjny hotel Bristol był wręcz siedliskiem tych mini-krwiożerców. Musiały dokuczać również i Hłakowiczównie, skoro popełniła wierszyk pod tytułem Reginka i pluskwa: Reginka stojąc przed lustrem,

dojrzała na ramie pluskwę,

tak bardzo się przelękała,

że omdlała na podłodze uklękała,

a tymczasem w szparę za lustrem

skryła się i znikła pluskwa.

Mimo pluskiew Lilka czuje się w Warszawie lepiej niż w Krakowie. Otoczona jest przyjaciółmi, którzy ją rozumieją i doceniają. W Bristolu, gdzie zwykle mieszka, odwiedzają ją znakomici koledzy: Tuwim, Słonimski, Iwaskiewicz, Wierzyński, jak również Kazimiera Iłakowicz, której poświęcimy trochę tekstu.

Jeśli przyjmiemy, że ludzie obdarzeni wybitnym talentem nie są całkowicie normalni, to tak zwana „Iłła” byłaby poparciem owej tezy. Ileż na przykład pozornej oschłości i obojętności było w tej szlachetnej i dobrej z gruntu kobiecie. Bardzo skomplikowana, czyniła wszystko, aby się wydać istotą mało sympatyczną, a nieraz wręcz odpychającą. Może to była u niej poza, a może kamuflaż, aby ukryć przed ludźmi swoją prawdziwą naturę i wydawać się osobą nieprzystępną, a nawet arogancką.

My jednak z Lilką wiedziałyśmy dobrze, jaka ona jest naprawdę, i bawiły nas jej dziwactwa i snobizmy. Miała na przykład istny kult dla rodziny Platerów, u których się wychowywała, wyrażała się o nich z pietyzmem. Z podobnym zresztą pietyzmem i pobożną adoracją odnosiła się również do marszałka Piłsudskiego, u którego przez dłuższy czas pracowała jako sekretarka. Sama szalenie skromna, gdy chodziło o jej własny talent, chętnie oświetlała się cudzym blaskiem, czyniąc się wówczas świadomie „ścieżką obok drogi” (tytuł jej wspomnień o Marszałku) albo świeczką przy... rzęsiście jaśniejącym zyrandolu. Gdy w późniejszych latach, pracując w ministerstwie spraw zagranicznych, otrzymała tytuł radcy, była z tego bardziej dumna niż ze swoich wierszy.

„Nie nazywajcie mnie poetką — mówiła — mam tytuł radcy ministerstwa”. — Nie było to mówione półserio i z uśmiechem, ale całkiem poważnie. Napisała kiedyś krótki wiersz noszący tytuł Nie lubię poezji... A może naprawdę nie lubiła poezji, tylko musiała tworzyć...? Po prostu musiała, tak jak ptak, który musi śpiewać, choć skąd my wiemy, czy go to naprawdę cieszy i bawi. Może obok wrażliwej na uroki Przyrody, na dzieci, na ludzi, na miasta, w których przebywała, na morskie widoki Iłły — która wypowiadała się w rymach — była w niej również ta druga^

sucha, twarda, jak gdyby stale opancerzona, która pomijała poezją i pragnęła w społeczeństwie wyrobić sobie markę solidnego i poważnego pracownika umysłowego.

Jej kobiecość też była dziwna i jak gdyby zakonspirowana. Z moich spostrzeżeń wiem tylko, że „pani radca”, jak by to się dzisiaj mówiło, chciała być na wskroś kobieca, ale jej to jakoś nie wychodziło. Pamiętam moje zdziwienie, że Iłła wróciwszy ze swojej pierwszej podróży do Włoch nie przywiozła stamtąd żadnych wrażeń, nic, poza... czerwonym kapeluszem. Chęć posiadania takiego kapelusza prześladowała ją, odkąd stanęła na włoskiej ziemi. Kupiła go sobie i wróciwszy do kraju opowiadała tylko o tym spełnionym marzeniu.

Wśród jej poezji jest wzruszający wiersz opisujący te tak bardzo kobiece sny...

sny o fatalaszkach. Czyżby pisząc ów dziwny wiersz poetka przeżywała jakieś chude lata, kiedy naprawdę nie miała się w co ubrać? My obie, pieszczoszki losu, zawsze oparte o wypchany portfel kochającego Ojca, nie wyobrażałyśmy sobie, że ktoś ze znanych pisarzy czy poetów mógł być bez grosza. A jednak musiało tak być, i dziwne pożądanie owego czerwonego kapelusza wypływało zapewne u Iłły z jakiegoś radosnego poczucia możliwości zadośćuczynienia za tamte czasy... Oto kilka zwrotek z wiersza Wszystko, co będę miała:

Będę miała gronostaje i lisy,

kapelusze duże i obłoczne.

Tylko jeszcze podumam, poczekam,

tylko jeszcze na chwilę odpocznę.

Będę miała walansjeny, koronki,

przezroczyście batysty i tiule,

tylko jeszcze raz cichutko przeliczę —

te podarte cztery biedne koszule;

te, przez które, jak przez siatkę przejrzystą, przebłyskuje z każdym ruchem skóra,

że ja nawet sama nigdy nie wiem.

gdzie się kończy koronka, gdzie dziura...

Iłłakowiczówna pokochała Lilkę jakimś siostrzanym uczuciem, co było takie ładne i niezwykle, gdy się weźmie pod uwagę, że wybitny i niezwykle talent Lilki mógł

być dużą konkurencją dla Iłłakowiczówny, tak jak stał się konkurencją dla społecznej i narodowej poetessy Bronisławy Ostrowskiej, słowiańskiej i leśnej pieśniarki Maryli Wolskiej czy Kazimiery Zawistowskiej.

Iłła wytrzymała jednak tę konkurencję i jej wiersze, tak różne od wierszy Pawlikowskiej, nie przestały zajmować wybitnego miejsca w kobiecej poezji dwudziestolecia. Odrębność Lilki jako poetki polegała na zupełnie innym warsztacie i na całkiem nowych poetyckich obrazach i skojarzeniach. U Lilki nie ma żadnych Lelum–Polelum, żadnych bożków słowiańskich ani też przydrożnych Chrystusików. Jej wiersze daleko odbiegają od tego, co zwykliśmy nazywać poezją kobiecą — a co ktoś nazwał tak słusznie „poezją dworkową” — mimo że są tak liryczne i miłosne. Lilka w swoich wierszach obserwuje, zastanawia się, konstatuje, wyciąga filozoficzne wnioski, ale się po babsku nie rozczula, nie roztkliwia nad trawką, listkiem, ptaszkiem, maliną i ostrężyną, różą i kaczeńcem w wilgotnym rowie. Nic z tego, co nawet tak utalentowana poetka jak Bronisława

Ostrowska wypisuje w dziecinnym zachwycie. Oto przykład: Wiatrowi brzoza szumi

Wiatrowi brzoza

–lelu–polelu

szumi

że ma gałęzi las!

Miłego dziewczka kusi

Miłego dziewczka

–lelu–polelu

kusi,

że ma warkocze w pas!

itd., itp.

Albo jej Ośmiornica z cyklu Chusty ofiarne:

Cóż mi trupy z zielonymi ciała

Mież tęczowe mego dnia ukwiały,

Gdy precz od mię, w wolny pierzcha szlak

Twego żagla niepoimny ptak!

A morze–hen–zawodzi.

W wierszach Ostrowskiej widać wyraźny wpływ Wieszczów, którzy, gdy wpadli w twórczy trans, bełkotali niezrozumiale. W tym miejscu oddam głos Norwidowi (z jego listu do Ignacego Kraszewskiego, r. 1859):

...wprawdzie (nie wyjmując Malczewskiego nawet) w każdym z poetów, w Adamie np.

Improwizacja, w innych inne karty, zupełnie są nie zrozumiane, ale publiczność czyta lat kilkadziesiąt i nie czuje nawet potrzeby komentarza — tak jest dziesiąta część Mickiewicza rzeczy — piąta Słowackiego — trzecia Zygmunta. Ale to nic nikogo nie obchodzi — Dant miałby już sto komentatorów i stał się światłym, i stał się strawionym — a to wszystko tak — sobie — jakoś! Aż —

zleniwiały taki umysł, co nigdy nie zapocił się wespół z autorem, wyciągnie się na sofie i będzie wołać, jak pod koniec rzymskiego państwa wołała szlachta na fletnistów i klientów: „X jest tęgi pisarz! — lubię go — tamten mi jakoś nie tłumaczy się jasno — u mnie, mój pisarz, to jak mi się

podoba...” Potem nastąpiła moda na poezje ludowo–słowiańsko–siermiężne. Zaczął się kochany i ceniony polski lud, a Maria Konopnicka, zapoznana doskonała prozaiczka, ale słaba przecież poetka, stała się wieszczką narodową. Wieśniaków żyjących wówczas w bardzo prymitywnych warunkach żywo zachęcała do pracy.

Oto jak ich nawołuje:

A dalej tam z ula,

Na pracę, na ruch!

A dalej tam z ula,

Na pole, na znój!

Piastowe my pszczoły

Piastowy my rój! —

„Niestety — pisze ówczesny krytyk p. Gostomski w miesięczniku «Książka» z r.

1905 — te poezje tak mały w naszym społeczeństwie odnoszą skutek!” Łagodny krytyk nie kwestionuje nielogiczności zawartej w owym prymitywnym wierszyku, ponieważ ul to nie siedlisko trutni, ale i pracowitych pszczół, które w swojej wytwórni miodu potrzebnego dla królowej i jej potomstwa mają przecież moc roboty.

Dzielna bojowniczką i propagatorką pracy wychodzi cało z ula i skarży się w ten sposób:

Pusta martwa nasza niwa,

Ugorowy szlak...

Wicher tylko nad nią lata,

Lata tuman — ptak...

A po szlaku ugorowym

Chodzi smętny Duch —

Gdzie są, gdzie są pracownicy

Gdzie jest życia ruch?

Nie bardzo rozumiemy, o co wieszczce ludowej chodziło? Czy żeby więcej pracowali na własnym polu — bo przecież pieśniarka i przyjaciółka ludu nie myślała chyba o wydajniejszej pracy na pańskim gruncie — i co robili „pracownicy”, podczas gdy Duch spacerował po ugorze, czy broń

Boże odpoczywali po całodziennym znoju?

Gostomski pisze dalej, że „Konopnicka mimo chwilowych zwątpień pełna jest wiary w przyszłość naszego społeczeństwa, bo wierzy niezłomie w «Piastowy rój», w chatę kmieć, która za dni naszych, jak za dni Piasta, główną jest podstawą pracy narodowej i narodowego bytu”.

A trzeba wiedzieć, że istniała wówczas literatura „dla ludu”. We wspomnianym wydawnictwie „Książka” są wymienione specjalne pozycje książkowe „dla ludu”, jak np.: O. Rafał, kapucyn: Kochajmy Maryję — Kwiateczki ku czci Maryi, albo Głogierówna Janina: Z sierocej doli. O tej pozycji książkowej pisze ówczesny krytyk: „O naszych książeczkach dla ludu, nawet z dziedziny beletrystyki, można powiedzieć, że są zwykle robione, nie zaś pisane. Wbrew temu czuje się, że autorka Z sierocej doli nie miała z góry powziętego zamiaru zrobienia książeczki

«dla ludu», co już bardzo dodatnio o niej świadczy. Może nawet ktoś zarzucić, że jedno z opowiadań z napisem Z życia nie jest pedagogiczne...” etc., etc. Książki dla ludu były jednocześnie jak najbardziej dozwolone dla młodzieży, np.

Pielgrzym z Dobromila, powieści Buyno–Arctowej itp. Słowem, lektura dla maluczkich — bogobojna, zachęcająca do pracy i — posłuszeństwa.

„Piastowy rój” długo jeszcze po Konopnickiej przewijał się przez polską poezję, miał pokutować w poezjach Emila Zegadłowicza (Dziewanny), Maryli Wolskiej, Bronisławy Ostrowskiej, Jadwigi Brzostowskiej i innych. Nawet tak wybitny poeta jak Leśmian też od owej miodnej Słowiańszczyzny nie jest wyzwolony całkowicie.

Iłakowiczówna również, chociaż jej ukochanym motywem jest jakaś przydrożna pobożność świątkowo–betlejemska. Tym bardziej więc nas zadziwia wiersz ze zbioru Słowik litewski dedykowany Lilce Kossak, pt. Moja spóźniona recenzja.

Zadziwia, gdyż ta poważna, a świadomie dziecinnie i naiwnie czasem przyrodą roztkliwiona poetka ukazuje nie tylko uroczą ujętą sylwetkę Pawlikowskiej, ale i swoją nową, dotychczas nie spotykaną twarz, twarz kobiety młodej, współczesnej, brzydzącej się zakłamaniami i fałszywą bigoterią. Oto kilka strofek z owego wiersza, napisanego po jednej z premier Lilki, która jak wszystkie jej utwory sceniczne musiała mocno zaszokować bogobojnych i zacofanych mieszczuchów: Jesteś jak śliczna suknia, suknia koronkowa

ubrana niby w kwiaty w najpiękniejsze słowa.

Wiejesz przez teatr, jak suknia przewiewa przez pokój, żywym wdziękiem, gubiąca krój w fałdach uroku, unosisz się, przeświecasz w biegu, migasz oczom, co taką cię widziały, wnet inną cię zoczą.

Patrzy na cię gapiostwo, by zgorszenie chłonać i — zawód łyka, zaskoczone twą zakonną powagą, surowością co występki chłoszcze.

Łypie okiem świętoszek, bo nie może dostrzec

nie prócz „zwycięstwa chuci” (jak to on potrafi!), więc poci się i szepce coś o pornografii.

Dzwonisz mi w uszach tęczą, w oczach stajesz pieśnią...

O myśl! O tańcz!... O skrzyj się... Ucieleśniaj,

co chcesz... Baw się, skoro zabawa twoja się skamienia w Piękno. Nie cofaj się, nie lękaj, nie zmieniaj, nie przymierzaj do miar, zalecanych nie stosuj kosmetyk!

Mów raczej, co widzisz stamtąd, co ci jeszcze będzie pokazane — objaw,

bo jesteś nieskazitelną melodią

takich jak ty, takich co są u Mety.

Iła nie pozbawiona była swoistego poczucia humoru. Gdy po wojnie spotkał ją w Warszawie Tadeusz Breza i zawołał na przywitanie: „Kaziu, jak Ty się nic nie zmieniłaś!” — odparła: „To ja zawsze byłam taka stara?” Nie dziwi nas też, że Tuwim, wielki przyjaciel Lilki i entuzjasta jej wierszy, napisał pyszny wiersz: Do Marii Pawlikowskiej. Tuwim był przystojnym, ognistym młodym mężczyzną, Lilka śliczną młodą panią. Chłopiec i dziewczyna, jak by to się dzisiaj mówiło. Widzą świat podobnie i może byliby nawet zazdrośni o to, które z nich ma większy talent, gdyby nie ta, jak ładnie mówią Francuzi, „la petite difference”. Ale między dwiema kobietami twórczymi sprawa ma się inaczej i podziw szczerzy ze strony jednej z nich — to sprawa rzadka i godna zanotowania.

Ciekawe, że choć zupełnie inaczej, wiersz Tuwima wyraża to samo, co pisze o Pawlikowskiej Hłakowiczówna, tylko że ona widzi w niej piękną, strojną kobietę, odważnie stawiającą czoło zacofanemu mieszczaństwu, a Tuwim czarownicę, uwodzicielkę, która gorszy i oburza bogobojny ludek. Oto kilka zwrotek z tego czarującego wiersza:

O, staroświecka młoda pani z Krakowa!

Strzeż się! Biskup pieni się i krzyczy: horrendum!

Na łąkę wychodzisz nocą po kwitnące słowa,

Tajne czynisz praktyki, aby pachniały ambrawą i lawendą.

W fiołkowych olejkach i w różanych

Warzysz słowa–hiacynty i słowa–akacje,

W jakim to grimoirze, w jakich księgach zakazanych Wyczytałaś owe inkantacje?

Co tak szepczesz słodko w wierszach kolorowych.

Że się lud bogobojny wzdryga?

Ach, na stos cię weźmie mistrz ogniowy,

Quia es venefica et striga!

Zresztą w wierszu Rodzina czarownicy Lilka przyznaje się do jakiegoś pokrewieństwa i przynależności do świata czarownic.

Oboje — i ona, i Tuwim — oczywiście poetycko żartują, ale „w każdym żarcie jest jakieś żarcie” — jak mawiał pewien dowcipniś.

Oto i ów tajemniczym dreszczem przejmujący wiersz: Przrzekam wam miłość dozgonną,

siwe dzwonki szaleju, błędna belladonna,

sowo, nowiu, ropucho, puchaczu i hieno,

tytoniu bladolicy

i bzów czarnych posepna zżółkła walansjeno.

Ja, wiedźma bez ożoga,

z sercem opalonym

Tęskniąca za dalekim, ubogim demonem,

wpatrzona w świat jak w szklaną czarodziejską kulę, Kocham cię i do serca tulę,

rodzino czarownicy,

podejrzana, kochana...

Lilka nie napisała wiersza do Iłłakowiczówny, za to — do Tuwima i do Lechonia.

Uroczy wiersz do Lechonia nie wszedł dotychczas w skład żadnego z jej tomów i warto go zacytować:

Lechoń

To przyzna każdy znawca,

Że gdyby Leszka ubrać u angielskiego krawca

Na przykład u Prick'sa lub Poola,

To by się rozległ wielki krzyk podziwu

I nie byłoby w świecie salonu assez chic

Dla tego Incroyabla, Muscadina, petit maitre'a Którym byłby Jan Lechoń w jedwabnych koszulach, Cylindrach, smokingach, i zamszowych getrach.

Aż Wilde by z grobu wyskoczył,

By z nim pomówić prędko w cztery oczy,

I Georges Brummel, choć na nim porosła już trawa, Rozwiązałyby i związał swój halsztuk na nowo,

Byron zaś spojrzełby mu na duszę i krawat

I krzyknął: „Ostatnie słowo!”

Ten wiersz zrobił takie wrażenie na Lechoni, że zmienił kompletnie swój wygląd, dotychczas niechlujny i zaniedbany, i przeistoczył się w wytwornego dżentelmena w porządnie zawiązanym krawacie, getrach, a wieczorem nawet w cylindrze. „Poezja nie poszła w las”.

Listy, które wówczas pisywali do siebie skamandryci, pełne były niekłamanej serdeczności i prawdziwej przyjaźni. Niżej cytuję pełen humoru, choć zaprawiony goryczą, list Tuwima do Lilki, pisany po napaści poety Gałuszki na Tuwima w którejś z krakowskich gazet; Gałuszka wytykał mu żydowskie pochodzenie i pomawiał o pisanie w żargonie.

Wspominałam o entuzjastycznej ocenie przez kolegów wierszy Pawlikowskiej, ale to działo się w Warszawie i na najwyższym pięttrze — małe talenciki, podobnie jak teraz, zazdrościły wybitnym talentom. Krakowska grupa pisarzy — Rostworowski, Gałuszka, Polewka — atakowała nie tylko Tuwima. Nie podobała im się też Lilka Pawlikowska, szczególnie gdy chodziło o jej wciąż na krakowskiej scenie pojawiające się sztuki, poruszające problemy wolnej miłości i świadomego macierzyństwa.

Antysemityzm, tak bardzo nie leżący w naturze Polaków, którzy od wieków żyli z Żydami w zgodzie i symbiozie, przesiąkał z hitlerowskich Niemiec. Zaznaczył się on również i w twórczości niektórych katolickich pisarzy. Julek Tuwim, czując się Polakiem i pisząc piękną polszczyzną, w zakamarkach swej poetyckiej duszy bolał nad swoim pochodzeniem, a jego wiersz Garbus, zaczynający się od słów:

„Piękne krawaty, Lecz cóż mi po nich, kiedy jestem garbaty?” — odczuliśmy wszyscy jako wyrzut skierowany do losu. Pamiętam, jak na jakiejś „papojce” wykrzykiwał: „Ja nie jestem Żydem. Ja jestem Hiszpanem!” Lilka głęboko odczuła napaść Gałuszki na jej wielkiego przyjaciela i napisała do Tuwima list, w którym potępia tego rodzaju praktyki. Tuwim odpowiada jej niniejszym listem:

Najmilsza Siostrzyco*

Polewka z gałuszkami — to nie żadna grupa

Polewka z gałuszkami — to najwyżej zupa.

Polewkę z gałuszkami wylejmy do kupy,

Polewka i Gałuszka to przecież dwie ...

Wzruszyłaś mnie, urocza Lilko, swoim listem. Te piskliwe insekty nie tylko nie mają za grosz talentu (dlatego takie złe, zawistne i rozjuszone), ale kłamią, zmyślają, łżą. Historia z moimi rzekomo żydowskimi artykułami jest najbezczelniej wymyślona. Drukowałem w łódzkich polskich pismach polskie artykuły. Gazeta żydowska przetłumaczyła to na żargon — to wszystko. O ile mi wiadomo, Sienkiewicz, Prus, Reymont i inni też są tłumaczeni na żydowski. Ale czy to znaczy, że po żydowsku pisali?

I taki gudlaj z Krakowa śmie odmawiać mi imienia polskiego poety!

W najbliższym numerze „Wiadomości Literackich” przeczytasz mój artykułik „O Gałuszkach”.

Nie przejmuj się pilocino kochana, że Cię Rusinki, Polewki, , Gałuszki, z wielkim cadykiem Rostworem na czele, ignorują. Sądzę, że takie osamotnienie powinno Cię raczej radować. Pomyśl, jakie by to było straszne, gdybyś z Kudlinkami, Rusinkami i Gałuchami razem przy jednym stole siedziała! Madzie i męża Twego najserdeczniej pozdrawiam. Ciebie — w czoło całuję, poetesso kochana.

Jutro jadę na dwa tygodnie za granicę (Wiedeń, potem Włochy albo Francja).

Twój całym sercem

Syn Ghetta.

Warto też zacytować list Lechonia do Pawlikowskiej, pisany w sprawie wydawnictwa

„Pamiętnik Warszawski”:

Piękna i droga Lilko!

Przepraszam, że Ci tak długo nie odpisywałem — ale miałem moc latania i zawracania głowy — nie tylko przy 300 stronicowym blisko tomie „Pamiętnika Warszawskiego”, ale i przy organizacji redakcji, przy odnawianiu lokalu itd.

Piszę, aby Cię uspokoić, że Stückpold załatwiony — na dowód czego posyłam Ci kwit — „Pamiętnik” wyślę zaraz jak tylko będzie — co się pewno stanie koło przyszłego wtorku — jest to olbrzymia kolubryna — i roboty z nią co niemiara.

Sam mówię, że daleko temu pierwszemu zeszytowi do tej żywości, która w nim być powinna. Ale — zanim ludzie dowiedzą się, że jest takie pismo, że będzie wychodzić i płacić regularnie — musieliśmy ponieść ciężar różnych czcigodnych nazwisk, które dały tylko na/wiska i kilkanaście stron papieru. Za to wiersze są piękne, dział będący [?] moim skromnym zdaniem b. dobry i w sumie

wrażenie, że z tego może być świetna rzecz. O przyjaźń dla pisma proszę Cię najmocniej i już teraz o jakieś wiersze — te które uznasz za najlepsze.

Imieniem Berenta bardzo też proszę Cię — może napiszesz recenzję, studium, esej na temat książki Tuwima Rzecz czarnoleska. Nie chcielibyśmy oddawać jej ludziom dalekim od poezji i myślimy, że Ty najpiękniej i najlepiej napisałabyś, co jest w niej istotne.

Bardzo Cię proszę o łaskawą sędzą odpowiedź — a za nią o tę recenzję i o wiersze. Bądź tak dobra i daj mi znać, jak tylko będziesz w Warszawie, nie ukrywaj się tak jak zawsze. Jeszcze raz za cudnego Carusa dziękuję i całuję Twoje ręce. Wiernie oddany Twój wielbiciel Lilko i poetko Leszek

W dzisiejszych czasach rzadko można spotkać taką koleżeńską przyjaźń i podziw dla wierszy drugiego poety, jak to przebija z listu Lechonia.

Dzisiaj recenzję z nowego zbioru Tuwima kolegium redakcyjne załatwiłoby we własnym zakresie, albo zamówiłoby u... Gogolewskiego lub Bohdana Tomaszewskiego, jako że literatów najmniej się zatrudnia, gdy chodzi o recenzje lub inne artykuły, a zamawia się je u plastyków, aktorów, lekarzy etc., wychodząc ,z zasady, że każdy, kto ma głowę na karku i włada prawą ręką, może być pisarzem.

Dawniej, aby być drukowanym, trzeba było mieć talent, dzisiaj — znajomości i kontakty, stąd nuda i woda płyną z artykułów drukowanych w pismach codziennych, a także w literackich. Czytelnik szuka nazwisk pisarzy, których jest jeszcze u nas sporo, i nie znajduje ich. A dawniej! Wystarczyło rozłożyć przed sobą jakikolwiek tygodnik, a znajdowało się w nim Boya, Irzykowskiego, Breitera, poezje Leśmiana, Staffa, Morstina i wielu innych znanych pisarzy i poetów.

W tym miejscu można by zacytować słowa Baudelaire'a, że „cechą głupców jest niezdolność do podziwu i brak szacunku dla zasługi”.

Najtrudniej było się dostać na łamy „Wiadomości Literackich”, które endecy nazywali: „Jadą Moški literackie”. „Wiadomości”, znakomicie redagowane przez Mieczysława Grydzewskiego, o którym dowcipnie powiedział Słonimski, że „kto z Mieciem wojuje, ten od Mięcia ginie” — były pismem na wskroś elitarnym i drukowały tylko tych, którzy wykazywali wyraźne zdolności. Mówiono o

„Wiadomościach”, że drukują tylko „swoich”, to znaczy skamandrytów, co nie było prawdą, ponieważ w przedwojennych numerach tego tygodnika możemy znaleźć wiersze młodego Władka Broniewskiego, Anatola Sterna, artykuły Tonia Sobańskiego, bardzo zdolnego młodzieńca z arystokratycznej rodziny, poematy Ludwika Morstina, wiersze Janusza Minkiewicza i Konstantego I. Gałczyńskiego, słowem — wszystkich, którzy mieli talent, bez względu na ich przynależność rasową czy klasową.

Kumoterstwo, które u nas po wojnie zastąpiło inne ludzkie uczucia, słabo było wówczas rozwinięte. A przede wszystkim literatura miała służyć kulturze, a nie żadnym innym celom. Nie istniała, jak teraz, akcja popierania młodych, w ogóle nie robiono różnicy między młodymi i starymi: przyjmowano ciepło i serdecznie Tadeusza Brezę, ale nie tępiiono starego Sieroszewskiego w olbrzymim czako na głowie i w szarym legionowym mundurze, co najwyżej pokazano go w szopce pióra Hemara i Słonimskiego, co było dla niego tylko dowodem popularności.

Powstała wówczas Akademia Literatury, do której nie wszedł jednak żaden z początkujących, aczkolwiek utalentowanych młodych pisarzy, ale takie wypróbowane pióra, jak: Berent, Sieroszewski, Juliusz Kaden, Reymont, Żeromski, Parandowski, Zofia Nałkowska itd. Dzisiaj byłby wielki kłopot z wyborem członków tego rodzaju Akademii, gdyż starzy pisarze—pomału kończą się — a młodych geniuszy nie widać...

Mielibyśmy więc takich akademików, jak Grochowiak, Bryll, Iredyński, Toeplitz, Kogut, może... Gruza? Co, nie odmawiając im talentu, nie brzmiałoby jednak dość poważnie i przekonująco. Na szczęście nie zanoszą się na utworzenie Akademii Literatury i nie mamy powodu się obawiać, że złote i srebrne wawrzyny, czyli jak się wówczas mówiło ironicznie „bobki”, będą przyznawane nie według zasług, ale według kumoterstwa i popij bractwa.

Przez kilka lat po wojnie o mojej siostrze albo nie wspomniano wcale, albo tylko ujemnie. Była persona non grata. Zmarła biedna na obczyźnie, mimo iż tak pragnęła wrócić do kraju. Faktu, że z powodu swych wierszy antyhitlerowskich i granej przed samą wojną sztuki Baba-Dziwo, która była ostrą satyrą na führera, nie mogła w Polsce pozostać — nie brano wcale pod uwagę. Dopiero Jerzy Putrament, na jednym z zebrań sekcji poezji w Związku Literatów, upomniał się o jej twórczość. Było to wówczas, kiedy miała się ukazać antologia poezji dwudziestolecia.

Swoim zwyczajem uderzył pięścią w pulpit i zagrział:

— Ja nie uznaję antologii poezji polskiej bez Jasnorzewskiej i Lechonia!

Redaktor antologii Seweryn Pollak zbladł. Putrament miał dużo do powiedzenia i z jego zdaniem liczyły się wydawnictwa.

O ile mnie pamięć nie myli, taka antologia nie ukazała się, za to w jakiś czas później pojawił się pierwszy, nikły wybór wierszy Pawlikowskiej–Jasnorzewskiej ze wstępem Mauersbergera. Lody śmierci zostały przełamane i Lilka pomału, tomik za tomikiem, zaczyna odżywać po tak długim letargu.

W roku 1956, to znaczy już podczas „odwilży”, zaczynają się pojawiać pochlebne artykuły o jej twórczości. W „Przeglądzie Kulturalnym” ukazuje się artykuł

Przybosią, który na pewno przyczynił się do zbiorowego wydania jej wierszy przedwojennych i emigracyjnych:

Jak mało zrobiono po wojnie [pisze Przyboś] dla poznania jej dzieła! Przed paru laty ukazał się na lichym papierze dość przypadkowy wybór jej wierszy, a była to wtedy bodajże niezwykle śmiała inicjatywa wydawnicza „Czytelnika”. Wtedy bowiem obowiązywało jeszcze oficjalne „ideolo” historyczno–literackie, potępiające Pawlikowską — nie wiem już za co — za drobnomieszczaństwo albo za elitaryzm, za kosmopolityzm albo apolityczność — wszystko jedno zresztą za jakie ideologów głupstewko i grzech przeciw duchowi poezji. Pora na zbiorowe wydanie Pawlikowskiej, uwzględniające nieznaną w kraju jej dorobek wojenny. Wydawnictwo, które się tego podejmie, nie tylko spełni pilny obowiązek wobec polskiej kultury poetyckiej, ale na zbiorowym wydaniu zarobi...

Apel znanego poety i świetnego eseisty odniósł skutek i w jakiś czas później

„Czytelnik” wydał dwa grube tomy jej poezji, które tak się szybko rozeszły, że natychmiast zrobiono drugi nakład.

Chwaląc jej przedwojenną poezję, Przyboś–mózgowiec krytykuje jej twórczość wojenną:

... Katastrofa wojny uderzyła tak straszliwie we wszystko, co było drogie poetce, że nie starczyło jej już siły, żeby nie tylko przeżywać katastrofę, ale ją moralnie opanować; tworzyć świat ładu i piękna pomimo niej i z niej. Trudno żądać od poetki miłości, żeby miała moc poety ruin... [I dalej:] W prozie poetyckiej nowego Szkicownika Pawlikowskiej rozciekł się i rozlał bezkształtny sentymentalizm i staroświecka cierpiętnicza tęskliwość. Bezradna skarga i monotonna tęsknota jęczy rozwlekłe w tych notatkach...

Nie zgadzam się z Przybosiem, właśnie w emigracyjnym Szkicowniku poetyckim nie ma żadnej „staroświeckiej cierpiętniczej tęskliwości” i „bezradnej skargi”. Jest tęsknota ujęta czasem w metaforę niezwykłą, a jakżeż wymowną. Oto fragment z tegoż Szkicownika, rok 1942:

„Podróżnik”, oto imię tego gatunku cykorii, który włóczy się po drogach, intarsją gwiazd niebieskich ozdabiając gościńce. „Podróżnik” marzy o dalekich drogach. Chciałby ziemię opasać, przerzucić się lianami przez oceany i doczołgać do punktu swego wyjścia, mocnym węzłem z nim się splatając. Łodygi jego, twarde jak powrozy, bronią kwiatu przed innymi podróżnymi, przechodniami: Bóg wie kim.

Za wiele roboty z upartym roślinnym sznurem! Komu w drogę temu nie czas na taką mordęgę; w dodatku gwiazdzisty pnaćz, w drodze swej wytrzymały, szarpnięty mdleje natychmiast w rękę napastnika... Dlatego też nie warto go zrywać.

Śmiercią się bronić, dzielny to sposób! Znudzi wreszcie nieprzyjaciela. Znudzi, nie wzruszy, bo twarde jest serce ludzkie dla kwitnącego świata.

„Podróżnik” obrał sobie barwy: dalekiego horyzontu. Bywa bardzo zakurzony.

Czyż można dyskretniej i mniej czułościowo przedstawić siebie samą, swoją rozpaczliwą tęsknotę i wysiłek, aby „przerzucić się lianami przez oceany i doczołgać do punktu swego wyjścia, mocnym węzłem z nim się splatając”.

Tę prozę można tylko porównać z dramatyczną, a zarazem przekorną i ironiczną prozą Norwida. Lilka będąc wielką entuzjastką poezji Norwida, w tej epoce jeszcze mało u nas popularnego, i pewnie nie zetknęła się z jego listami i notatkami, zresztą nie wiem, czy wówczas były publikowane. Czytając je teraz, na każdej prawie stronie odnajduję zbieżność i bliskie pokrewieństwo tych dwóch niezwykłych talentów; nie mówiąc o tym, że Norwid, podobnie jak Lilka, był

również i malarzem. Oprócz Mickiewicza, którego stawiała na pierwszym miejscu, Lilka wysoko ceniła Norwida, zaś we wczesnej młodości — Heinego. Tłumaczyła nawet niektóre jego wiersze, podobnie jak fragmenty z dzieł Schopenhauera, przekłady te jednak gdzieś przepadły w pomrokach

starych szuflad.

Gorący wielbiciel i znawca poezji Pawlikowskiej Artur Sandauer pisze w

„Przeglądzie Humanistycznym” o zmierzchu jej talentu w wojennych wierszach. Obaj

— i on, i Przyboś, spoglądają na nią z punktu widzenia męskiego: była dla nich dotąd piewczynią miłości, une grande amoureuse poezji kobiecej, i ten obraz został zaćmiony, nagle ujrzeli istotę zrozpaczoną, zdruzgotaną wojną, która, jak pisze Sandauer:

Z baletnicy przelatującej beztrosko po gościńcu, przeistacza się — śmiałym rzec

— w kogoś, kto na gościńcu leży. Kto wie, czy zamiast „skłócenia z historią”, nie należałoby mówić o jej: „przejechaniu przez historię”. Krystaliczną jednolitość jej poetyckiego świata rozbijają teraz nieznane jej dotychczas wzruszenia: roztkliwienie, litość, współczucie.

Sandauer chyba zapomniał, że Lilka była zawsze wielką humanistką, przypomnijmy sobie jej wiersze takie, jak Topielice, Śmierć Kariatydy, Enthauptet. Lituje się nawet nad bandytą, którego mają powiesić, płacze nad zgniecioną we drzwiach ukochaną wiewiórką, współczuje starości. Cóż więc dziwnego, że wielka światowa zbrodnia — wojna — odbiła się na jej twórczości. Jest w nią osobiście wplątana —

przez lęk o męża—lotnika i przez dręczące obawy o rodzinę, która pozostała w kraju. To już nie wczuwanie się w cudze tragedie, to osobiste przeżycia.

Gołąb ofiarny — jak brzmi tytuł jej wojennego tomiku — to ona sama. Jej ukochane poetyckie rekwizyty: gwiazdy, róże, drzewa, liście pozostały, tylko w innym, bardziej dramatycznym kontekście:

Liście—uchodźcy [pisze w wojennym Szkicowniku] czy wolno zdradzić wam prawdę gorzką jak zieleń roślinna, że choćby was i nawrócił wstecz zwrotny wicher w nagłym porywie, już wy i tak do konarów nie przyrośnięcie rodzonych? Drzewo was nie przyjmie w siebie, bo nie stać je na cuda... Niedaleko pada jabłko od jabłoni, ale już nie wraca na gałąź. Daleko pada liść, a wichry czynią z nim, co zechcą...

I tylko opowiada złote legendy o klonie, o dębie, o topoli, wszędzie gdzie się znajdzie.

Czytelniku, którego zabolą te słowa, pamiętaj, że to tylko jesienna fantazja poetki. Liściem nie jesteś, liść dzienników nie czyta, liść leży w pyłe na drodze i nigdy nie myśli o sobie: „Jestem jak dusza ludzka...” I znów na końcu ten jej przekorny gorzki humor. Talent się nie zmienił i warsztat ten sam, tylko jej serce, zdradzone ongiś przez jednego mężczyznę —

zostało teraz zdradzone przez wielu, przez zastępy tych, którzy chcieli wojny, tej najgroźniejszej i najbardziej zaraźliwej epidemii. I czegoś spodziewali się po wierszach kobiety ci dwaj krytycy. Czy żołnierskich poematów, jakie pisywali u nas: Broniewski, Szenwald i inni? „Wojenka” to wymysł—czysto męski i gdyby kobiety rządziły światem, nigdy by do wojen nie dopuściły. Krwawe szaleństwo od wieków leżało w męskiej naturze. Nie zawsze im chodziło o słuszną obronę granic zagrożonego

przez wroga kraju, pociągał ich ten najniebezpieczniejszy ze sportów

— igranie ze śmiercią — swoją i cudzą.

W „la belle époque”, kiedy przez dłuższy okres nie było wojen, mężczyźni szukali tylko okazji do pojedynków. Kaci, inkwizytorzy przyglądający się z upodobaniem kaźni kacerzy lub czarownic — składali się wyłącznie z mężczyzn. Ich opancerzone serca nigdy nie znały litości. Ani lęku. Kara boża miała dotyczyć wyłącznie ich ofiar.

Dzisiaj wrodzoną krwiożerczość mężczyzn zaspokajają ociekające krwią filmy kryminalne. Scenariusze do nich piszą zwykle mężczyźni.

Lilka nienawidziła wojny, określała ją jako „wojnę przeciwko rodzinie”. Nie było chyba w literaturze świata wiele utworów tak potępiających wojnę i jej całą szpitalną potworność, jak jej wiersze oraz proza, i gdyby była ów koszmar przeżyła, winna by była otrzymać nagrodę obrońcy Pokoju.

Czy gdyby poetka po wojnie powróciła cała i zdrowo do kraju, byłaby tak przychylnie przyjęta przez krytykę, jak to się działo przed wojną, śmiemy wątpić. Nawet tak zdolny i obiecujący pisarz jak Tadeusz Borowski wydrukował

bodaj w „Odrodzeniu” napastliwy artykuł o starych pisarzach, gdzie zaatakował mocno Iwaszkiewicza i Zofię Nałkowską, która po przeczytaniu owego artykułu dostała zawału i była przewieziona do szpitala.

Lilkę, która przez całe lata swojej twórczości była z małymi wyjątkami przez krytykę głaskana i pieszczona, takie zjadliwe krytyki kompletnie by załamały.

Była na tym punkcie bardzo czuła i przewrażliwiona.

„Poetą się nie jest — poetą się bywa” — odpowiedział Norwid pewnemu paryskiemu znajomemu, który mu zarzucił: „Pan, któryś nie jest poetą...” Nie dotyczy to Lilki, która jest zawsze poetką, i w życiu, i w dziwnych strojach, i swoich sentymentach, i w nadwrażliwości na punkcie oceny własnego pisarstwa, którego wartości nigdy nie była stuprocentowo pewna. Przychylnie i nawet entuzjastyczne krytyki były dla niej jak czekoladki Wedla, za którymi przepadała.

Jej pierwsza komedia Szofer Archibald, wystawiona w Teatrze Małym w r. 1923, od razu uzyskała przychylną krytykę, szczególnie Boy bardzo łaskawie się z nią obszedł.

„Można by podejrzewać autorkę — pisze w Wieczorze piątym swojego Flirtu z Melpomeną — o doskonałe wykształcenie klasyczne...” O jej dowcipie wyraził się, iż

„jest miłego gatunku, ma coś z aksamitnych łapek kota i jego ostrych pazurków, jest niepokojący i zuchwały, bardzo kobiecy”. A pod koniec recenzji kończy uwagą, że „w bohaterce... sztuki jest coś, co się wymyka z psychologii kobiecej, coś, co mimo woli określa się terminem: «rasowa, ale narowista»...”

Znakomity krytyk Kazimierz Czachowski, który później często bywał Lilki gościem, pisze o niej tak:

Raz jeden miałem sposobność być w towarzystwie Pawlikowskiej. W liczniejszym gronie toczyła się bardzo ożywiona rozmowa. Poetka, widać to było po wyrazie jej tajemniczych oczu, brała w niej udział, o ile sobie jednak przypominam, sama nie powiedziała ani słowa. Kobieta Sfinks! I taka jest jej poezja.

Jeśli chodzi o nią samą, to lubiła zgrywać tajemniczą — uśmiechała się zagadkowo i rzeczywiście włączała się do rozmowy więcej oczami niż ustami. Ale co do jej poezji, to krytyk niesłusznie je określa jako „Sfinksowe”. Nic bardziej przejrzystego i wyraźniej określającego to, co poeta pragnął powiedzieć, nie mamy w całej polskiej poezji. Lilka nie wstydzi się swoich silnych erotycznych doznań, jak również opisów — bez niedomówień i kobiecych zahamowań — miłosnych zawodów i tęsknot. Nigdy nie bredzi, nie kłamie i nie pisze w tak zwanym twórczym natchnieniu:

Pierwsze drukowane poezje Pawlikowskiej [pisze w dalszym ciągu Czachowski] i również sporo późniejszych, są króciutkie, niekiedy aż filigranowe. Ta ich misterność sprawiła właśnie, że niektórzy krytycy dopatrywali się w nich szychu i kunsztu, określając je jako rokokowe cacka... nieskazitelne mistrzostwo formy epigramatów Pawlikowskiej jest dotychczas jej najwyższą zdobyczą artystyczną, najdoskonalszym cyklem jej utworów poetyckich są Pocałunki, gdzie coraz stajemy zdumieni wobec tak niezwykłego skoncentrowania wysiłku twórczego i tak nadzwyczajnej zwartości poetyckiego wyrazu, jakich nie znajdziemy bodaj u żadnego z naszych współczesnych poetów. Te arcydziełka liryki są na wskroś nowoczesne, a jednak pod względem formy odznaczają się dojrzałością klasyczną.

O jej następnych tomikach pisze:

Jej oblicze staje się mniej Sfinksowe, głębiej pozwala nam wnikać w swą duszę.

I gdy w tym ostatnim — na razie, cyklu Paryż wyrazi się, że „ten który nie żyje

— lepiej mnie zrozumie” — to przemawia do nas nie tylko jej myśl — ale i serce.

Owo długo ukrywane serce wydobyło się na jaw i choćby poetka skryła je znowu za tajemniczym spokojem Sfinksowej twarzy, już je poznaliśmy i zawsze je dojrzymy...

Czachowski nie jest wystarczająco wnikliwym krytykiem. „Nijakiego Sfinksa w jej wierszach nie widziem”, natomiast serca, czyli dobroci i wrażliwości na wszelkie cierpienia i niesprawiedliwości — aż nadto.

A w ogóle to Lilka jest dobra i współczująca nieskończenie, a gdy bywa zła i dokuczliwa, to na przekór tej swojej dobroci, której jak gdyby się czasem wstydziła. Przecież sama napisała w swojej pięknej sztuce Dewaluacja Klary (granej po wojnie w Krakowie), że „poeta powinien być dobry — lepszy od innych ludzi...”

Ta sztuka, jedna z jej ostatnich, odbiegająca od jej ulubionej tematyki wolnej miłości i świadomego macierzyństwa, ma za tło środowisko mieszczańskie w połączeniu ze środowiskiem artystycznym.

Syn domu, kibic od młodych poetów, zaprasza do siebie brać artystyczną. Są to młodzi zarozumialcy, przeważnie pozbawieni prawdziwego talentu poetyckiego, którzy się wynoszą ponad starych, zasłużonych twórców i mają ich za nic. Wśród, nich znajduje się jednak młodzieniec utalentowany, o dużej wiedzy poetyckiej, który wybija się ponad swoje środowisko, pochodzi z ludu i nazywa się wystrzałowo „Karabin”.

Lilka kocha Karabina i nie szczędzi mu wszelkich zalet, poza tym, że posiada on

„złe maniery”, pociąga nosem i pewnie obciera nos rękawem (jak niektórzy

„pryszczaci”). Karabin jest przy tym pięknym chłopcem i chyba żadna dziewczyna nie potrafi mu się oprzeć. Ma wszelkie szansę zdobycia nagrody literackiej, do której konkuruje również młoda, śliczna grafomaneczka Klara. Karabin ma talent, a Klara — wysokie protekcje. Toteż ona otrzymuje nagrodę. Ówczesni „pryszczaci”, oburzeni tą niesprawiedliwością, drukują paskudne paszkwile na nią, a młoda poetessa tak się tym przejmuje, że postanawia popełnić samobójstwo, przecinając sobie żyły i trzymając rękę w wazonie z wodą. Ocala ją jednak miłość Karabina, który — mimo iż poprzednio wyśmiewa jej poezje z życzliwością dobrego kolegi — w ostatniej chwili ją ratuje. Później na scenie jest pokazana transfuzja krwi, której udziela niedoszłej denatce zakochany poeta. W tym miejscu przypomnieć warto jeden z listów miłosnych Lilki do Jasia, w którym pisze, że chciałaby dać mu jeszcze więcej... zespolić się z nim bardziej, połączyć swoją krew z jego krwią i że jako pensjonarka tak sobie wyobrażała stosunek miłosny dwojga kochanków. Ów Karabin, zupełnie wymyślona i nierealna postać, chłopak niepodobny do żadnego z młodych poetów, których Lilka mogła znać, o urodzie chyba... Majakowskiego, to ona sama i jej androginiczne marzenia o tym, aby stać się młodym mężczyzną-poetą. A gdyby mogła ujrzeć w roli Karabina młodzieńczego wówczas Hanuszkiewicza, pięknego jak Demon i grającego ze zrozumieniem i wyczuciem roli, to chyba rozpląnęłaby się z zachwytem nad tą stworzoną przez siebie postacią.

Oto kilka fragmentów z tej niezwykłej sztuki: KARABIN (przeglądając tomik wierszy Klary pod tytułem Gołąb ofiarny)

— A dlaczego pani tak pisze o gołębiu jakby to był jakiś nieznaną pani bliżej ptak? jakiś biały kruk?

KLARA — Jak to? ciekawa jestem co można więcej powiedzieć o gołębiu!

KARABIN — O niemało! Na przykład: Gołąb, jak rozlane na asfalcie plamy ropy samochodowej. No a dlaczego? Bo na grzbiecie ma gołąb tęczę. I ropa ma tęczę, właśnie podobną. Ja bym też tak powiedział: hołubca na miejscu wyciął i bohaterską pierś atakuje uchodzącą bokiem kochaneczkę, ulicznicką skrzydlatą.

KLARA — Gołąb i takie porównania! Aż mnie to boli! No trudno, pan ma inny styl...

— gołąbkę porównywać do...

KARABIN — Do dziewcząt ulicznych. Ach, to pani, poetka, ma taką dla nich pogardę? A przecież i one mają niewidzialne skrzydła duszy, które je kiedyś też w wieczność poniosą, wysoko nad ulicę!...

Patrzmy dalej: Erotyki pozał się Boże, te muszą być dopiero niewinne! (czyta) Z róży krwawa opadła łuska,

Ku ozdobie jej własnej mogiły,

Współczuły jej nasze usta

Pocałunkiem o róży mówiły...

Ech, róże nie rosną tak co krok, róż na ogół nie ma! To wschodnia maniera...

W ogóle z kwiatami trzeba ostrożnie. Nawet wieszczowie sypali się na kwiatach, potykali na nieznamości ogrodnictwa i botaniki. „Komu ślubny splatasz wieniec, z róż, liliji i tymianku?” Co to znaczy? Tymianek, thymus, czyli macierzanka, której Maryla co najwyżej używała na herbatkę przeciw swoim waporom — i lilie z różami. Winszuję! Tak, pani rymarko, z kwiatami ostrożnie!...

Tutaj Lilka jak gdyby troszkę pokpiwała z samej siebie, przecież róże właśnie nie schodzą niemalże z jej pióra. Od pierwszych panińskich wierszy — aż po okupacyjne. Oczywiście, że nie popełnia takich błędów, ażeby „róże splatać z tymiankiem” — za dobrze zna się na botanice i nieobce jej są wszelkie łacińskie nazwy kwiatów i ziółek, ale przeczy sobie mówiąc ustami Karabina, że „róże nie rosną co krok — róż na ogół nie ma”.

Młody poeta w dalszym ciągu dialogu poucza pannę Klarę, jak należy komponować poezję:

Zaraz pani coś pokażę: to moje... głupstwo też, ale bardziej przemyślane (czyta lub deklamuje na pamięć): Jak jaskółczy wiec przed odlotem,

Taki jest niepokój naszych ust.

Kołują więc nad prawdą, na słowach siadają,

Jakby nagły poraził je mróz.

Czemuż na myśl o słońcu, jaskółki,

Poważniejecie tak nagle?

Na co czekacie, usta? Prędszej, w drogę,

Ku miłości, gorącej jak Algier!

I obyło się bez „srebra”, „zelota” i „róży ach, róży”!

Mam i drugi wierszyk na podobny temat:

Wy którzy marzniecicie, tęsknicie,

Poszukajcie drogi do Maroka.

Nie przez morze, lecz przez własną krew!

Do Maroka, gdzie słońce, warząc się w zenicie, Stopi w sercu waszym lód, wiślaną krę!

Spójrzcie w piękne oczy — pierwsze z brzegu

Okażą się najśłodsze...

I spieszcie tam do kraju Tauregów

Gdzie samum gości,

Gdzie rozkwitają barwy z przewagą nagości!

Powtarzam: pierwsze z brzegu okażą się najśłodsze Na cóż czekacie i czego wam żal?

Nie radźcie się Linii GAL

A może Algier, co? Biskra?

O wiedzcie, że aby tam dotrzeć

Wystarczy pocałunek,

Wystarczy iskra!

KLARA (zmieszana pudrując nos) Nie... ale... po prostu za mało prawdziwego piękna!

A za dużo — no nie wiem czego! Czegoś!

KARABIN — Niech no pani jeszcze raz powtórzy, że „piękna” za mało. Ja pani dam

„piękno”!

Podczas dramatycznej sceny, kiedy biedna poetessa, do głębi dotknięta okropnymi recenzjami z jej nagrodzonego tomiku, trzyma rękę z przeciętą żyłą w wazonie z wodą, Karabin, który się niczego nie domyśla, w dalszym ciągu poucza, jak powinna tworzyć poezję:

KARABIN — Nawet te wierszyki pani, to przyznaję, że coś tam w nich jest, tylko siły więcej, krwi więcej... zdałby się jakiś dopływ...

KLARA — A tymczasem mam jej coraz mniej... ach co ja zrobiłam!

A piękny Karabin jak tokujący głuszcak nie dostrzega, że samiczka jest śmiertelnie ranna, i dalej tokuje poetycko; wiersz, który wypowie, jest wstrząsający i fascynujący i choć już wszedł w skład jednego ze zbioru wierszy Pawlikowskiej, a poprzednio — w r. 1939, to znaczy tuż przed wybuchem

wojny —

drukowany był w tygodniku „Bluszcz”, warto go przypomnieć: KARABIN — Mniej przymiotników. Postarać się obyć bez nich całkiem na początek.

Ułożyłem wiersz dla pani umyślnie przeciążony przymiotnikami, na wzór, jak nie należy pisać, (pochylony do Klary mówi z namiętym ciepłem) Jaki jest motyl?

Złoty, śnieżysty, czy lekkomyślny?

Motyl? — Bezdomny!

Jaki jest wiatr?

Wiosenny, wartki, tęskny, burzliwy?

Wiatr? Półprzytomny!

Śmierć?

Okrutna, bezlitosna?

Śmierć? Ostatni dreszcz.

A miłość?

Wielka, upojna, jedyna?

Jeśli chcesz.

Jeśli Ty chcesz.

ZALOTNICY NIEBIESCY

Mówi się trochę ironicznie, że „poeta buja w obłokach”, ale co tam widzi i jakie z owych obłoków zbiera obrazy i wrażenia, dowiadujemy się dopiero z poezji.

Lilka również „bujaj w obłokach” swoim błękitnym wzrokiem i widzi przelatujące przez nie samoloty, których „zawartość” — że się tak wyrazimy — wzbudza w niej podziw i entuzjazm:

Aeroplan najpiękniejszy ptak biały

Leci w oddal ponad chmur szarzyń — — —

Ma skrzydła jak szarańcza. Jest jak orzeł śmiały A oczy ma i serce mężczyzny.

Czy przypuszczała, podziwiając „aeroplany” i dzielnych pięknych lotników, że staną się oni niedługo ofiarami wojny powietrznej? Dla niej to jeszcze jedna okazja do podziwiania mężczyzn, ich sprawności fizycznej i odwagi. Marzy o własnym pięknym lotniku i domarzy się... Wszystkie przecież jej sny i marzenia zawsze się spełniają.

Nawet w humorystycznej piosence, którą mi skomponowała — na melodię „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie...” — do mojej satyrycznej powiastki O kobiecie, która znalazła kochanka, pojawia się aeroplan.

Oto pierwsza zwrotka owej piosenki, którą w powieści napisała zakochana dama do swojego amanta:

Gdybym ja była tym aeroplanem

nie latałabym jak tylko za panem!

Ani do Tokio

Ani ku Azorom,

ale wszelaką porą

nad pańską głową,

ze skrzydłem złamanem!

Gdybym ja była

tym aeroplanem.

Kiedyś, podczas błotnistej krakowskiej jesieni, gdy wirówka wiatru w ogrodzie na Kossakówce obracała zwiędłymi liśćmi, Lilka ujrzała w jakiejś francuskiej gazecie fotografię jednego z pierwszych „zdobywców” Atlantyku, młodego, bardzo przystojnego lotnika Jose Sarmiento de Beiros,

który poza tym był znanym portugalskim poetą. Lotnik i poeta! To muzy tak zrzędziły, że właśnie ten numer owego pisma, z fotografią bohatera i dokładną informacją o nim, wpadł jej w ręce. Lotnik i poeta! Szczyt jej marzeń! Nie powinna tego zlekceważyć. Lilka nie przeżywa swojego życia — ona je pisze? Sama je sobie komponuje, a Los jej w tym zwykle pomaga. Duchy, wspomnienia, płyty Carusa, które ją tak bardzo wzruszały, to już przeszłość. Nowy akt własnej życiowej sztuki (jeszcze nie: dramatu) zaczyna świtać w jej tak bogatej nie tylko w piękne włosy, lecz i niezwykle pomysły główce. Postanawia napisać do niego list, na adres redakcji czasopisma, w którym się ukazał artykuł o nim i jego zdjęcie. Co szkodzi? Może poczta stanie się owym gołąbkim z dziecinnego obrazka, z listem zawieszonym na szyi, na wstążeczce, który zapuka do okna pięknego lotnika — a on liścik podejmie, przeczyta i... złapie się za serce lub za... głowę!

Pisze ów pierwszy list, pewnie piękny i poetyczny, rzuca do skrzynki i... jak całe życie — czeka na listonosza. Z nadzieją, ale bez niepokoju spaceruje po ogrodzie na Kossakówce, czekając na owego zwiastuna nowych pasjonujących wieści, który jednak zwykle przynosi: zaprotestowany weksel, „sądówkę”, nieprzyjemny list od nie opłaconych dostawców, kartkę pocztową z widokiem Ponte Rialto czy Zatoki Neapolitańskiej od znajomych podróżników lub wezwanie jakiejś sekty, aby ów list przepisać i wysłać dziesięciu osobom, bo „inaczej spotka cię wielkie niepowodzenie lub nawet nieszczęście”. Tych listów Lilka najbardziej się obawia, a że jest przesądna, więc nie lekceważy pogroźek i zazwyczaj przepisuje owe pobożne inwokacje do Boga, który nie ma z tymi bzdurami nic wspólnego, i wysyła je znajomym. Ze mną razem zastanawia się, kogo nie lubi, aby mu wysłać ów pasztecik.

Rezultat jest taki, że owe osoby, nieraz równie przesądne jak ona, wysyłają jej znów anonimowo kopie owych modlitw i łańcuch bzdury nie kończy się.

W tym oczekiwaniu na list od portugalskiego lotnika Lilka chodzi jak we śnie, którego dalszego ciągu znać nie może.

Wierzy, że list nadejdzie, tak jak wierzyła jako mała dziewczynka, że jej list wysłany do Paryża, do Galerie Lafayette, z prośbą o przysłanie oprawionego tygodnika dla dzieci „La Jeunesse Illustree”, nie pozostanie bez odpowiedzi.

I list przychodzi.

Jest już lato roku 1927. W ogrodzie na Kossakówce róże i lewkonie mdleją od woni swoich zbyt silnych perfum. Stara lipa szumi, motyle — bezmyślne i lekkie jak sama radość życia — trzepoczą w powietrzu skrzydełkami. Lilka w jakiejś letniej sukni, śliczna jak ogród i jak lato, leży w hamaku przyczepionym do dwóch brzózek i wzruszona czyta listy od nieznanego i nie znanego jeszcze kochanka.

Cytujemy kilka z nich jako piękny wzór listów miłosnych: Lisbona, 1 lipca 1927.

Nieznajoma Pani!

Gdyby życie dla wszystkich ludzkich istot było tym, czym było dla mnie dotychczas, to ogólnie przyjęte twierdzenie, iż „życie jest piekłem”, nie istniałoby. Wiem dobrze, że szczęście buduje się

własnymi rękami, i to jest powód, iż moje życie (które zaczyna być teraz naszym życiem) jest dziełem dokonanym według mojego ideału. Wydaje mi się, że je zbudowałem własnymi rękami.

Wszystko w nim jest dokonane według moich snów. Na pierwszym planie czarodziejski rozkwit naszego wspaniałego romansu, który osiągnął paroksyzm snu pełnego tajemniczego czaru. Może mi nie uwierzysz, ale wyśniłem go. Tę fuzję naszych dusz, które wydają się tak doskonale do siebie zaadaptowane, tę odrobinę wariactwa, to podobieństwo charakterów, wrażliwość, tę animację naszych ciał, które płoną ku sobie, dalekie jeszcze od momentu, do którego dążymy.

Wszystko to przyszło w odpowiedniej godzinie, jak nowa planeta, którą w danej minucie odkryły teleskopy astronomów. A jednak, mon Amour, przelotny lęk ogarnia mnie czasem. Twoja intuicja przeczuła moją duszę, tak jak ja przeczułem Twoją, jestem tego pewien, ale owo tornado gorączkowego pożądania i pragnienia, które nas porwało, niepokoi mnie. Wiem, że istnieją spotkania astralne w krainie Pragnienia, i co przeważa, to strona duchowa, to, co stanowi esencję naszego Ja, naszych Egos. Ale czy spoglądając na mnie rozpoznasz mnie? A jeśli Twoje wyobrażenie o mnie nie zgodzi się z prawdą? Wiem, że ten sam niepokój Ciebie ogarnia, gdy chodzi o mnie. Nie masz powodu. Ja już Ciebie znam. Słuchaj: w ostatnim liście zapomniałem Ci wspomnieć o Twoim pieprzyku. Wiem, że masz ich jeszcze sporo — ale ten, o którym myślę, to jest Twój pieprzyk.

Ach, jakżeż go całowałem, czułem, że drżysz, kiedy moje wargi go dotknęły tak lekko, jak gdybym go wcale nie dotknął... Wiem, że jesteś młoda, że twoje ciało zatrzymało, mimo życia, jakie przez nie przeszło, dziewiczość całkiem specjalną

— jak lira, którą wiele rąk dotykało, ale która wibruje tylko pod dotknięciem niektórych palców. Wrażliwość, która się zamyka przed niezręcznym atakiem brutalnego owada, lecz nie broni się przed dotknięciem lekkiego motyla. Tak, moje Kochanie, nie masz przede mną sekretów. Wydaje mi się, że w dniu naszego pierwszego spotkania ujrzę Cię znów powracającą do mnie po krótkiej rozłące. Ale Ty? czy mnie też tak odgadłaś. Czy znasz mnie równie dokładnie, jak ja Ciebie?

Ten daleki kochanek to jak gdyby drugi Jaś, tylko bardziej wykończony, wycyzelowany. Też nie zapomina o „duszy”, ale piękniej umie to sformułować, a przy tym jakiś prawdziwszy, szerszy i mniej przejęty sobą. No cóż... „pan poeta, pan poeta!” Los, wzruszony Kwiatkami z Waterloo, oddaje Lilce ulepszone wydanie Pawlikowskiego — Sarmento jest odpowiedniejszym bożkiem dla naszej nimfy. Podobnie też jak ona — a w przeciwieństwie do Jasia — interesuje się astrologią i nie wyśmiewa się z „czarów”.

Oto co pisze w innym swoim liście:

Moja słodka i straszliwa Czarownico!

Pragnąłbym, abyś mi zrobiła dokładny opis Twojego uskrzydłonego Demona, jak można najdokładniejszy. Podaję Ci datę mojego urodzenia 4.IX.1892, godz. 2 min.

10, o ile sobie dobrze przypominam.

Nie, nie boję się posłać Ci kosmyk włosów — Ale nie czuję się w mocy obciąć go sobie bez

pozostawienia na głowiewstydlowej wyrwy. Twoimi dłońmi białymi i długimi obetniesz je sama. Napisz prędko. Duży, bardzo duży pocałunek na Twoich wargach od

Twojego Z

Madonno Miłości!

11/12

Wiem, że będę miał od Ciebie jutro jakieś wieści. To tak, jakbyś mi dała trochę się napić, aby ugasić moje pragnienie co dzień ostrzejsze, które dręczy moją duszę. Ujrzeć Cię! Patrzeć na Ciebie. Rozpoznać Cię w dzień Twojego przyjazdu. I ten pierwszy pocałunek, który wymienimy już na dworcu, pocałunek dwojga istot, które się odnalazły po długiej rozłące. A potem jazda autem do hotelu. Uściski dłoni, pocałunki, drzenie ciał osłabłych od pożądania. I Twoje wejście do pokoju, do naszego pokoju. Pierwszy długi pocałunek: Pocałunek bez końca! Miłość naszych ciał i wspólne szepty poprzez zaciśnięte zęby. Jednej rzeczy tylko nie przewiduję dokładnie, to godziny Twojego przyjazdu. Myślę, że będzie to z nastaniem zmierzchu, koło godziny 4-tej. Moja ukochana! Moje szaleństwo! Jakżeż ciało moje wibruje, a pragnienie śpiewa pod naciskiem nerwów. Namiętność, która krzyczy poprzez słowa Twoich listów, zachowuje jednak kolor lila wyblakłej akwareli...

Sarmento widzi swoją daleką ukochaną w kolorze lila „wyblakłej akwareli”, pisze, że to jej „namiętność” ma ów koloryt — ależ to przecież Ona, zawsze otulona w liliowo-niebieskie gazy, o przejrzystej cerze zmytej akwareli.

W innym liście znów pisze:

Patrzysz mi w oczy uśmiechnięta prawie ironicznie, wyraz jak gdyby kpiny na wargach...

To już najprawdziwsza wizja Lilki, z której małych warg nie schodzi prawie nigdy trochę kpiący uśmiezek.

Gdy go porywa szal poetycki, zaczyna jej postać idealizować dość banalnie — oto reminiscencje jakiejś sennej wizji w jednym z jego listów: Moje ręce poczęły gładzić, pieścić Twoją postać statuy greckiej, jakby chciały zapamiętać kontury twego ciała.

Trochę nas dziwi, że Lilka, której daleko było do „statuy greckiej” — nie przelekła się tego zwrotu i nie zaniechała spotkania z owym płomiennym kochankiem. Co za odwaga i bezgraniczna pasja!

Tymczasem to on, mimo iż jest wybitnie przystojnym mężczyzną, zdradza pewne obawy, czy się jej spodoba:

Może sobie wyobrazasz [pisze] chłopca, bruneta noszącego na twarzy piętno południowego słońca — opaleniznę. Atletycznie zbudowanego, połączenie amanta filmowego z kondotierem. Śnisz może o hiszpańskim typie sangwinika, trochę brutalnym mimo całej poezji, która w nim tkwi, a na którą ten naród jest tak bardzo wrażliwy. Nie jestem nim, kochanko moja! Zauważyłaś, że pierwszy raz, odkąd się znamy, nazwałem Cię tym imieniem miłości? A więc przyznaję się. Kocham Cię do szaleństwa. I właśnie dlatego, że Cię kocham — boję się. I jeśli dzisiaj obawiam się, to z tej przyczyny, iż stałaś

się w moim życiu czymś bardzo ważnym, bardzo sprecyzowanym, do czego dążę, czego oczekuję i co — jestem pewien —

zdobędę, ale co chciałbym już mieć przy sobie, ponieważ z tej wspólnej duchowej wytworzyć się winna totalna komunika ciał — dniem i nocą.

„Kochanko moja” — jakież to piękne określenie, tak często używali go nasi wieszczowie. Później zwulgaryzowało się, ale i tak było stosowniejsze od dzisiejszej „sympatii”, która najlepiej określa wzajemne stosunki uczuciowe pomiędzy młodymi. Z „sympatii” idą ze sobą do łóżka, z „sympatii” mają dziecko, a po roku lub dwóch „sympatia” przeradza się w antypatię — i następuje rozwód.

Wszelkie uproszczenia odbierają życiu barwę i kształt. Dzisiaj taki Sarmiento odpisałby Lilce miłym listem, prosząc ją o zdjęcie (najchętniej w stroju kąpielowym). Gdyby mu się spodobała, zaprosiłby ją na krótki czas do Paryża, gdzie kochaliby się przez kilka tygodni, po czym on by wrócił do żony, ona do mamy — i po krzyku miłosnym.

Moda chętnie powraca do dawnych strojów, ale nigdy do dawnych obyczajów — to są sprawy, które nie powracają. Epoka pośpiechu zabiła wszelki romantyzm i sentymenty. Bo i któż miałby dzisiaj czas na pisanie takich listów miłosnych, jak Sarmiento do Lilki — a ona do niego.

A oto jeszcze jeden jego list, bodaj najpiękniejszy, pisany w oczekiwaniu na jej przyjazd:

Miała przyjechać nazajutrz. Dawno odgadł, że przyjedzie któregoś dnia, przywołana tajemniczym wołaniem duszy. Wiedział, że się zjawi porwana nawałnicą ich miłości, tak jak on się zjawił w jej życiu, Siedzi teraz wciśnięta w kąt wagonu, podczas gdy pociąg toczy się i pluje w ciemności płowymi światłami lokomotywy, gdzie w parze pracuje maszynista ociekający potem mimo mroźnej nocy.

Widział ją maleńką mimo klasycznej budowy ciała, z oczami szeroko otwartymi, wpatrzonymi w przyszłość, wędrującymi ponad zaciemnionym horyzontem, w którym rozplývają się i nikną kontury. Głębokie wzruszenie zrodzone z bolesnej niepewności obejmuje ich oboje. Ta sama myśl obsesyjna, ten lęk okropny, to samo zapytanie pełne obaw: Czy ja mu się spodobam? Życie rzuciło ich na tę samą drogę

— trochę za późno? — trochę za wcześnie? Nie, we właściwej godzinie. Ziemia to ziarnko piasku wobec ich miłości, zrodzonej z jej zaczepnego wołania i jego męskiej, sportowej odpowiedzi. Idąc, nawoływali się od czasu do czasu. Ż

początku było ciemno, nawet czarno. Potem przerywana ich nawoływaniem ciemność stała się szara, potem mleczna, w końcu — przejrzysta. Stała się światłem, skryzalizowanym słońcem. Dlaczego byli aż tak wzruszeni? W swoim hotelowym pokoju, skromnym pokoiku — ich pokoju, pisał długo, długo, aby zabić czas, skrócić oczekiwanie, zapomnieć o lęku. To była taka dziwna przygoda. Wiedział, że musi teraz nastąpić nowy etap tej przygody. Widział przybycie kochanki jego duszy, którą tyle razy posiadał we śnie, której usta całował podczas astralnego życia we śnie. Przeczynał jej przybycie o szarej godzinie, niepewnej, wahającej się, gdy ciemność wdziera się w światło dnia. Jego intuicja jednak zawiodła go —

to miało się stać nie pod koniec dnia, ale o wschodzie słońca.

A więc przybyła. Oczekiwał jej w obawie, iż jej nie rozpozna, choć był pewny, że ją kiedyś widział, bał się, że tłum może ją pochłonać. Pociąg wjechał na stację jak wszystkie pociągi. Gwizd, struga pary. Pasażerowie wyszli na wolność z tego toczącego się i pędzącego więzienia. Krzyk! Dwoje ramion skrzyżowało się z dwojgiem ramion. Dwoje ust stopiło się w pocałunku szaleńczym. Ludzie spoglądali na nich ze zdumieniem.

Ale oni żyją w swoim własnym świecie. Widzą tylko swoje życie, swoje dusze, swoje oczy pełne miłości, radości, szczerości! I co było dziwne, niespodziewane, zdumiewające: ich ciała, które przez tak długi czas i przez odległość, która ich dzieliła, krzyczały boleśnie z tęsknoty i pragnienia — teraz milczały, w tym momencie przemożnym oddając głos swoim sercom, duszom, wszystkiemu temu, co jest wielkie, dostojne i wspaniałe w stworzeniu ludzkim.

Jaka szkoda, że nie mamy ani jednego listu Lilki do Sarmenta, że nie zachował

się jakiś brulion. Jakże ta czarodziejka słów (władza językiem francuskim tak samo jak polskim) musiała opętać pięknego lotnika-poetę, kiedy aż takie pieśni miłosne wyśpiewywał na papierze listowym. Gdyby nie te jego listy, prawie nic nie wiedzielibyśmy o tej wielkiej „passion” naszej poetki. Poza tym o jej paryskim romansie wiemy tylko z listu do przyjaciółki od... zwierzeń — Marii Morskiej, który jakimś dziwnym trafem zachował się w manuskryptach Pawlikowskiej.

Oto co pisze do niej:

Soreczku jedyny!

Jestem — do usług — w Paryżu—. I stąd całuję Cię gorąco. Już dawno tu jestem.

Mam tu romans ze sławnym awiatorem portugalskim, Sarmento de Beiros. Ma on się do innych panów jak aeroplan do roweru. Tracę głowę bo nie umiem sobie z tą szaloną, wspaniałą istotą poradzić, ani kierować, ani opanować tak jakbym chciała. Jest on tak przeraźliwie piękny że tu już kończy się moje życie.

Najwyższe szczęście graniczy z rozpaczą Soreczku. Pisaliśmy do siebie przez pół

roku szalone listy. Teraz jest życie, realizacja — co będzie dalej nie wiem.

Jego żona, kochająca, zazdrosna okropna żona, utrudnia nam życie w straszny sposób. Oprócz tego jest on też poetą. Jeśli los pomoże mi ją usunąć to już na zawsze zostanie przy nim. Ale to się tak prędko nie rozstrzygnie jeszcze. Pewnie jeszcze wrócę do Warszawy.

Całuję Cię, ukochany Sorku, of my heard. Myśl o mnie bo potrzeba mi pomocy.

Lilka.

Oczekując powrotu kochanka do Paryża, Lilka odwiedza różne wróżki i sławne media. Stąd jej wspaniały poemat Czarownicy Paryża: 9

Medium Zinah po polsku do ciebie od prognozy przemawia.

Widzi nad tobą koło świetlane. Każe ci żyć nadzieją.

„Idź, cicha muzyka słodka, spokojnie przed siebie.

Gwar ścichnie, wówczas usłyszą cię ci, którzy umieją słuchać”.

10

A fakir Hamam Bej, w swoim gnieździe z jedwabnych dywanów.

przeszywa cię wzrokiem z żelaza, prostym, głębokim.

„Nie żałuj snów. Pał opium życia i czekaj na nowe marzenia.

Czyż warto czepiać się snu, chcieć utrwalić obłoki lub dym?

11

Chwiejną trzcinę cukrową wichur odchylił od ciebie.

Teraz zegnie może w twoją stronę piękną palmę, szumiącą wspaniale.

Pamiętaj o ruchu wiecznym. Nikt tu nie myśli o tobie.

Wszystko się w falach wichury porusza. Kochaj falę jedynie”.

12

W głębi dziedzińców, na prawo, na lewo, w mansardach i piwnicach, czarodzieje Paryża czatują jak senne ropuchy, jak węże zielone, jak sowy, pierzaste i ciche nokturny, jak na krużgankach Notre-Dame de Paris śpiczastouché potwory...

Im droższe były wróżki — tym bardziej optymistyczne i pocieszające były ich wróżby. Między tymi najdroższymi znajdowały się również i stygmatyczki. Jedna z nich, według relacji Lilki, wpadłszy w trans potrafiła sprawić, że na jej ramieniu ukazało się — jako krwawy znak — imię Sarmenta „Jose”. Skąd medium mogło znać jego imię? Zdumiewające!

A może to Lilka wpadła w trans i widziała nie istniejące rzeczy?

Kiedy wróciła z Paryża, opowiedziała mi dramatyczną scenę, jak to do ich hotelowego pokoju, podczas nieobecności Sarmenta, niby wichur sirocco wpadła piękna, czarno ubrana pani, jego żona, i łkając oświadczyła, że idzie się utopić w Sekwanie!

Zaskoczona tą niespodziewaną wizytą, Lilka bez słowa spakowała swoje rzeczy do walizki i wyniosła się z pełną poświęcenia godnością. Zamieszkała w innym hotelu, nie podając ukochanemu

swojego adresu.

Tymczasem z listów Sarmenta dowiadujemy się, że było całkiem inaczej, że ów rycerz bez skazy wcale nie ukrywał, iż jest żonaty, co nam go czyni jeszcze sympatyczniejszym.

Oto co pisze na ten temat:

Jak wiesz, moja żona jest w Paryżu. Oczywiście stanowić to będzie kłopot niemały, gdy chodzi o spokój naszych zaręczyn. Tym bardziej, że odnosząc się do niej z uczuciem przyjaźni, byłbym bardzo zmartwiony zadając jej ten ból. Wiem, że z chwilą, kiedy się do ciebie zbliżyłem, jak gdybym się narodził po raz drugi, niemniej staram się zachować moją życiową dewizę: „Chcę uszczęśliwiać tych, którzy mnie otaczają — szczęście, które sobie człowiek zbuduje własnymi rękami, jest tylko wówczas trwałe, kiedy nie spoczywa na zmartwieniu drugich”.

Słowem: żona to żona, a kochanka — kochanką, tak jak to bywało u przedwojennych dżentelmenów.

To jednak nie wstrzyma mnie [pisze dalej] od przyjazdu, bo zakochałem się w tobie ponad wszelkie rozumienie.

Lilka wie zatem, że jej nieznany a już tak bliski kochanek jest żonaty, mimo to zaryzykuje nowy wypad do „Ogrodu Miłości”, tym razem w Paryżu, w „mieście światła” i... zakochanych. Znajduje na ten kosztowny wyjazd pieniądze, tak jak dawni poeci, którzy nie wiadomo skąd, mieli zawsze na dalekie i długie wojaże, do Szwajcarii, Francji, Włoch. I nikt nigdy nie interesuje się tym, skąd na przykład Konopnicka czy inni brali pieniądze na przebywanie miesiącami poza krajem. Może również, tak jak Lilusia, mieli swojego dobrego Wolfka Rothenberga, który im pożyczał forszę? Nie będziemy się więc zastanawiali, w jaki sposób poetka zdobyła tak okazałą sumę, dość że zaczęła przygotowywać się do wyjazdu, o czym naturalnie powiadomiła swojego dalekiego kochanka, który pisze do niej coraz bardziej płomienne listy.

Wróciła z Paryża nie ta sama. Spacer z pięknym lotnikiem po paryskim „Ogrodzie Miłości” wyczerpał jej siły fizyczne i duchowe.

Oto co pisze w jednym z emigracyjnych tygodników p. Wanda Krzezińska, w pięknym artykule o niej pod tytułem I ani lilii wodnej (tytuł jednego z wierszy emigracyjnych poetki):

Z tych samych czasów pochodzi bilecik pisany w tragicznej rozterce, w poczuciu krzywdy, a bez zrozumienia krzywdy. Między mężem, który miał młodziutką przyjaciółkę, a żonatym swym przyjacielem czuła się jak w potrzasku: „godzimy się już tylko na to, aby mnie męczyć — pisze. — Paryż — taką złudną nazwę nosi kawałek nieskończonego piekła. ...nigdy nie byłam tak atłasową, wiotką, prostą, piękną — to suknia do trumny. Litość istnieje dla wszystkich. Jaś ma ją dla Wally, Jose dla swojej żony — dla mnie nikt jej nie ma. Ja jestem na to by mną ciskać, mocna, twarda footballowa piłka. Litujcie się. Ochraniajcie od bólu swoje kurki o delikatnym pierzu. A mnie każcie podnosić piersią żelazną lokomotywę cierpienia”.

Gdy czytamy te dramatyczne słowa, łzy nam się kręcą w oczach. Na szczęście i ona potrafiła zadawać sercowe rany, a ofiary jej przelotnych miłosnych kaprysów żyją dotychczas. Jedna z nich,

przystojny mężczyzna, dziennikarz i podróżnik, popijając ze—mną przy bufecie, zaraz po wojnie, zwierzył mi się ze swojej wielkiej miłości do Pani Li, jak ją nazywał.

— Byłem dla niej tylko chwilową zabawką, a ja wprost szalałem za nią. Nie mogłem jej niczym zaimponować, więc wymyśliłem, że jestem nieuleczalnie chory. W swych poezjach ona zawsze przedstawia się jako istota pokrzywdzona przez mężczyzn — a to nie było tak. To ona uwodziła nas, a potem porzucała i wykpiwała...

Te słowa trochę podgazowanego młodzieńca były dla mnie rewelacją. Lilka wspominała mi o owym poznanym na plaży, o wiele młodszym od niej chłopcu, którego zwała „wilczkiem” z powodu białych zębów i który jakoby był niewierny i zadawał jej wiele sercowych cierpień.

Nie zapominajmy jednak, że była ona przede wszystkim poetką, a poeci nie mogą być szczęśliwi, muszą cierpieć, inaczej nie napisaliby tylu wspaniałych wierszy.

Cierpiał Norwid i Majakowski, i Lechoń, Rimbaud, Jesienin, Verlaine — już nie mówiąc o takich wielkościach, jak Mickiewicz i Słowacki. Gdy nie były to sercowe rany zadawane przez kochanki, to była miłość do Ojczyzny i krwawiąca wierszami tęsknota do niej.

Słynna poetka pani de Noailles, której wiersze Lilka tłumaczyła, umarła dosłownie z... miłości, po nagłej śmierci swojego, o wiele młodszego od niej kochanka. Położyła się do łóżka, w pokoju z zasłoniętymi oknami i tak długo leżała, póki śmierć nie stanęła u jej wezgłowia.

Z artykułu p, Krzemińskiej dowiedziałam się, że znany wiersz Pawlikowskiej Najpiękniejszy sen miał pierwotnie inaczej skonstruowaną jedną zwrotkę.

Brzmiała ona następująco:

Twarz masz słodką, brązową i świętą

portugalski lotniku Sarmento,

serce moje pod Twym skrzydłem bije.

Zaś w zbiorze wierszy pod tytułem Cisza leśna brzmi ona inaczej : Twarz masz słodką, brązową i świętą,

ascetyczną jak mnich z quattrocento,

szczęście moje pod Twym skrzydłem drzemie.

Lilka miała ambicję, aby jej amanci zawierali z nią związki małżeńskie i —

według tego, co pisała do Marii Morskiej — pragnęła usunąć przeszkodę w postaci

„okropnej żony” i poślubić portugalskiego lotnika. Może dlatego nie przyjechał

już więcej do Paryża? A może przyjechał i między kochankami doszło do jakiejś decydującej rozmowy? Poeci nie tylko „bujają w obłokach”, ale „bujają” i... nas.

Nie wiemy, jak było naprawdę. Przedstawiając słowami jakiś fakt, Lilka czyniła podobnie jak dawniejsi malarze, którzy malując pejzaż z natury wybierali odpowiadający im fragment, a resztę pomijali.

W każdym razie spędza w Paryżu samotne noce, które opisuje w wierszu Noc z cyklu Paryż:

Zza czarnego żagla firanki świecą uporczywe latarnie...

Samotność moja nie może być większa.

Nie może być wspanialej i straszniej, i marniej, i bardziej obco,

nawet tam, gdzie nas ręce wieczności

w nieskończone blade pasma potną,

nawet tam, gdzie komety tęskniące jak lecą srebrne lampy kopcą...

gdzie każdy idzie drogą samotną,

gdzie zapach mchów zroszonych

i fiołków słodkim tchnieniem nocy nie upiększa, gdzie nie ma uśmiechu, pocałunku, róży — — —

gdzie nikt nikogo do serca nie przygarnia — — —

O, o, o,

by się wprawić do dalekiej podróży,

trzeba takiej nocy jak ta noc,

ta noc czarna,

którą ja dziś przeżywam...

Kto nie zaznał samotności w obcym mieście, ten nie wie, co to jest prawdziwa samotność. Może właśnie podczas takiej nocy, nocy największego nasilenia samotności, Jan Lechoń wyskoczył z okna hotelowego pokoju. Ten wielki i niezapomniany poeta nie wytrzymał życia.

Lilka jednak wytrzyma. W owym przesmutnym wierszu Noc, ma się wrażenie, jak gdyby wyciągniętą stopą próbowała WIECZNOŚCI. Ale przerażona pustką, ziejącą czarną otchłanią — szybko schowała nogę pod hotelową kołdrę. Zanadto, mimo wszystko, kochała życie. Wróci do Krakowa na ciepły maminy biust i będzie komponowała coraz piękniejsze poezje, wzbogacone o jeszcze jedną

wielką miłosną pasję.

NORA — CZYLI DOM LILKI

Tak nazwała — zabawnie parafrazując tytuł znanego dramatu Ibsena Nora czyli Dom lalki — swoją przytulną kawalerkę w alei Krasińskiego, naprzeciwko Kossakówki, o której już wspominałam. Na obiady chodzi niedaleko, bo o miedzę, do Mamy, która już nie wie, jak dogodzić swojej ukochanej córce. Wszyscy jedzą kotlety, ale dla Lilusi jest kuropatwa szpikowana słoninką i sok pomidorowy jako napój.

Poznawszy gdzieś w towarzystwie młodego, przystojnego kapitana lotnictwa Mieczysława Lisiewicza, początkującego poetę, zaprasza go do siebie i koryguje jego młodociane poezje. O tym, aby mogła się w nim zakochać tak jak w Sarmento, nie ma mowy, ale przez pamięć o tamtym „przystaje do lotnictwa”. A że — można by powiedzieć — „kolekcjonuje” mężów, więc byłaby skłonna wyjść za Lisiewicza, gdyby nie nowa znajomość i nowa miłość, którą jest jej ostatni mąż, Stefan Jerzy Jasnorzewski — lotnik, kolega i przyjaciel Lisiewicza.

Los, który z pomocą poetki pisze o niej długi romans, czyli tak modną obecnie

„love story”, niekiedy z fantazją świetnego pisarza, wymyśla dość oryginalne zetknięcie się Lilki z Jasnorzewskim.

Lisiewicz, który jest u Lilki codziennym gościem, prosi ją, aby z nim razem odwiedziła jego najbliższego przyjaciela Jasnorzewskiego, który leży w szpitalu po lotniczej kraksie. Lilka zgadza się.

Na szpitalnym łóżku leży obandażowany, przystojny młodzieniec. Spoglądają na siebie i... koniec — a raczej początek nowego, obopólnego uczucia. Biedny Lisiewicz, gdyby był przypuścił, do jakiego nieświadomego stręczycielstwa Los go użyje!

To, że Lilka, już znowu stęskniona za miłością, wybiera sobie za cel sympatycznego „Lotka” — to nas nie dziwi, przecież bez kochania skończyłaby się ona i jej poezja, ale dlaczego on, ten pułkowy uwodziciel, który mógłby mieć wszystkie żony swoich kolegów, chłopak na wskroś normalny, lubiący popić i całe noce spędzający na grze w karty — dlaczego on uległ do tego stopnia czarowi Lilki, że aż dał się bez oporu zaprowadzić do urzędu stanu cywilnego — tego trudno normalnym rozumowaniem dociec.

Lilka była o siedem czy osiem lat starsza od niego, już dwa razy rozwiedziona, puszek pierwszej młodości scałowały z jej pięknej twarzyczki usta innych mężczyzn. Czy zaimponowała mu swoim talentem poetyckim, czy oryginalnością, tym, że była tak niepodobna do wszystkich innych kobiet, które w swoim życiu spotykał? Nie wiadomo.

Poznawszy Lotka bliżej doszłam do wniosku, że była w nim jakaś głęboka potrzeba poezji, nieświadomiona tęsknota za czymś niezwykłym, niespotykanym. Ten pożeracz serc kobiecych, karciarz i popij brat, poznał się na wielkości Lilki lepiej niż wszyscy jej dotychczasowi mężowie i amanci. Wiedział, kogo zdobył, i był z niej dumny, jak nasz Tatko ze swojej wstążeczki Legii

Honorowej .

Na Kossakówce ten skromny, małomówny porucznik został przyjęty przez rodzinę z wyraźną dezaprobatą.

— Nie pozwolę ci, Lilek, wyjść za mąż za tego poruczniczyne. Bo i któż to jest i co on przedstawia? Takie — rien du tout. I co to za nazwisko: Jasnorzewski.

— To dobra, szlachecka rodzina, Tato — odparła Lilka — jego rodzice mieli majątek na Wołyniu.

— No i nie rozumie po francusku ani słowa — wtrąciła Manusia — ale skoro Lilka uważa, że mimo to będzie z nim szczęśliwa...

Ślub ich mimo tych sprzeciwów odbył się w Poznaniu, gdzie jedynie udzielano w tym czasie ślubów cywilnych. Trzeba było tam się jednak zameldować i zamieszkać przez kilka tygodni, co też Lilka uczyniła.

Pamiętam, że na tę uroczystość sprawiła sobie piękną, jedwabną seledynową szatę.

O dacie ślubu nie zawiadomiła rodziny, świadkami byli tylko koledzy Lotka i Lilki znajome. Nie wiadomo dlaczego nie chciała mieć na swoim ślubie nawet mnie, swojej ukochanej siostry.

Po ślubie „państwo młodzi” zamieszkali wpierw w Lilki kawalerce, a potem na Rakowicach, gdzie Jasnorzewski postarał się o mieszkanie służbowe, gdyż był

wielkim wygodnickim i nie chciało mu się wcześniej rano jechać z miasta do odległych Rakowic. Lilka tak ulegała we wszystkim Lotkowi, że na jego żądanie zlikwidowała „Norę”, i wszystkie swoje mebelki, cenne antyki i obrazy przewiozła na nowe mieszkanie, gdzie wciąż przychodzili odwiedzać ją i Lotka jego koledzy, przystojni i atrakcyjni lotnicy.

I znów, jak podczas swojego pierwszego małżeństwa z Bzowskim, rozpoczęła życie pułkowe, tylko tym razem otoczona nie głupekowymi oficerkami austriackimi, ale samymi wykształconymi, inteligentnymi chłopcami, którzy interesowali się poezją i literaturą. Z żonami było gorzej, były to przeważnie kurki domowe, chętnie zmieniające... koguta, a Lotek właśnie znany był w pułku jako wspaniały kogut, który — nim się ożenił — każdej kurce chętnie służył swoją kogucią zapalczywością.

Koledzy Lotka adorowali Lilkę, o co on był wściekle zazdrosny. Pamiętam, jak później, gdy Jasnorzewscy zostali przeniesieni do Dęblina, zachował się wobec swojego dobrego kolegi i przyjaciela kapitana Białego.

Jan Biały, bardzo przystojny kawaler, bywał w domu Jasnorzewskich prawie codziennym gościem. Kiedyś Lilusia, która — można rzec — „na byle co” leżała w łóżku, w którym wyglądała najpiękniej, kazała służącej przynieść sobie obiad.

Miała swój osobny, mały kącik we wspólnej sypialni, zasłonięty parawanem. Ciasno tu było, więc z braku miejsca oboje z kapitanem usiedliśmy w nogach jej obszernego łóża. Wszedł na to Lotek i już

po jego zwężonych źrenicach spostrzegłam, że jest o to wściekły.

— Co tu robisz! — zapytał kolegę.

— Siedzimy sobie i rozmawiamy...

— W tej chwili wstań!

Biały śmiejąc się wstał i stanął przy ścianie.

— Wyjdź stąd! — rozkazał Lotek.

— Ani mi się śni!

Wówczas Lotek porwał puste talerze z małego stolika przy łóżku żony i zaczął ciskać nimi w kolegę.

Ten myśląc, że to żarty, zasłaniał twarz rękami, ale wystarczyło spojrzeć na twarz Jasnorzewskiego, bladą z wściekłości, aby zrozumieć, że to wcale nie żarty.

Lilka zaczęła błagać Lotka, aby zaprzestał tej groźnej zonglerki, ale dopiero gdy ja bohatercko zasłoniłam sobą nieszczęsnego kapitana, który tyłem zaczął się wycofywać ze swojej niebezpiecznej pozycji, Jasnorzewski sapiąc z wściekłości zaniechał dalszego bombardowania.

Jak widzimy, cichy i skromny na pozór Loteczek potrafił być dziki i groźny, a ponieważ był szalenie zazdrosny o swoją niezwykłą żonę, więc prześladował ją swoją zazdrością i zmuszał do wyznań, gdy chodziło o jej dawne miłości. Wszystko jednak, co się działo w życiu Lilki, służyło jej do stwarzania nowych sytuacji dramatycznych lub komediowych. Jedną z jej najlepszych komedii pod tytułem *Zalotnicy niebiescy*, grana z wielkim powodzeniem w Krakowie i Warszawie, jedyną z jej sztuk, która ukazała się w wydaniu książkowym, napisana była pod wpływem dramatycznych wyznań, do jakich zmuszał ją zazdrosny mąż. Oczywiście że w swojej bohaterce — Noli, nie przedstawia Lilka siebie, gdyby tego rodzaju wyznania istotnie miały miejsce między nią a Lotkiem, on nigdy by się nie zgodził na.

wystawienie *Zalotników*. Niemniej scena, w której zakochany kapitan lotnictwa Jastramb zmusza kochankę, żonę poczciwego lekarza pułkowego, do wymienienia wszystkich kolegów, z którymi miewała romanse, jest tak żywa i wstrząsająca, że musiała być oparta na żdźbale prawdy. Z tego żdźbła wyczarowała poetka potężny gorejący krzak.

Oto w skrócie ta scena — zupełnie niezwykła, niepowtarzalna i dotychczas przez żadnego dramaturga nie podjęta:

JASTRAMB (zdejmując z komody mały model samolotu) — Patrz na ten mały model.

Wyobraź sobie, że to jest mój samolot. Jeśli skłamiesz, on przy najbliższej sposobności spali się, albo mu skrzydła odmaszerują. Jestem przesądny, wiesz o tym. A sugestia działa.

NOLA — Skoro mnie aż tak zaklinasz!

JASTRAMB — Jesteś młoda, z mężem, jak mówisz, przyjaźń... Miałaś kochanków przede mną?

NOLA (złamana)

— Tak.

JASTRAMB — Kochał cię kto prawdziwie?

NOLA — Wszystko to rwało się jak pajęczyna.

JASTRAMB — Z czyjej winy tak się rwało? Naturalnie z twojej prawda?

NOLA — Nie całkiem tak...

JASTRAMB — Więc to oni cię porzucali?

NOLA — I tak się zdarzało...

JASTRAMB — Zrywali! Lekceważyli... A twój mąż nic o tym nie wiedział?

Chciałbym

znać nazwiska twoich kochanków.

NOLA (zrywa się)

— Nie żądaj tego, to niemożliwe!

JASTRAMB (gwałtownie)

— Bo to zapewne moi koledzy, prawda? Więc zrozum, że właśnie dlatego wiedzieć muszę. Pomogę ci, ich nazwiska Kozub i Milan. Nie zaprzeczaj! (grozi samolotem) NOLA (milczy)

JASTRAMB — Milczysz! A ja się jednak łudziłem, że to nieprawda! No a kapitan Krogulec, który był tu zeszłego roku? Słyszałem coś o nim w związku z tobą...

NOLA (zdziwiona)

— On? Nie.

JASTRAMB — Mów, nie żałuj mnie! Zresztą masz we mnie najlepszego obrońcę.

Obronię cię sam przed sobą, ty kobieto z temperamentem.

NOLA (porywczo)

— Bądź tylko sprawiedliwy. To wystarczy.

JASTRAMB — Mów, mów bez żadnych obaw. Kto tu bywa? O, Nieborowski, prawda?

NOLA — Nieborowskiego uczucia są całkiem platoniczne. Kocha się w innej.

JASTRAMB (ironicznie)

— Nie może być! A jak to się skończyło z Kobuzem?

NOLA — O, bardzo dla mnie niepochlebnie... Po jednym wieczorze spędzonym ze mną nie przyszedł więcej. Widzisz, los mścił się na mnie za to, że nie umiałam czekać na ciebie.

JASTRAMB — Daj spokój! To podłość!

NOLA — Dlaczego? Szczerłość jest zawsze dobra.

JASTRAMB — Ale może ty cierpiałaś? (zbliża się do niej, litośnie pochyla nad nią) NOLA (nowa fala dumy)

— Och, prędko zapomniałam!

JASTRAMB (sucho)

— Ach tak! No a Milan?

NOLA — Zaręczył się z inną i dlatego zerwał nasz krótki romans.

JASTRAMB (łapie się za głowę)

— Nie do wiary! I pomyśleć, że ja ich tak lubiłem! Co za brutalność!

NOLA — Byli w swoim prawie. Spotykamy się, rozłączamy, mijamy — czyż można od Amora wymagać humanitarności.

JASTRAMB — Ależ oni przynajmniej powinni byli kochać ciebie, patrzeć ci tylko w oczy i wreszcie odejść wzgardzeni przez twój kaprys.

NOLA — I ja bym tak wolała, ale nie jestem dość piękna.

JASTRAMB — Ty nie jesteś piękna? Ależ ty masz urok niepospolity. Nie, to ślepcy, głupcy. Powiedz, że to ty znużyłaś się nimi. Powiedz, to będzie znośniejsze!

NOLA — Zapomniałaś o małym samolocie (wskazuje na model) JASTRAMB — Dlaczego! Jak mogłaś? Czemu? Czy musiałaś upaść tak nisko?

NOLA (tracąc ciepłość)

— Słuchaj, nie doprowadzaj mnie do rozpacz, bo zapytam się ciebie — a ty?

JASTRAMB — Co ja?

NOLA — Czy ty nie miałeś kobiet przede mną. Czy i to nazwiesz upadkiem?

Słyszałam o twoich niezliczonych miłostkach.

JASTRAMB — To co innego.

NOLA — Jak to i ty tak mówisz? Ty? „Co innego” — nie bądź śmieszny!

JASTRAMB — Co innego, bo ty nie cierpisz nad tym. A ja cierpię, widzisz — gdy pomyślę... I jeszcze o jednym zapomniałaś — ja jestem wolny.

NOLA — Namiętność jest jedna dla wszystkich. Głód życia jeden dla wszystkich. I tylko pycha jest u was większa.

JASTRAMB (okrutnie)

— Szukałaś ich, wybierałaś wśród nich jak Katarzyna Wielka wśród swojej gwardii.

NOLA — Zbyt szumne porównanie.

JASTRAMB — Ale oni porzucili cię zaspokoiwszy ciekawość.

NOLA — To prawda...

JASTRAMB — Nola, choć mi życie zbrzydło, jednak chcę żyć, aby ci wszystkie te dawne krzywdy wynagrodzić. Ale oni, po co chodzą po świecie. Powiedz?

NOLA (oburzona)

— To są ludzie. Nasi bliźni. Niech chodzą i latają jak najdłużej, jak najszczęśliwiej.

JASTRAMB — Nie, nie mogę się z tym pogodzić.

NOLA — To chyba nie wiesz, co mówisz.

JASTRAMB — Wiem i źle im życzę — nie mogę inaczej! Może mi to z czasem przejdzie.

(oddychając ciężko) Nic to, nic... Nola — jesteśmy wysoko ponad kłamstwem! Ale cieszymy się teraz... Rekord wyżyny! A każdy rekord kosztuje trochę zdrowia, (odpycha jej uścisk) Nie, nie teraz, puść. przebiorę się i wrócę... Proszę cię, nie odchodź nigdzie... Wiem, co to było za poświęcenie z twojej strony.

NOLA — Ekspiacja, mój drogi, gorzka ekspiacja.

JASTRAMB (nagle)

— Gdybym nie wrócił, żałowałabyś mnie?

NOLA (głęboko, prawdziwie)

— Nie.

JASTRAMB (krótko)

— I słusznie, (w drzwiach, cicho, z wolna, miłośnie)

— Nola, nie bój się... ja wrócę.

NOLA (cicho)

— Wrócisz, wrócisz moje dziecko.

Ta scena jest zbyt żywa, brzmi zbyt prawdziwie, aby mogła być kompletnie zmyślona. Zazdrosny Jastramb to na pewno Jasnorzewski, gwałtowny, mściwy, zazdrosny i... zabobonny jak wszyscy lotnicy. Już nie mówiąc o Lilce, ta miała małego bzika na punkcie przedmiotów, które przynoszą nieszczęście, i przekleństw; gdy podczas jakiejś kłótni rzucałam w jej stronę: „Będiesz mieć przez cały tydzień pecha!”, to Lilka z groźnie zmarszczonym czołem wystawiała w moją stronę dwa palce, wskazujący i serdeczny, przeciw „jettaturze”, czyli złym urokom.

Będąc żoną Lotka nasza nimfa tak była zapatrzona w nieustającą miłość, że jest rzeczą wykluczoną, aby mogła go zdradzać. Ale czyż wiemy, co było przedtem?

Prawdopodobnie Lotek był zazdrosny w pierwszym rzędzie o pięknego Sarmenta i o tych, którzy mogli być między nim a Lotkiem. W każdym razie obserwując ich życie w pułku lotniczym w Dęblinie, widziałam, że był zazdrosny i podejrzewał każdego z kolegów bywających u nich, nawet pewnego poczciwego kapitana, który dostarczał

Lilce coraz to innych koncertowych płyt i prowadził z nią intelektualne rozmowy.

Miał czarne wąsy i zwykł był wciąż powtarzać słowo „panie”, na przykład: „muszę, panie, iść już do domu, bo, panie, późno się zrobiło, panie” — co nas obie doprowadzało do pasji. Ale gdy Lotek wracał ze swoich instruktorskich zajęć i zastawał owego nudziarza w domu, jego czarne oczy zaczynały się żarzyć jak węgle i całym swym zachowaniem dawał gościowi do zrozumienia, żeby sobie jak najprędzej poszedł. Sam jednak miał wiele adoratek, które kosym okiem spoglądały na Lilkę, i prawdopodobnie, gdy ona wyjeżdżała do Warszawy lub Krakowa, Lotek jak sławny piosenkarz, który nie skąpi autografów, rozdawał

uściski i pocałunki na prawo i lewo. Posiadał duszę gracza. Lilkę wygrał na wielkiej loterii życia i nie chciał nikomu dać popatrzeć na swój skarb.

Czy miał przyjaciół? Chyba jednego, Lisiewicza, i to nie wiadomo, czy go nie posądzał o romans z Lilką, przed ich poznaniem. Z drugiej znowu strony przelicytował go w grze o nią i wygrał, więc miał do niego wspaniałomyślny stosunek zwycięzcy.

Katastrofy swoich kolegów–lotników traktował z takim samym spokojem, jak ich wielkie przegrane w pokera. Kiedyś, na przykład, miał odstawić do bazy stary aparat. Była to niebezpieczna gra, ale ponieważ lotnicy lubili nadziemskie dreszcze, więc nie wzbraniali się przed owymi lotami. Pamiętam, jak zasiedliśmy do bridża, grał nasz Tatko, ja, Lotek i jakiś znajomy. Jasnorzewski miał

niedługo wyjechać na lotnisko, aby przetransportować jakiś aparat bodajże do Lwowa. Partia okazała się jednak tak pasjonująca, że postanowił się od tego lotu wymigać i przez telefon poprosił, aby któryś z kolegów go zastąpił. Przeczucie, przeznaczenie? Ślepy traf? Dość na tym, że po jakimś czasie proszą Lotka do telefonu z lotniska. Katastrofa! Aparat, którym miał lecieć Jasnorzewski, rozpadł się w powietrzu, a pilot poniósł śmierć. Zamarliśmy wszyscy z wrażenia, karty wypadły nam z rąk. A Lotek? Trochę tylko bledszy, zapytał spokojnie: „Kto teraz rozdaje?”

Lilki fregata, na której dziobie widniała połączana rzeźba Wenus, dobiła do portu i nie miała już zamiaru wyruszać na dalekie rejsy. Spokój, jaki w niej zapanował, bynajmniej nie przeszkodził poetce w twórczości. Za czasów Lotka napisała wiele pięknych wierszy i najlepsze swoje utwory teatralne. A on dumny był z jej talentów i chętnie bywał na próbach jej sztuk w teatrach, Polskim i Małym. Był to może snobizm, ale snobizm zdrowy — na literaturę i literatów.

Biedny Lotek — w kilkanaście lat później musiał być obecny przy tym, jak piękna ongiś fregata Lilki, teraz z opuszczoną do połowy masztu czarną flagą odpływała w stronę rzeki STYKS.

Lotek był dla Lilki na pewno dobrym mężem. To pojęcie jest jednak dość względne, dla jednych „dobry” to taki, który żony nie zdradza, dla innych ten przymiotnik oznacza dbanie o żonę i dostarczanie jej odpowiednich środków do życia, ja zaś uważam, że „dobry” jest w tym wypadku synonimem pojęcia „kochający” — a Lotek właśnie był owym kochającym mężem do końca jej życia. Takim uczuciem kochają zwykle człowieka tylko... zwierzęta domowe. Mimo to na przykład pies, uwielbiając jak bóstwo swoją panią, nie uważa za zdradę biegania za suczkami i pani nie będzie się o nim wyrażała, że jest niewierny”.

Lilka, ta sowioka bogini mądrości, musiała z niemałym bólem to zrozumieć. Lotek uwielbiał ją, ale za kobietkami ganiał przez całe życie, nie uważając tego bynajmniej za zdradę.

Pamiętam komediową scenkę na tym tle, która rozegrała się w cudnej ongiś Juracie, gdzie Tatko miał swoją willę z pracownią i gdzie cała rodzina spędzała każdego roku lato. Otóż kiedyś po południu Lilka poprosiła męża, aby swoim samochodem, małym Fiatem, zawiózł ją z Mamą na popołudniowy dansing do pobliskiej Jastarni, na co Lotek odparł, że uczyniłby to bardzo chętnie, ale wóz ma jakiś defekt i nie jest chwilowo na chodzie. Myślał, że panie zrezygnują z owego projektu i pozostaną w Juracie. One jednak postanowiły nie zrezygnować i pojechały autobusem. Gdy autobus stanął w Jastarni i pasażerowie poczuli się z niego wysypywać jak zapałki z otwartego pudełka, ku naszemu zdumieniu ujrzałyśmy

— bo i ja się też do nich przyłączyłam — samochód Lotka, a w nim piękną panią Löwenthalową, z

którą Jasnorzewski flirtował. Na nasz widok Lotek zatrzymał się.

Wówczas Lilka ścisnęła mnie za rękę i wysyczała: „BYDLE!” Pomyślałam, że zanosi się na scenę zazdrości, ale ona, znakomita aktorka, przybrała na twarz słodki uśmiezek i podbiegła do samochodu.

— To świetnie, Loteczku najdroższy, żeś tak szybko naprawił samochód. Jak pani ślicznie wygląda — zwróciła się do Löwenthalowej. — Idziemy teraz do kawiarni, pewnie tam przyjdziecie, więc się nie żegnam.

Lilka zaimponowała mi, przeistoczyła się w wielką damę, „zagrały w niej arystokratyczne babki” — jak napisałyby Mniszkówna. Tylko że tamte wróciwszy do domu zrobiłyby mężowi piekielną scenę zazdrości, a ona zachowała się tak, jak gdyby się nic nie zdarzyło i pewnie w nocy przytuliła się czule do muskularnego, aksamitnego torsu swojego męża.

Niebiescy zalotnicy grani byli z powodzeniem w Krakowie i Warszawie. Oceny tej sztuki były różne. Niektóre niepoehlebne, co Lilkę niesłychanie złościło i martwiło, gdyż znała wartość swojego talentu. Oto co pisze do Wacława Syruczka, który bardzo pozytywnie ocenił tę sztukę:

Drogi Panie!

Posyłam Panu świeżo wylęgłych w druku Zalotników, którzy Pańskiej krytyki nigdy nie zapomną. I jako curiosum posyłam tę krytykę, gdzie z taką lubością mi dokuczają, z szacunkiem zresztą słusznym dla sztuk Nałkowskiej i całą delikatnością, mnie nie szczędząc świństw. Dlaczego moje sztuki ujmuje się w cudzysłów „sztuki”. Dlaczego pewien odłam prasy sobie pozwala rzucać na mnie najgorsze inwektywy, jak „niezaradność”, „nieporadność”, „naiwność”. Naprawdę irytujące i nieprzyjemne, połączone z wątpliwymi komplementami, jak „poetka bibelotów1”, „zręcznych cacek” i dlaczego chcą mi szkodzić? Przecież do Akademii nigdy nie wejdem, nagród oprócz jednej dramatycznej, przez Boya przeforsowanej, nie dostałam. Skąd ta niesłychana brutalność wobec mnie! To pewnie kobieta, bo od nich tylko złego doznaję (z wyjątkiem Żydówek)...

Co do przypuszczeń autorki Zalotników, że ową zjadliwą krytykę napisała kobieta, nie przyznaję jej racji; żadna kobieta nie jest tak zazdrosna o drugą kobietę, jak mężczyzna, gdy odkryje w kobiecie męskie zdolności. Przecież to pan Ostap Ortwin nazwał naszą filozoficzną poetkę „Dzidzi-Colombina”, a jej piękne wiersze

„bibelocikami”. A Zapolska — przecież to nie kobiety napastowały ją piórem, ale dziennikarze i pisarze drugorzędni. Wściekłość mężczyzn, że kobieta potrafi coś lepiej zrobić od nich, jest nieopanowana i bardzo typowa. Kobiety są o inne sprawy zazdrosne — o urodę swoich współzawodniczek w walce o mężczyznę, o ciuchy, a przede wszystkim o młodego, przystojnego męża. Jeśli Lilka spotykała na swojej drodze kobiety zawistne, to powodem ich zawiści byli przeważnie jej przystojni i udani mężowie. Nawet w Anglii, gdy już była chora, kobietka, p. Z., zauważyła przede wszystkim, że Lilka używała „tanich kosmetyków”: Spotkałam ją — pisze — w 43 roku w Blackpool, wyglądała niedobrze, nieświeżo, i wtedy pomyślałam sobie, że to na skutek używania tanich kosmetyków. Sprawiała wrażenie afektowanej, ogromnie wrażliwej na jakiegokolwiek uwagi o własnej twórczości. Bolała bardzo nad małym zainteresowaniem poezją wśród angielskiej

emigracji...

Trzeba oddać mężczyznom sprawiedliwość, że tak by nie napisał zaden z nich.

Zauważyć „tanie kosmetyki” jako jedyny znak szczególny na twarzy największej polskiej poetki — potrafi tylko kobieta.

„Sprawiała wrażenie osoby dość afektowanej” — pisze pani Z. Lilkę widocznie owa dama znudziła potężnie, więc przybrała na twarz ten swój trochę drwiący, a trochę udręczony uśmiezek, którym maskowała znudzenie daną osobą. Nie była mimozą, była raczej bożą krówką, robaczkiem, który z lęku przed ludźmi chowa łapki pod siebie i udaje nieżywego. Gdy ją ktoś męczył i nużył, potrafiła przestać mówić, jak gdyby zanikała, odpływała, i to widocznie pani Z. wzięła za

„afektację”. %Poza tym pewnie znajdował się koło Lilki jej przystojny, dziarski mąż, wzbudzający w panusiach zazdrość, i dlatego ocena osobowości poetki wypadła tak niesympatycznie ze strony p. Z. Potem, gdy już leżała w szpitalu, panusie odwiedzały ją i otaczały troskliwą przyjaźnią. Najbardziej jej oddana była Teodozja Lisiewicz, która odwiedzała ją codziennie. Ta zacna i na pewno szalenie kochająca Lilkę istota potrafiła, gdyśmy się spotkały po wojnie w Londynie, zalać moją krwawiącą sercową ranę po stracie takiej siostry — kwasem solnym, opowiadając z zapalem ponure szczegóły z jej ostatnich chwil.

WOJNA PRZECIWKO RODZINIE

Choćbyście ją nazwali — „słuszną” czy „obłądną”,

„Wojną skrzydeł”, „narodów” czy „ras” — wszystko jedno, Gdyż mam już dla niej imię, co w każdej godzinie Potwierdza się: to wojna przeciwko rodzinie...

„Szkicownik poetycki”, rok 1941/42

Lilka musiała w roku 1939 emigrować nie tylko ze względu na męża, ale również i przez swoją twórczość antyhitlerowską. Przypomnijmy sobie wiersz Enthauptet, a przede wszystkim sztukę Baba–Dziwo, wyraźną satyrę na totalizm w hitlerowskim wydaniu. W redakcji pierwotnej bohaterem sztuki był bezimienny dyktator w fikcyjnym kraju PRAWIA, który do złudzenia przypominał führera, jak jego ojczyzna — Niemcy. Na usilne żądanie dyrekcji Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, autorka zmieniła postać groźnego dyktatora na kobietę dyktatorkę, która mimo swej bezwzględnej władzy i tytułu „Matki Narodu”, będąc sama brzydka, nienawidziła kobiet młodych i ładnych. Z tej podskórnej, nieświadomionej nienawiści powstał w jej głowie potworny pomysł zmuszania młodych niezamężnych kobiet do „służby dla vaterlandu”, polegającej na rodzeniu nieślubnych dzieci z tęgimi, do tego celu odkomenderowanymi samcami; dzieci te po urodzeniu odbierano matkom i wychowywano na koszt państwa, jako przyszły „kanonenfutter”. Pomysł

zaiste godny Hitlera. Matka Narodu, pani Valida Wrana, tępiła w swoich poddankach wszelkie zrywy, gdy chodzi o osiągnięcia kobiet na polu nauki, techniki czy medycyny. Natomiast ich zdolności kulinarne interesowały ją mocno i wytypowane przez nią poddanki musiały się wykazać umiejętnością smażenia na poczekaniu naleśników. Skąd Lilka sobie to wydumała? W swej genialnej główce miała tysiące skrytek, w których gromadziła różne wiadomości, ciekawostki i zasłyszane historie. Otóż dowiedziała się, że cesarz Wiluś przepadał za naleśnikami i gdy miały być jakiegoś dnia na obiad, to zacierał ręce i mówił do swojego najbliższego otoczenia: „Heute kriegen wir mittags Pfannkuchen!” Lilka bardzo trafnie w Babie–Dziwo połączyła cechy Hitlera oraz cesarza Wilhelma, dając w niej obraz GERMANII.

Pomysł Lilki, żeby w owym fikcyjnym państwie „Prawia” skoszarować młode niezamężne kobiety i kazać im rodzić co roku nieślubne dzieci dla dobra państwa, nie był jej. Przeczytałyśmy obie pasjonującą książkę pewnego niemieckiego autora pod tytułem Der Zirkusmensch, gdzie w jakimś fikcyjnym państwie totalnym zarządzono utworzenie specjalnych domów, zwanych „Mutterhaus”, w którym młode dziewczęta odprawiałyby tego rodzaju służbę dla narodu, aby podnieść spadający przyrost naturalny. Do tego celu przeznaczeni byli młodzi mężczyźni („Muttermann”), którzy spełniali swoją funkcję zapładniania. Określenie

„Muttermann” radowało nas ogromnie i gdy w towarzystwie poznałyśmy jakiegoś tępego a wspaniałego samca, Lilka szeptała w moją stronę: „Muttermann”.

Tak więc poetka zbierała nektary do swoich miódów nie tylko z kwiatów własnego ogrodu, ale czasem i z cudzego. Dalekie to było od plagiatu, brała tylko i wspaniale rozwijała pomysł. Podobnie książka Maeterlincka Życie mrówek stała się bodźcem do napisania świetnej antyfaszystowskiej komedii Mrówki. Tą sztuką, jak również Babę–Dziwo zachwycał się Boy. Gdy we Lwowie, podczas

dramatycznej uciekiniarki jesienią 1939 roku spotkał na ulicy Wojciecha Natansona — nie wspominał nic o tragicznej sytuacji Polaków, tylko zapytał: „Czy pan już widział

Babę–Dziwo?” Możliwe, że ta sztuka była wówczas grana w którymś z lwowskich teatrów — chociaż nie wydaje się to prawdopodobne. Natomiast wiadomo, że dziwnie spóźniona warszawska premiera Baby–Dziwo odbyła się w Teatrze Nowym w dniu 1 września 1939, przy zaciemnionej już widowni.

Stanisława Wysocka, wspaniała i niezapomniana kreatorka Baby–Dziwo, grała dla garstki osób. W pierwszym rzędzie siedziała Mama, która na tę premierę przyjechała z Krakowa w swojej odświętnej sukni z fioletowego velour–satin, i najbliższe przyjaciółki Lilki. Hanna Mortkowicz opisuje, jak po premierze, w pracowni Wojciecha w Bristolu, zgromadziła się grupa jej przyjaciół i entuzjastów; Lilka siedziała zagłębiona w fotelu, przerażona i nastroszona, jak jaskółka przed nadlatującą burzą. Mama zdążyła jeszcze powrócić do Krakowa i zabrać wiele cennych obrazów Wojciecha i Juliusza z mieszkania Lilki na Akacjowej.

Jasnorzewscy swoim małym Fiatem pojechali do Lwowa, aby stamtąd przedostać się do Rumunii. We Lwowie spotkać można było wtedy wielu wybitnych poetów i pisarzy: Boy, Zygmunt Nowakowski, Anatol Stern z żoną, Leon Chwistek, również z żoną, i wielu, wielu innych.

Od Lilki nie mieliśmy żadnych wiadomości. Dopiero któregoś dnia zjawiała się skromna istota, która z dokładnością dobrej znajomej opowiadała nam o Lilce: jak to ona głoduje, jak nie ma grosza przy duszy, jaka przerażona i mizerna. Obie z Mamą spłakałyśmy się słuchając tych relacji. Mama wyciągnęła, co mogła, pieniądze dla Lilusi, jakieś zapasy, kawę, herbatę etc. Po pierwszej kartce Lilki z Bukaresztu dowiedzieliśmy się, że oboje z mężem bardzo krótko przebywali we Lwowie, a płaczliwa istota, rzekoma znajoma Lilki, okazała się sprytną oszustką, która Lilki w ogóle nie знаła, tylko o niej słyszała.

W Bukareszcie Jasnorzewscy zamieszkali w willi Duszy Czary, rumuńskiej poetki, którą znałyśmy dobrze jeszcze z Krakowa, gdzie chodziła na uniwersytet. Ta urocza zresztą osoba nie mówiła poprawnie żadnym językiem, co nie przeszkadzało jej w tłumaczeniu wierszy Lilki na język rumuński i otrzymaniu lukratywnej posady sekretarki królowej Marii, na kilka lat przed wybuchem wojny. Opowiadała mi tak zwana „Duszyczka”, która po wojnie przeniosła się do Warszawy, że Lilka wyglądała wtedy jeszcze ślicznie, wygrzewała się na słońcu i zajadała owocami.

Dusza twierdziła, i może miała rację, że gdyby Lilka została u niej w Bukareszcie, w jej luksusowej willi wśród kwiatów i drzew owocowych, nie byłaby popadła w tę straszną chorobę. Ale cóż, Lilka kochała Lotka i pierwszy raz w życiu była prawdziwą żoną, taką, która potrafiłaby w innych czasach jechać za mężem zesłanym na Sybir. Bo czyż to nie był dla niej Sybir — ta zimna o każdej porze roku Anglia, o której Anglicy sądzą, że ma klimat „morski i umiarkowany”.

Najciekawsze, że kwiaty myślą o tym klimacie to samo; ku mojemu zdumieniu ujrzałam w małych ogródkach angielskich anemony i róże kwitnące spokojnie przy zerze stopni lub nawet dwu stopniach mrozu.

Lilka pisze w Anglii cały poemacik o zimnie. Widać, jak jej strasznie dokuczało, jej, która na

Kossakówce co godzina kazała dokładać do dużego kaflowego pieca i jeszcze włączała elektryczny piecyk.

Oto kilka strofek z owego poematu:

Pokój nieopalany,

Jesiennych kwiatów strojny opalami,

Za oknami deszcz zimny pluszcze —

Świeci się bluszcz —

Złoto w alei strumieniem pociekło,

Jak w bajce malarza Dulaca —

I pokój piękny lecz nieopalany...

O, wyżej, wyżej stawiam skromne gniazdo ptaka, W którym jest ciepło!

Kłody bukowe, płonące, upalne,

Łasko świętego Znicza,

Słowiański cudzie!

Tutaj szczękasz zębami przekraczając sypialnię, Gdyż, jak ci każe obyczaj,

Lekceważyć musisz listopad i grudzień.

Noc w szybę liściem stuka, perlę gradu sypie — —

Zbyt tu mroźnie dla snów szczęśliwych!

Wiem z mojego pobytu w Londynie zimową porą, jaki to był nietakt wobec pani domu wciąż włączać elektryczny grzejnik, a cóż dopiero podczas wojny, kiedy panowała tak skrajna oszczędność, że Anglicy wpuszczali do wanny tylko tyle wody, ile było dozwolone, a niektórzy robili w wannie kreskę czerwonym ołówkiem, żeby broń Boże owego limitu nie przekroczyć. Widocznie w pokoju Lilki albo nie było elektrycznego piecyka, albo też używanie prądu było całkowicie zabronione.

Z Rumunii, gdzie jej było tak dobrze, ciepło i witaminowo, pisywała do nas listy. O sobie bardzo mało, a tylko wciąż niepokoiła się o nas, o swoją ukochaną rodzinę. Kiedyś otrzymałam od niej kartkę pocztową z bardzo pospolitym widoczkiem. „Madziusiu — pisała — obejrzyj sobie tę kartkę dokładnie, ona wcale nie jest taka brzydka, jak ci się wydaje. Radzę Ci zapoznać się z nią bliżej...” Zaczęłam się owej tajemniczej pocztówce przyglądać i odkryłam nagle, że są to dwie identyczne kartki razem zlepione, a wewnątrz znajduje się banknot 100

złotowy, który na początku okupacji posiadał jeszcze swoją wartość. Takie same kartki–bliźnięta, nadziewane stużłotowym banknotem, otrzymała również jej wielka sympatia Zofia Jachimecka.

W Londynie pokoje były nie opalane, ale za to bomby zapalające coraz to padały na miasto. Ogłaszano alarm przeciwlotniczy i tak jak u nas, wszyscy schodzili do schronów. Londyński underground, czyli metro, był najbezpieczniejszym schronem.

Ktoś ze znajomych opowiadał mi, jak Lilka, będąc w schronie, zaczęła pociągać nosem i łezki kapały jej z oczu. Gdy się zapytano, dlaczego tak się martwi, odparła, że psy jej znajomej pozostały same w mieszkaniu, ponieważ ich pani musiała wyjechać z Londynu.

— Oo, don't cry! — zwrócił się do niej poczciwy angielski policjant, po czym wyjął z kieszeni munduru czystą białą chusteczkę i sam wytarł jej łzy z twarzy.

Potem miała już poważniejsze powody do płaczu. Wpierw śmierć ukochanego Ojca, o czym podało londyńskie radio, a później śmierć Matki, którą najboleśniej odczuła. Żeby jej nie martwić i udawać, że Mama żyje, podpisałam jej pismem czuły list, w którym Mama rzekomo pisze, że źle się czuje i nie wie, czy doczeka końca wojny... Na to wkrótce otrzymałam list od mojej siostry, że dziękuje mi za ten dowód czułości i troski, ale że już wie o śmierci Mamy i że chyba nic gorszego nie mogło jej spotkać. Nie pamiętała, że zawsze coś jeszcze gorszego niż śmierć ukochanej osoby może nas spotkać, mianowicie utrata siebie samej, o czym w trzy lata później miała się przekonać... Przecież tak kochała życie!

Powiedziała do jednego z londyńskich znajomych: „Teraz, kiedy mogłoby się żyć dla samego życia, trzeba umierać!”

Strzały, które ją trafiły w tej strasznej wojnie „przeciwko rodzinie”, tkwiły w jej sercu... Świadczy o tym najwymowniej jej wiersz wojenny Stary olejny obraz: Święty Sebastian:

Cel dla łuczników — pogan...

Czyli młodość ofiarna, niebiańsko wierząca

W hasło i slogan.

Święty Sebastian:

Strzała w młodzieńczym ramieniu —

Strzała w pasie —

Jeszcze jedna w smukłym kolanie —

Jeszcze jedna w omdlałej ręce —

Podczas gdy oczy, gasnąc, patrzą ku ojczyźnie, Jak w głębię nieba.

Aż w serce, które nie zna trwogi,

Z drzeniem padła ostatnia strzała.

Święty Sebastianie, przebacz!

Nie ja, nie ja tego chciałam...

Już nigdy nie będzie pogodna i zdrowa. Pisze do mnie list po niemiecku, myśląc, że w ten sposób łatwiej dojdzie. Jest w nim takie zdanie: „Alle meine Manner sind heute für mich wie Schatten — es gilt nur meine Familie”.*

To nie puste słowa. Poetkę drażyła w ostatnich latach wojny troska i niepokój o rodzinę w Polsce, od której nie otrzymywała wiadomości; dochodziły ją jedynie, od tamtejszych emigrantów, jakieś straszne i nieprawdziwe wieści, jak na przykład te, z których zwierza się Janowi Hulewiczowi w jednym z listów pisanych do niego w r. 1943:

Drogi Panie!

Jestem strasznie, po prostu nie do zniesienia zatrwożona o Madzie, która do mnie od czasu śmierci Mamy nie pisze wcale. Córka jej jest podobno uwięziona, może i Madzia też... Nigdy nie byłam tak daleko od swoich jak dziś po 4 latach. Dwoje Najdroższych odsunęło się dalej, skąd już nigdy wiadomości nie przenikną, chyba przez obrzydliwą, nienawistną mi już pocztę snu i jej niezrozumiałe szyfry męczące. Została garstka, a w niej jedyny mój wielki afekt, Madziusia, biedna o bardzo słabym zdrowiu, nerwowa i wrażliwa. Czy wytrzyma to wszystko? I czemu już nie tylko ona ale nikt nie pisze do mnie? Ach co za dolina Jozafata psiakrew.

Jakiś czas przedtem pisze do Hulewicza ten oto list: Drogi, Kochany Panie!

Wróciwszy do Blackpoolu... zastałam w hotelu list Pański z czekiem i z wiadomością o kartkach od moich najdroższych osób. Może Pan sobie wyobrazić co za dziwne przeżywam uczucia. Prokurator Żeleński... napisał mi z Genewy te straszne rzeczy o domu. Tu znowu słyszę błogosławione słowa o podpisie Mamy z 25-go maja, podczas gdy Żeleński pisze, że umarła 15 marca. Naturalnie, na rozum biorąc, on się nie myli, natomiast ktoś w domu podpisał się za Mamę — jednak przez chwilę, jak szalona, przeżywałam pociechę, i dziękuję Panu za nią.

Jak już wspomniałam, tą osobą, która podpisała nieżyjącą już Mamę, byłam ja —

nie przypuszczałam, że Lilka dowie się w Anglii o jej śmierci (widać dla złych wieści nie ma granic...).

Mamę kochałam równie głęboko jak Tatkę [pisze w dalszym ciągu Lilka] ale bardziej jeszcze obłąkanie, bardziej jak własne, stare i wciąż strachem przejmujące dziecko... Antypatyczne są moje te losy w Anglii. Dzięki, że mogę przynajmniej w Madzi obecność w domu wierzyć teraz...

Hulewicz jest prawdziwym i pomocnym przyjacielem poetki, stara się przez Czerwony Krzyż wysyłać do Polski paczki (szczególnie prawdziwa kawa i migdałki dochodzą szczęśliwie), otrzymuje

słowa podziękowania.

Oto jeszcze jeden jej list, z 5 marca 1943:

Drogi i Szanowny Panie!

Dziękuję bardzo. Może Pan sobie wyobrazić, czym są dla mnie te tak niedawne daty. Jaka ulga! Poza tym domyślam się, że są to podziękowania za pomoc.

Jachimecki kochany! Boże, co za radość! Nie może być nic lepszego i nic ważniejszego w tej mglistej otchłani, w której żyjemy. Nie mam słów dla Pańskiej dobroci i pamięci i doprawdy jestem bardzo wzruszona — —

Dzięki akcji prezacnego J. Hulewicza, i Jachimeckiego, z którymi się Lilka tak zawsze przyjaźniła, dostają się z Lizbony paczki kawy. Pisz do Hulewicza we wrześniu 1941:

...Panie Janie drogi, serce mi się ścisnęło. Znamy tak dobrze Jachimeckich, tak popularnych w Krakowie z ich salonem literackim ongiś — lubimy ich bardzo i Pan zapewne tak samo. Już raz na żądanie Pańskie w sprawie wysyłania znanym ludziom w Krakowie paczek z Lizbony podałam jego adres. Raz jeszcze przypominam i polecam Panu tego profesora... Wrócił, biedaczysko moje, takie dawniej wytworne, muzykalne (marcepanem nazywaliśmy go), wrócił z Oranienburga półżywy... Na miły Bóg, najlepszy Panie Janie, wierzę, że Pan pomoże i gwałtu narobi, gdzie należy.

Dziękuję i ściskam ręce Pańskie. Za moich i za siebie też stokrotne dzięki i wdzięczność wieczna

Jak gorąco zawsze była Lilka porzywiązana do „Żdzisełka” i „Zosiątka” Jachimeckich, świadczy jej uroczy liścik sprzed wojny (bez daty), gdzie pisze, że woli przyjść we wtorek (w jour-fixe cotygodniowy Pani Zofii) niż prawdopodobnie na jakieś większe zebranie w ich domu: Zosiu moja najprzyjemniejsza,

dziękuję Ci bardzo za pamięć o mnie — Nie dziw mi się proszę Cię że nie odpisałam zaraz, ale byłam b. zajęta chorowaniem, i nie mogłam. Otóż nie będąc pewną swego jutrzejszego samopoczucia wolę podziękować Ci bardzo i nie iść, za to chciałabym być we wtorek u Ciebie jeśli mi szanowne zdrowie pozwoli. Ściskam Cię najostrożniej i najpiękniej jeszcze raz dziękuję Lilka A oto fragmenty moich nie wysłanych listów do siostry oraz pamiętnika: Najdroższa Lilusiu!

„Pęta” znalazł mikroskopijną perłę z broszki Lilusi, to przecież trudniej znaleźć wśród tysiąca śmieci niż człowieka. Może i my się jeszcze kiedyś odnajdziemy, moja naprawdę jedyna, keksa uczy się śpiewać — smutne to śpiewki śpiewające cudzymi słowami. Głos powinni mieć tylko poeci — Twoje wiersze śpiewane przez Ciebie do muzyki Szopena... To ciekawe, jak Twoje wiersze i Szopen wzruszają mnie w ten sam sposób, od razu się płacze.

A teraz co do dziewczynek: nic nie wzięły ani z Ciebie, ani ze mnie. Te same elementy stworzyły brylant i węgiel, wspaniałe drzewa i torfowisko, więc nie ma się czemu dziwić, to się w przyrodzie zdarza, tylko nie w tak krótkim czasie. W

makutrze, w której Mama ukręciła geniusza, czyli Ciebie, dostało się i poczciwej Madzi, i stąd jej

nieprzeciętne zdolności, ale które widocznie nie są tak duże, aby się mogły jeszcze przelać na jej dziecko.

Czy my się jeszcze kiedy zobaczymy? I jak? I kiedy? Siedzimy tu jak pod wulkanem, który ciągle daje o sobie znać. Mam wrażenie, moja Najdroższa, że człowieka spotyka w życiu za karę, że się tu napatolił, wszystko to, czego najbardziej nie znosi. Tato najdroższy brzydził się tak bardzo brudem i smrodkami, narzekał na nieporządki w łazience, wszelka koprołalia budziła w nim wstręt nie do opisanego. A teraz co? Cały dzień ma zbrzydzonej tą swoją okrutną kiszgową historią. Rzadko kiedy słowa: ironia losu miały lepsze zastosowanie niż właśnie w tym wypadku. — Ja znów zawsze najbardziej nie lubiłam prosić. Jestem z gatunku rozrzutnych, rozdających i rozkazujących, a tymczasem teraz muszę wciąż kogoś o coś prosić. Proszę, aby ktoś ode mnie coś kupił, chcę coś przehandlować, proszę w znajomych sklepach, aby bluzki, które szyjemy z krawcową, wzięli w komis. Proszę o małą pożyczkę — jednym słowem takie małe „prosie” (od proszenia). Jedno wielkie zebranie — kara na dumę i pychę! O ileż wolałabym się skaleczyć w palec! Lilusiu, czy będę kiedy miała miesiące wytchnienia? Czy kiedy zakwitną dla mnie całe pończochy? Kilka par pięknie złożonych w szafie. Jestem jak zharowany koń fiakerski, a moja dorożka tak przeładowana zmorami, ciężkimi, starymi zmorami. Ach, jak nieprzyjemnie!

Lilusiu moja!

(styczeń 44)

Mam wrażenie, że dopiero teraz rozpętała się na dobre druga wojna polsko—

niemiecka. Wojna najdziwniejsza i nieznana dotychczas w historii, bo z jednej strony gasnąca już siła z bronią w ręku, a z drugiej nienawiść dysząca zemstą, pozbawiona wszelkiej broni. Podobno bolszewicy są tylko o 300 km od Wilna —

czyli tyle, co z Krakowa do Warszawy. Ludzie się boją, że do nas przyjdą. A ja się tylko boję, czy dożyjemy tej pięknej chwili — pięknej chociażby przez to, że zobaczymy niemiecką butę pod czyimś butem. Ach, chociażby to miał być sam Lucyper ze swoją gwardią, byle tylko zobaczyć na własne oczy tę pychę, tę dumę z własnego chamstwa — pobitą, pokonaną, rozłożoną na dwie półkule dupska. Jeśli rodzina nasza zdoła przeżyć ten straszny czas, który nadchodzi, to w naszym ogrodzie stanie posązek św. Antoniego. Pełno policji na ulicach — ‘ ludzie łożą zestrachani jak przed grozą trzęsienia ziemi. W sklepach pustki — tylko zatrząsienie damskich kapeluszy. Kapelusznice wiedzą, znając kobiety, że nawet na rozstrzelanie sprawiłyby sobie twarzowy kapelusik.

grudzień 44

Nawaliło się do domu staruchów, ofiary tragicznej Warszawy. Wszystko rodzinna.

Mówią, że kiedy pan Bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera. A dodać by należało: nasyła mu rodzinę. Staruszkowie, najmłodsze ma 75 jesionek, siusiają do łóżek, kakają, sklamrzą, prukają, złoścą się na siebie, no i jak biedna ciocia Pułaska — umierają nagle w nocy. Wielkość pewną okazują tylko w momencie śmierci, traktując to jako bardzo kłopotliwy odjazd. Ta sama osoba, którą drażniło niewygodne łóżko i mnóstwo drobiazgów, odjeżdżając na tamtą stronę szepcze: „Już mi

lepiej — nie mówcie o mnie... Nic mi nie jest...” Nie błaga o doktora, o pomoc, nie boi się dziwnie tego czarnego wagonu, którym jest —

karawan. A tu głowa leci w tył, ręce lodowate, oczy wywrócone. Ciociu, może dać bańkę na nogi, może czarnej kawy? Nie, nie, nie. Dajcie mi spokój.

W Szkicowniku emigracyjnym motyw tęsknoty i miłości do nieżyjących już rodziców wciąż się powtarza. Razi on współczesnych krytyków — Sandauera, Przybosia, a nawet wielkiego przyjaciela Lilki i entuzjastę jej poezji — Terleckiego.

Oto co pisze w pięknej przedmowie do Ostatnich utworów mojej siostry wydanych w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie:

Przemiany napięć, które tu usiłowałem odsłonić, to całe przesunięcie wrażliwości z płaszczyzny estetycznej w etyczną, jakie się dokonało pod wpływem wojny — nie mogło przejść bez śladu w uchwycie poetyckim. Stosunek poetycko władczy, igrający, wirtuozowski zmienia się w stosunek twardej, trudnej ascezy. Doznany wstrząs jest tak głęboki, że narzuca nakaz wyrzeczeń, nakaz zmiany artystycznej instrumentacji. Stąd wyzbycie się na pewien czas rymu... ten poetycki instrument, ten słowny ornament wydał się czymś zbyt ostentacyjnym, czymś nie przystającym do rzeczywistości odczuć. Zjawia się wiersz bezrymowy, „biały”. Ale znaczy on u Pawlikowskiej coś innego, niż w wielowiekowej tradycji angielskiej, idącej od Surreya, Marlowe’a i Shakespeare’a do Tennysona. Nie jest on dla niej podatnym narzędziem, materiałem „kowalnym” — jak mówią Anglicy — ale szatą żałoby, szarą, zgrzebną, włosiennicową szatą umartwienia. Wybrzmiewa przez jego rytmy jednostajność skargi, jednostajność sprzeciwu, jednostajność zacieklego oporu, nieznudzona jednostajność modlitwy. ...I ten obraz bezradności, poetyckiej prostracji, wysiłonego szukania środka równowagi ma w sobie coś przejmującego, wzruszającego. Coś bardzo ludzkiego.

Tak. Nie akordem zimnej, zautomatyzowanej maestrii, ale akordem natężonego wysiłku serca, aby sprostać światu i zadośćuczynić powołaniu poety — skończyła się ta twórczość, pierwsza co do rangi w liryce kobiecej naszego czasu, zapewne jedna z pierwszych w kobiecej liryce europejskiej...

Pięknie i mądrze pisze Terlecki, który Lilkę znał bardzo mało, dwa razy ją spotkał na emigracji, i tylko listownie się z nią komunikował. Ten znakomity stylista zapomina jednak, że najpiękniejsze ze swych utworów emigracyjnych pisała poetka podczas choroby, pewnie między jednym zastrzykiem morfiny a drugim. Zacytuję tylko ich tytuły, znane wszystkim entuzjastom jej poezji: Dla Minotaura, Obca duszo..., Światło w ciemnościach, Zwykle matczyisko i takie poetyckie arcydzieła jak Stary olejny obraz oraz ostatni — pisany już u progu tamtego świata — który owych suchych krytyków — intelektualistów wzruszył i zachwycił. Umieją go na — pamięć nasze znakomite deklamatorki, cytowali ów wiersz Przyboś i Sandauer, uważając go za przedśmiertny powrót Jasnorzewskiej do najczystszej poezji. Dla tych, którzy go nie znają lub nie pamiętają, przypomnę go, tym bardziej że jest krótki:

Polska nocy cudotwórcza,

Rodaczko promienna, efigio,

Miła Wszzechmario!

Nubijko zaświatowa,

O ubłagana,

O ustępliwa, łagodna,

Strzelająca błyskami cudów,

Strojna w perły, korale...

Lilkę w tych jej wstrząsających ostatnich poezjach można przyrównać do wielkich artystów, którzy nawet dotknięci ciężkim kalectwem — jak np. Beethoven — do końca tworzyli wspaniałe dzieła.

Lilka nie tylko że pisała wiersze do końca życia, ale również opisywała dokładnie przebieg choroby, która pomału wysysała z niej życie, jak ów straszliwy pająk, którego mityczna wizja prześladowała ją od najmłodszych lat.

Oto co pisze o tym Terlecki:

Przeczytałem notatniki Pawlikowskiej w nocy poprzedzającej dzień jej pogrzebu i nie pamiętam nic równie wstrząsającego. Ten dokument jest tak poufny, że zapewne nigdy nie będzie mógł być ogłoszony w całości. To, co w nim przejmuje najbardziej, to niestępną ostrość, czujność mózgu, bezlitosna, niezawodna obserwacja, notująca prawie po proustowsku to, co się działo z udreńczonym, sponiewieranym ciałem.

Słusznie, że Terlecki nie opublikował owych klinicznych notatek, ale myślę, że powinien zaznajomić z nimi jakichś słynnych onkologów. Gdy mowa o nich, nie mogę zrozumieć, że wtedy na początku, w Blackpool, ujawnili Lilce straszną prawdę wyraźnie i bez obsłonek. Nasi specjaliści mieliby jednak więcej litości i taktu.

Przecież taka wiadomość to właściwie wyrok śmierci i powód do... samobójstwa.

Pani J. Czekalska w „Wiadomościach Polskich” pisze, że poetka „przyjęła to ze zdumiewającą pogodą i spokojem”. Czyżby przejęła się spokojem i pogodną rezygnacją Angielek? Nie zapomnę tego, co mi opowiedziała czarująca Irena Tuwim o pewnej Angielce, u której będąc na emigracji mieszkała. Otóż pani ta wróciła właśnie od lekarza, pogodna i jak zwykle uśmiechnięta.

— How do you feel?* — zapytała ją Irena.

— Ach — pretty well* —, odparła Angielka.

— A co powiedział lekarz?

— That’s cancer — odparła z uśmiechem — you know, cancer!*

Ale myślę, że Lilka raczej nie wierzyła lekarzowi, przecież do końca swej choroby twierdziła, że nie ma raka. I tak jak mi opowiadał jej mąż, za późno była operowana.

Terlecki pisze, że o ile wie, to leczyła się jakimiś swoimi sposobami. Była przecież na Kossakówce lekarką domową i zaczytywała się w dziełach lekarskich, nieraz okropnie tłumaczonych z języka niemieckiego, jak np. gruba księga z początków naszego wieku pod tytułem Kobieta lekarką domową. Lilka nieraz, szczególnie gdy chodziło o leczenie ziołami, czerpała wiadomości z tego dzieła, wyśmiewając jednocześnie okropne tłumaczenie na język polski („tacy chorzy to oni miewają wzdęcia i obdukcję”). Cała rodzina musiała wieczorem po kolacji pić ziółka, jakie im nasza „lekarka domowa” przepisywała. Mama piła rumianek, dla mnie był zaparzany dziurawiec, a Tatko krzywiąc się zmuszał się do wypijania skrzypu, aby zaraz potem nalać sobie do grubej szklanki z szafirowego szkła czarnej jak smoła herbaty.

Kiedy mogliśmy jeszcze ze sobą korespondować, Lilka — rzecz dla mnie dzisiaj znamieną — ostrzegła mnie przed zastrzykami hormonowymi. Może sama pobierała je w nadmiarze, a dziś wiadomo, że mogły one działać rakotwórczo.

Jasnorzewski, z którym widziałam się w Londynie w 1964 roku, a który zmarł dwa lata temu na nie rozpoznane przez tamtejszego lekarza zapalenie płuc, opowiadał

mi zdumiewające szczegóły z ostatnich dni życia mojej siostry. Ten oddany jej do końca mąż w dziwnie pogodny sposób relacjonował mi pewne szczegóły, a przede wszystkim wyrażał się o niej tak, jakby jeszcze żyła:

— Lileczka, gdy już była sparaliżowana do połowy, kazała się samochodem wozić po różnych antykwariatach, aby znaleźć jakieś lekarskie dzieło o leczeniu częściowego paraliżu! Umarła we śnie — mówił dalej spokojnie i z uśmiechem — ja dostałem pozwolenie sypiania na materacu przy jej łóżku. Gdy się obudziłem — nie żyła...

Czy nie słusznie wspomniałam uprzednio, że Lotek kochał ją uczuciem „zwierzęcym” w tym najlepszym pojęciu? Jak wierny pies spał na ziemi, aby do końca swojej

„pani” nie opuścić...

Mnie i swojej siostrze Halinie oddał wszystkie drobne pamiąteczki po niej.

Zatrzymał sobie tylko stopy jej listów do niego. „Tego — powiedział — nie pokażę i nie oddam nikomu!” Co się z owymi, tak cennymi dla jej biografów listami stało, nie wiadomo. Londyńczycy, zajęci i zakłopotani swoimi małymi żywocikami: mi, mało się tym interesowali, tak samo jak osobą biednego Lotka, który w zimnym Londynie bytował w biedzie i zmarł samotnie w którymś z londyńskich szpitali.

Przez cały czas swojej długiej golgoty, w listach do Mamy i do mnie — których w ostatnim roku wojny już nie wysyłała, ponieważ nie dochodziły do Polski — Lilka ani razu nie wspomniała o swojej chorobie. I tu również widać jej wielką miłość do rodziny i obawę, aby nas nie martwić i nie straszyć. Ta sama kobieta, która chowała się do rowu na krakowskich Błoniach przed zbliżającą się

krową i urządziła sceny panicznego strachu, gdy nad jej łóżkiem zawisł pająk! Nie wiedzieliśmy więc nic o jej cierpieniach i chorobie i spodziewaliśmy się po wojnie szczęśliwego powrotu naszej ukochanej.

Znamienny i niepokojący był sen, który miałam na kilka miesięcy przed jej śmiercią, wówczas gdy ona leżała już na śmierć skazana w onkologicznym szpitalu w Manchesterze. Śniło mi się — co wyraźnie pamiętam — jak zjawili się przede mną moi nieżyjący rodzice i powiedzieli: „My ją wpieryw zobaczymy niż ty...” Zrobiło to na mnie bardzo przykre i niepokojące wrażenie, ale zaraz potem londyńskie radio nadawało jej wiersze, nie wspominając nic o jej chorobie, więc uspokoiłam się i zapomniałam o owym proroczym śnie. W jakiś czas później znów przyśnił mi się mój szwagier, w mundurze lotniczym. Dzwonił do furtki naszego ogrodu na Kossakówce, w ręce trzymał małą walizeczkę i był jakiś dziwnie smutny.

„A gdzie Lilka? — zapytałam — czy jest w drodze?” — na co on nic nie odpowiedział, tylko zwiesił głowę...

Lilka też w swoich smutnych emigracyjnych nocach jakby przenosiła się w snach na ukochaną Kossakówkę i dostrzegała rzeczy, o których nigdyśmy jej nie pisali.

Dobrze, że hodujecie teraz kury [pisała w którymś liście] wprawdzie brudzą i śmierdzą, ale będziecie mieli zawsze świeże jajka...

Byłam zdumiona, kury „zaprowadziła” na Kossakówce niedawno nasza dzielna kucharcia i wieczorem mieliśmy zabawę z zapędzaniem ich do kojca. Był to szczególnie tak zresztą mało ważny, że nie podzieliłam się nim z siostrą. Jeszcze dziwniejszym był jej niepokój o oberwany sufit w maminyim pokoju, co stało się dopiero podczas wojny.

Trzeba koniecznie naprawić sufit w pokoju Mamidła [pisze Lilka] przecież ta oberwana tapeta może jej spaść na głowę...

Stado kur mogła ostatecznie zauważyć jakaś jej krakowska znajoma, chociaż —

prócz pani Jachimeckiej, nie dostrzegającej takich przyziemnych spraw — nikt z nią nie korespondował. Ale do pokoju Mamy oprócz nas i służby nie wchodził nikt obcy — więc skąd te tak dokładne wiadomości?

Człowiek istota nieznaną Carrela — ta wówczas tak popularna książka nie wyczerpywała jednak wiadomości o człowieku i jego tajemniczych właściwościach.

Co to jest sen? Tego nie wiedział dokładnie nawet Freud, chociaż tyle o tym pisał... Lilka swoje wierzenia w jakieś Życie Przyszłe tłumaczyła w ciekawy i swoisty sposób.

Jeśli — rzekła kiedyś do mnie — przyroda mogła stworzyć takie dziwne i skomplikowane w pomyśle rośliny i stwory, jak fruujące ryby, węgorze głębinowe rażące prądem elektrycznym, cud przemiany szkaradnej larwy w pięknego motyla, kwiaty owadożerne i tyle innych dziwactw, to mogła wymyślić również istotę, która posiada duszę nieśmiertelną...

Może poetka miała rację... i może teraz siedzi gdzieś w kosmosie z Chopinem, Gałczyńskim, Leśmianem i Staffem, i wszyscy oni nie mogą się wydziwić i nacieszyć, że mimo nowoczesnej muzyki Chopin jest wciąż grany i słuchany, że ich wierszy uczy się młodzież na pamięć, a młodzi poloniści piszą o ich twórczości prace dyplomowe.

Nieśmiertelność! Ale jakżeż niewielu jest tych, którzy na nią zasłużyli.

* W listach i po raz pierwszy w tej książce publikowanych wierszach Pawlikowskiej zachowano interpunkcję i częściowo pisownię zgodną z jej manuskryptami. Lilka prawie nie uznaje przecinków, lubi natomiast stawiać dwie, trzy, czasem cztery kreski lub kropki, po czym pisze dalej od malej litery.

(Wszystkie przypisy pochodzą od Autorki.)

We wznowieniu Wydawnictwa GLOB zachowano pierwotny zapis wierszy, jakkolwiek jest on niezgodny z krytycznymi edycjami poezji Marii Pawlikowskiej–

Jasnorzewskiej.

* Ależ to nic nie jest. Proszę spać spokojnie i nie budzić ludzi.

* Taka piękna i taka dumna!

* No, nie bądź głupia.

* od niemieckiego słowa „Witz”

* w listach Pawlikowskiej brak na ogół dat

* p. Rakiewicz — krawcowa w Krakowie

* Wygląda na to, że wynajęła sobie gdzieś osobno pokój do pracy

* pokojówka

* Mama kładła nacisk na to, aby służba domowa spełniała praktyki religijne.

* powiedzenie francuskie, odpowiednik naszego „jak gdyby kij potknął”

* Klein — malarz batalista, dość słaby artysta

* Austin — nowy wóz Tatki

* to znaczy — mnie

* nasza kucharka z Kossakówki

* mała dziura między Świnoujściem a Hervinysdorfem

- * ulica w Krakowie, tak nazwana od wysepki na rzece płynącej dziś przez Błonia, a kiedyś przez spory obszar obecnego miasta
- * Malarz Axentowicz
- * jubiler w Wiedniu
- * Zofia Lubańska, późniejsza Stryjeńska, słynna malarka krakowska
- * Prawdopodobnie chodzi o koniec wojny i zawieszenie broni.
- * „Co jest z gęsią” — powiedzonko rodzinne, „wisielec” — akwarelki jej pędzla, które dat na wystawę w Zakopanem Andrzej Pronaszko.
- * robi tragedie
- * na psa urok
- * służącym Ojca
- * adwokat
- * widocznie ma na myśli Kossakówkę
- * grypę „hiszpankę”
- * Witkiewicza, seniora
- * Zakopanem
- * pierwsze dziecko N. Woźniakowskiej, siostry Jasia
- * to znaczy — łysy
- * przekład T. Boya–Żeleńskiego
- * Nie chcę spać sam I bez światła, proszę pani
- * Nie mogę sypiać w ten sposób — po prostu boję się.
- * Ale niech mi pani powie, co pani będzie robić z tym zwierzęciem?
- * To mój talizman.
- * Rozumiem, a więc szczęśliwej podróży.
- * chodzi o moją córeczkę

- * moja córka
- * brat Jerzy
- * wszystko, co najbardziej gołe
- * Witkiewiczowej
- * musiałam go zastawić
- * dr. Majewicza z Krakowa
- * bratowa
- * mój szwagier, wielki przyjaciel Lilki
- * krakowski dom mody
- * beczelne babsko
- * Lilka opowiadała mu kiedyś ze śmiechem, że tak do niej przemawiał Aleksander Gałuszka, stąd ten nagłówek.
- * Wszyscy moi mężczyźni są dzisiaj dla mnie jak cienie — liczy się tylko moja rodzina...
- * Jak się pani czuje?
- * Bardzo dobrze.
- * to jest rak, pani wie, rak!

KONIEC

Table of Contents

[Rozpoczni](#)